

WIGILIJNE PSY

I INNE OPOWIEŚCI



KSIĄŻKA LAUREATA PASZPORTU POLITYKI 2015

ŁUKASZ ORBITOWSKI

SON
WYDAWNICTWO
read our mind

Orbitowski Łukasz

Wigilijne psy

Spis rzeczy:

SERCE KOLEI

AUTOSTRADA

OPOWIEŚĆ TAKSÓWKARSKA

KACPER KŁAPACZ

WIGILIJNE PSY

ANGELUS®

LOMBARD

OBJAWIENIA

ZMIERZCH RYCERZY ŚWIATŁA

SERCE KOLEI

Wtedy zobaczył u wylotu wagonowego przedsionka znikającą postać nagiego olbrzyma; ciało jego, zasmolone sadzą, zlane brudnym od węgla potem, wydzielało duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi.

Stefan Grabiński, *Smotuch*

I

Kibel wyrusza ze stacji Kraków Główny. Jest grudzień, czarny i śnieżny, gołębie przypominają duchy. Ludzie o czerwonych nosach i zimnych oczach, otuleni w płaszcze, wytaczają się z metalowego brzucha budynku dworcowego. Kibel piszczy na pożegnanie, spręża swoje ciało wiernej maszyny, pociętej i poranionej, pełnej plwocin, zrodzonej w czarnym śnie lat sześćdziesiątych. Światła na moment nabierają mocy, jakby żyły, a kierpoc daje ręką znak do odjazdu i kibel rusza, gołębie zrywają się do lotu, mkną pod sufitem peronu. Tuf tuf, tuf tuf...

Nie ma jeszcze szóstej, a na dworze już jest ciemno i kibel rozświetla sobie drogę przez grudniowy brud. Mijamy kamienice, podobne teraz do samego kibla – długie, niekształtne, czekające swojego dnia. Gołębi już nie ma, tylko śnieg wściekle tłucze o okna. Kibel zaprzyjaźnił się z mrozem. Jutro będzie lepiej, jutro mamy Gwiazdkę i kibel odpocznie na boczniczy. Żadnych wymiocin obok ubikacji, żadnych piw rozlanych między fotelami, żadnych noży tnących do kości czerwoną tapicerkę. Maszynista kibla myśli właśnie o Świętach.

Maszynista ma czterdzieści osiem lat i na imię Józef. Kiedyś lubił to swoje imię, kojarzyło się z Biblią, z dojrzałą mądrością, ale potem Staszek Miętus, ten kutas bez szkoły, nazwał imieniem Józef swojego kundla, a że Miętus nie pracował, miał całe dnie, by łązić z czworonogiem samopas i ryczeć zdartym od jabców głosem: „Józef! Józef! Do nogi!”. No i jutro, w samą Wigilię też wyjdzie, też otworzy mordę, a maszynista będzie siedział w domu, sam, jak pedał na dworcu, walił wódkę, słuchał, liczył lata i użalał się nad sobą. Maszynista pilnuje kursu, jedzie wolniej niż zwykle i myśli, że zamiast wracać do domu, mógłby zaszyć się w trzewiach kibla i pić w spokoju. Na boczniczy nigdy nie ma Święt.

Obok maszynisty przysiada na chwilę kierpoc, który cieszy się na Święta. Jest dumny, bo wszystko, co ma, osiągnął ciężką pracą. Zamyka dłonie na deklach w teczce. Teczka jest z najlepszej skóry. Kiedy inni zapisywali się do partii, on tyrał na kolei. Kiedy wiara synchronicznie ciskała legitymacje, tyrał na kolei. A gdy trzeba było całować księdza, został już kierpociem i wiedział, że wyżej nie podskoczy, ale też nie spadnie. Kolej jest jak Tatry, jak krzyż na Giewoncie, przedwieczna i niezmienna. Będzie jeździć nawet, kiedy zabraknie pasażerów, przeżyje swojego kierpocia. Kibel będzie dudnił i tłukł się po torach, być może pusty, na pewno zniszczony. Ale będzie. Kierpoc zastanawia się nad tym wszystkim. Zanurza ręce w wieczności i wieczność śpiewa. Tuf tuf, tuf tuf...

Kanar patrzy na kierpocia. Splata dłonie na zmiętej cegle, zagina rogi kartek. Wolno wyjmuje papierosa, ułamuje filtr. Zaciąga się i odchyła głowę, na karku tworzą się grube fałdy. Wydychuje powietrze nosem. Kibel toczy się przez Kraków. Tuf tuf, tuf tuf...

Kibel jest prawie pusty. Kto może, siedzi w domu, inni wybierają szybsze połączenia. Dwa pierwsze

przedziały są wolne, w trzecim siedzi trzech pijaków, schylonych nad butelką. Jeden nic sobie nie robi z zakazu palenia – między kciukiem a środkowym palcem trzyma zmiętego sporta. Brakuje mu palca wskazującego. Zabrał go na pamiątkę tartak. Mężczyźni piją w milczeniu, tylko ten bez palca zbiera się, żeby coś powiedzieć (tuf tuf, tuf tuf), rozchyła usta, w kąciku pojawia się bąbelek śliny; kiedy pęka, grdyka pijaka zaczyna chodzić pionowo i nagle nieruchomieje.

– Jutro Święta – mówi, a my jedziemy dalej.

Przedział czwarty. Tu zgromadzili się ludzie. Siedzą razem, choć inne przedziały są wolne. Tyle się mówi o tragediach w pociągach. Wszyscy siedzą na pociętych, popisanych, czerwonych fotelach. Najbliżej drzwi rozłożył się Bielak, szesnastoletni metalowiec o prawie białych włosach. Pucułowata twarz kontrastuje z chudymi ramionami. Dżinsy opinają się na kolanach. Zapadniętą klatkę zakrywa bluza z rysunkiem kobiety ubranej tylko w pentagram. Przed zinnem chroni go skórzana kurtka, którą nosi niezależnie od pogody, pełna wpinek i naszywek. Na szyi ma rzemyk, a na rzemyku odwrócony krzyżyk, zawsze go zdejmuje, nim wejdzie do domu. Słucha muzyki i czyta książkę. Co chwilę zamyka oczy, drzemie przez moment, by wrócić do Tolkiena. Czytał go wielokrotnie, niektóre strony zna na pamięć, a w domu na półce ma wszystkie trzy tłumaczenia. Nienawidzi pociągów, to czysta strata czasu. Nie lubi też ludzi. Ale teraz, z nimi, jest lepiej. Tylko ten stukot, słychać go nawet przy zamkniętych oknach. Zabija muzykę.

Plecami do Bielaka siedzi starsze małżeństwo z córką. Ojciec drzemie. Przyłożył twarz do okna, od szyby oddziela go stary program telewizyjny z „Dziennika Polskiego”. Rozchyła usta, wargi drżą lekko, na zębach odpoczywa brązowy język. Co chwilę podnosi powieki, stwierdza, że wciąż jest w kiblu i do Mysłowic jeszcze kawał drogi. Na nowo zapada w sen, tak płytki, że ledwo w nim brodzi. Sen jest zimny jak grudzień na zewnątrz. Zimny i bezbarwny. Ojciec świszczy, język odpełza w głąb ust i zaraz wraca na miejsce.

– Nie zimno ci, ojciec? – pyta matka i z troską patrzy na policzek przyklejony do gazety. Ojciec wierci się i daje znak ręką, że wszystko w porządku, więc matka może wrócić do krzyżówki. Kibel zatrzymuje się co chwilę i wtedy błyskawicznie wypełnia kolejne pola. Nie może tego robić, gdy pociąg jedzie, za bardzo trzęsie, więc gryzie końcówkę jednorazowego długopisu i układa w głowie kolejne hasła. Krzyżówkę trzyma na masywnych kolanach. Matka jest potężna, szersza od męża, na grubych palcach ma pierścionki, jej twarz wygląda jak wyciosana z kamienia, na nogach wiją się żyłaki. W oczach widać podobieństwo z córką, a w ciele zapowiedź jej drogi.

Córka ma na imię Barbara, ma dwadzieścia pięć lat i mieszka z dwójką dzieci pod Mysłowicami. Mąż robi na tirach i Basia ma nadzieję, że zdąży wrócić przed pierwszą gwiazdką. To dobry facet i prawdziwie ją kocha. Uwielbia prowadzić dom i wyobraża sobie, co przyrządzi na Wigilię i jak siada całą rodziną przy choince, niczym w szklanej, szczęśliwej kuli. Basia nie wie, że ktoś zabrał kutię i barszcz z uszkami, ukradł prezenty, zostawił drzewko nieubrane, bo to już ostatnia godzina jej życia. Tuf tuf, tuf tuf...

Po przeciwnej stronie siedzi facet ze studentem. Student patrzy w okno, otwiera tatrę mocną, piana cieknie po spodniach, więc ściera ją rękawem, klnie cicho i natychmiast milknie. Na siedzeniu obok trzyma plecak. Jedzie do domu, do Katowic. W Krakowie studiuje filozofię i ma dziewczynę Monikę na drugim roku politechniki. Zastanawia się właśnie, czy wygrałby więcej, zostawiając ją i nurkując w studenckie życie, bo są razem od matury i student ma przeczucie, że coś mu umyka. Lubi siadać w Jaszczurach, pić piwo i patrzeć na tańczące dziewczyny. Latem, wracając do domu, obchodzi kurwi

kwadrat (od ulicy Szlak, przez politechnikę, potem dworzec, Filipa i Plac Biskupi), zagląda panienkom w dekolty, ale nigdy nie podchodzi. Boi się. Żałuje, że nie ma samochodu.

Facet obok studenta często jeździ tym pociągiem i zawsze siada w tym wagonie. Nie wybiera się nigdzie. Wie, że kibel ma numer 1272 i jest bardzo szczególny. Dojedzie do końca, poczeka, aż kibel wróci na nowe tory, i razem pojedą do Krakowa. Facet dobiega siedemdziesiątki. Jest niski, szeroki w barach, z grubymi dłońmi, które bezustannie bębnią w tapicerkę. Uwielbia swoje wąsy, przypominają szron i dumnie opadają na ogoloną brodę. Papierosy zabarwiły wąsy na brunatno. Lubi piwo i patrzy na puszkę taty. Oblizuje wargi. Zerka na zegarek i nagle zrywa się na nogi, przylepia twarz do szyby. Kibel mija się z drugim pociągiem. Facet unosi rękę, jakby w geście pozdrowienia, i opada na siedzenie.

W drugim końcu wagonu siedzą Stefan i Bartek. Stefan ma trzydzieści siedem lat i jest bramkarzem w dyskotecie. Kark przechodzi w kaptur. Szary sweter wygląda jak zbroja, na kciuku lśni sygnet. Ogromna dłoń zamyka się na przedramieniu Bartka. Ojciec głaszcze syna po głowie, a ten wypłuwa deszcz kropelek śliny. Jest upośledzony. Klaszcze w dłonie, raptownie wybija się z siedzenia i uderza głową w tapicerkę, „uuuuu, uuuuu”, krzyczy, znów pluje, a ojciec odciąga go delikatnie, sadza na kolanach, całuje w czoło, tuli, uspokaja i czuje się nagi i kruchy, skóra staje się jak z wosku, a mięśnie ze szkła, tak że gdyby go teraz trącić, zmieniłby się w rozbity, brzęczący worek kości. Delikatnie odstawia syna, wpycha mu zabawkę w ręce i idzie między przedziały. Wyjmuje papierosa i pali. „Uuuuu, uuuuu”, dobiega znowu z przedziału i stary, dobry Stefek nie wie, czy to naprawdę, czy tylko w jego głowie. Tuf tuf, tuf tuf...

Minęliśmy już Kraków Mydlniki. Kierpoc grzebie w papierach z dekła. Kanar dotarł do trzech pijaków, cierpliwie coś tłumaczy, w pełni świadom, że wszystko na nic, bo to w końcu nie Orient Express, ale kibel, pociąg osobowy. Stefan spalił papierosa. Ojciec brodzi we śnie. Matka wypełniła w Mydlnikach osiem długich haseł. „*I am immortal, I am strong, I am godforsaken*”, brzmi w walkmanie Bielaka.

– Nie miałby pan odsprzedać jednego piwa? – zwraca się facet do studenta. Ten odwraca głowę od szyby. Ojciec prycha przez sen. Student z wahaniem sięga do plecaka, wyjmuje kolejną tatrę i wkłada w dłonie staremu mężczyźnie. Facet otwiera pulares w kształcie podkowy, znajduje pięcioletówkę, ale jego wzrok pada na *Historię filozofii* Tatarkiewicza. Student wzbrania się przed przyjęciem pieniędzy.

– Nie zdążyłem kupić na dworcu – tłumaczy się staruszek. – W podmiejskich nie ma faceta z piwem.

– Mówię, że żaden problem – odpowiada student, a facet z wąsem nachyla się do jego plecaka, bębni palcem w grzbiet Tatarkiewicza i cofa rękę.

– Znałem profesora – mówi. – Wspaniały człowiek i bardzo go skrzywdzili.

Student kiwa głową. Staruszek ostrożnie otwiera piwo. Student myśli, że powinien go ostrzec, bo piana na pewno się wyleje. Żałuje, że spędzi podróż w towarzystwie starego pierdoły. Staruszek ostrożnie otwiera puszkę i nie cieknie ani kropla.

– Słyszałem o facecie, który otwierał puszkę coli uściskiem dłoni – rzuca staruszek.

– Niemożliwe – odpowiada chłopak i przesuwa plecak. Staruszek patrzy na zegarek, podrywa się gwałtownie i spogląda przez okno. Kibel mija się z innym pociągiem. Staruszek unosi rękę, niepewnie,

jakby wiedział, że wszyscy patrzą na niego, i opada na siedzenie.

– Masz jeszcze piwo? – głos zza oparcia. To Stefan.

– Jeśli macie piwo, pokażę wam coś ciekawego – mówi. Student patrzy na niego z niechęcią, ale boi się odmówić. Podaje ostatnią tatrę, wściekły, bo do Katowic daleko, a Stefan gestem ręki zachęca, by wyszli z przedziału. Staruszek podnosi się bez oporu. Student się waha. W końcu wstaje, idzie za staruszką i Stefanem, przypomina sobie o plecaku, wraca, narzuca go na ramię i opuszcza wagon. Omal nie potyka się o Bartka, spogląda na niego z obrzydzeniem, by zaraz wbić spojrzenie w podłogę. Stefan głaszcze syna po głowie, uśmiecha się, że wszystko jest w porządku. Rozgląda się, ale niepotrzebnie, kanar jeszcze nie skończył z pijakami, a kierpoc tonie w dokumentach. Nikt im nie przeszkodzi.

– Wzięłybyś go za rękę? – prosi Stefan studenta. Bartek natychmiast przypada do chłopaka, rozwiera usta w bezrozumnym uśmiechu. Stefan zna ten wzrok.

Tylko na chwilę – mówi łagodnie i student chwyta Bartka za rękę. Staruszek opiera się o drzwi ubikacji. Stefan obraca tatrę w dłoni, przygryza wargę, odkłada puszkę, zdejmując kurtkę i daje staruszkowi do potrzymania. Teraz widać wyraźnie, że ramiona ma grube jak krowie udo. Bierze puszkę, przykładając do niej obie dłonie, łokcie ma rozstawione szeroko. Staje w rozkroku, wysuwa prawą nogę, pochyla się i napiera na puszkę. Twarz natychmiast nabiega czerwieni, czoło przecinają grube żyły, kark pęcznieje niczym u gada, szyja zlewa się z korpusem, a ramiona wydają się teraz dwa razy szersze, tylko czekać, aż rozpruje się sweter. Trwa to bardzo długo. Stefan przemyka oczy. Palce na puszcze nabiegają fioletem i nagle z tetry tryska złoty strumień, Stefan natychmiast zwalnia uścisk, prostuje puszkę, otwiera, piwo wciąż się leje, więc upija łyka i oddaje studentowi. Dyszy, opiera się o ścianę. Staruszek bije brawo. Stefan zdobywa się na uśmiech. Student wypuszcza Bartka i dziecko obejmuje ojca w pasie.

– Zawsze mówię, że... – Stefan dyszy z wysiłku – jak mnie już z roboty całkiem wypieprzą, to... to stanę na ulicy i będę wygrywał zakłady.

– Siłownia? – próbuje zgadnąć student. Staruszek zapala papierosa. Paczka krąży. Stefan odmawia, student się częstuje.

– Też – odpowiada Stefan. – Najpierw tartak, wyrąb drewna. Kopalnia. Łamanie rąk o chodniki.

Wybuch śmiechem.

– Ale odkąd mam małego, zmieniło się wszystko.

– Przegrałbyś kupę pieniędzy – mówi staruszek do studenta.

– Miałem kolegę, który umiał poddusić się w specyficzny sposób – mówi student. – Zaciskał ręce na szyi i twarz robiła mu się dwa razy większa. Normalnie, jak słońce. Czerwona i ogromna. Potem śmiesznie wyglądał, bo mu na czole i policzkach żyłki popękały.

– Głupota – stwierdza Stefan. – A co z tobą, student?

– Mam na imię Marcin – odpowiada i liczy, że Stefan jakoś zareaguje. Ale ten wodzi oczyma za synem. Mija ich pociąg, staruszek unosi rękę do góry.

– Umieć pierdzieć z napletka – wyznaje student – ale to obrzydliwe.

Staruszek kiwa głową ze zrozumieniem. A Stefan zaczyna się śmiać.

– Dawaj, student.

– Mówiłem, że to obrzydliwe. Poza tym pociąg musi stanąć. Nie będzie nic słyszeć.

Staruszek spogląda na zegarek.

– Za minutę będziemy w Zabierzowie – stwierdza. – Możesz się szykować, Marcin.

Podaje mu piwo. Kibel hamuje ze zgrzytem, staje w pomarańczowym blasku przystanku w Zabierzowie. Marcin obrzuca zebranych spojrzeniem, myśli, że to kompletny idiotyzm, ale trudno, co robić, pakuje rękę do spodni, przez moment jest zupełnie cicho. Widać, jak dłoń chłopaka rusza się w kroczu i nagle słyszeć dźwięk podobny do odgłosu wydawanego przez otwierany słoik. Dźwięk się powtarza, pierwszy zaczyna rechotać staruszek, za nim słyszeć niski, dudniący śmiech Stefana. Kibel rusza ospale, student wyjmując rękę i też się śmieje.

– W życiu nie słyszałem niczego takiego – przyznaje Stefan. – Nieźle, student.

Staruszek już się nie śmieje. Patrzy na zegarek, wbija ręce w kieszenie, by zaraz je wyjąć, drapie się w brodę i orientuje się, że pozostali na niego patrzą. Ociera usta.

– Mogę pokazać wam coś ciekawego – obiecuje – ale musimy wrócić do przedziału.

Milknie na moment.

– Musicie dobrze patrzeć i uważać – dodaje. – To coś naprawdę niezwykłego.

W takim razie chodźmy – stwierdza Stefan i bierze Bartka za rękę. Cała czwórka wraca na miejsca. Staruszek prosi, aby wszyscy usiedli obok niego. Ojciec przebudził się na moment, zerka po sąsiednich siedzeniach i widzi, że student, staruszek i Stefan tkwią nieruchomo i patrzą w szybę. Wzrusza ramionami i odchyła głowę. Basia zerka w krzyżówkę matki. Siedzenie dalej Bielak wyjmując baterię z walkmana. Skończyła się. Zamyka ją w dłoniach, ogrzewa, żeby grało jeszcze parę minut.

– Co jest? – pyta Stefan. Patrzą w okno od kilku minut i nic się nie dzieje.

– Zaraz – uspokaja staruszek. – Przejedzie drugi pociąg, to zobaczycie.

Rzeczywiście, mijają się z innym pociągiem. W jego oknach odbija się wnętrze kibla. Staruszek unosi rękę, szepcze, wskazuje na szybę. Oczy całej trójki utkwione są w oknie. Student na moment odwraca głowę, za nim Stefan i znów patrzą na przemykające szyby. Czoło Stefana nabiega krwią. Student blednie. Nie mogą oderwać wzroku. Patrzą.

Patrzą na mnie.

II

Trzebinia. Mieszkanie rewizora Płatka. Rewizor Płatek zbiera się do wyjścia, goli się starannie, wklepuje krem pod oczy, wycina włosy z nosa, z oka ściera łzę. Siada na brzegu wanny. Jest w samych szortach, przez przedramię biegnie świeża blizna. Rewizor Płatek przygryza wargę. Ma starannie obcięte paznokcie, poza jednym, na prawym kciuku. Podważa brzeg strupa i delikatnie odrywa. Rana idzie do mięsa, strup odchodzi jak płat lakieru, a rewizor Płatek podtrzymuje go kciukiem. Odrywa powoli, bieleją mu wargi. W łazience jest cicho. Po ręce spływa krew. Strup został już zdjęty i rana ma kolor świeżego owocu. Rewizor Płatek wpycha strup do ust, połyka i przyciska wargi do rany. Odchyła się, o mało nie wpada do wanny, dyszy, opuszcza rękę, śledzi wzrokiem strumyczek krwi sunący po kafelkach do kratki ściekowej.

Przez kilka minut rewizor Płatek siedzi nieruchomo. Powinien się spieszyć, już jest spóźniony, wstaje niechętnie. Widać teraz, że na ciele ma dziesiątki blizn, większość świeżych. Rewizor Płatek wygląda jak naznaczony plagą. Przez brzuch biegnie szachownica nacięć, szerokie strupy suną w dół i nikną w szortach, wewnętrzne strony ud nabiegły czernią, ma poranione łydki i stopy. Ubiera się bardzo powoli, dotyk szorstkich spodni sprawia ból. Nakłada gruby podkoszulek, dopiero na niego ciemną koszulę, zapina guziki. Odzież jest przebraniem. Wraca do lustra, nabiera na palec grubą warstwę kremu, tym razem smaruje całą twarz. Lśni niczym woskowa świeca, a głowa płonie mu od środka.

Rewizor Płatek ma wrażenie, że żyje w teatralnej rekwizytorni. Idzie przez mieszkanie. Butelkę Nałęczowianki wypełnia przezroczysty plastik. Rzędy książek na półkach to atrapa, kartki są niezadrukowane, a okładki puste. Gdyby włączyć telewizor, poleciałby ten sam film, nadawany w kółko, odkąd pamięta. Przygląda się zdjęciom na ścianach, ma ich dużo, wiszą w równych rzędach. Wydają mu się bardziej wyblakłe niż zwykle, to pewno wina słońca, które pada na tę ścianę. Rewizor podchodzi, zdjęcia bledną, a gdy staje tuż przy nich, okazuje się, że w ramach tkwią puste kartki. Rewizor Płatek odskakuje gwałtownie. Musi iść. Trzeba się spieszyć. Bardziej i bardziej, inaczej będzie za późno.

Narzuca marynarkę, klucze uderzają o ranę na boku, boli nawet przez ubranie. Rewizor Płatek chce wyjść, ale zapomniał teczki. Musi zabrać wszystko, co będzie mu potrzebne w pracy. Teczka jest pusta i podobna do tej, jaką ma kierpoc kibla, w którym jada Stefan, staruszek i student. Rewizor Płatek krąży po mieszkaniu. Pod telewizorem znajduje blankiety biletów, wciska je w kieszeń i biegnie dalej. Identyfikator leży w łazience, pod folię dostała się woda. Rewizor Płatek trzyma go w ustach. Cegła jest na biurku, dobrze, zgarnia ją do teczki. Jeszcze tylko taryfy i druki wezwań do zapłaty. Te pierwsze odnalazł na kuchennym parapecie, drugie leżały rozsypane koło łóżka. Teraz ma już wszystko. Chowa papiery do teczki, część druków spada na podłogę, rewizor Płatek schyla się, zbiera. Już teczka jest zamknięta, już może iść. Ale rewizor Płatek tkwi nieruchomo, zgarbiony nad gazetą z programem telewizyjnym. Zaplątała się wśród służbowych dokumentów.

Kładzie dłoń na gazecie, dziewczyna na okładce bardzo mu się podoba. Chciałby przewrócić stronę i zobaczyć więcej zdjęć, ale za bardzo się boi. Cofa dłoń, przełyka ślinę, musi już iść. Zawraca spod drzwi i otwiera pismo. Żadnych zdjęć. Tylko równe linijki tekstu. Rewizor Płatek, rewizor Płatek, rewizor Płatek. Gazeta leci w ką, kartki szeleszczą: rewizor Płatek. Tak zgrzyta klucz w zamku, tak tłucze się winda.

Rewizor Płatek jest już przed blokiem, w powietrzu tańczą grube płatki śniegu. Rusza szybkim

krokiem. Do dworca ma pięć minut marszu. Grupki chłopców stoją w zaciszu bram i śmietników, jakiś facet ciągnie na smyczy skarlałego psa, kobieta targa siaty i rewizor Płatek wyraźnie widzi, że wszyscy zwalniają, jakby byli częścią jednego mechanizmu. Ich głowy obracają się ze zgrzytem, nawet przez śnieg rewizor Płatek widzi ich bagniste oczy. Patrzą na niego, patrzą pod nogi, czekają na kamień i upadek. Chłopcy wybuchają śmiechem. Rewizor Płatek orientuje się, co może być nie tak. Facet z psem ma długi płaszcz prochowy a la Colombo, takie sprowadzało się z Niemiec dwie dekady temu. Chłopcy tkwią w puchówkach, podobnie jak kobieta z siatami. Tylko rewizor Płatek idzie przez grudzień w samej koszuli i lekkiej marynarce. Ale nie jest mu zimno. Przeciwnie. Blizny znaczą ciało ogniem. Przyjemny płomień zbiega się pod pachami i wędruje w głąb ciała. Serce bije szybciej. Rewizor Płatek zaczyna biec.

– Co by się stało, gdyby maszynista usnął? – pyta nagle Basia. Ojciec odkleja głowę od szyby, ale matka nie podnosi oczu znad krzyżówki. Nie widzi, że dwa siedzenia dalej student, staruszek i Stefan nie mogą oderwać wzroku od okna. Ojciec wzdycha.

– Jesteś jak dziecko – mówi. Basia zerka w okno.

– Pogoda mi się nie podoba – stwierdza. – Maszynista może być zmęczony.

Ojciec garbi się, krzyżuje dłonie między kolanami.

– Mamy coś, co w skrócie nazywamy SHP – brzmi głos kanara. Matka podnosi głowę. Ojciec grzebie w kieszeni na piersi. Basia się uśmiecha. Ojciec znalazł już bilety, kanar obraca je w dłoniach i mówi dalej:

– SHP, czyli system samoczynnego hamowania pociągu. Maszynista musi naciskać guzik w określonych miejscach trasy. Jeśli tego nie zrobi, pociąg samoczynnie hamuje – kasuje bilety i zwraca ojcu. – Ale nie ma takiej potrzeby. To w końcu kolej.

– Słyszałem – mówi ojciec przeciągle – że maszyniści umieją to obchodzić. Drzemać po dziesięć, piętnaście minut. Tak mi mówiono.

– Tato, przestań – odzywa się Basia. Matka wraca do krzyżówki.

Kanar wzrusza ramionami.

– Nie ma takiej możliwości – stwierdza, odwraca się i zmierza w stronę Stefana, staruszka i studenta. Zza pleców słyszy głos ojca.

– A prądu wam nie wyłączą?

Kanar na moment tężeje, zaciska wargi, staje, chce się odwrócić i coś powiedzieć i, jak za dotknięciem różdżki, znów się uspokaja. Takimi pasażerami można by obsiać błonia. Jadą z nory do nory i myślą, że są w przedziale samego kardynała. Nienawidzą wszystkiego, co ich otacza i czekają na śmierć kolei. A kolej będzie wieczna, przeżyje jednego buca z drugim i nigdy nie odłączą jej prądu. Nie ze względu na kanara, maszynistę czy kierpocia, ale właśnie po to, by tabuny buców mogły gnieździć się na fotelach, pluć na nie i pierdzić. Kanar uśmiecha się do własnych myśli i staje nad Stefanem i Bartkiem.

– Dzień dobry, bilety do kontroli – dla Stefana i studenta ten głos brzmi jak z innego świata. Student

podskakuje gwałtownie, Stefan wygląda, jakby właśnie oberwał między oczy. Daje bilet, student swój, włożony w legitymację, nerwowo patrzą w okno. Staruszek się nie odzywa, kanar nie zwraca na niego uwagi. Zerka w szybę, spogląda po twarzach całej trójki, uśmiecha się, oddaje bilety i idzie dalej. On także wie o mnie.

– Ma ktoś lusterko? – pyta staruszek. Stefan kręci głową, student zaprzecza. Staruszek wstaje, utyka na lewą nogę, utyka poważnie, tak że musi podpierać się o poręczę przy siedzeniach. Nachyla się nad Basią, mówi coś spokojnie i wraca z okrągłym lusterkiem. Wkłada je w dłonie Stefana.

– Zobacz – mówi.

Stefan ogląda przedział w lusterku, mruży oczy ze zdziwienia, przekazuje przedmiot studentowi. Student patrzy w nie przez chwilę. Chce je oddać staruszkowi, ale cofa rękę, wstaje i zwraca lusterko Basi.

– Próbowałem z szybą od zegarka – opowiada staruszek – i kilkoma lusterkami. On odbija się tylko w szybach innego pociągu – sprawdza godzinę. – Za półtorej minuty zobaczymy go znowu.

– Dlaczego ten gość nie chciał od ciebie biletu? – chce wiedzieć student. Gryzie się w język, siwy facet jest starszy o co najmniej pięćdziesiąt lat. Tajemnica zniosła formalności.

– Jeżdżę tędy codziennie od czterech lat – mówi staruszek. – Studiujesz filozofię, prawda? Jeszcze dziesięć lat temu spotkalibyśmy się na uczelni. Zajmowałem się logiką – kaszle – a teraz jeżdżę podmiejskim pociągiem i wszyscy mnie tu znają.

– A ten facet?

– Kanar wie o nim. Myślę, że wiedzą wszyscy. Przywykli do niego, on chyba też. Na początku bardzo się mnie bał. Ale was chyba się nie przestraszył. Myślę, że w jakiś sposób nabrał do mnie zaufania.

– Nabrał? – dziwi się Stefan.

– Świetnie cię rozumiem – odpowiada staruszek. – Na początku też myślałem, że on jest kimś w rodzaju... No, nie wiem, zagubionego kawałka filmu. Ale nie...

Unosi rękę.

– On myśli i czuje. Jakoś... – opiera dłonie o szybę, podnosi głos – uważajcie, nadjeżdża.

Kibel mija się z pospiesznym z Kołobrzegu. Żółte okna przemykają jak klatki filmowe. Widać w nich przedział, staruszkę, Stefana i studenta, dalej matkę z Barbarą oraz nogi chrapiącego ojca. Tamci nie mają pojęcia, co się dzieje, ale trójka przy oknie widzi mnie wyraźnie. Siedzę w kucki na wolnym siedzeniu, tuż obok pogrążonego w marzeniach Bielaka. Kolana przyciskam do piersi. Długie, białe stopy wystają mi ze spodni. Mam luźną koszulę rozpiętą pod szyją i chude ciało – myślę, że ktoś mógłby uznać je za odrażające. Nigdy nie widziało słońca, a skóra jest cienka, napięta. Moja twarz przypomina trochę białe kowadło. Szeroki nos wtapia się w policzki, pod wysokim czołem tłą się oczy, wielkie jak światła pociągu. Najbrzydsze mam usta, bardzo szerokie, spękane, jak świeżo zaszyta blizna. Włosy szczęśliwie zasłaniają odstające uszy, opadając rzadkimi strąkami na kościste ramiona. Staruszek podnosi rękę i mnie pozdrawia. Odpowiadam mu tym samym gestem. Pociąg zaraz nas minie i zniknę dla ich oczu. I nagle

Stefan macha do mnie, więc wyrzucam w powietrze obie dłonie i pozdrawiam całą trójkę. Basia patrzy na nich i chyba myśli, że są popieprzeni.

Pospieszny z Kołobrzegu przepadł, kibel znów sunie samotnie. Staruszek uśmiecha się jak cyrkowiec zdumiewający publiczność starą sztuczką. Stefan bierze Bartka na kolana, chłopiec chichocze, ojciec głaszcze syna po głowie, ale jego wzrok błądzi gdzieś daleko. Student garbi się i musi zapalić. Cała trójka wychodzi. Tym razem pali także staruszek.

– Czytałem kiedyś o tym – zaczyna student. – To nazywa się postać nadliczbowa. Pojawiają się czasem na zdjęciach. Widziałem jedno takie. To było zdjęcie klasy i jak je wywołali, zobaczyli, że jest na nim jeszcze dziewczynka. Z tego, co czytałem, nie żyła lekko od roku.

– To prosta sztuczka – Stefan opiera się o drzwi ubikacji. – Taki efekt uzyskasz poprzez dwukrotne naświetlenie kliszy.

Student wzrusza ramionami.

– To też było naświetlenie?

– Nie ma co kombinować – stwierdza Stefan. – Myślę, że po prostu widzieliśmy ducha. Co, że nie dzwoni łańcuchami? Posłuchaj – zwraca się do staruszka – przecież badasz tę historię. Może stało się coś złego, tu, w tym przedziale? Może ten duch jest tu uwięziony. Może... Czy moglibyśmy mu jakoś pomóc?

– Nie sędzę, żeby potrzebował naszej pomocy – staruszek wydmuchuje dym nosem. – I nie jest duchem, to pewne.

Bartek ląduje na rękach ojca. Stefan całuje go w czoło, ale nie odrywa oczu od staruszka.

– Ten człowiek, którego widzieliśmy w odbiciu – mówi staruszek – cóż, dziś nic nie zabrzmia za dziwnie, prawda? Otóż myślę, panowie, że ten człowiek jest naszym pociągiem.

Rewizor Płatek stoi na peronie w Trzebini, wiatr wpada mu pod marynarkę, ale na czole rewizora błyszczą krople potu. Wargi ma wilgotne i drżące, ociera je ręką. Drepta w miejscu, zatacza małe kółka, wreszcie siada z teczką między kolanami. Z kieszeni wyjmuje chusteczkę, chce przetrzeć rozpaloną twarz i orientuje się, że pot przemieszał się ze łzami. Nagle świat wstrzymuje oddech. Nie słyhać już wiatru, ptaków ani ludzi. Komunikat z głośnika o nadjeżdżającym pociągu osobowym urywa się w pół słowa. Rewizor Płatek przeciera oczy i widzi, że gołąb znieruchomiał w locie i wisi wysoko, jakby na sznurku, otoczony równie nieruchomym śniegiem.

Na drugim peronie zamarli ludzie. Facet przy kiosku zastygł z ręką wyciągniętą po paczkę czerwonych marlboro. Rewizor Płatek z niedowierzaniem zaciska i rozczapierza palce.

Oto ma czas darowany, kawałek tortu wykrojony przez Boga złotym nożem. Czas, w którym dopełniają się decyzje, coś się kończy, coś się zaczyna. Rewizor Płatek opiera się o ławkę, prostuje ramiona. Co dalej? Co powinien ze sobą zrobić? Do rewizora Płatka dociera straszliwa prawda, że lepiej już nigdy nie będzie. Ma czterdzieści pięć lat, za sobą rozwód i córeczkę, o której wie tyle, że w tym roku idzie do gimnazjum i chyba ma bardzo jasne włosy. Rewizor Płatek nie znajdzie już nowej kobiety i stetryczeje w samotności.

A gdyby rzucić się na tory? Przecież dalej będzie tylko gorzej. Rewizor Płatek jednak boi się śmierci. Co, jeśli pociąg będzie jechał zbyt wolno i zamiast do piachu, pośle Płatka na wózek inwalidzki? Albo gorzej – przemieni w roślinę? Nie wolno tak myśleć. To czas darowany, czas nadziei.

Rewizor Płatek wie, co powinien zrobić. Przeprowadzi kontrolę najlepiej jak umie, wróci do domu i upije się porządnie, tak na dobry początek. Od jutra wielką gumką myszką wymaże przeszłość. Sprzeda mieszkanie, wyjmie oszczędności, kupi stary samochód i pojedzie, gdzie oczy poniosą. Pojedzie na południe, tam, gdzie zawsze jest ciepło. Może zacznie pracować na plantacji winorośli? Może pozna kogoś? Głosy wkoło umilkną... Tak, rewizor Płatek pojmuję, że jeszcze nie wszystko jest stracone. Ale najpierw praca. Ostatni dzień. Spełni swoje obowiązki najlepiej jak potrafi.

Rewizor Płatek podnosi się z ławki i świat rusza razem z nim. Gołąb mknie nad peronem w śnieżnej zawierusze, facet odbiera paczkę marlboro, rozrywa celofan i wpycha papierosa do ust. Ludzie krążą na drugim peronie. Rewizor Płatek rozpina marynarkę, zaciska palce na teczce, drugą ręką strzepuje z siebie śnieg.

Ze zgrzytem kibel wtacza się na peron, staje, otwierają się drzwi. Rewizor Płatek patrzy w okna, widzi staruszka i Stefana, wzrusza ramionami, przyspiesza kroku. Wsiada do pierwszego wagonu, w przejściu zderza się z kierpociem. Kierpoc obdarza go zdumionym spojrzeniem, podają sobie ręce. Rewizor Płatek idzie do maszynisty, a kierpoc sunie za nim, bo w oczach rewizora Płatka dostrzegł coś, co nie daje mu spokoju. Józef odwraca się, widzi rewizora. Uśmiecha się do niego, ale gdy rewizor Płatek odwraca wzrok, Józef wymienia z kierpociem porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie jest ci zimno? – pyta Józef rewizora Płatka. Rewizor Płatek nie odpowiada. Siada w rogu i kładzie teczkę na kolanach. Kierpoc idzie na peron zobaczyć, czy ktoś wsiada. Józef nie podejmuje prób rozmowy i patrzy przed siebie. Rewizor Płatek otwiera walizkę, chce wyjąć bloczki i przypiąć sobie identyfikator. Patrzy do środka, zaskoczony i zdumiony. Odruchowo zamyka walizkę, by zaraz otworzyć ją ponownie.

Pamięta, że brał wszystkie potrzebne papiery. Gdyby się skupił, przypomniałby sobie, skąd co zabierał. Może teczki zostały podmienione? Nie, przecież nie wypuszczał jej z rąk, zresztą to jego teczka, poznaje naddarty grzbiet i zadrapanie na rogu. Przełyka cierpką ślinę, podnosi głowę i stwierdza, że nie wzbudził niczyjego zainteresowania. W teczce zamiast papierów leży długi nóż kuchenny. Rewizor Płatek ostrożnie dotyka zimnej stali, wodzi palcem po ostrzu i sprawia mu to przyjemność.

– Nikt nie może być pociągiem – mówi student, kuca i zadziera głowę.

– Nie istnieją też same odbicia – zwraca uwagę Stefan.

– To tylko hipoteza – uściśla staruszek. – Trudno mi ją zweryfikować w jakikolwiek sposób. Myślę, że po to wam go pokazałem, aby potem podzielić się wątpliwościami.

– Dawaj – zachęca Stefan i staruszek zaczyna mówić.

– Kiedy pierwszy raz go zobaczyłem, myślałem, że to złudzenie optyczne. Potem, że jakiś dziwny efekt. Słyszałem, że jeśli ktoś długo patrzy przez okno, jego odbicie zostaje utrwalone na szybie. Szybko okazało się, że nasz przyjaciel reaguje na moje ruchy i to bardzo żywiołowo. Myślałem później, że widzę fragment przeszłości, że stałem się świadkiem jakiegoś czasowego paradoksu, ale znowu nie, z tego

samego powodu, co wcześniej. Wówczas pomyślałam sobie, że ten człowiek jest pociągiem.

– Pociągiem w ogóle? – zagaduje student.

– Nie, skąd, tym konkretnym. Naszym poczciwym pociągiem podmiejskim – ciągnie staruszek. – Zwróćcie uwagę, jak chętnie nadajemy ludzkie cechy martwym przedmiotom. Kiedy jakiś tabor ma opóźnienie, mówimy, że „pociąg się spóźnia”, a nie „jest opóźniony”, a najlepiej „maszynista pociągu tego a tego się spóźnia”. Kiedy się spieszymy, nasze słowa i myśli stają się nacechowane emocjami i tak dalej, i w ten deseń. Mówiąc nieco uczenie, nasz przyjaciel jest ubocznym efektem semantyki słowa. A stwierdzając wprost, samiśmy go sobie zrobili.

– Nie bardzo nadażam – przyznaje Stefan. – To w końcu człowiek czy pociąg?

– Pociąg – stwierdza staruszek. – Mogę założyć, że ma pewne cechy ludzkie, ale nie jest człowiekiem. Choćby dlatego, że nie przeszedł normalnej, ludzkiej drogi. Nie urodził się, nie dojrzewał. Ma emocje, którymi go obdarzyliśmy. Myślę, że jest świadomy, w jakiś sposób. Nie tak jak ty czy ja.

Oczy staruszka błędzą po wagonie, zatrzymują się na Bartku.

– Przepraszam, że to mówię. Jest trochę jak twój syn.

Stefan kiwa głową.

– Mów dalej – prosi.

– Kontakt z nim jest bardzo ograniczony. Ma własny świat, niekompatybilny z naszym. To znaczy, coś tam nas łączy, ale żyjemy w dwóch różnych rzeczywistościach.

– Dlaczego? – odzywa się student. – Przecież odpowiada, gdy pomachasz ręką.

W oczach Stefana widać, że świetnie wie, o co chodzi staruszkowi.

– Nauczył się. On jest niekompletny. Jak układanka ze zgubionymi elementami. Ma tylko te cechy, którymi ludzie go obdarzyli. Przybrał ludzką formę, bo tylko człowiek może się spóźnić albo spieszyć, prawda?

Student kiwa głową.

– Więc on może być złośliwy albo przyjazny, czysty albo brudny. Jest czyścioszkiem albo brudaskiem, jeśli wolicie. Może nawet być mądry albo głupi, wiecie: „czemu ten głupi pociąg tak się wlecze?”. Ale nie jest czuły, nie jest zatroskany, nie ma nadziei na nic i tak dalej. Dlatego mówię, że on nie jest człowiekiem, tylko pociągiem. Gdyby stanął tu przed nami, nie porozumiałbyś się z nim. Byłby...

– Jak Bartek – uzupełnia Stefan.

– Właśnie – przyznaje staruszek.

– To po co zawracasz sobie nim głowę? – pyta student. Staruszek uśmiecha się szeroko, jego zęby są brązowe, przypominają korę.

– Całe życie zajmowałem się logiką – odpowiada. – Świat był dla mnie zbiorem przyczyn i skutków, takim wielkim drzewem z mnóstwem rozwidleń. Potem zobaczyłem jego. Anomalię. Coś, czego nigdy nie powinienem wiedzieć. I nagle pojąłem, że wkoło nas bije sekretne życie – zatacza koło ręką – wszędzie.

– W innych pociągach jest podobnie? – pyta Stefan.

– Wszędzie – powtarza staruszek. – Jeśli z pociągiem się udało, to czemu nie z komputerem? Z samochodem, telewizorem, pralką. Tworzymy cienie wokół wszystkiego, co nas otacza. I te cienie ożywają. Nadajemy życie, ale nie mamy nad nim kontroli. Po prostu, coś się narodziło, ale my nie mamy już nad tym kontroli.

– Indianie – stwierdza student. – Manitou.

– Możliwe – przyznaje staruszek. – Ale Indianie nie wyszli poza prostą magię, poza totemiczne kultury. My żyjemy w epoce postreligijnej. I na przekór wszystkiemu, kiedy przejedzie następny pociąg, człowiek, którego nie ma, pomacha do nas ręką.

III

Maszynista Józef kieruje kibelem. Śnieżycą się wzmogła i Józef jedzie ostrożnie. Kibel dudni i burczy, tory giną w śniegu. Niebo jest fioletowe, chmury wiszą nisko, prawdziwy grudzień, ścięty mrozem, rozpruty przez lód, przyprószony bielą. Myśli Józefa biegną w stronę domu, który jest, jaki jest i lepszy już nie będzie, ale należy tylko do niego. Kolej uczy pokory, kolej uczy stabilności, jeśli pracujesz na kolei, wiesz dobrze, co przemija, a co pozostaje niezmiennie.

Józef krzyżuje nogi, ma ochotę na papierosa. Nie odrywa oczu od torów i przetrzepuje kieszenie w poszukiwaniu paczki sportów. Podnosi się lekko, chce sprawdzić, czy nie ma ich w tylnej kieszeni, i nagle coś sprawia, że musi usiąść. Jakby potężna dłoń wbiła go w fotel. Wszystko wkoło nabiera barw, tory stają się tęczowe, szyba przechodzi w kryształ, lśni w nowym słońcu. Maszynista Józef podnosi rękę, dotyka karku, z którego sterczy coś zimnego, ostrze przeszło na wylot i wystaje z szyi. Maszynista Józef zastyga, krew z nosa i ust bucha na sweter, Józef charczy, tęczowe tory przechodzą w czerwień i nagle światło gaśnie, jest ciemno i ciepło, tak ciepło jak nigdy w grudniu.

Osuwa się na podłogę, szklane oczy patrzą w sufit. Rewizor Płatek nachyla się nad ciałem, wyjmując nóż, wyciera ostrze o róg koszuli Józefa. Jest skupiony i spokojny. Prostuje się, sztywnym krokiem opuszcza kabinę maszynisty. Przy drzwiach odwraca się. Pociąg pędzący samopas przez Polskę napawa go optymizmem. Tuf tuf, tuf tuf...

W służbowym przedziale kierpoc dochodzi do ładunku z papierami. Teczki trzyma na kolanach, bierze świstek za świstkiem, czyta, odkłada na równe kupki, jego palce krążą szybko, zlewają się w smugę. Podnosi głowę i widzi rewizora Płatka szybkim krokiem idącego przez przedział, z prawą ręką schowaną za plecami. W jego oczach dostrzega coś, co każe mu zerwać się na nogi, teczka zsuwa się z kolan, cenne papierzyska lądują na podłodze białą ławicą. Kierpoc cofa się o krok, zahacza o fotel, tylko refleks chroni go przed upadkiem. Rewizor Płatek wyrasta tuż przed nim, zza pleców wyjmując nóż. Kierpoc widzi za nim puste siedzenie maszynisty i dobrze wie, co się wydarzyło.

Rewizor Płatek wznosi nóż, chce zadać cios, kierpoc podbija mu rękę i ostrze wchodzi głęboko w przedramię. Kierpoc krzyczy, ale zaraz poprawia z łokcia, twarz rewizora Płatka niknie za obłokiem krwi. Kopniak w krocze, Płatek kuli się, opada na kolana i zaraz ręka z ostrzem wybiega do przodu, uderza kierpocia w udo. Tętnica jest przecięta, kierpoc pada i leży już na plecach, poblądły, gorączkowo łapie powietrze. Nogi biją o podłogę, rewizor Płatek wpełza na kierpocia, raz za razem zagłębia nóż w jego piersi, grdyka kierpocia unosi się i opada. Kierpoc jeszcze chwytając Płatka za głowę, szarpie, w palcach zostaje mu garść włosów. Płatek zadaje cios za ciosem, aż kierpoc nieruchomieje.

Rewizor Płatek podnosi się znad ciała, opiera się o ścianę. Zdejmuje marynarkę – najchętniej rozebrałby się do naga, tak mu gorąco. Musi odpocząć. Wsłuchuje się w rytm pociągu, zamyka oczy, a kiedy otwiera je na powrót, ciało na podłodze wygląda nierzeczywiście, nie ma prawa tu leżeć, przecież nic się nie stało. Rewizor Płatek orientuje się, że krwawi. Chwyta się za przedramię, robi krok do przodu, pozbawiony oparcia, natychmiast pada na kolana. Wypluwa drobinki krwi, pełźnie, chwytając kławkę i podnosi się do pionu.

Tuftuf, tuftuf...

– Teraz żałuję, że wam go pokazałem – stwierdza staruszek – ale bardzo chciałem to zrobić. Wiecie,

czasem myślę, że zwariowałem.

– To jest nas trójka – odpowiada Stefan. Jego głos emanuje ciepłem.

– Coś takiego zmienia człowieka – mówi staruszek, jego oczy błędzą po oparciu, głos zlewa się z dudnieniem pociągu – i nic nie jest już takie samo. Orientujesz się, że świat nie jest taki, jakim go znałeś. Jakby zamieniono ci oczy. Patrzysz inaczej na swój dom, na bliskich. Cień za tobą ukrywa nóż, słyszysz, jak coś się skrada. Dlatego teraz żałuję, że wam go pokazałem.

Student z powagą kiwa głową. Stefan patrzy na biegającego po przedziale Bartka, marszczy czoło i kładzie rękę na ramieniu staruszka.

– Eeee – zaciąga – nie będzie aż tak źle.

Bielak słucha muzyki z zamkniętymi oczyma. Nie może się doczekać, kiedy już dojedzie na miejsce. Czuje się zmęczony pociągiem, ludzie za nim śmierzdzą, a ci dalej poszaleli zupełnie, to gapią się w okno, to jeden przesłuchuje drugiego. I jeszcze ten okropny bękart ganiający po przedziale. Bielak odwraca twarz do okna i podgłośnia muzykę. Ogrzana bateria sprawuje się nad wyraz dobrze. Do domu już niedaleko. „*Let it rain a day, a week, a year*”, brzmi w słuchawkach. Za oknem wiatr miota śniegiem.

Kibel pędzi przez las, nic nie rozświetla ciemności. Bielak przykłada twarz do szyby i natychmiast ją cofa. Zbyt zimno. Nie może doczekać się Katowic, żałuje, że nie wziął piwa. Zdejmuje słuchawki i podnosi się z fotela. Bielak nie cierpi ubikacji kolejowych, wolałby odlać się do gnojówki. Nigdy nie wiadomo, kto był wcześniej w pociągowym sraczu. Może jakiś menel walił konia, a potem wycierał ręce we wszystko wokół, na pewno nie papierem, bo papieru tam nigdy nie ma. Lustro jest pewno pęknięte i poplamione, muszla paskudna. Bielak wychodzi na korytarz.

Kibel zwolnił. Bielak otwiera drzwi ubikacji, robi niepewny krok. Jest gorzej niż myślał. Z lustra została połowa. Bielak widzi w niej własną, bladą twarz. Zaciska usta, mruży oczy i podoba się sobie. Poniżej jest muszla, z pęknięcia wylewa się woda. Opuszczoną klapę sedesu pokrywają wymiociny podobne do jajecznicy. Bielak wycofuje się i zamyka drzwi.

Chce iść poszukać innej ubikacji, ale wpada na lepszy pomysł. Zerka do swojego wagonu, wszyscy są zajęci sobą. Kibel jedzie wolno. Bielak podchodzi do rozsuwanych drzwi na zewnątrz, szarpie za klamkę, do pociągu wpada chłód i zapach zimy. Chłopak staje w rozkroku, tuż nad najwyższym stopniem. Lewą ręką trzyma się uchwyty, prawą rozpina spodnie, jeansy zsuwają się do kolan. Z białych slipów wysupłuje członka i daje ulgę pęcherzowi. Strumień moczu skręca. Bielak opuszcza głowę. Widzi ośnieżone czapy na drzewach i płytki rów na poboczu torów. Chce skończyć jak najszybciej, ale nie może przestać, jakby odlewał się za cały zespół Iron Maiden, wraz z obsługą techniczną i szefem fanklubu. Boi się, że zaraz przyjdzie konduktor i wlepi mandat. Bielak świetnie wie, co robi – wysika się do końca, otworzy drzwi do ubikacji, wskaże na wymiociny i powie: „z chęcią sikałbym gdzie indziej, ale gdzie?”.

Bielak słyszy, że ktoś nadchodzi, ale z pewnością nikt z obsługi pociągu. Kroki są słabe i niepewne. Może więc lać spokojnie, to kolej, miejsce, gdzie każdy interesuje się wyłącznie sobą. Zza Bielaka wyrasta rewizor Płatek, który wygląda jak siódme nieszczęście. W rozwartych ustach pękają bąbelki śliny, zakrwawiona ręka wisi bezwładnie, na piersi i pod pachami widnieją ciemne plamy potu. Rewizor Płatek przymyka oczy, podpira się ścianą, by puścić się i zrobić pijacki krok do przodu. Bielak boi się narkomanów, wiele słyszał o strzykawkach z krwią zarażoną AIDS. Ma nadzieję, że Płatek pójdzie dalej,

ale rewizor stoi tuż za nim, tak, że czuć jego mdły oddech.

– Pomóc w czymś? – pyta Bielak, chce odciągnąć uwagę Płatka, zapiąć spodnie i spadać. Rewizor Płatek kręci głową i całym ciężarem opada na Bielaka. Pchnięcie jest bardzo silne. Nogi chłopaka tracą oparcie, kopią powietrze, Bielak wisi na jednej ręce, drugą usiłuje podtrzymać spodnie. Rewizor Płatek powinien wypaść za nim, ale stoi w drzwiach i teraz Bielak widzi nóż. Zaczyna krzyczeć. Wydaje mu się, że rewizor Płatek jest olbrzymem, z twarzą wielką i białą jak talerz satelitarny, dłońmi umorusanymi sadzą i plecami, które musi garbić, żeby zmieścić się w pociągu. To smoluch, zły duch powodujący katastrofy, kolejowe wcielenie diabła. Ma dłonie utkane z kolców i cienką skórę, pod którą obracają się tysiące trybików i kółek.

Nóż unosi się i opada, ostrze tnie dłoń Bielaka i chłopiec spada pod koła. Próbuje odbić się i wylądować w rowie, ale kibel jest nieubłagany, miażdży mu kolana. Wraz z Bielakiem krzyczy śnieg na drzewach. Chłopiec leży na plecach, nad biodrami sunie mu pociąg. Odwraca głowę i widzi ogromną twarz smolucha. Pociąg się oddala, ale ona nie maleje.

Tak mu przyjdzie umrzeć, leżąc na torach, w mrozie, bez nóg. Ostatnim wysiłkiem Bielak próbuje podnieść się na łokciach. Kibel już przepadł w zimie. Chłopak nie czuje już bólu, głowę otula mu puchowy kożuch, niebo czernieje z każdą sekundą. Na twarz Bielaka pada śnieg. Śnieg jest ciepły.

Rewizor Płatek wchodzi do następnego wagonu. Być może rzeczywiście jest smoluchem, przepętnia go rozkoszna siła. Pod skórą nagle wyrosły mięśnie, ma wrażenie, że urósł. Mógłby sięgnąć wzrokiem na koniec pociągu i łamać stal gołymi dłońmi. Biję w nim serce świata. Jego prawda ma blask tysiąca słońc.

Wszyscy widzą, co się stało. Staruszek biegnie w głąb przedziału, Stefan chowa syna za siebie, student kamienieje, po prostu nie wierzy, że to dzieje się naprawdę. Najbliżej rewizora Płatka jest ojciec z rodziną. Ojciec zrywa się gwałtownie, próbuje osłonić córkę. Rewizor Płatek tnie go w pierś, niecelnie, ostrze wbija się w prawy bok i ojciec osuwa się na kolana, łapie powietrze, przypomina rewizorowi Płatkowi rybę.

Dobry Boże, to dzieje się tak szybko! Matka pada na ziemię, rewizor Płatek nie zwraca na nią uwagi. Obejmuje męża i próbuje zatkać ranę własnymi dłońmi. Szepcze mu coś do ucha, ale ojciec chyba nie słyszy. Odchyła głowę do tyłu, oddycha ciężko, przymyka oczy. Basia zrywa się z fotela, popycha rewizora Płatka, odwraca się i gna w głąb wagonu. Ale rewizor Płatek nie upadł, nawet się nie zachwiał. Jest szybszy od dziewczyny, unosi wysoko rękę. Ostrze trafia w plecy, tuż pod łopatkę. Basia nieruchomieje. Otwiera szeroko oczy i widzi wszystko, co jej umknęło – Wigilię, prezenty, dorastanie dzieci, budowę drugiego domu, wakacje, starość. Przyszłość zamyka się w odgłosie upadku.

Stefan biegnie w stronę rewizora Płatka, a w kabinie maszynisty włącza się alarm. System samoczynnego hamowania pociągu uruchamia się automatycznie, maszynista Józef nie skasował przycisku przy czuwaku okresowym, ma jeszcze pięć sekund, nim kibel rozpocznie hamowanie.

Rewizora Płatka ogarnia zwątpienie. Stefan jest ogromny, tu nóż nic nie pomoże, to jakby strzelać z wiatrówki do niedźwiedzia. Rewizor Płatek stoi z rozkrzyżowanymi ramionami. Stefan rośnie w jego oczach, a kibel hamuje gwałtownie, trzy wagony dalej ciało kierpocia przetacza się przez przedział przy akompaniamencie nieznośnego pisku hamulców. Student pada na fotel i uderza szczęką w poręcz. Staruszek, wagon dalej, osuwa się na kolana, chwyta za serce. Stefan leci bezładnie na wysunięty nóż.

I znów świat zamiera przed oczyma rewizora Płatka. Jest cisza, umilkł stukot pociągu. Zupełnie jak chwilę wcześniej, na peronie w Trzebini. Stefan wisi w powietrzu. Student zastygł na siedzeniu, z nogami na wysokości głowy. Plecy staruszka znieruchomiały z tyłu wagonu. To czas darowany i nie wolno go marnować. Rewizor Płatek idzie przez nieruchomy pociąg, staje przed Stefanem, przymierza się do ciosu. Otwiera mu gardło wolnym, precyzyjnym ruchem. Odsuwa się o krok. Krew na razie nie płynie. Rewizor Płatek wbija nóż w klatkę piersiową i prowadzi ostrze w dół, aż do brzucha. Nóż skręca, dochodzi do boku. Płatek wyciąga ostrze i świat ożywa.

Kibel mijają się z innym pociągiem. Odbijam się w jego oknach.

Student, który trzyma się za rozbitą szczękę, widzi wyraźnie, jak wstaję z fotela i biegnę w stronę rewizora Płatka. Wybijam się w górę, mijam Stefana i wtedy rewizor Płatek odwraca głowę w stronę okna. Widzi mnie wyraźnie, jego oczy zwięzają się, Stefan uderza o podłogę, a rewizor Płatek rzuca się do ucieczki. Jestem zbyt szybki, dopadam Płatka jeszcze przed drzwiami. Moje ręce wnikają w jego ciało i nagle rozumiem, że nie ma już odwrotu. Wewnątrz rewizora Płatka panuje chłód. Serce prawie nie bije, wchodzę głębiej, wypycham chory umysł Płatka cal po calu, zagnieżdżam się w palcach, spływam do kolan, tnę węże w jego głowie. Rewizor Płatek cofa się przede mną, naciskam, jestem silny, moje żelazne ciało nie znosi sprzeciwu. I rewizora już nie ma. Przepadł, nie wiedząc nawet, co się stało.

Patrzę na swoje dłonie. Opuszkami dotykam twarzy. Pociąg wyhamował.

Odwracam się i patrzę na przedział. Basia leży bez życia, ojciec jest nieprzytomny. Ocaleje. Matka klęczy na podłodze, drży, nie wie, że rewizor Płatek przepadł i nie stanie się już nic złego. Student próbuje wstać, ale ból złamanej szczęki paraliżuje mu ruchy. Z tyłu słyszę tupot. To staruszek wraz z kanarem biegają sprawdzić, czy z nami wszystko w porządku.

Pośrodku przedziału stoi Bartek, sparaliżowany strachem. Nie może oderwać wzroku od ciała Stefana. Dopiero kiedy się zbliżam, przenosi spojrzenie na mnie. Cofa się niezdarnie. Wyczuwam jego strach. Mam na sobie krew rozlaną przez rewizora Płatka, ale przecież nie jestem Płatkiem i nie chcę nikogo skrzywdzić. Zbliżam się do Bartka, kucam, wyciągam czerwone dłonie. Z oczu Bartka płyną łzy i nagle chłopiec zaczyna rozumieć, poznaje mnie. Z płaczem ląduje w moich ramionach.

Podnoszę go i całuję w czoło. Wychodzę. Kątem oka widzę, że student podnosi się z klęczek, w drzwiach stają kanar i staruszek. Staruszek jest bardzo blady, potrzebuje pomocnego ramienia, aby ustać. Otwieram drzwi, wybiegam z pociągu i nikt nie próbuje mnie gonić.

Staruszek staje w drzwiach, zeskakuje, ląduje w śniegu. Brnie na początek pociągu, podpira się o wagon. Za nim wychodzą kanar i student. Kanar dopada staruszka, chce go powstrzymać, ale zamiast tego idą razem. Na torach nie ma śniegu. Kanar puszcza się biegiem za niknącą sylwetką, wyciąga nogi, pot występuje mu na czoło, wreszcie rezygnuje. Stoi, dyszy i patrzy, widzi jak ciało rewizora Płatka biegnie równo i pięknie, bez śladów zmęczenia, biegnie z siłą maszyny.

Pędzę środkiem torów, nie czując bólu ani chłodu. Zostawiam kibel, tę martwą skorupę, zostawiam staruszkę, studenta i kanara, mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. I zaraz przestaję myśleć. Prowadzi mnie rytm torów i bicie serca chłopca. Ciało rewizora Płatka poddaje się mojej woli, biegnę szybciej i szybciej, nigdy nie zejść z torów, nigdy się nie zatrzymam. Otacza mnie grudzień, śnieg i ptaki.

W piersi tłucze się żelazne serce. Jego rytm uspokaja chłopca, Bartek wie, że nigdy nie zrobię mu

krzywdy. Dam mu cząstkę mojej stali, pokażę rzeczy, o których nawet nie śnił. Wyrzucam powietrze z płuc i wykrzykuję w noc: tuf tuf, tuf tuf...

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty tekstów „Edge Of Sanity”, („Of Darksome Origin”, copyright by Black Mark, 1994) i „Samael” („Rain”, copyright by Century Media, 1996).

cegła – określenie sieciowego rozkładu jazdy (od jego rozmiaru)

czuwak – urządzenie kontrolujące czujność maszynisty podczas prowadzenia pociągu

dekle – zbiór dokumentacji kierownika pociągu, który nosi on ze sobą w specjalnej podręcznej teczce

kibel – pogardliwe określenie elektrycznego zespołu trakcyjnego serii EN57

kierpoc – kierownik pociągu (od skrótu kier. poc.)

autor słownika: Grzegorz Petka

AUTOSTRADA

Wieczór był suchy i ciepły.

– Mogę ci pomóc. Poklepałem Mirka.

– We dwóch będziemy robili to rok. Popatrz, popatrz na ten sufit. Więcej grzyba niż farby. Jakbyś wyczarował paru chłopców, kupiłbym, co trzeba, i jakoś pchnął ten wózek. Śmieję się – jak przyszedłem, bałem się wejść. Serio mówię, stary. Kręciłem się wokół tej rudery chyba z pół godziny. Potem zamek nie chciał się otworzyć, a potem, Jezu... Zdrowie.

– Zdrowie.

– Zabrałem się do motelu. Myślałem, czy nie zadzwonić po dziwkę, ale popłakałbym się w jej cyci. Siedziałem tak przez dwa dni. Urządziłem tylko ten pokój i kuchnię, jak widzisz, da się spać, ale z jedzeniem gorzej.

– Śmierdzi – zauważył Mirek.

– Wiem. Myślałem, że zdechło tu jakieś zwierzę. Obszedłem dom, zszedłem nawet do piwnicy. Nawet nie wiesz, co tam się dzieje.

Mirek pociągnął nosem.

– To szambo. Wylało.

Kolejna radość, pomyślałem i usiadłem przy Mirku. Patrzyłem na ściany jak z bunkra, na gołą żarówkę i podłogę w kolorze grochówki. Znów chciało mi się płakać.

– Kiedy byłeś tu ostatnio? – zapytał Mirek.

– W dziewięćdziesiątym szóstym. Jak matkę odwoziliśmy do szpitala. Nie było cię jeszcze wtedy, prawda? Obiecałem jej, że będę przyjeżdżał trzy razy w tygodniu, karmił kury, czyścił meble i takie tam, wszystko na jej powrót. Nie pojechałem. Nie wierzyłem, że wróci. Cieszę się, że nie leży na tym cmentarzu tutaj, co go woda podmywa. Pamiętasz, jak Raba wylała? Trumny płynęły w dół, polami.

– Cieszyliśmy się – Mirek zapełnił szklanki. – A tobie, widzę, powodzi się.

Piliśmy Finlandię.

– Stare zapasy. Teraz jest ciężko. Trzeba jakąś pracę znaleźć.

– Co robiłeś wcześniej?

– Kombinowałem, jak każdy. Czy, powiedz mi, da się tu żyć, nie kombinując? Ty kiedy wróciłeś?

– Cztery lata temu – odpowiedział. – Nie skończyłem studiów. Żył się studencko, a jakże. Jedna

poprawka, druga, bania i do widzenia. Nie chciałem tutaj wracać, Boże, ty jeden wiesz jak bardzo. Robiłem na budowie, byłem majstrem. Firma sprywatyzowała się i forsy było jak lodu. Zmiażdżyło mi stopę. Dlatego chodzę jak z gwoździem.

– Pech.

– Pech albo i szczęście. Jak w połowie lat dziewięćdziesiątych te czerwone skurwysyny przywaliły podatkami, firma padła, trzy miesiące po tym, jak dostałem rentę. Mogę chodzić, choć w piłkę nie pogram, chyba że tak jak ty, jeszcze w podstawówce. Skakałeś jak kangur, na tej jednej nodze... W domu zrobię, ojcu pomogę, nim się wyprowadzi do Abrahamów. To małe miasto, nawet osiedla nie dobudowali. Wszystko tanie. Da się żyć.

Zapadła chwila milczenia. Byłem pewny, że myślimy o tym samym. Popatrzyłem poważnie na Mirka.

– Nie byłem tam – powiedział. – Ani razu nie poszedłem. Nawet nie wiem, czy drzewo jeszcze jest. A ty?

– Obiecaliśmy sobie przecież – powiedziałem. Spojrzeliśmy na siebie i wszystko było jasne. Mirek spoważniał. Nalał. Butelka się kończyła.

– Co wiesz o naszych?

– Bartek jest dzieciaty i przeniósł się do Brzeska. Chyba robi w Tepsie albo coś z komputerami.

– Kulfon?

– Kulfona byś nie poznał. Biznesmen pełną gębą, fura, panie kochany, dziwne, że nie trąbi, jak jedzie przez miasto.

– Chujem był i chujem zdechnie.

– No. I cisza.

– Beata też wróciła. Czekaliśmy tylko na ciebie – Mirek roześmiał się. – Pamiętasz ją jeszcze? Pamiętasz wszystko?

Gdy masz dziewiętnaście lat, wierzysz, że można tylko wzrastać.

Pamiętam klasę pół roku przed maturą. Trudno pojąć panikę narastającą z dnia na dzień. Tymczasem maturę zdaje każdy, kto umie się podpisać. Przejdzie, przebrnie, przepchną go, a nawet przeniosą, byle nie podważyć imienia szkoły. Stworzono drażniącą fikcję, rozpisano role nauczycielom, rodzicom, kolegom, rodzeństwu. Kazano kuć i siedzieć na szpilkach.

Piękna wiosna, pogoda złamała się jak kij. Do marca padał śnieg, a potem pstryk, zapłonęło słońce. Popołudnia spędzałem u Beaty.

Po raz pierwszy kochaliśmy się szesnastego marca. Beata nie była dziewicą, ja tak. Kłamałem o kobietach, które sunąłem we wszystkie trzy dziurki, ale jak przyszło co do czego, nie wiedziałem, gdzie jest cipa. Zrobiliśmy to trzy razy i czułem się, jakbym chwycił samego Boga za buty. Leżałem przy niej

i śmiałem się do świata. Pyk i Krzyś został mężczyzną. Szesnasty marca.

Pamiętam datę dlatego, że szesnastego marca zaginął pierwszy chłopiec ze szkoły. Następnego dnia Zimnik został postawiony na nogi. Michał Trzmiel, zwany Kulą, przepadł i nie chciał się znaleźć. Rozmawiałem z policją, ale nie pomogłem. Kula często włóczył się po okolicy. Mirek widział go kiedyś, jak trzepie konia w zagajniku za miastem.

Z Kulą było tak, że mało kto go znał, a jak znał, to nie lubił. Trudno polubić kolesia z połową kanapki w dłoni i połową rozsmarowaną na twarzy. Kula pętał się więc po mieście bez większego celu, potem zaczął wędrować po okolicznych polach i przepadł na dobre.

Mirek był wściekły, bo przestaliśmy przychodzić na drzewo. Kazano nam siedzieć w domach – powróciły wszystkie opowieści o zbroczeniach, cukierkach i tym podobnych, i tylko Konrad opowiadał, że słyszał, jakoby Kulę porwało UFO. Ludzie z Zimnika kręcili się za miastem i nie chcieliśmy, by złapano nas siedzących na gałęzi, z papierosami i tanim winem. Kula nigdy się nie znalazł, sprawa przycichła i pod koniec marca wróciliśmy na stare śmieci.

Drzewo rośnie na wzgórzu za miastem, a wino nazywało się Skat. Skat kosztował tyle, co dwa ciastka w szkolnym sklepiku, tylko był słodszy i śmieszny. Szliśmy do sklepu w piątkę, braliśmy po jednym i wspinaliśmy się na szczyt. Drzewo było samotne, wysokie, ale po gałęziach można było wejść prawie na wierzchołek. Widzieliśmy cały Zimnik, z ryneczkiem, wieżą ratuszową i kolorowymi dachami wcinającymi się w morze gomułkowskich bloków. Na rynku od rana do zmroku przesiadywało stadko emerytów, między innymi dziadek Mirka. Niektórzy drzemali, inni rozprawiali o pogodzie i polityce, czasem któryś podnosił się, by przegonić cygańskie dzieci deptające kwietniki i bawiące się w nieczynnej fontannie.

Była nas piątka: Mirek, Mały, Konrad, Beata i ja. Zaczęliśmy tutaj przychodzić na początku wakacji. Liczyłem, że wypiliśmy tysiąc win.

Przegadaliśmy wszystkie tematy, opowiadaliśmy sobie o planach i obawach. Przewalkowaliśmy każdą pierdołę i każdego znajomego. Nigdy nikogo nie zaprosiliśmy. Tylko Bożej dobroci zawdzięczamy, że nikt po pijaku nie spadł na głupi łeb.

Nie pamiętam tak ciepłego marca. Dochodziła dziewiąta, miałem lekką bluzę z ohydny nadrukiem (czego wtedy słuchałem? Zespół nazywał się CANNIBAL CORPSE i miał okładki pełne trupów jedzących się nawzajem). Obok Beata kończyła wino. Niżej chłopaki pluły z nudów.

– Skończyłem – rzekł Mirek i rzucił butelkę. – Odda się następnym razem. Pijcie szybciej. Muszę spadać, bo stara się wkurwi.

Powiedziałem mu, że też kończymy i chciałem dorzucić coś złośliwego, gdy Beata chwyciła mnie za rękę.

– Zobacz, ile samochodów. Grzbietem wzgórza sunął sznur świateł.

– Auta jak auta – rzekł Konrad i splunął.

– No.

– Dużo ich – burknął Mirek – spadamy.

– Nie widziałam ich wcześniej – upierała się Beata. Milczeliśmy chwilę.auta sunęły niespiesznie i znikwały za wgórzem.

– Ja też ich nie widziałem – przypomniałem sobie. – Nie wiem nawet, czy tam jest droga.

– To po czym jadą, po trawie? – Mirek zeskoczył z drzewa. – Są auta, to i droga jest. Idziecie czy nie?

I poszedł. Konrad z nim.

Zostaliśmy we troje. Objąłem Beatę. Mały, cholerny głupol, mógłby pójść. Patrzyłem na samochody i próbowałem przypomnieć sobie, czy w dzień widziałem drogę na wzgórzu i czemu nie zwróciłem uwagi na światła. Wypiłem na drzewie galon wina, trzeźwiałem na nim, gapiąc się bezmyślnie w ciemność, ale widywałem tylko światła latarni, nietoperze i wzgórze wydęte pod atramentowym niebem.

Siedzieliśmy w kucki na podłodze. Czuję się jak szczeniak.

– I co cię tu przygnało? – zagadnął Mirek. – Myślałem, że koźmi cię tu nie zaciągną.

Zapaliłem papierosa.

– Jezu, ciekawy jesteś. Wiesz, kombinowałem trochę. Nic legalnego, ale tam nikogo na sumieniu nie mam. Przyjechałem do Krakowa i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Znasz klimaty z akademika, tu piwko, tu dupconko, tylko uczyć się nie ma jak. Kasa topniała. Rodzice dawali, co mogli, a tu mało, mało, mało. Jeszcze po jednym?

– Kończy się.

– Kończy się butelka, nie noc. Miło widzieć twój pijacki ryj. Więc zapisałem się na siłkę. Machałem ciężarami, sam nie wiem po co, chyba z jakiejś głupiej zawiści. Po sprawie z Beatą czuję się jak pół chłopa. No to pakowałem i miałem wrażenie, że tak nabiorę męskości. A że oczy miałem, to wymyśliłem sobie, że na kulturystyce można zrobić trochę grosza.

– Założyłeś siłownię.

Poklepałem Mirka, rozbawiony jego naiwnością.

– Suplementy, kolego. Tysiące koleśi dadzą sobie wtoczyć gówno w żyły, byleby buł im urósł. Więc zacząłem w tym robić. No i krok po kroku, rok po roku, od zera do oficera. Stałem się ważny w tym biznesie.

– Sterydy?

– Też. Człowieku, czego ludzie nie wymyślą. Mam w głowie anatomię, chemię, fizjologię, Bóg sam wie, co jeszcze. A czego nie sprzedawałem? Od mietka po przysadkę z mózgu niemowlaka. Rozumiesz? Ludzie jedli ludzi. Byleby przybrać.

Mirek popatrzył smutno na kieliszek.

– Co to takiego, ten mietek?

– Testosteron.

– Sam brałeś?

– Żadnego syfu. Miało to szereg plusów. Raz, że wyglądałem jak trzeba, dwa, że mogłem pieprzyć do świtu. Pała mi stała jak z ołowiu. A jak bierzesz, to i dziecka nie zrobisz, więc mogłem sunąć bez gumki, co chciałem. Potem ożeniłem się i byłem w porządku. Ja zawsze mówię, masz dziewczynę, kombinuj, jak możesz, masz żonę, to bądź w porządku. Inaczej to zwykłe kurewstwo.

– Nikt cię nie ścigał?

– Nie. Z konkurencją się człowiek ugadał, to spokój był. A kto miał mnie ścigać? Póki kolesie zdrowi byli, to po rękach mnie całowali. A potem, co, miał mnie do trumny wciągnąć albo wózkiem przejechać?

Mirek milczał. Patrzył na mnie jak na ducha.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Zawsze mówię, że nóż może służyć do morderstwa i do krojenia chleba. Nie wińmy noża ani tego, co go sprzedał. A czemu wróciłem? Żyło mi się dobrze. Miałem ładną żonę, furę, mieszkanie. Studiów nie skończyłem. Po co mi one, myślałem. Porobię jeszcze parę lat, odłożę i wezmę się do czegoś legalnego. Żona nalegała. Zwlekałem, zwlekałem i coś zaczęło się psuć między nami. Patrzyła na mnie jak na handlarza śmiercią, jak na pieprzonego dilerę. Wreszcie: „odchodzę”, mówi. Idź w cholerę. Wypieprzyłem jej rzeczy i myślałem, że mam spokój. Mirek rozlał resztę Finlandii. Odłożył butelkę. Podrzuciłem ją w dłoni i cisnąłem o ścianę.

– Jezu, człowieku! Roześmiałem się.

– No i żoneczka pokazała pazur. Rozwód, prokurator i wyczyścili mnie. Do gołej skóry. Zacząłem pić. Wypadłem z biznesu. Nie miałem gdzie się podziać, to przyjechałem tu. Chciałeś historii, to ją masz.

– Co będziesz teraz robił? Wypiłem. Szklanka poszła za butelką.

– Srał i dzielił. Nie wiem. Pustka, człowieku. Zimnik jest jak czarna dziura.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Byłeś tam, prawda? – zapytał Mirek.

– Trzy razy. Raz, pierwszej nocy. Wyszedłem z motelu się przewietrzyć. Włazłem nawet na drzewo. Myślałem, że gałąź się urwie. Ale nie widziałem ich. A ty?

– Raz – przyznał. – Chodzę pod drzewo, odkąd wróciłem. Raz na miesiąc, dwa.

Bawił się szklanką.

– Przez pierwszy rok myślałem, że już się nie pojawiają. Ale są. Jak ich zobaczyłem, Jezu, myślałem, że mi jaja oblano wrzątkiem. Wciąż jeżdżą, skurwysyny. Bardzo rzadko, ale jeżdżą.

Podszedłem do okna. Zegarek wskazywał dziesiątą. Nad Zimnikiem wysypały się gwiazdy.

– Chodź – powiedziałem – postawię.

– Nie wiem, czy chcę.

– Chcenie nie ma tu nic do gadania – chwyciłem go za ramię.

– Zlecimy z drzewa – prychnął.

Zawtórowałem mu. Śmialiśmy się długo, pijackim śmiechem, a potem wyszliśmy w noc.

– Rodzice tego nie przełkną, kochanie – tłumaczyłem Beacie. – Nie na pierwszym roku.

– Po pierwsze, jest szansa, że nie zdam. Nawet duża. Wtedy wyląduję w Krakowie na filmoznawstwie. Mam nadzieję, że przynajmniej tam mnie przyjmą. Staszek mówił, że zamiana miejsc w akademiku to żaden problem.

Siedzieliśmy u niej w pokoju. Beata miała rozpiętą koszulę. Sutki sterczały zadziornie. Niżej matka krzątała się w kuchni.

– Rodzice nie pójdą na to, żebym studiował w Łodzi – tłumaczyłem. – Nie dadzą forsy, i tyle. Zdasz, zobaczysz, że zdasz. Podojeżdżam do ciebie przez rok, dwa. Na trzecim roku będzie mi już łatwiej. Postaram się przepisać na Politechnikę Łódzką, ty rozejrzysz się za jakąś pracę. Będzie dobrze.

Beata marzyła, by zostać aktorką. Nigdy nie wierzyłem, że jej się uda. Doradzałem, by poczekała parę lat, pochodziła na korepetycje i wystartowała z lepszej pozycji. Ale w Beacie płonął ogień, którego nie zdołałem ugasić.

– Zateęsknię się na śmierć – powiedziałem. Zrobiłem głupią, smutną minę i wybuchnęliśmy śmiechem.

Miałem Beatę codziennie. Była moją pierwszą dziewczyną i nie wyobrażałem sobie rozstania.

Pocałowaliśmy się. Ścisnąłem jej piersi. Teraz myślę, że wyglądałem idiotycznie, jak pijak przy jednorękim bandycie, ogłupiały z powodu wygranej. Beata włożyła mi rękę pod koszulę, zjechała niżej, zgrzytnął zamek. Zniżyła głowę.

– Matka – wydyszałem. – Usłyszysz ją?

– Nie – szepnęła spomiędzy moich kolan. – Ty musisz nasłuchiwać.

Idę o zakład, że bawiło ją właśnie to.

Opadłem na łóżko, nogi naprężyłem jak struny. Miałem wrażenie, że zbliżam się do słońca, że złoto wlewa mi się pod powieki. Podłoga jęczała. Tonąłem i nie przestawałem słuchać.

Jako drugi przepadł pewien pijak z osiedla, Pan Kazio czy jak mu tam było (Mirek twierdzi, że każdy pijak jest panem Kaziem), co żył z renty i włóczył się po lasach. Zbierał jagody, kradł jabłka, jesienią wyruszał na grzyby. Wszystko sprzedawał na drogach. Spotykałem go często, jak dreptał na krzywych

nózkach ze słoikiem i brudnym plecakiem, który wyglądał jak zielony wrzód. Pewnego dnia pan Kazio znikł.

Do matury został równy miesiąc.

Chodziłem uczyć się do Mirka, w tym czasie Mirek szedł do mnie na historię i wieczory witaliśmy na drzewie. Beata ćwiczyła role, robiła miny przed lustrem i daję głowę, że widziała siebie na bankietach z Lindą. Im bliżej matury, tym częściej drzewo gościło tylko czwórkę.

Mirek rozprawiał o Kaziu.

– Taki to wypłynie jak gówno – wtedy, gdy najmniej się go spodziewasz. Na wsi u babci wiecie, co się stało? Był taki pijaczek, co też się włóczył po okolicy. Przygłupi trochę był. Wyglądał jak koza, z brodą i tępy, złośliwym spojrzeniem. I też zniknął. A wtedy trawę wypalali. Rozumiecie?

– Kurwa – mruknął Konrad.

Konrad chciał robić w literaturze. Nosił przy sobie skoroszyt pełen wydruków i podrywał dziewczyny na Kafkę. Nie szło mu dobrze, więc pił z nami na drzewie.

– Czemu Beaty nie ma? – chciał wiedzieć Mały.

– Uczy się.

– Nie martwisz się tą Łodzią, stary?

– Martwię się, a co? Poradzimy sobie.

– Pewno nie zda.

– Zda. To zdolna bestia i najtwardsza dziewczyna, jaką znam. Przebidujemy. Na czwartym roku będzie lżej.

– Poważnie myślisz – zauważył Mirek – ty z nią tak do końca, obrączka, gromnica?

– Pieprzę obrączki. Ale na poważnie.

– Nie myślisz, że coś tracisz? Jest kupę kobiet na świecie. Nie chciałbyś zamoczyć jeszcze w paru dziurkach? – dociekał Konrad.

– Twój mały nie obrazi się o to?

– Mój mały ma lepiej niż twój.

– Kiedyś się nią znudzisz. Będziesz chciał przeżyć coś jeszcze – zauważył Mirek.

– Nie będę – zapewniałem.

– Zastanów się, stary – powiedział Mały z najwyższej gałęzi

– czy ona myśli tak samo. Rozważałeś to kiedyś? Nie? No to pomyśl.

Jak łatwo o zawiść, myślałem, nawet wśród przyjaciół. Zbierałem się na odpowiedź, gdy Konrad znów dostrzegł światła.

– Jest ich więcej – stwierdził Mirek.

– Na moje oko, tyle samo co wtedy. Zresztą, co to kogo obchodzi? – wciąż byłem zły na Małego.

– Co innego mnie gnębi – rzekł Konrad. – Przecież tam nie ma drogi.

– Roztrząsaliśmy to – stwierdził Mały.

– Pamiętasz je ostatnim razem? Sunęły równo grzbietem wzgórza. Wyjeżdżały zza lasu, potem równo po szczycie, jak kolej na kreskówce i znikwały w drzewach. Przypatrzcie się im.

Światła wspinały się po zboczu i przepadały po drugiej stronie.

– Faktycznie – przyznałem. – Jadą inną trasą.

– Jadą przez pola. Na szczycie mogła być jeszcze jakaś droga, ale nie na zboczu – gorączkował się Konrad – przecież tam są pieprzone pola. Widzieliśmy je milion razy!

– Napisz o tym – burknął Mały.

– I jeszcze – Mirek patrzył na światła w skupieniu – to jest droga, tak? Tak. I auta na tej drodze? Tak. To dlaczego, psia mać, wszystkie jadą w jedną stronę?

Miał rację. Wcześniej tego nie dostrzegliśmy.

– Może to UFO, to, co zabrało Kulę? – zastanawiał się Konrad.

– Może to ognie świętego Elma? – spekulował Mały.

– Albo taniec świętego Wita – uciałem. – Czy wyście poszaleli? Droga jak droga i auta jak auta. Może wojsko coś kombinuje. Jak chcecie, możemy jutro tam się wybrać. Ale w dzień.

– W dzień.

– Znajdziemy drogę. Zobaczycie.

Siedzieliśmy chyba do północy, patrząc, jak samochody suną po wzgórzu niczym wielkie, płonące owady, tworzą linię załamującą się za szczytem. Pomyślałem, że po drugiej stronie jest drugie drzewo i czterech facetów, takich samych jak my.

– Boże, jak tu cicho!

– Jak w trumnie – powiedziałem.

– Zimnik – mruknął Mirek i oparł się o pień.

Drzewo okrzepło. Gruby pień chciwie ssał ziemię. Chwyciłem gałąź i spróbowałem się podciągnąć. Mirek śmiał się za moimi plecami.

– Daj spokój, stary.

– Jeszcze niedawno wszedłem.

– Miałeś więcej krwi w alkoholu – Mirek oparł się o pień. Dołączyłem do niego. Wyjąłem butelkę, odbiłem i pocałowałem szyjkę. Wiejska wódka, tania, niedobra.

– Widać je stąd? – podałem mu butelkę. Pociągnął solidny łyk.

– Nie wiem. Jak znajdę siłę, by dojść aż tutaj, to na drzewo też się wydrapię. Tobie trudniej. Spasłeś się, stary.

– Szkoda, że nie widziałeś mnie pięć lat temu. A Beata? Jak wygląda Beata?

Nie tęskniłem. Po prostu chciałem wiedzieć.

– Było jasne, że się ładnie zestarzeje. Trochę wychudła, oczy ma podkrążone. Swoje przeszła w tej Łodzi. Pali, pewno pije trochę. Załapała się na dom kultury, prowadzi zajęcia teatralne. I jeździ z przedstawieniami. Nie o to chyba jej szło, co stary? – trącił mnie ze śmiechem. Pewnie liczył, że stare żale nie umarły.

– Czemu wróciła?

– A tego nie wie nikt. Mam swoje zdanie i jest takie, że każdy tyłek ma określoną wyporność na kurewstwo. I jej chyba pękł.

Kiwnąłem smutno głową. Patrzyłem na wzgórze i wyobrażałem sobie, że to twarz Beaty. Gdzie będą zmarszczki? Ma kurze łapki od śmiechu czy wargi jak cięte nożem? Czy dołeczki wciąż pojawiają się na jej policzkach przy uśmiechu?

– Chcesz ją zobaczyć? – zapytał Mirek.

Następnego dnia nie poszliśmy na wzgórze. Chciałem wyciągnąć Beatę – powiedziała, że po szkole musi wracać do domu i chyba się rozerwie, bo musi siedzieć nad matematyką i ćwiczyć rolę. Tłumaczyłem, że przed nami ostatnie wspólne miesiące i żal, by tak minęły.

– Do czerwca jakoś wytrzymamy – usłyszałem – a potem wakacje. Przejedziemy się z namiotami po Polsce.

Chwile z Beatą łowiłem jak miód i układałem nam życie w małym mieszkaniu, pełnym płyt i książek.

Skończyliśmy szkołę. Do matury zostało paręnaście dni. Wrzało. Konrad wyglądał jak postawiony przed szafotem. Bał się, sukinsyn, że jego mityczna wiedza z języka polskiego, opinia polonistycznego brylancika skruszy się w starciu z twardym zestawem trzech pytań. Beata żyła studiami. Mirek z Małym grali twardzieli.

To Mirek wymyślił, by kraść biało-czerwone flagi i sam ściągnął pierwszą. Nawet Beata dostała swoją. Ruszyliśmy Zimnikiem. Policja miała na nas łaskawe oko. Tak doszliśmy za miasto, do sklepu ze Skatem. Dalej górowało nasze drzewo.

Maj przywitał nas ciepłem. Każde powinno się uczyć, ale spiliśmy się na potęgę. Pięcioro abiturientów szło od knajpy do knajpy, przekrzykując się wesoło. W Zimniku były trzy bary, wszystkie pamiętające młodość naszych rodziców. Nasz ulubiony nazywał się „Czarny Koń”. Piwo było tam tańsze od sklepowego, miało temperaturę wystudzonej herbaty i smakowało, jakby ktoś rozcieńczył je płynem do mycia naczyń. „Czarnego Konia” odwiedzaliśmy zwykle do południa. Zamiast siedzieć na lekcjach, graliśmy w bilard, dopóki pani Grażynka, natapirowane monstrum stojące za ladą, nie wyrzucała nas za zbyt głośne zachowanie.

– Idziemy tam? – zapytała Beata.

– Na drzewo?

– Nie – rzekł Mirek – możemy sprawdzić tę drogę. Rozpętała się dyskusja o tym, czy to daleko, jaki jest sens, bo skoro są samochody, to i droga musi być. W końcu stanęło na tym, że pójdziemy tak daleko, jak będziemy mieli ochotę. Zatrzymamy się i poleżymy w słońcu.

Przez pierwszą godzinę szło się najgorzej. Wypiliśmy wina i maszerowaliśmy jak w maśle. Potem schronienie dały drzewa. Zaczęła się stromizna. Najbardziej kłął Konrad. Zarządził postój, rozłożył się jak basza i wstał natychmiast, otrzepując się z mrówek.

– Mam dosyć, dosyć, to był idiotyczny pomysł.

– To twój pomysł – zauważyłem. Środkowy palec Konrada starczył za odpowiedź.

– Jak dojdziemy, to kładę się i czekam zmroku – powiedział Konrad. – I nawet czołg mnie nie ruszy.

Ruszyliśmy. Drzewa rzucały fantazyjne cienie. Pozwoliłem kolegom iść szybciej. Zniknęli między drzewami. Objąłem Beatę i przytuliłem do siebie. Wsunąłem rękę pod bluzkę. Dziewczyna zeszywniała. *Coś nie tak*, pomyślałem i poszukałem odpowiedzi w jej oczach. Bił z nich obcy smutek. Pogładziłem Beatę po twarzy.

– Boję się, że nie dam rady – powiedziała. Objąłem ją mocno.

– Jak nie ty, to kto?

– Ktokolwiek. Każda głupia cipa. Wiesz, szukałam dla siebie zajęcia, czegoś, co mogłabym robić tak po prostu. Zwyczajna praca. I nie znalazłam. Albo gra, albo nie wiem, pustka, ciemność.

– Jesteś wyjątkowa. To dlatego. Uśmiechnęła się słabo. Usiedliśmy na trawie.

– Może – patrzyła w stopy. Podniosła głowę. W oczach zakręciły się łzy.

– Ale nie mam prawa nikogo ciągnąć w moje sny. Nie rozumiałem.

– Inaczej – była sztywna – nie wiem, co będę musiała zrobić, żeby sen przyśnił się na jawie.

Rozumiesz, prawda? Talent, praca, to wszystko się liczy. Ale też coś więcej. Zdolność kompromisu. Pewnych wyrzeczeń. Bardzo dużych wyrzeczeń. Zbyt cię szanuję, aby robić coś za twoimi plecami. Ale inaczej nie mogę.

Mówiła z przejęciem. Twarz nabrzmiała jej jak pomidor przed zerwaniem.

– Jedziesz do Łodzi dawać dupy?

Nie wiedziałem, śmiać się czy płakać. Poczułem, że obok siedzi ktoś obcy.

– A to, co sobie obiecywaliśmy? Pomogła mi wstać. Pocałowała w policzek.

– Uwierz, że obiecywałeś to komuś innemu. Chodź. Chcę zobaczyć tę drogę.

Zostawiła mnie samego. Długą chwilę myślałem, co robić. Wypaliłem papierosa i ruszyłem w górę, wygrażając pięścią słońcu. Gdy zeszliśmy ze wzgórza, przestałem wierzyć, że to sen. Beata szła jak mumia wyjęta z sarkofagu.

– Umarł ktoś? – spytał Konrad. Chyba tylko Mirek odgadł, co się wydarzyło. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że pogadamy na dole.

Nie musieliśmy iść daleko, by mieć pewność, że tam nie ma żadnej drogi. Konrad twierdził najpierw, że trawa i zboże zasłaniają asfalt, potem, że auta przejechały łąkami i miedzą.

– Pewno wojsko – tłumaczył. – Jednostka jest trzydzieści kilometrów stąd. Coś skurwysyny kombinują.

Mirek cisnął niedopałek.

– No to szukajmy.

Obeszliśmy z boku wielkim łukiem. Na górze rozciągała się polana, obwarowana lasem, ciemnozielona pod czerwonym niebem.

– No jak, do kurwy nędzy, coś ci tędy przejedzie? – pieklił się Mały. Siedział na pieńku i kopał w kretowisko.

– Między drzewami – zaproponował Konrad.

– Rowerem nie przejedziesz. Rozbijesz sobie swój głupi łeb na korzeniu. A widzisz tu ślady po kołach?

– Zarosły. Kiedy ostatni raz widzieliśmy światła? Tydzień temu, dwa?

– Twoja dupa zarosła – burknął Mirek.

– Mogliśmy tu przyjść wcześniej – powiedziała Beata. Chyba czuła się dobrze. Lepiej niż ja.

– I znaleźlibyśmy to samo – rzekł Mirek. – Nic tędy nie jechało. Pomyliliśmy wzgórza. Nie widzę innego wyjścia.

Nikt w to nie wierzył. Usiedliśmy, patrząc ponuro na Zimnik.

– No to dupa – skwitowałem. – Ma ktoś jeszcze wino? Miałem ochotę pić, aż głowa i nogi pozwolą.

– Wino jest na dole – podniósł się Mirek – i ja po nie idę.

– Czekaście – rzucił Konrad – poczekajmy tutaj. Zobaczymy, co się stanie.

Nie miałem ochoty zostawać na ciemnym wzgórzu obok Beaty i czekać na duchy.

– Ja idę. I tobie też to radzę.

Mały zburzył kretowisko, kiwnął na Konrada i poszedł w dół. Ruszyliśmy jego śladem.

– Jesteś pewny, że chcesz zostać? – zapytałem.

Konrad wzruszył ramionami. Wrzał ze złości. Dopiero gdy byliśmy na dole, krzyknął, że chętnie sobie posiedzi i żeby nie martwić się niczym.

– Zobaczycie – rzekł Mirek, gdy pociemniało – będzie spieprzał, że jeszcze nas przegoni.

Wracaliśmy po omacku, kierując się na światła miasteczka. W lesie trzeszczało tajemnicze życie. Przeraziłem się nagle, że jestem sam. Stałem w ogniu dzieciennego strachu i zapragnąłem pobiec na oślep, do naszego drzewa. Mogłem przysiąc, że coś groźnego sunie za mną, głodny potwór o oczach jak halogeny, wyprowadzający młode z matecznika w górach nad moim miastem. I nagle wszystko odeszło – przede mną Mały i Mirek klęli na Konrada, obok szła Beata. Chwyciła mnie za rękę. W ciemności znów byłem jej potrzebny.

Puściłem ją, ale pozwoliłem, by szła obok. Chciałem, by las ją pożarł. Okrutne myśli rozrabiały w głowie. Zająłem się nimi i nawet nie spostrzegłem, że jestem pod naszym drzewem. Oparłem się o pień. Buty gniotły mi stopy. Nie marzyłem już o winie, ale o łóżku i śnie bez snów.

– Pijemy jeszcze? – zapytał Mirek niewyraźnie.

– Jedenasta – Mały popatrzył na zegarek. – Ja spadam, starzy mnie zabiją. Krzysiek, masz mentosa?

Pokręciłem głową.

– Powinniśmy poczekać na Kondzia – zauważył Mirek – niedługo powinien wrócić.

– Jest zły jak osa – powiedziałem. – Będzie tam siedział z czystej złośliwości. Albo wróci inną trasą i każe nam się martwić. Wiesz, po tych wszystkich zaginięciach.

Zaginięciach, o których zapomnieliśmy.

– Patrzcie, patrzcie – krzyknęła Beata. Szarpnęła mną, omal nie upadłem.

Spojrzeliliśmy na wzgórze.

– Wrócili – rzekł Mirek powoli – znów są. Światła.

Zimnik wstał przede mną. Szukano Konrada. Zadzwoił Mirek i powiedział, że ani pary z gęby o wyprawie. Przyszła matka Konrada. Wahałem się, ale milczałem do popołudnia.

Pierwsza przyznała się Beata. Policja odnalazła flagi, które porzuciliśmy w lesie. Zmyśliłem historię o przyjacielskiej wyprawie do lasu, drobnej kłótni, w efekcie której Konrad pozostał na wzgórzu. Nic o światłach.

Musieliśmy we czworo wrócić na wzgórze i pokazać miejsce, gdzie zostawiliśmy przyjaciela. Znaleźliśmy pieniek, rozkopane kretowisko, podeptaną trawę i niedopałki na trasie. Ani śladu Konrada.

Nienawidziłem rodziców Konrada, kolegów, policjantów, ochotników przeczesujących las. Patrzyli na mnie, jakbym postraszył Konrada pistoletem i kazał zostać. Nie mogłem tego znieść, poprosiłem, by sprowadzono mnie na dół. Przyjaciele poszli ze mną. Matka nie puszczała mnie na krok.

Z Zimnika widziałem latarki tańczące w lesie.

– Co tam się stało. Co tam się naprawdę stało? – pytała matka. Ona jedna nie miała pretensji. Ojciec siedział w kącie jak borsuk.

Miałem ochotę jej powiedzieć.

– Piliście?

– Trochę. Nie byliśmy pijani. Może Konrad miał coś jeszcze ze sobą, upił się i zasnął.

Matka podeszła do okna.

– Nigdy tam nie pójdziesz. Obiecay mi to. Nie umiałem odmówić.

– Coś złego dzieje się w mieście – mówiła do szyby – i ma to źródło w lasach. To zło przychodzi stamtąd.

– Przyjeżdża – powiedziałem i poszedłem do pokoju.

Rodzice trzymali mnie krótko. Nie widywałem Beaty, nie chodziłem na drzewo i zagrzebałem się w książkach. Nurtowało mnie tylko, czy szukający Konrada widzieli światła na wzgórzu.

Przyszedł do mnie Mały, dwa dni przed maturą. Zapytał, jak mi idzie nauka, poprzerzucił kasety na półce, wreszcie usiadł i powiedział, że nie daje sobie rady.

– Widzę go w książkach – mówi. – Na biurku cienie układają się w jego profil.

Był z Konradem bliżej niż inni.

– To nie nasza wina – powiedziałem. – Był dorosły. Wiedział, co robi.

– My też jesteśmy dorośli – gadał szczył do szczyła. – A dorośli postępują odpowiedzialnie. Tyle

przychodzi mi do głowy.

– To mało i niedobrze – skwitowałem. Mały wyłamywał palce.

– Byłem wczoraj na drzewie – wyznał. – Już go nie szukają. I wiesz co? Wiesz, co jest najśmieszniejsze?

Nie wiedziałem.

– Światła wróciły. Ledwo zabrali swoje latarki i przejęte tyłki, światła wróciły.

– On wciąż jest z nami – powiedział Mirek. – Czujesz go? Był dzień matury. Staliśmy przed wejściem na salę. Mirek miał rację. W powietrzu wisiał nieznośny ciężar. Nauczyciele, rodzice i koledzy pielęgowali fikcję. *Nie myśl o tym, co się stało, mówiła matka, idź i napisz najlepiej, jak umiesz.* Dostałem kanapkę i garść cukierków.

Weszliśmy. Krzesło Konrada stało puste. Lista obecności. Tematy. Piszemy. Beata siedziała dwa rzędy dalej. Gdy spojrzałem na nią, uniosła kciuk do góry i przesłała uśmiech.

Pisałem mechanicznie. Otworzyłem furtkę z wiedzą ostatnich czterech lat i pozwoliłem jej spłynąć na papier. Głowa poszła na spacer. Mirek siedział w rzędzie obok. Komisja rzucała leniwe spojrzenia zza stołu. Szelest papierków przypominał trzask drobnych gałęzi.

Po trzech godzinach praca była skończona i mogłem wyjść do kibla. Wypaliłem papierosa, zebrałem myśli i wróciłem. W sali był już Konrad.

Najpierw zobaczyłem jego nagie plecy. Od łopatek biegł szeroki pas czerwieni, podobny do gór na mapach. Konrad nie miał butów, z nogawek wychodziły fioletowe łydki. Szedł z trudem, ale dotarł do ławki. Kiwał głową jak gołąb, łokcie przyciskał do boków. Siwizna na skroniach przypominała lód.

Wziął długopis i przycisnął do papieru. Zrobił niezgrabną linię, wrócił, zakreślił drugą. Papier rozdarł się. Konrad uderzył długopisem o ławkę. Plastik pękł. Konrad zachwiał się na krześle.

Podbiegłem do niego jako pierwszy. Chwyciłem za ramiona. Powiedziałem, że cieszę się z jego powrotu. Konrad miał twarz czerwoną od popękanych żyłek. Wydęte wargi przypominały larwy. Między nimi mignął ziemisty język. Powieki mrugały niczym skrzydła chrząszcza, ukazując oczy bez tęczówek i źrenic.

Nadbiegli inni. Wymieszały się krzyki i płacze. Chwyciłem Konrada i przytuliłem mocno. Wbił mi palce w plecy; bolało, ale nie chciałem go puszczać. Ktoś z tyłu krzyczał, bym odszedł. Nie drgnąłem. Słuchałem słabego serca. Tonąłem w zapachu tajemnicy.

– Zobacz! – zawołał Mirek. – Już jest. Wspina się.

Beata pomachała nam i przyspieszyła.

Nie widziałem jej dziesięć lat. Nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć, więc uściskałem ją serdecznie.

– Wspaniale wyglądasz – powiedziała.

– Ty też – uśmiechnąłem się i ucałowałem ją ponownie.

– Nie mamy kubeczków – rzekł Mirek. Beata przyssała się jak dziecko do smoczka. Zapomniałem, aż mi się w głowie zakręciło. Gdy widziałem ją z dołu, coś drżało we mnie. Kurz wspomnień. Trzymając Beatę w objęciach, pojąłem, że nie pamiętam naszych rozmów, pocałunków, zapachu jej ciała i miejsc, które zobaczyliśmy. Nie wiedziałem, czy przytyła, czy zmienił się jej głos, dobry Jezu, nie pamiętałem nawet starego koloru włosów.

– Ja zapomniałem – wyrzuciłem z siebie i poczułem się lepiej.

– Powiedz lepiej, jak ci idzie? – zapytała.

– Jak każdemu, kto tu wrócił – odebrałem butelkę. Miałem mocno w czubie.

– Kawał chłopca zrobił się z ciebie. Ciekawe, czy umiesz jeszcze wejść na drzewo.

– Żartujesz? – roześmiałem się. – Żadna gałąź mnie nie utrzyma.

– Myślę, że masz cykora – prychnął Mirek, zdjął kurtkę i zbliżył się do pnia.

I weszliśmy na to cholerne drzewo. Beata mnie pchała, Mirek podciągał, aż pokonałem gałęzie i usadowiłem się w koronie, otoczony liśćmi i zapachem ściętej trawy. Poradziłem Beacie, aby wybrała inną gałąź, ale usiadła koło mnie, wzięła za ramię i poprosiła o butelkę.

– Zagrajmy w marynarza, kto dziś złamie kark – żartował Mirek. – Hej, Beatko, zostaw trochę kolegom!

– Skończyłaś szkołę? – spytałem.

– Szłam jak burza.

– To co tu robisz? Z twoją ambicją, uporem... Wiesz, myślałem czasem o tobie jako o ambasadorze Zimnika na świat kultury.

Beata oddała butelkę. Piła wódkę jak ruski generał.

– Bez iskry Bożej nawet dupa nie pomoże – powiedziała.

– Ktokolwiek mu to zrobił, nie daruję – rzekł Mały. – Nie musicie ze mną iść, ale powinniście.

Przygotowywaliśmy się tydzień. Z domu ukradłem jedzenie, z piwnicy siekierę. Ojciec miał broń, ale nie zdołałem jej znaleźć.

Mały zabrał długi nóż i procę, Mirek drąg. Myśleliśmy, że ruszymy we trójkę, ale Beata powiedziała, że idzie z nami. Mały czekał przy drzewie. Dochodziła dziewiąta.

– Idziemy skopać tych kutasów – obwieścił.

– Film. Ja nie mogę. Pierdolony film – splunął Mirek. Ruszyliśmy i nikt nic nie mówił.

Idąc liczyłem, że na górze nie będzie żadnych świateł. Pijąc wino, przekraczaliśmy granicę snu, gdzie czekał magiczny kraj z samochodami bez drogi, zagubionym Konradem i dziewczyną, która odchodzi złożyć tyłek na ołtarzu muz. Tylko po co mi ta siekiera?

Noc była ciepła i księżycowa. Pozwoliłem Beacie chwycić się za rękę.

Dawaliśmy sygnały latarkami. Mały narzucił szybkie tempo. Widziałem jego drobną sylwetkę załamującą linię krzaków w upartej drodze pod górę. Ze szczytu dostrzegliśmy srebrne pole, drzewa i ani jednego samochodu.

– Nie ma ich – westchnął Mirek. Mały dał znak, że trzeba iść dalej.

– Nie można tu poczekać? – pytała Beata. – Zobaczymy światła, to pójdziemy...

Mały wzruszył ramionami. Mirek ruszył za nim, podpierając się kijem.

– Wiesz, żałuję tego, co się między nami wydarzyło – powiedziała Beata. – Myślę, że bylibyśmy dobrymi przyjaciółmi i ta przyjaźń zdołałaby przetrwać. Par jest mnóstwo, przyjaciół niewiele.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Chodź – pociągnęła mnie po zboczu.

Do pieńka, przy którym został Konrad, dotarliśmy przed jedenastą. W dole płonęły zimne ognie miasta. Po drugiej stronie ciągnęły się fałdy wzgórz. Mirek podrzucił kij i powiedział, że nikogo tu nie ma. Poczuję ulgę.

– Nie nadeszła jeszcze godzina duchów – żartowała Beata.

– Nie wiem jak wy, ale ja tu zostanę – powiedział Mały. – A jak dziś ich nie zobaczę, wrócę tu jutro. Z wami albo bez.

Mirek się wściekł.

– Przecież jesteśmy z tobą! Nie wiem, po jaką cholere tu przyszedłem, bo ani ze mnie Daeniken, ani gość z drogówki. Przyszedłem, bo chciałem ci pomóc, ale, na miły Bóg, opanuj się albo odpierdol.

– Sam się odpierdol.

– No, bez takich, tylko bez takich – pieklił się Mały. – I zgaś, durniu, tę latarkę. Chcesz, żeby miasto się tu pozlatywało? Co im powiemy?

– A chcesz, żebyśmy połamali sobie nogi o kretowisko? Ech, po cholere tu przyłaziłem?

– Droga wolna, frajerze. Szkoda tylko, że Konrad tego nie słyszy. Ucieszyłby się, że nie wiem.

– A od Konrada to się odpierdol.

Myślałem, że skoczą sobie do gardeł. Mirek wysunął kij przed siebie. Mały machał rękami, pluł, rzucał przekleństwa, aż Beata krzyknęła, że nadjeżdżają. Mirek i Mały zamilkli.

Z lasu sunął sznur samochodów.

– Zgaście latarki! – krzyczała Beata. – Latarki i na ziemię! Nikt nie posłuchał.

To były modele z tamtych lat. Widziałem malucha z wygiętym przodem i zderzakiem przekrzywionym jak wybita ze stawu szczęka. Za nim sunął czerwony ford pickup na długich światłach i z opuszczoną szybą. Jeszcze dalej czarna beemka, za nią biała skoda i znowu maluch, tym razem różowy i przerobiony na kabriolet. Przestrojone radio grało ciężkiego rocka.

Pierwszy samochód przejechał koło mnie. Zerknąłem w szybę. Kierowca tylko mi mignął, ale mogłem przysiąc, że nie miał twarzy, tylko biały owal napiętej skóry, podobnej do brzucha ciężarnej kobiety – bez oczu, uszu i ust. Tak samo następni. Spojrzałem na Beatę. Dziewczyna wtuliła się w trawę.

– Ej, ej, stać, skurwysyny! – wrzeszczał Mały. Wyrwał procę i posłał celny kamień w czerwonego forda. Auto natychmiast się zatrzymało. Wraz z nim inne. Strach zmienił mi język w kamień. Poświeciłem latarką. Mały sadził susy w stronę samochodów, z nożem uniesionym w górę. Zdążyłem krzyknąć, by się zatrzymał, i pobiegłem za nim. Mirek i Beata zostali w tyle.

Mały dopadł już samochodu i mocował się z klamką. Nóż uderzył w karoserię. Zgrzyt słyszeli chyba nawet w Zimniku.

Drzwi uchyliły się wolno i Mały znieruchomiał. Nóż wysunął mu się z dłoni. Nim zdążyłem go zatrzymać, Mały wszedł do samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Ford ruszył i dołączył do kolumny.

– Widzieliście to? – wołałem do Mirka i Beaty. – Te buce go zabrały!

– Spieprzam stąd – rzekł Mirek.

Nie miałem lepszego pomysłu. Ale stałem jak zaczarowany.

Kolumna aut rozciągała się od lasu do lasu. Kierowców widziałem wyraźnie i miałem wrażenie, że gdyby przekłuć ich ślepe głowy, pękną jak wielkie purchawki. Ciemnozielony renault skręcił w moją stronę, zwolnił i kierowca opuścił szybę.

Patrzył na mnie gruby facet po trzydziestce.

– Podwieźć cię, mały?

Pokręciłem wolno głową. Znałem skądś tę mordę.

– No, Krzysztof. Nie będziesz chodził tak po nocy. Jeszcze coś ci się stanie. Przecież oni – wskazał palcem na Mirka i Beatę – prędzej zjedzą kupę, niż ci pomogą.

Otworzył drzwi. Posłałem Beacie i Mirkowi pożegnalne spojrzenie i usiadłem przy kierowcy. Siekierę oparłem o kolano, nie zdejmując ręki z trzonka. Wiedziałem, kim jest ten facet.

– Co ty, drwalem jesteś? – zapytał. Pokręciłem głową.

– Po prostu twardziel z ciebie. Podobają mi się tacy, powinienes do czegoś dojść w życiu – zaśmiał się znowu.

Dołączyliśmy do kolumny. Polana została w tyle.

– Byłbym zapomniał. Moja żona. Znow nie byłem zdziwiony.

– Gdzie jedziemy?

– Jaką muzykę lubisz? Ja kocham starego rocka. Za Doorsów uciąłbym sobie ucho.

– Mogą być Doorsi. Gdzie jedziemy?

– Wysadzę cię, gdzie chcesz. Jadę do domu. Fajną chatę mam, wiesz? Z żoną kłócimy się, czy kupiliśmy z jej grania, czy z mojego inżynierowania. Mówi mi, może ty i dach nałożyłeś, ale od dachu w dół wszystko za moje. Tak, kochanie? Palisz?

Czerwony marlboro. Setka.

– Ale ja ten dom zaprojektowałem i sam nosiłem cegły. Ludzie mówią, pieprzyć studia, ale ja skończyłem, to i umiem. A ty, gdzie się wybierasz?

– Kraków.

– Też studiowałem, ale krótko. Myszka miała filmówkę w Łodzi, to musiałem się przenieść tam, na polibudę. Przetrwaliśmy wiele sztormów, ale zawsze mówię, że jak ludzie się kochają, to żadna siła nie zrobi im nic a nic! Nie, myszko?

Odgął rękę do tyłu i pogłaskał żonę po włosach.

– I wiesz, co ci powiem? Że wy, młodzi, to czasem siano w głowach macie. Nic, tylko od spódniczki do spódniczki. Żona była moją pierwszą miłością, pierwszą kobietą, pierwszą, pierwszą! – bębnił w kierownicę otwartą dłonią. – I nigdy nie myślałem o innej, nawet w najgorszych dniach. I nigdy nie zamieniłbym się z najteższym jebaką. No, nie płacz mały. No, co ci jest?

Dotknął mojej twarzy szorstką dłonią.

– Gdzie jadę?

Mężczyzna prychnął, jakbym palnął głupstwo.

– Gdzie jedziesz? Siedzisz w samochodzie i nie wiesz, dokąd zmierzasz, mój mały? Boisz się.

Bałem się jak cholera.

– Niepotrzebnie – skupił wzrok na drodze. – Czy masz jeszcze coś, co mógłbym ci zabrać? Powiedz, proszę. Nie sądzę. Zjadłem za ciebie śniadanie i wątpię, bym wrócił na obiad.

Beknął i strzepał papierosa na siedzenie.

– Masz wolę walki, co? To przyjadę i wezmę ją na stopa. Masz nadzieję? Włożę ją do radia i będzie mi grała. Nie gniewaj się tylko, bo takie jest życie. A dokąd jedziemy? Patrzyć. Tylko patrzyć, maleńki. Będiesz patrzył, aż oczy skamienieją ci od łez, bo nic, co zobaczysz, nie będzie twoje.

Oparł łokieć o opuszczoną szybę.

– I nie prosz, bym ci wyjaśniał. Czasem jest tak, że ktoś zabiera twój talerz. Ale może to zrobić tylko dlatego, że go zostawiłeś, jak trąba, na wierzchu.

Dostrzegł, że zaciskam ręce na trzonku.

– Odwagę też zabiorę, jak przyjdzie mi ochota. Naprawdę chciałbyś to zrobić. Jeden ruch, nic trudnego. Ale ciąży ci, prawda? Nie chciałbyś zobaczyć mojego domu, moich dzieci, co, Krzysiu? Mogę pokazać ci nawet cipkę swojej żony, tylko nie mów mi, że nie chcesz. Wszyscy chcą.

– Tak, chciałbym – odparłem i uderzyłem go siekierą. Gruba twarz zgięła się jak plastik, bez krwi.

– I po co to było? – warknął. Papieros wciąż sterczał mu w ustach.

Poprawiłem w czoło, potem w bark i w szyję. Zarzuciło autem. Mężczyzna spróbował mnie chwycić. Przycisnąłem się do drzwi i machnąłem ostrzem. Ręka pofrunęła na tylne siedzenie.

Samochód zsunął się po zboczu.

Kobieta z tylnego siedzenia chciała mnie dosięgnąć. Zmiotłem jej głowę z ramion. Biłem beładnie dłońmi o oparcie, a facet usiłował uwolnić się z pasów. Opadłem na niego całym ciężarem, przycisnąłem do szyby i tłukłem jego zmasakrowaną głowę.

Rzut okiem za okno – zmierzaliśmy do lasu.

Znów biłem siekierą. Wolna ręka usiłowała mnie chwycić. *Jeszcze trochę, draniu, wyskoczę, ale przedtem cię urządzę, skurwysynu jeden, że cię sam diabeł w piekle nie pozna.*

– Wygraj sobie, wygraj – zabrzmiało. Uderzyłem go w usta.

– Wygraj – powtórzył. – Wziąłem, co miałem wziąć. I przyjadę po jeszcze, mój mały mądralo. I ciesz się swoją zemstą. A jak ochłoniesz, jak wyjaśnisz wszystko mamusi, zastanów się, co wygrałeś? Czy walczyłeś choć raz?

Samochód uderzył w drzewo. Ostatnim, co pamiętam, był trzask szyby i lot w ciemność.

– Macie papierosy? – zapytała Beata.

– Nie wiedziałem, że palisz.

– Wróciłam niedawno do nałogu. Ten dom kultury wykańcza człowieka. Dzięki – zapaliła. – Nie przypuszczałam, że cię tu zobaczę. Wszyscy wrócą, myślałam, ale nie Krzysztof.

– Długa historia.

– I długa noc – zauważył Mirek – już druga. I ciemno – burknąłem – tyle czasu minęło.

– Jeśli to coś zmieni – powiedziała Beata – to chcę, byś wiedział... Czułam się okropnie. Chciałam ci to powiedzieć. Tylko tyle.

– Nie mam żalu. Zapomniałem.

– Nie znam nikogo, kto żyłby wspomnieniami i wyszedł na tym dobrze – zauważył Mirek.

– Tylko ich pamiętam – wskazałem na wzgórze – ich.

– Podobno poradziłeś sobie dobrze.

– Lepiej niż Konrad i Mirek. Nie wiem, kim są, nie spadli ani z Marsa, ani nie przyszli z piekła. Myślę, że są jak drzewa, jak niebo, odkąd ludzie żyją na tej ziemi. Każdy Zimnik ma swoje światła na wzgórzach.

Mirek wzruszył ramionami. Mówiłem dalej, w pijackim przekonaniu, że mam coś mądrego do przekazania.

– I wiecie, co jest najśmieszniejsze? Nie wiem, czy im nie dziękować. Jestem, gdzie jestem i znam jeden kierunek – w dół, w niedołęstwo. Straciłem, co mogłem stracić. I nie wiem, jak bym się czuł, gdyby to była moja wina. Oni mi to wzięli, tak właśnie myślę i dlatego nie zamęczyłem się na śmierć. Wiecie? Wiecie co?

Zapaliłem.

– Czasem mi się zdaje, że wymyśliłem to wszystko. Konrada, Małego, światła i stwora w renówce. Inaczej zwariowałbym ze szczętem.

– A Mały? Jak myślisz, co robi?

– Patrzy – powiedziałem. – Jeśli jest gdzieś, to patrzy i ma oczy z kamienia.

Beata gryzła wargi.

– Co będziesz robił?

– To agresywne pytanie – odparłem. – Umiem kombinować. Do niczego innego się nie nadaję. Więc będę kombinował, ile sił.

– Można cię wyciągnąć na piwo, kombinatorze? Dopiłem wódkę. Butelka poleciała w trawę.

– Jasne. Urządę się trochę i zadzwonię do ciebie.

– No, no – mruknął Mirek.

Zapadło milczenie. Patrzyłem na Beatę i myślałem, czy mógłbym odkryć ją jeszcze. Trzydziestka to dobry wiek, by zaczynać od nowa.

– Wróciły – powiedział Mirek. Sznur świateł ciągnął się przez wzgórze. Beata chwyciła moją rękę.

– Jadą do nas – powiedziała.

OPOWIEŚĆ TAKSÓWKARSKA

I

Opowiem jak było, bez ścierny. Gdy zmarł mój ojciec, Bóg wcisnął pauzę na pilocie i świat znieruchomiał. Widziałem ludzi, jak chcieliby kubiści, naraz ze wszystkich stron. Potem minęło, myślałem nawet, że z mozołem wtoczę się na stare tory. No i odpowiedzialność, żeby być z matką, do pracy pójść i dawać grosz na michę i kwadrat. Jak znam staruszka, ożenił się z rozsądku, we dwójkę przecież lepiej. Ale z czasem pojawiła się miłość i najbardziej kochali się przez ostatni rok życia taty. Tacie nie przeszkadzało, że matka marszczy się jak folia nad zapalniczką.

Pocieszałem matkę, że stary nie cierpiał. Mario, kumpel taty, widział wypadek. Dopadło mnie straszne podejrzenie, że ojciec chciał się zabić, ale nigdy nie podzieliłem się nim z matką. Nie wiedziałem też, czemu miałyby kończyć ze sobą, skoro właśnie wychodziliśmy na prostą, mieliśmy na wakacje, chesne dla mnie i szkołę muzyczną dla młodej. Mario opowiedział mi o śmierci taty.

Mario, złotowa, jak i mój stary, czekał na postoju, oparty o samochód, ćmił szluga i pewnie czuł się jak sam sułtan. Tak mi opowiadał: *Wrocławska jest długa i prosta, nie ma gdzie skręcić i trudno coś spieprzyć. Widzę samochód, jak wypada spod wiaduktu, ledwo bierze zakręt i pędzi ulicą. Widzę, że fura jest czerwona, potem zobaczyłem, że to taryfa, a jak był ze trzydzieści metrów ode mnie, widziałem, że to twój stary. Najpierw myślałem, że wiezie nerwowego klienta, takiego, co trzy razy przebija stawkę. Ale minął mnie, był sam, z głową tuż przy kierownicy. Pewno ktoś zachorował, myślę, właściwie przemknęło mi to przez głowę. Śmignął koło mnie, odwracam się, patrzę, auto skręca i centralnie w słup. Słup skosił, skosił drzewo i wtarabanił się w przystanek. Usłyszałem dwa odgłosy, jeden po drugim, a oba brzmiały, jakby coś mi w głowie wystrzeliło. Pierwszy – to citroen pierdolnął o wiatę i drugi, głuchy – to twój staruszek wyleciał przez szybę i gwarantuję ci, Andrzej, że nie żył, nim wyrznął o bruk.*

Ktoś by powiedział, że to nieludzkie tak opowiadać, ale ja mam swoje zdanie. Gdyby Mario zaczął się roztkliwiać, pewno bym pęknął, poryczał się i nie pozabierał inaczej, jak dzieląc się tym z matką i młodą. Mario opowiedział to prosto, znad kufła, i cieszę się, bo potraktował mnie jak dorosłego. Myślę, że gdyby to Mario zginął, to stary tak samo opisałby tę śmierć jego synowi.

To zabawne, jak życie wyciąga z nas ukryte możliwości. Lubię cwaniakować, zgrywać się na osiedlowego mądrałę, ale prawda jest taka, że żyłem jak w szklarni. Rodzice płacili za studia, a gdy wszedłem w gównno, tato z mamą wyciągali mnie za uszy – jak wtedy, gdy stłukłem jednego typka i groziła mi sprawa. Dwadzieścia lat spędziłem w przeświadczeniu, że cokolwiek zrobię, rodzicielska ręka osłoni mnie przed konsekwencjami.

Weźmy szkołę. Nie jestem głupi i pewnie zdałbym na dzienne, ale poszedłem na prywatną uczelnię, żeby dyplom przyszedł bez wysiłku. Nie twierdzę, że skończenie studiów to jakiś problem, ale w prywatnych szkołach sprawa jest czysta – płacę i wymagam. Jestem taki Willi Sonnenbruch i lubię jasne sytuacje.

W dzień śmierci ojca miałem jasność, jakby słońce zmieniło się w supernową.

Obiecałem sobie, że odciążę matkę. Mario powiedział jej o wszystkim, niech Bóg mu to wynagrodzi. Zająłem się pogrzebem, dałem w łapę księdzu, zorganizowałem stypę. Młoda chodziła jak we śnie. Matka starała się zbierać. Zbiera się do dziś. Jakoś sobie poradziłem, ojca pochowali w zamkniętej trumnie.

Na szczęście ojciec nie zabrał nikogo ze sobą – przystanek był pusty, tylko odłamek pokaleczył preclarkę. Prasa zrobiła aferę. Te gnoje lgną do ludzkich nieszczęść jak muchy do gówna.

Zjawiali się falami i pytali, jak się czuję. Chcieli rozmawiać z matką albo z młodą. Nie pozwoliłem. Nie znam gorszej nacji, prędzej poszedłbym na browara z kanarem niż z pismakiem – tak wtedy myślałem. Oczywiście, najgorsza jest telewizja. Przychodzi taki z kamerą i wypatruje tych, którzy trzymają się najgorzej. Podtyka mikrofon pod nos i pyta: *jak się pan czuje? Czemu, pana zdaniem, do tego doszło?* Ludzie odpowiadają przez łzy i nawet nie wiedzą, co się dzieje. Powiedziałem, że rozmów nie ma, a jak któryś zbliży się do matki albo siostry, to będzie redaktorzył z wózka inwalidzkiego.

– Wypierdalać! – krzychałem. – Chuj ci w dupę, śmieciu, i won, bo pójdę i zapierdolę twojego starego, to sobie odpowiesz, bucu z uszami.

Czułem się jak prawdziwy mężczyzna i dziś wstyd mi za to.

Najbardziej wpieprzał mnie pismak z jakiejś lokalnej gazety. Chodził za mną jak dziwka za regimentem. Klasyczny dziennikarzyna, myślałem, trzy czwarte chłopa w tanim garniturze i z idiotycznym krawatem, szarym i zwiędłym. Zrozumiał, że nie odpowiem, dopiero wtedy, gdy wyrwałem dyktafon i zagroziłem, że wsadzę mu go w dupę.

Stypa minęła sennie. Zjechała rodzinka, a im więcej wypili, tym mocniej rosło we mnie przekonanie, że gdyby tato wstał z grobu, zabiliby go ponownie, byleby tylko pochłać i pojeść za darmo. Szczęśliwie, następnego dnia zniknęli. Zostałem z matką i z siostrą, której nie umiałem wyjaśnić, że pewne rzeczy po prostu się dzieją i nie można nic zrobić, jak tylko żyć dalej, nie szukając sensu.

Mówię o Bogu – jest dla mnie jak wytrych, ale chyba w niego nie wierzę. A jeśli nawet jest, to ma w dupie nasze małe życia. Myślę, że nie wie do dzisiaj, że był ktoś taki jak mój stary i że rozpierdolił się o wiatę, jadąc dobrze ponad setkę na godzinę.

Matka jest lekarką i przeżylibyśmy spokojnie, ale dzień po stypie obszedłem biura pracy, zostawiając swoją ofertę. W tym kraju nawet do zbierania po koniach trzeba mieć CV i list motywacyjny. Próbowałem sklecić parę zdań o sobie, wreszcie poszedłem do gazet i zostawiłem ogłoszenie tej treści: **DWUDZIESTOLATEK PODEJMIE KAŻDĄ PRACĘ.**

Oszalałbym siedząc w domu.

Wychodząc z biura ogłoszeń, spotkałem dziennikarzynę w zdechłym krawacie. Próbowałem go wyminąć, ale zaszedł drogę.

– Poczekaj.

Przypominał pijanego węgorza, jak bardzo dziwacznie by to nie brzmiało.

– Zajeb swoją starą i to opisz.

– Nie chcę cię o nic pytać – powiedział. – Chcę ci coś pokazać. Odparłem, że się spieszę.

– Posłuchaj. Nie będę cię o nic pytał. Słowo honoru. Chcę ci tylko coś pokazać. A jeśli cię to nie zainteresuje, pójdę do domu i zajebię swoją starą.

Roześmiałem się po raz pierwszy od śmierci taty. Dochodziło południe i poszliśmy do „Cafe Albo Tak”, gdzie dzieci uczą się pić piwo, a z niebieskiego sufitu zwisają gumowe rury i parasole. Zamówiłem browar, on colę. Przedstawił się jako Przemek.

– Dziś jakiś gość proponował mi zdjęcia z wypadku.

– Gówniarz z cyfrą?

– Nie taki gówniarz, ale z cyfrą. Najpierw nie chciałem brać, mniej więcej z tego powodu, dla którego kazałeś mi spierdalać.

– Albo twoja gazeta nie jest takim brukowcem, jakbyś chciał – dopowiedziałem. Przemek położył na stole paczkę L&M-ów i kupkę kolorowych wydruków.

– Jednak wziąłem. Zobacz, dlaczego.

Dał pierwsze zdjęcie. Czerwony citroen pędził wprost na słup. Zdjęcie zrobiono od przodu, było nieostre, pełne smug.

– Przypatrz się.

Nie chciałem oglądać taty, wydruk wziąłem z wahaniem. Spojrzałem na Przemka nieufnie. Zdjęcie, jak zdjęcie, strzelone w pośpiechu, na szczęście nie widziałem twarzy ojca. Tylko zarys sylwetki, głowę schyloną nad kierownicą.

– Zwróć uwagę na to obok – odpowiedział. Zaczynał mnie nudzić.

– Cień fotela – rzuciłem – rozmazany, przez to krzywy.

– Też tak myślałem – odparł Przemek. Wysunął L&M-a w moją stronę. – Widziałem tysiące zdjęć. Znam się na tym, Andrzej, i ten cień od razu mi się nie spodobał. Kupiłem to zdjęcie z własnych pieniędzy. Facet odszedł. Kazałem mu wykasować zdjęcie z aparatu. Może w domu ma kopię, może nie. Ale chyba nie wie, co sfotografował. Zobacz.

Położył powiększony wydruk z wykadrowanym widokiem zza przedniej szyby. Twarz ojca była rozmyta, ale wyraźniejsza. Zagryzał wargi, a pod ciemnym czołem jarzyły się jasne oczy, ślepe jak u ryby.

– Obok – odpowiedział Przemek. Wskazał na to, co wziąłem za rozmyty w ruchu fotel. Zawsze brałem to, co widzę, za prawdę. Tym razem było trudno, bo obok taty siedział pasażer. Widziałem tylko zarys sylwetki, drobnej, jakby chłopięcej. Chuda ręka opierała się o drzwi. Nastroszone włosy odcinały się od nieba widzianego przez tylną szybę.

– Robią sobie z ciebie jaja – powiedziałem po długim milczeniu. – Mogę to zatrzymać?

– Jasne. Powiedziałem, że znam się na zdjęciach. Jeśli to fotomontaż, to genialny.

– Jak te zdjęcia UFO?

– Lepsze niż zdjęcia UFO.

– Umiałbyś taki zrobić?

– Możliwe. Ale nie w parę godzin i nie po to, aby dostać pięćdziesiątkę na odpiardol – patrzył na mnie. – Mówiąc wprost, te zdjęcia są prawdziwe i dlatego przychodzę z nimi do ciebie.

– Serdeczne dzięki – odparłem. – To miło z twojej strony, ale, na mój rozum, to masz tutaj pieprzoną sensację, więc poleć lepiej do gazety, jebnij artykuł i zgarnij kasę. *Policja ukrywa prawdę, w taksówce był pasażer, tak? Albo Zdjęcie Śmierci. Ona istnieje.*

– Może masz rację – westchnął znad coli. – Nie powinienem tu przychodzić.

– Wiesz co? Pamiętam, Arabowie podpalili Amerykę. Kupowałem gazety hurtem, cała szkoła się tym jarała. I jedno takie pisemko walnęło na okładce zdjęcie eksplozji, budynek się wali, a chmura dymu układa się, wypisz wymaluj, we wściekłą mordę diabła. Nawet podpis był pod tym *Szatan pokazał twarz.*

– Ładne.

– Wiem, że ładne. Takie zdjęcia czasem się robią. Prześwietlona klisza czy co.

– To cyfra, nie ma kliszy – punkt dla Przemka. – I jeśli to cię nie przekonuje, to powiem ci, że twój ojciec nie był pierwszy.

– Ludzie giną w wypadkach, wiem o tym.

Przemek westchnął. Determinacja, z jaką mnie przekonywał, sprawiła, że postanowiłem go wysłuchać.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Jestem gościem od takich gówien. Jeżdżę po wypadkach, takich tam. Przedszkolaki utopia kundla w gnojówce, mam tam być i opstrykać ścierwo. To bezmyślna i nudna robota. Już po pierwszych tygodniach wiesz, jak pisać. Jakich nieszczęść oczekuje czytelnik. Utopione dziecko czy skatowana żona? Student zadźgany na osiedlu czy sierota po taksówkarzu?

Bolało. Przełknąłem ślinę.

– Do mojej działki należą karambole samochodowe. Muszę zawsze być w gotowości i ganiać od nieszczęścia do nieszczęścia. Zwróciłem uwagę na spory procent wypadków bezsensownych, takich, które nie powinny się zdarzyć.

– Na przykład?

– Na przykład śmierć twojego ojca. Samochód jedzie i bez powodu skręca, prosto na słup. Jakby

chciał w niego wjechać. Patrzmy dalej – wydobył ścinki z gazet. – Cztery lata temu, polonez jedzie na Zakrzówek, łamie ogrodzenie, pcha się przez krzaki, choć trudno, tylko po to, by spaść ze skarpy do wody.

– Samobójstwo – wtrąciłem.

– Bardzo możliwe. Pięć miesięcy później, rozpędzony ford zmienia trasę i zatrzymuje się na autobusie. Kierowca ginie. W dwutysięcznym są dwa przypadki. Merol na długich światłach ląduje na drzewie, choć droga była prosta. Skręca specjalnie. Dalej, Bronowice, wiadukt, trzecia w nocy. Opel na pełnym gazie skręca z głównej i uderza w pociąg. Chcesz dalej?

– Podziękuję.

– Te wypadki, w sumie siedem, łączy kilka szczególnych cech. Po pierwsze, nie da się ich wytłumaczyć błędem prowadzącego albo innego kierowcy. Skręcali specjalnie. Przyspieszali, aby zginąć.

– Samobójstwo.

– Jak myślisz, twój ojciec chciał się zabić? Wiedziałem, że nie.

– Nigdy nie wiadomo, co komu w głowie siedzi. Wypadków jest od cholery, więc czasem trafiają się te – szukałem słowa – no...

– Specyficzne – uzupełnił Przemek – więc słuchaj dalej. Kierowca zawsze jest sam, a każdy wypadek jest śmiertelny.

– Więc samobój. Podróż do Bozi na własne życzenie.

– Możliwe. Ale gdy opowiem ci, że cała siódemka to taksówkarze, będziesz musiał się nakombinować, jak ten przypadek uzasadnić. Siedem dziwnych wypadków, siedem śmierci. Siedmiu martwych taksówkarzy, średnio dwóch na rok. Docierałem do rodzin zmarłych i żadna nie wierzyła w samobójstwo.

– To dopiero temat na artykuł – powiedziałem powoli.

– Twój ojciec chciał umrzeć? – zapytał Przemek. Powiedziałem mu prawdę i nastąpiło milczenie.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytałem wreszcie. Pragnąłem znaleźć się jak najdalej stąd. – Nie wiem nawet, czy mogę ci wierzyć, czy nie.

– Mogę zostawić ci zdjęcie. I wycinki. Niech one ci mówią. Ja nic nie powiedziałem. Wiem tyle, że jest linia dziwnych śmierci. I ten człowiek – popukał w powiększone zdjęcie – człowiek, którego nie ma.

– Może wysiadł – podniosłem się. – Muszę już iść. Chciałem biec.

– Może – ironizował. – Może zniknął, jak się pojawił.

– Wszystko jest możliwe – westchnąłem. – Nie wiem tylko, co ja mogę zrobić. Nie wiem nawet, do czego miałbym być potrzebny. Przede wszystkim, co mógłbym przez to zyskać.

Podałem mu rękę i szybkim krokiem powędrowałem do wyjścia.

– I jeszcze jedno – zawołał Przemek – nikt nie powiedział, że twój ojciec był ostatni.

II

Próbowałem odzyskać spokój. W nocy nie mogłem zasnąć, otuliłem się kołdrą, patrzyłem w sufit, wstawałem do zdjęcia i wycinków, kładłem się znowu – tak do świtu. Wypaliłem mnóstwo fajek, o czwartej wypilem kawę i siedziałem przy biurku, szukając dziur, jakby opowieść Przemka była wielkim serem.

– Połóż się.

W drzwiach stanęła młoda.

– Piję kawę – odparłem. Uściskała mnie i długo patrzyliśmy na siebie.

– Porozmawiasz ze mną? Mama nie mówi o tacie, ja tak nie mogę. Miała rację. Matka nie wspominała o ojcu, odkąd zginął.

– Są różne metody – powiedziałem. – Ja wymyślam sobie historie. Wyobrażam sobie swoje życie w różnych sytuacjach. Trochę pomaga.

– Mama wciąż mówi o tym chłopcu. Szkoda, że cię tam nie było, skopałbyś mu tyłek.

– Jaki znów chłopak?

– Stał oparty o drzewo i śmiał się. Widziała go dzisiaj, w miejscu, gdzie zginął tata. Szczerzył się, powiedziała, jakby zaraz miał wgryźć się w ciasto.

Mario zwykle stał na Czarnowiejskiej, rzadziej na Lea lub Wrocławskiej, tuż obok miejsca, gdzie zginął ojciec. Tam go znalazłem. Stał, swoim zwyczajem, oparty o drzwi, w czerwonej koszuli i pomarańczowych szelkach. Grubą szyję oplatał łańcuch, który napinał się zawsze, gdy Mario schylał głowę. Musiałem stanąć naprzeciw jego nosa, żeby mnie zobaczył.

Mario jest maleńki i gdy podnosi głowę, mruży oczy.

– Posklecałeś się? – zagadnął i podsunął papierosy w moją stronę. Zapaliliśmy.

– Sklecam się, sklecam. Tylko gwoździe z rąk lecą.

Mario uśmiechnął się. Od kawy i tanich petów ma zęby w kolorze kory.

– Masz tutaj – wepchnął mi kopertę w rękę – zrzuciliśmy się. Spojrzałem na niego z wdzięcznością. Nie lubię dostawać pieniędzy, ale Mario zrobił to bardziej dla siebie niż dla nas.

– Powiedz, Mario – zbliżyłem się do niego – czy widziałeś coś szczególnego?

– Niby kiedy? – Mario udawał głupka. Obliznął wargi i spojrzał na mnie z miną niewiniątka.

– Jak był wypadek, Mario. Nie rób ze mnie osła.

– Pewnie, że widziałem – Mario rozluźnił się, oparł gruby kark o dach auta i zawadiacko wypuścił chmurę dymu – rozpędzoną gablotę wpierdalającą się w wiatę. Jeżdżę na taksówce dwadzieścia lat i pierwszy raz widziałem coś takiego. I wiesz co, mam nadzieję, że już nie zobaczę.

– Pytam o to, czy ojciec był sam w samochodzie.

Mario przełknął ślinę. Papieros zatoczył koło w powietrzu.

– Mówiłem ci już.

– Chodzi mi o chłopaka na przednim siedzeniu, Mario. Tego samego, który wczoraj stał tu i się śmiał.

– Nikt się nie śmiał – wzruszył ramionami. – Wepchnąłbym mu ten śmiech do gardła.

Ucisnął mi rękę i wszedł do samochodu. Opuścił szybę i rzucił, że musi spadać.

– Mario, posłuchaj mnie – oparłem się o drzwi. Czułem na sobie oddech pełen nikotyny. – Mam na myśli chłopaka, który był z nim w taksówce. Półdługie włosy sterczące na wszystkie strony. Bardzo chudy, z ramionami jak patyki. Zobacz.

Wyjąłem zdjęcie z tylnej kieszeni i podsunąłem mu pod nos. Odwrócił głowę, jakby śmierdziało.

– Nie było tam nikogo – wykrztusił. – Ktoś robi sobie z ciebie jaja.

Ruszył z piskiem opon. Patrzyłem, jak na pełnym gazie skręca w pierwszą przecznicę.

– Cześć, Przemek.

– Myślałeś? – przez telefon jego głos brzmiał metalicznie, jakbym rozmawiał z robotem.

– Masz czas wieczorem?

– Wpadłeś na coś?

– Przyjdź do mnie o ósmej. Przynieś wszystkie zdjęcia z wypadku, jakie masz. Jeśli masz ich mało, kup. Pamiętaj, o ósmej.

Czekałem na Przemka, nie mogąc skupić się na niczym. Młoda męczyła się z saksofonem. Matka rozwiązywała krzyżówkę w kuchni. Zajrzałem do niej. Garbiła się nad stołem, a długopis śmigał w jej dłoni. Gdy pojawiała się rozwiązanie, brała głęboki oddech, sięgała po papierosa i przewracała następną stronę. Radio, nastawione na operę, cięło mi bebechy.

Wróciłem na górę, spojrzałem przez okno i padłem na łóżko. To dziwne, pomyślałem, że tak szybko wchodzę w tę historię, zabawiam się w detektywa. Przeraziłem się nagle, że dojdę z tym donikąd – stanę na bezdrożu, z pustymi rękami i nie znajdę już drogi do domu. Powinienem dać sobie spokój, żyć dalej, bo przecież jakoś trzeba żyć. Jakoś żyć.

Jakoś żyć, jakoś żyć

Trzeba, kurwa, jakoś żyć.

Tak nuciłem, idąc do Przemka. Nowy hymn Polski, jak w mordę strzelił.

Przemek miał jeansową kurtkę. W świetle lamp na korytarzu jego jasne włosy wyglądały jak posypane złotym pyłkiem. Trzymał cztery piwa.

– Włóż je do lodówki. Na dole mieli ciepłe.

– Szkoda, że nie mamy pięciu – rzuciłem, wychodząc z kuchni. – Piąte byłoby dla mamy.

Usiedliśmy u mnie. Przemek spoglądał po pokoju, zapewne zdziwiony, że trzymam porządek. Powiem wam, że wyglądam na gościa, który sra w pościel, zawija ją i chowa pod łóżkiem.

– Przyniosłem zdjęcia – Przemek położył przede mną plik kopert. – Te tutaj są z naszego archiwum. Powstały najpóźniej. Te zrobił nasz przyjemniaczek i są najwcześniejsze. Te wydebiłem od konkurencji, mam znajomka. Na moim szczeblu trzeba mieć gówno zamiast mózgu, żeby trzymać dystans.

Zacząłem je przeglądać. Najpierw przerzuciłem wszystkie, ledwo rzucając okiem. Za drugim podejściem brałem zdjęcia po kolei, obracałem w palcach, przybliżałem do twarzy, nie mówiąc ani słowa.

– Czego szukasz? – dopytywał Przemek. Rozłożyłem przed nim wybrane zdjęcia.

– Interesują nas jedynie te cztery. Możemy założyć, że zrobiono je w ciągu czterech, może pięciu minut. Mam rację?

Skinął głową.

– To pierwsze jest zrobione przez faceta z cyfrą. Widzimy rozbity samochód, zbiegających się ludzi. Tu gość dobiega i usiłuje szarpnąć za drzwi, nie wiem zresztą po co.

Nie mówiłem całej prawdy. Zdjęcie było źle skadrowane, nieostre – zrobiono je w pośpiechu, a aparat miał duże opóźnienie. Maski taksówki rozrywała kadr. Szyba była wybita i czerwona od krwi. Gdzieś, prawie u stóp fotografującego, musiał leżeć mój ojciec.

– Zwróć uwagę na nogi w prawym górnym rogu.

Przemek pochylił się nad zdjęciem. Były to nogi chudego człowieka w wytartych jeansach i białych adidasach, jakie można kupić za parę złotych na bazarze.

– Jestem chyba ślepy – stwierdził.

– Też zauważyłem to po chwili – podjąłem. – Jest parę minut po wypadku, ludzie ochłonęli. Chcą coś zrobić. Ta kobieta dzwoni, ktoś biegnie. Te nogi są nieruchome. Ich właściciel po prostu stoi i patrzy. Na tym zdjęciu – położyłem kolejne – możemy go już zobaczyć.

– Niewiele z tego wynika – przyznał Przemek.

Drugie zdjęcie przedstawiało tę samą scenę. Facet odpieprzył się od kłamki i maszerował w stronę fotografa, z przerażonym wzrokiem wbitym w miejsca poza kadrem. Trzy kobiety krzyczały. Grubas po czterdziestce wrzeszczał do telefonu. Grube wargi wyglądały, jakby dął w nie wiatr. Za nim stał chłopak w niebieskich jeansach. Ręce skrzyżował na piersi. Rzadkie, skołtunione włosy opadały na wąskie czoło. Śmiał się.

– Ten sam chłopak.

– Stoi w tym samym miejscu – zgodził się Przemek.

– To ten sam chłopak, który jechał w samochodzie taty – uzupełniłem. Przemek przełknął ślinę i stwierdził, że tego nie możemy wiedzieć.

– Te same włosy. Ta sama postura.

– Nie mamy twarzy. Na zdjęciu w samochodzie nie ma twarzy.

– Zobacz lepiej na to.

Przedstawiłem dwa kolejne zdjęcia. Za plecami chłopaka widniał Mario, kredowobiały, zgarbiony, z dłońmi przy kolanach. Szedł szybkim krokiem. Na drugim zdjęciu był już przed chłopcem. Biegł.

– Zdjęcie, jak zdjęcie.

– Przyjrzyj się lepiej.

Przemek zgarbił się nad zdjęciem. Podpowiedziałem, aby patrzył na nogi. Włożył długopis w usta, podrapał się po karku i wypuścił ze świstem powietrze.

– Kurwa.

Stopa Maria przenikała kolano chłopaka, niczym gałąź wrastająca w pień.

Milczeliśmy chwilę i chyba było to nam potrzebne. Bez słowa poszedłem po piwo. Wsunąłem Przemkowi butelkę w rękę. Stuknęliśmy się.

– Czemu zostałeś dziennikarzem? – zapytałem.

– Całe życie kombinowałem – sapnął. – Handlowałem pocztówkami, kopałem doły, handlowałem wódką z przemytu i tak dalej. Po studiach stwierdziłem, że trzeba się zmienić. Znaleźć robotę, która da prestiż.

– Nie udało się – zaskrzeczałem. Uśmiechnął się.

– Człowiek myślał, dziennikarz to ktoś. Osoba opiniotwórcza i tak dalej, bla, bla bla. Pętałem się za pracą pół roku. Robiłem w jakiś „Eurostudentach”, gazetkach osiedlowych, takich tam. Wreszcie przyjęli. Boże, jaki byłem szczęśliwy!

– Niech zgadnę. Nie powiedzieli ci, ile będziesz zarabiał.

– Jasne, to nowa świecka tradycja. I wylądowałem z siedmioma słowami na czysto, przed starym komputerem, w pokoju bez okien...

– Jak bez okien?

– Miałem tylko okratowaną szybę w dachu. Okratowaną i zasraną przez gołębie.

– Zdarza się.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale został z otwartymi ustami. Przeciągnął dłonią po czole, spojrzął jeszcze raz na zdjęcie i zapytał:

– Co z tym robimy?

Wszedłem do kuchni.

– Mamo, to ten chłopak, prawda?

– Ten – podniosła głowę. Miałem wrażenie, że jej oczy są kompletnie suche, oczy z pieprzu. – Ten, który się śmiał.

– Jest ze mną – powiedział Przemek do ochroniarza. Spisano mnie, dostałem plakietkę z napisem GOŚĆ i mogliśmy iść na górę.

– Co, złoto tu trzymacie? – zagadnąłem Przemka.

– Pozory. To tutaj – uniósł rękę – to sześć piętér niekompetencji.

Redakcja od środka przypominała starą kamienicę z horroru – wielki, pogrążony w półmroku hol przecinała okratowaną winda. Z boku wily się szerokie schody. Z czwartego piętra patrzył na nas ochroniarz.

– Takie miejsca utwierdzają pozór – zagadał Przemek. – Taki pozór, że piszą tu istotni ludzie o istotnych sprawach. Wynagrodzenie to kpina.

– Czemu tu siedzisz?

– Bo trzeba jakoś żyć – wzruszył ramionami i poprowadził mnie do windy.

Pojechaliśmy na trzecie piętro, do archiwum.

– To czemu nie wrócisz do starych zajęć?

– Trochę wypadłem – odparł. Wiedziałem, że nie mówi prawdy.

Nigdy nie zastanawiałem się nad kuchnią pracy dziennikarza. Liznąłem ją z filmów, to tyle. Wyobrażałem sobie archiwum jako jasny korytarz pełen szafek, które błyszczą jak srebrne koronki na działkach. Na każdej jest litera. Otwierasz i znajdujesz dziesiątki szufladek, gdzie leżą poukładane zdjęcia, każde z opisem, zgodnie z alfabetem. I wszystkie są nowe, jakby dopiero wywołane.

Archiwum gazety, w której pracował Przemek, mieściło się w obszernym pokoju. Sufit pod wpływem lat przybrał kolor okopconej zieleni. Ogromny stół pokrywały drobne nacięcia i kreski po długopisach. Na regałach zalegały teczki. Setki teczek. Na nich leżały szare koperty A4, na tych z kolei o połowę mniejsze, szczyty każdej kupki wieńczyły normalne koperty listowe i kilka zdjęć rzuconych luzem.

– Mam nadzieję, że masz chwilę czasu? – powiedział Przemek.

– One są poukładane tematycznie, prawda? – zapytałem z udawanym niepokojem. – Powiedz, że są.

– Powiedzieć mogę ci wszystko – wzruszył ramionami. – Gdzieś tu jest nawet teczka o duchach.

Usiadłem.

– Co wiemy o duchach?

– Dzwonią łańcuchami.

– I rozbijają się taryfami – zrymowałem. – Pytam na serio.

– Nie mam pojęcia.

– Nie widziałeś nigdy żadnego filmu? Żadnego horroru?

– Znam nawet gościa, który pisze horrory – rzekł Przemek – taki szczerbaty fiut.

– Nie pomoże. Jak się na tym znam, zawsze w filmie duch, znaczy gość czy babka, którzy wracają z zaświatów, zginęli wcześniej śmiercią tragiczną. Utopieni w gnojówce, zamurovani w ścianie, zagłodzeni w studni, na tę melodię.

Wyglądał na szczerze zdziwionego.

– To są filmy.

– Jeśli masz trop, to mi go podaj. Macie jakąś teczkę o ofiarach wypadków? Może ten chłopak zginął w samochodzie i mści się po śmierci? Może przejechał go taksówkarz?

– Mam inną teorię. To duch strasznie skąpego Francuza, ale wiesz, tak skąpego, jak skąpa może być żaba. Sułtana zgredów. Kutwy stulecia. Nadążasz?

– Póki co.

– Pięknie. I ta kutwa wysiadła na Balicach, wsiadła w furę, a taryfiarz pomyślał, że jak w trzydziestym dziewiątym nie przyszli, to teraz mu pokaże. I obwiózł go, tak od serca. Pokazał Nową Hutę, Kurdwanów, Borkowską Górę, słowem – objechał Kraków, potem zawiózł pod akademik, zabrał dwie stówy i pomachał. Francuz dowiedział się, że go zrobiono i umarł ze zgryzoty. W każdą bezksiężycową noc...

– Daruj sobie.

– Powraca z grobu i mści się na tych, którzy kantują na taksometrze.

– Bardzo ładne – popatrzyłem bezradnie po rzędach teczek. – Tylko czemu, kurwa, Francuz?

– Bóg tak chciał – rzekł Przemek. Rzucił teczkę na stół przede mną. – Twój pomysł jest dobry, jak każdy inny.

To byłateczka o wypadkach. Zacząłem przeglądać. Przemek usiadł naprzeciwko z papierosem w gębie. Nie natrafiliśmy na nic.

Dowiedziałem się tylko, że cały naród jeździ pijany – od robola do doktora, bania, a potem hop, za kółko. Tak teraz o tym myślę, bo wtedy, cóż, na każdym zdjęciu widziałem ojca.

– Co dalej? – pytałem Przemka.

– Można dać sobie spokój – zamknął teczkę – iść na browar i udawać, że nic tutaj nie ma. Albo przeryć się przez to – wskazał na rzędy teczek.

– Myślę, że dział *Kultura* możemy sobie darować.

– Zaczniemy od śmierci. Gwałtownych śmierci. Jak, kurwa, na filmach kung-fu.

Zaczęliśmy czytać.

Weszliśmy w świat, którego istnienia nie podejrzewałem. To było jak film science fiction z lat pięćdziesiątych, gorzka parodia kronik policyjnych. Jeden gość myślał, że jest Bogiem i czas na wniebowstąpienie. Wyszedł więc na dach w czasie burzy, rozłożył ręce i czekał na piorun, który przeniesie go przed oblicze Stwórcy. Czeką na niego do dziś w Tworkach, bo szlag trafił nieszczęsnego dozorcę, który poszedł go ściągnąć.

Sympatyczny chłop małorolny z podkrakowskiej wsi cieszył się życiem w wiadomy sposób, po czym wsiadł na traktor i pojechał, mając, jak stwierdzono później, pięć i pół promila alkoholu we krwi. Na skutek niepojętego biegu zdarzeń przejechał rowerzystę. Tym traktorem. Cyklista miał tylko dwa promile i zmarł na miejscu. Chłop zeznał, że rowerzysta po prostu wbiegł mu pod koła. Wbiegł, wjechał, grunt, że dał się zaskoczyć. Oto Polska właśnie.

– To jest dobre – odezwał się Przemek. – Trzech wyrostków pomalowało mordy pastą, ubrali łańcuchy z palików z pobocza i poszli do knajpy pytać metali, czy wierzą w szatana. Jeden wszarz zmarł na zawał od tego.

– Też fajnie.

To prosty sposób na zabijanie koszmaru życia. Teczki skrywały straszne opowieści – o matkach topiących dzieci, ojcach mordujących córki, wnukach zakopujących babcię w ogródkach, o pobiciach i gwałtach, aż zacząłem myśleć, że Kraków to drugi Brooklyn i zachodziłem w głowę, czemu jeszcze chodzę cały.

Ale chłopaka ze zdjęcia nie było.

– Nie masz kogoś na policji? – pytałem Przemka. – Może tam...

– Znam tylko tych, co mnie zamknęli.

– Miałeś sprawę?

– No. Spiłem się, wyszedłem na słup i krzyczałem, że chcę być wolny. Facet z domku obok wezwał gliny, bo myślał, że zamierzam się do niego włamać. A ja chciałem być wolny, naprawdę. Przyjechały psy, wpierdoliły do suki, a że byłem nieletni, to dostałem sprawę, wiesz o co? O samozdemoralizowanie.

– Przyjemne. Rozumiem, że twoja obecna kondycja jest usankcjonowana prawnie?

Przemek wpatrywał się w wycinek z gazety.

– Mam go – powiedział.

Nie było mowy o pomyłce. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało chłopaka z taksówki. Tutaj uśmiechał się przyjaźnie. Kosmyk włosów spadał mu zawadiacko na czoło. DWÓCH ZWYRODNIALCÓW ZABIŁO STUDENTA, głosił nagłówek. I tekst poniżej.

– Zatłuczono go na osiedlu – powiedziałem, wpatrzony w kartkę. – Szedł do dziewczyny. Po drodze go dopadli i skopali na śmierć. Dwóch gości. Powiedzieli, że dla zabawy. Jak zawsze.

– Piękna historia.

– Nazywał się Kamil Krąpiec. Był studentem polonistyki. Zdolniacha. Stypendium trzy lata z rzędu. Nawet tomik wydał.

– Dresy zawsze trafią na geniusza.

– Żadne dresy. Dziewięćdziesiąty pierwszy rok. Wtedy żadnych dresów nie było.

– Dresy były zawsze. Był czas, że na chuja nie mówiono „chuj”. I co, chuja nie było? Pokaż to.

Przemek zgarbił się nad kartką. Czytał w skupieniu. Zamknął teczkę, wycinek o śmierci Kamila zostawił na stole. Westchnął. Zapalił.

– Pytałeś dzisiaj, czemu nie wrócę do starych zajęć – zaczął – do sprzedaży fałszywych cegiełek na chore dzieci, czemu nie piszę prac dla studentów i takich tam? Nie zniósłbym wyrzutów sumienia.

Mówiąc to, zrobił tak niewinną minę, że zakrztusiłem się od śmiechu.

– Tak serio?

– Tak serio, to z tego samego powodu, dla którego twój pokój przypomina gabinet lekarski – zapalił, popiół posypał się na zdjęcia. – Na zdrowy rozum, powinieneś żyć w syfie. Syf jest ciepły, czystość zimna. Bałagan przyjazny, porządek wrogi.

Pomyślałem chwilę i powiedziałem, że coś w tym jest.

– Wierzę – podjął na nowo – że zewnętrzność określa nasze życie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jak ja żyję, to chaos. Wynajmuję mieszkanie. Nie mam dziewczyny. Piję, palę, wciągam, łykam i tak dalej. Mam za to trzydzieści parę lat. Praca mnie określa. Zamiast: jestem spadem, mogę powiedzieć: jestem dziennikarzem. To jak kłamra, jak sznurek. Gdy go przetniesz, rozpadnie się.

– Też miałem taki sznurek – powiedziałem.

– Pokój? Dziewczynę? Też można powiedzieć: jestem czyims facetem.

– Pokój to luz – powiedziałem. – Jak życie się pierdoli, to niech w czterech ścianach będzie ład. Mój sznurek to było coś innego.

Przemek nachylił się, popatrzył pytająco.

Miałem przed sobą zdjęcie Kamila Krąpca, roześmianego, trzy tygodnie przed śmiercią. Położyłem obok wydruk z cyfry, na którym Kamil pysznie bawił się wypadkiem mojego taty, choć miał psi obowiązek nie wystawiać nosa z trumny.

– Mój sznurek nazywał się rozsądek – powiedziałem.

III

Trafiliśmy od razu. Długo staliśmy na klatce, oparci o drzwi z domofonem, zachodząc w głowę, jak zacząć, by nie wylecieć za drzwi. Przemek zdecydował, że to on będzie mówił.

Krapcowie mieszkali na trzecim piętrze. Weszliśmy po schodach. Przemek zadzwonił. Otworzyła kobieta po pięćdziesiątce, z rzadkimi włosami oblepionymi wokół okrągłej twarzy. Podbródek przypominał pudding.

– Ankieterzy?

Jezu, ale głupio się czułem.

– Chcemy porozmawiać o Kamilu. Kobieta spojrzała na nas badawczo.

– Jesteście z uniwersytetu?

– Nie rozumiem.

Otworzyła drzwi, ale nie wpuściła nas do środka.

– Kiedy Kamil umarł, mnóstwo ludzi kręciło się tutaj. Chcieli mu wydać pośmiertny tomik. Drugi tomik. Mówiono o nagrodzie jego imienia. Wszyscy zapomnieli i to chyba dobrze. Może dlatego jeszcze nie kazałam wam spieprzać.

Spojrzałem po sobie – luźne spodnie, koszulka ECCO, czapka z daszkiem, dziesięć kilo nadwagi. Tak mógł wyglądać człowiek, który zabił Kamila.

– Nie przychodzę pani drażnić, nie chcę nic obiecywać. – Przemek pogrzebał w kieszeni – Chcę pani coś pokazać.

Nim zdążyłem zaprotestować, podał jej zdjęcie z wypadku. To, na którym Kamil stoi i się śmieje. Twarz kobiety nagle ściągnęła się, a podbródek zawisł jak grube płótno. Otworzyła usta.

– Zrobiono je tydzień temu, jeśli chce pani wiedzieć. Nie jest to fotomontaż. I nikt nie wie o tym, oprócz nas dwóch.

Pokiwała głową.

– Wejdźcie – pokazała drogę – jestem sama. Gdyby mąż widział. Nie... Nie... Napijcie się czegoś?

Usiedliśmy w pokoju, Krapcowa poszła robić herbatę. Mieszkanie, jak mieszkanie – stare meble, akwarium, kilka książek i zdjęcie Kamila na honorowym miejscu. Tym razem włosy miał zaczesane do tyłu. Patrzył poważnie. Przez czoło biegła poetycka bruzda.

Przyjrzałem mu się dokładniej. Wyglądał nieznośnie przeciętnie – taki robaczek w koszulce polo, pozbawiony mięśni, z rzemykiem na żyłastej szyi. Polonista doskonały, myślałem. Niegroźny. Marny. Wstyd takiego zaczepić.

Patrzyłem tak na niego, aż targnęły mną dreszcze.

– Oszalałeś do reszty, prawda? – szepnąłem. Przemek pokiwał głową, Krąpcowa wróciła ze szklankami i cukrem. Usiadła przy mnie. Było chłodno, ale pod pachami, na białej koszuli, wykwitły jej plamy wielkości podstawek pod kufel.

– Może pani zatrzymać to zdjęcie – rzekł Przemek. Krąpcowa zawiesiła wzrok na odbicie.

– Panowie nie wiedzą, jak to kogoś stracić – zaczęła. – I nie ma nic gorszego, jak matka chowająca syna. Mówili mi, zapomnisz, czas minie, uleczy. Zapomnisz o Kamilu. Zupełnie, jakby co wiosną wyskakiwał mi nowy z brzucha. I mieli trochę racji, bo żyję, jakby go nie było. Gdyby teraz stanął przede mną, nie wiedziałabym, o co pytać. Ale czasem przychodzi taka godzina, że on znowu żyje, jakby, jakby... wciąż był w swoim pokoju.

Odłożyła zdjęcie.

– Pamiętam, jak umarł, leżeliśmy tu z mężem, a ja budziłam się, każdej nocy po kilka razy. Leżałam w lepkiej pościeli, bardzo cicho i słuchałam, czy Kamil nie oddycha w pokoju obok. Panowie nie wiedzą, panowie tego nie przeżyli, nie spałam tak po kilka nocy. Spałam dziesięć minut, wybijałam się ze snu, leżałam w ciszy godzinę, może dwie. I dziesięć minut snu. Po piątym dniu nie pomagała kawa. Kładłam się wreszcie po to, by zaraz się obudzić – zacisnęła dłoń na brzegu stołu – i w końcu słyszałam ten oddech. Miarowy, bardzo cichy, jakby dochodził spod podłogi. Wtedy zasypiałam.

– Jak umarł Kamil? – zapytał Przemek, opierając szklankę o usta. Krąpcowa westchnęła.

– Pobili go. Pobili, choć nikomu nic złego nie zrobił.

Dla czystego draństwa chciałem powiedzieć, że Kamil morduje niewinnych ludzi. Ogłuszyć prawdą tę głupią kobietę. *Wy tego nie przeżyliście*, dobre sobie. Cały świat jest na szóstkę, tylko ją jedną, biedną kobiecień, doświadczył los.

– Kamil miał dziewczynę na Olszy. Często jeździł do niej wieczorem i zostawał do rana. Nie miałam nic przeciwko temu. Wiedzą panowie, to kawał drogi, ludzie mówią różne rzeczy. Dlatego prosiłam, żeby wieczorami jeździł do niej taksówką. To nie pomogło. Dopadli go podobno tuż przed jej domem. Zatłukli na śmierć. Przeczougał się kilkadziesiąt metrów, prawie do ulicy, ale nikt nawet palcem nie kiwnął. Lał deszcz, straszny deszcz i on zmarł w tym deszczu.

– Złapali ich? – zagadnąłem. Nie miałem ochoty na herbatę.

– Tego samego dnia. Nieletni. Młodszy nie miał piętnastu lat. Wylądowali w poprawczaku. Teraz są dorośli. Zmienili nazwiska. Wyjechali. Nie znajdzie ich pan.

– Nie wie pani, dokąd?

– Najpierw chciałam ich zabić gołymi rękoma. Radzono mi, żeby kogoś nająć, ale nie chciałam. Gołymi dłońmi, rozumie pan?

– Ale przeszło, zastygło, jak wszystko. To były dzieci, rozumie pan, tylko dzieci.

– Gdzie to się stało? – dopytywałem. – Gdzie umarł Kamil?

– Na Olszy, mówiłam panu. Stanisława ze Skarbmierza osiem. Jest tam mały skwerek. Tam go zatłukli. Topili w błocie.

Pokiwałem głową.

– A zdjęcie? – zapytała. – Skąd ono się wzięło?

– Nie wiem – Przemek wszedł mi w słowo. – Przyszło do redakcji. Myślałem, że powinna pani wiedzieć.

Chcieliśmy iść. Krąpcowa zatrzymała mnie w korytarzu.

– Wie pan, czasem myślę, że on jest tuż za ścianą. Patrzy na mnie. Oddycha.

Gdy staliśmy na klatce, zapytałem Przemka, co o tym sądzi. Odparł, że nic, i podsunął mi papierosy pod nos.

– A ja myślę, że najchętniej opowiedziałaby o tym u Drzyzgi na tefauenie. I to tak, żeby poszło na cały kraj. Kurwa, stary, aż mi się kiszki prostują. Co za baba. Jako płaczka zrobiłaby furorę.

– Zastanów się lepiej, co robią w tym taksówki? – trącił mnie Przemek.

Zeszliśmy powoli, jakby obawiając się słońca na zewnątrz.

Wiedziałem, co powinienem zrobić.

Nie dzwoniłem do Przemka, ale obiecałem sobie, że pierwszy dowie się prawdy.

Powiedziałem matce, że idę na piwo. Ucieszyła się, że powoli wracam do siebie. Wyszedłem z domu, myśląc, że nie ma nic bardziej w pyte niż zimny browar z własnym ojcem. Pamiętam, pierwszy raz stuknęliśmy się kuflami, jak miałem siedemnaście lat i przepełniała mnie duma. Odtąd chodziliśmy regularnie do knajpki na Kazimierzu, żadnej tam artystowskiej, zwykłej mordowni koło przystanku. Ojciec stawiał pierwszą kolejkę i pił szybciej ode mnie. Miałem połowę kufla, on jedną czwartą i jego ręce zaczynały krzążyć po stole, chaotycznie i nerwowo.

Wyjmowałem papierosy, ojciec wzdychał ciężko, jakby z wyrzutem, że syn zaczął palić, a potem zaciągał się dymem. Później rzucił, bo chciał kibicować mi jak najdłużej. Myślałem o tym całą drogę, od domu na róg, gdzie pracował Mario.

Mario lubił stać oparty o drzwi, z papierosem w nieogolonym pysku i z dłońmi w kieszeniach. Miał grube, żylaste ramiona i bliznę po tatuażu. Przymykał powieki tak, że wyglądały na zamknięte, ale drań widział wszystko. Pomachał mi już z daleka.

– Podwieziesz mnie gdzieś? – zapytałem. Było już ciemno.

– To będzie ostatni kurs. Nie jeżdżę nocą.

Usiadłem na przednim siedzeniu i Mario zaraz spytał, czy skleiliśmy się już superklejem. Odparłem, że trzeba jechać na Olszę. Ruszył i chyba niczego nie podejrzewał.

– Zbieram się w kupę, jeśli o to chodzi – powiedziałem po chwili. – Są takie rzeczy, które dają nadzieję.

Był ciepły, lipcowy wieczór. Gapiłem się obojętnie na samochody obok i zastanawiałem się, po cholere robię to wszystko. Mario mógł nic nie wiedzieć, nie chce mówić, wściec się nawet, że robię z niego głupka. Pamiętałem, jak przeraził się, gdy zapytałem o chłopaka w samochodzie ojca. Przeszedł czas na ciąg dalszy.

– Stanisława ze Skarbmierza. Zwolnił.

– Tam nie pojedę.

– Proszę cię. Jestem klientem. Płacę. Jeszcze pomyślę, że czegoś się boisz.

Stanęliśmy na światłach przed Krakchemią. Od celu dzieliło nas kilkaset metrów.

– Ja lubię przesady – westchnął. – Ja nie jadę. Spróbuj z kimś innym. Mogę wysadzić cię tutaj. Gdziekolwiek. Nie wezmę pieniędzy.

– Boisz się czegoś? – powtórzyłem. – Co tam się stało?

– Przesąd. Tylko przesąd. Jedziesz czy wysiadasz?

– Nie ruszę się stąd, dopóki mnie tam nie zawieziesz i nie opowiesz. Rozumiesz mnie, Mario? Choćbyś wyniósł mnie na kopach, położę się pod kołami.

– Powinieneś wypocząć.

– Widziałem go, Mario. Widziałem Kamila. Był z ojcem w taksówce, a potem stał i patrzył. I widziałem też, jak srasz w pory, gdy zapytałem o niego po raz pierwszy.

Mario odwrócił głowę w moją stronę, westchnął i dodał gazu.

– Robię to tylko dla twojego ojca. Żebyś o tym pamiętał, gówniarzu.

Kłamał. Wiedziałem, że robi to przede wszystkim dla siebie.

Osiedle przy Skarbmierza to ponure blokowisko, wzniesione w latach sześćdziesiątych. Wieczór zbija wszystko w kanciastą ciemność. Mario jechał w milczeniu, skręcił, zatrzymał się, zgasił silnik.

– Wysiadaj – powiedział. – Pokażę ci to miejsce. Stanęliśmy na niewielkim parkingu. Od bloków oddzielał nas zaniedbany trawnik. Doprawdy, nie było w nim nic niezwykłego – drzewa o rzadkich gałęziach zasłaniały pierwsze piętra bloku. Weszliśmy na miękką ziemię. Mario bawił się szelką.

– Tutaj go zabili – powiedział. – Dwóch młodych chłopców. Młodszych od niego.

Wypuścił dym nosem. Rozglądał się wokoło.

– Szedł do klatki – wskazał – tak mi mówili. Przeszedł dwadzieścia metrów i go tutaj dopadli. Podobno deszcz tłumiał krzyki, ale ja nie wierzę. Ktoś musiał słyszeć. Jego zasrana koleżanka też.

Przykucnął. Pogrzebał w ziemi, podniósł głowę i mówił dalej.

– Pytasz, gdzie kluczyk. Gdzie hak. Czemu żaden taksówkarz tu nie przyjedzie.

Wyrzucił papierosa i natychmiast zapalił następnego.

– Kamil wysiadł z taksówki. Facet nie mógł podjechać pod blok. Zagradzał ten zasrany trawnik. Taksówka jeszcze stała, gdy Kamil ruszył przez trawnik. Spieszył się i poszedł przez błoto. Zaczepiło go tych dwóch gnoi. Znasz koniec.

Zakrztusił się. Wstał i zaczął krążyć dookoła mnie.

– Kamil wzywał pomocy. Katowali go z dziesięć minut. Taksówkarz stał tam, gdzie teraz my stoimy. Nie wysiadł z samochodu. Nie zadzwonił po policję. Odjechał. To w części nie jego wina. Tak to rozumiem.

Zabębnił palcem w pień drzewa.

– Jest kosa pomiędzy taksjarkami a policją. Taksjarka zawsze ma pieniądze i psy to świetnie wiedzą. Kolegę okradli na komisariacie. Rozumiesz to, Andrzej? Dał portfel z dokumentami, a oni powiedzieli, że nic podobnego. Żaden taksjarka nie zadzwoni po gliny, chyba że naprawdę musi.

– Mógł po prostu ich wezwać.

– Mógł, jasne. Nawet by to zrobił, gdyby wiedział, że chłopak umrze. Morda nie szklanka, łapiesz? Więc odjechał. Taka śmierć. Nikt nie jest winny i wszyscy są winni. Chłopak winny, bo pęta się nocą po obcym osiedlu. Ci dwaj winni, bo go zatłukli. Taksjarka winny, nie zadzwonił. Policja winna. I tak to się rozkłada, rozmywa jak szczyzny. Wydawało się nawet, że wszyscy unikną kary. Ci dwaj dawno wyszli. Żyją gdzieś, gdziekolwiek, nie wiedzą, co tutaj się dzieje. Powiedziałbyś, że takie czasy. Ale niektórzy się na to nie godzą.

Splunął.

– Najpierw sam w to nie wierzyłem. Ale szybko zaczęła krążyć plotka o dziwnym pasażerze. Chłopak o rozczochranych włosach. Ten, którego widziałeś. Zamawiał taksówkę przez telefon. Nigdy nie kazał na siebie czekać. Kazał zawozić siebie tutaj, na Skarbmierza. Zawsze siadał na tylnym siedzeniu. I znikał. Jak żona po pierwszym. Bezgłośnie. Taryfiarz wściekał się, że przepadł mu kurs. Wracał, nic się nie działo. Niemiła przygoda. Czasem ktoś nie płaci i trzeba z tym żyć.

Roześmiał się głucho.

– Historia lubi się powtarzać. I, wyobraź sobie, że jakiś czas później ten sam taksówkarz wiezie tego samego pasażera. Znowu tutaj. I znowu nic się nie dzieje. Chłopak zniknął z tylnego siedzenia. Możesz rozglądać się za nim do woli, możesz wybiec, spróbować go gonić. Na zewnątrz nie ma nikogo –

przełknął ślinę – jak tutaj teraz.

– Trzeci kurs jest kursem kluczowym – zadudnił Mario. – Zaczyna się, jak każdy inny. Chłopak wsiada, zamawia kurs na Skarbmierza, ale taksówka nie dojeżdża. Jest wypadek. Śmiertelny. To wszystko, co mogę ci o tym powiedzieć.

– A kierowca? Tamten taksówkarz, który widział śmierć Kamila?

– Nie wiem – burknął. – Nikt nie wie, kto to był. Na pewno już nie jeździ. Może wyjechał, jak tamci. Dlaczego pytasz mnie o takie rzeczy?

– A ty, Mario?

Niedopałek powędrował na trawnik.

– Jak myślisz? Stałbym tu z tobą, gdybym nie czuł się bezpieczny?

– Raz, prawda?

– Co, raz?

– Raz już go wiozłeś.

Kiwnął głową.

– Niektórzy wierzą w tę opowieść, niektórzy nie – poklepał mnie po ramieniu. – Chodź. Trzeba wracać. Nic dobrego nas tu nie spotka.

Odpowiedziałem, że zaraz przyjdę. Mario pożyczył mi pomyślnych wiatrów i trzasnął drzwiami. Spojrzałem na niego. Siedział z rękami na kierownicy. Chciało mi się palić. Myślałem o Kamilu i o tym, że gdy się obróczę, będzie stał za mną. Obejrzałem się, ale zobaczyłem tylko nieme bloki i dwóch młodych chłopców palących blanta pod śmietnikiem.

Pojechaliśmy.

– Niektórzy nie wierzą w tę historię – powiedział na pożegnanie – jak twój ojciec.

– Masz opowieść – powiedziałem do Przemka. Siedzieliśmy w „Albo Taku”, tam, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przemek miał do mnie żal, że załatwiłem to samemu.

– Z tobą nie chciałby gadać – tłumaczyłem. – Jestem synem jego przyjaciela. Uznał, że jest mi to winien. Tak sędzę.

Przemek był wyraźnie niezadowolony. Zasypał mnie zarzutami.

– A tych dwóch gości, którzy go utłukli? Dziewczyna Kamila na pewno żyje. Można by...

Pociągnąłem piwa.

– Nic nie można, Przemek. Pójdziemy do niej. Znajdziemy tych dwóch. Czy będą chcieli z nami mówić? Jak ich przekonasz?

– Są sposoby.

– Można wkładać jaja w imadło albo porwać matkę. Co im opowiesz historię o duchu? Poznamy szczegóły. Nic więcej. Dowiesz się, czy kopali go w brzuch, czy w głowę. Albo czy ta jego panna ma już dzieci i waży trzysta kilo. Czy o nim pamięta. Znamy prawdę.

Spojrzałem na Przemka. Zrozumiałem, że ma ochotę na małą krucjatę przeciwko reneгатom ze świata zmarłych. Chciał wytropić ducha, odesłać do piekła z pomocą czarodziejskich zabawek. Nie chciało mi się z nim gadać.

– Widziałeś o jeden film za dużo – powiedziałem.

– Nie wiemy jeszcze jednego. Kto był tym taksówkarzem.

– Tego – dopiłem z ulgą piwo – nie dowiemy się nigdy. I nie potrzebujemy wiedzieć.

Pożegnałem się i wyszedłem. Nie spotkaliśmy się więcej. Nie czułem się w porządku wobec Przemka – to drugi powód, dla którego go unikałem. Pamiętam, jak Mario tłumaczył się na Skarbmierza, jak machał dłońmi, krzyczał i furczał. Wyciągnąłem z tego wnioski i trzymałem pysk na cztery spusty.

Jeśli powiedziałem Przemkowi prawdę, to tylko taką, że nie ma sensu grzebać dalej w tej historii.

IV

Opowieść o Kamilu wróciła, kiedy prawie zapomniałem. Minęły dwa lata. Zrobiłem licencjat, młoda zaczęła umawiać się z chłopcami, matka doszła do siebie. Nowe życie, jakie by nie było, weszło nam w krew.

Ja także się zmieniłem. Trudny okres mam już za sobą. Znalazłem sobie pracę i dziewczynę. Robię przy komputerach. Mało wdzięczne zajęcie, ale jest z tego trochę grosza. Myślę o wyprowadzce z domu. Pora zacząć nowe życie, zarówno dla mnie, jak i dla mamy.

Co miesiąc chodzę na grób ojca i odkładam z wypłaty na zmianę grobowca z ziemnego na marmurowy. Jemu pewno wszystko jedno, ale lubię wiedzieć, że pamiętam.

Narkotykowe zawieje przeszły obok, jestem dzieckiem jabcoka w parku, nie kwasa pod językiem. Lubię chłapać parę głębszych i wracać do domu piechotą, choćby z drugiego końca miasta. Świat wydaje się prosty i zrelaksowany, jak jeź, który położył kolce.

Wracałem z popijawy w akademiku. Zawsze wybieram główne drogi i maszeruję środkiem chodnika, prosto, żeby nie zgarnęli do izby.

Z pewnych źródeł wiem, że wpierdol można dostać za nic.

Wyszedłem z akademików AGH i, odprowadzany wrzaskami z okna, przeszedłem na przełaj przez trawnik i dotarłem do Czarnowiejskiej. To jasna, szeroka ulica. Latarnie odbijały się w kałużach. Nie uszedłem stu metrów, gdy stanął przy mnie samochód. Zatrąbił. Mario.

– Wskakuj. Właśnie zjeżdżam. Podrzucę cię.

– Myślałem, że nie jeździsz nocą.

Otworzył drzwi obok siebie.

– Coraz ciężej. Nie włożę dzieciakowi korka w tyłek. Ruszyliśmy. Nie widziałem Maria pół roku i prawie się nie zmienił – gdy spojrzał w lewo, dostrzegłem, że łysina przypuszcza frontalny atak na potylicę. Wciąż nosił te kretyńskie szelki i śmierdział. Zagadnął, co u mnie. Odpowiedziałem, że po staremu.

– Au mnie, Andrzej, zmiany, zmiany i jeszcze raz zmiany – wetknął papierosa w gębę. – Dużo ostatnio się dzieje i jeszcze nie wiem, czy to dobrze, czy całkiem na odwrót. Życie jest jak trawienie dziewictwa w burdelu.

Nie załapałem.

– Niby wszystko gra. Komfort, pytam się ciebie, jest? No jak miałoby nie być? Fajnie jest? A jakże. Tylko coś nie gra, a ty nie wiesz, co.

– Kolega chciał kiedyś do burdelu. Też go cnota męczyła.

– Popatrz, teraz nawet młodych przyciska. I co?

– Poradziłem mu, aby dopłacił pięćdziesiątkę, żeby go kurwa przytuliła.

Zarechotał.

Staliśmy chwilę na światłach. Mario skręcił, dodał gazu.

– Też metoda. A ja się rypnąłem, Andrzej. Strasznie. Rzekłbym, fatalnie. Moja wina, nie będę pierdolił, ale jest jak jest i, mówiłem już, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Twój stary powiedziałby mi to i owo.

Mknęliśmy dwupasmówką w stronę Kazimierza. Mario zaczynał mnie męczyć. Wyszedłem z imprezy, żeby nie słuchać takich gadek. Pierdoli, co mu ślina przyniesie, myślałem, a jak ścisnąć, zbić, nic nie zostanie, tylko woda. Zapaliłem, nie pytając Maria o zdanie.

Na drodze stał radiowóz i musieliśmy zwolnić. Zapiąłem pasy. Zbliżyliśmy się, dostrzegłem, że obok suki stoi karetka i policyjny opel. Mundurowi stali bezradnie, jeden coś pisał, drugi nerwowo krzyczał do telefonu. Na słupie rozsmarował się samochód i to tak fatalnie, że w pierwszej chwili nie poznałem ani marki, ani koloru. Zatrzybiłem dopiero przy następnych światłach.

– Mówiłem już, że się pomyliłem – powiedział Mario. Dodał gazu.

Myślałem, że jedziemy wieczność, że nad głową przewalają mi się noce i miesiące. Milczeliśmy. Patrzyłem przed siebie. Mario jechał pewnie, rozchlapując kałuże, siał postrach wśród kotów, brał niebezpieczne zakręty, jak zawsze miał w zwyczaju, prawie wpadając na chodnik. Zatrzymał się gwałtownie. Poleciałem do przodu.

– Kurs masz gratis. Odpiąłem pas.

Spodnie na tyłku miałem mokre.

– Trzymaj się, Mario.

Zacisnął mi rękę na ramieniu. Była ciepła.

– Jeśli chcesz, mogę zawieźć cię dalej. Dużo dalej – przełknął ślinę. – Możesz zobaczyć ojca. Myślę, że może być fajnie.

W jego oczach nie znalazłem niczego, co świadczyłoby o nieszczerości.

– Innym razem, Mario.

– W to akurat nie wątpię.

Trzasnąłem drzwiami, przeszedłem parę kroków i odwróciłem się. Mario ruszał.

– Wielu dobrych kursów! – zawołałem za nim.

Stałem na chodniku i patrzyłem, jak oddala się, unosząc rękę w geście pożegnania. Spaliłem papierosa, opróżniłem kieszenie, wyrzuciłem spodnie w krzaki i w bokserkach wróciłem do domu. Zrozumiałem, dlaczego Mario się pomylił. Jechał z Kamilem trzykrotnie – pierwszy raz zawiózł go na Olszę, po śmierć.

Bąłem się, że nie zmrużę oka, ale zasnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

KACPER KŁAPACZ

I

Niech leje, pomyślał Farmazon, może pracć zabami do końca świata. Przez rozbite okno wpadał deszcz, zalewał tapczan i biurko pokryte drobinkami szkła. Wydawało się, że jest grudniowa noc, a nie maj, niespełna piąta po południu. Farmazon widział z okna wierzchołek kasztanowca i czarny młyn burzowych chmur. Błyskawica rozpruła niebo, w jej świetle Farmazon dostrzegł las i garść domków, jak w mgnieniu czarno-białej kliszy. Wiedział, że musi iść, ale nie potrafił podnieść się z krzesła.

Ten deszcz jest przyjacielem. Farmazon zaraz wstanie i wyjdzie, nie, wybiegnie, zleci po schodach na złamanie karku, przemknie koło kwadratu Mikołaja, minie piętro ziomali, minie pokój pani Halinki i gdy znajdzie się na dworze, burza go ochroni. Mówili, że ten deszcz jest niezwykły, że skrywa śmierć i zemstę z za grobu. Ale to nieprawda, sami rozlali krew. Żaden duch, żadna zła siła nie miała z tym nic wspólnego. Trzeba iść. Pod oknem leży martwy człowiek.

Otworzył reklamówkę i zanurzył rękę w pieniądzech. Zwykle przyjemny szelest stułotówek brzmiał jak zgrzyt drzwi w celi śmierci, jak głuchy stukot zapadni. Po plecach Farmazona przebiegł chłód. Przeraził się, że wziął na siebie zbyt wielką winę i nigdy jej nie przegna. Bogaty, gdzieś daleko, co noc będzie śnił o tłuczonym szkłe. Ale nie, Farmazon uśmiechnął się do siebie. Z winą jest jak z nieszczęśliwą miłością. Życie wydaje się nie do zniesienia, lecz wszystko mija. Po deszczu wstaje słońce.

Trzeba iść, cholera, nie wolno tu dłużej zostać. Farmazon zapalił. Spojrzał na zalany stół, przemoknięte łóżko, kilka książek, discmana utaplanego w wodzie, garść papierów, wreszcie na wybite okno. Zorientował się, że deszcz pada także na niego, być może stąd chłód. Farmazon był cały mokry. Rzucił papierosa w kałużę, upchnął reklamówkę do plecaka, zgarnął kluczyki.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i na progu stanął Mikołaj. Farmazon odwrócił się gwałtownie, klucze wypadły mu z rąk i zadzwoniły o podłogę. Cofnął się pod ścianę, przycisnął plecak do piersi. Mikołaj ruszył w jego stronę, zlany krwią, błydy i martwy. Farmazon niemal czuł od niego trupi odór. Chciał powiedzieć, że to nie jego wina, po prostu się tak złożyło, ale wiedział, że to nieprawda. Nie mógł wykrzusić słowa. Patrzył, jak duch przyjaciela podchodzi do stołu i sięga do kieszeni kurtki. Oczy Mikołaja patrzyły obojętnie w przestrzeń.

Gdyby teraz Farmazon rzucił się do przodu, być może zdołałby minąć Mikołaja i wybiec przez otwarte drzwi, jednak nie mógł oderwać wzroku od upiornych dłoni. Mikołaj najpierw wyjął krzyż, ten sam, który nosił na szyi Staszek-Deodoro. Farmazon wciągnął powietrze i wreszcie odzyskał głos.

– Zostaw. Zostaw proszę. Dlaczego mi to robisz?

Obok krzyża (wielkiego na łokieć, z dębowego drzewa i polakierowanego na czarno) znalazł się pierścionek Reni, prezent od Roberta z okazji pierwszej i jedynej rocznicy ślubu. Znów błysnęło za oknem, można by pomyśleć, że to grzmot uderzył o framugę.

W niebieskim świetle pierścionek zalśnił, jakby był obdarzony czarodziejską mocą.

– To nie tak miało być – wykrztusił Farmazon. – To nie tylko moja wina! To wina nas wszystkich!

Do krzyża i pierścionka dołączył podłużny, ostro zakończony kawał szkła z rozbitego okna. Mikołaj odwrócił się w stronę Farmazona.

Biel jego twarzy była bielą arktycznego śniegu. Przez środek czoła sunęła czerwona strużka. Oczy sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały pęknąć niczym worki z bladą wodą. Ręka o drobnych palcach powędrowała do czoła, starła krew i wysunęła się w stronę Farmazona.

– Nie żyjesz – wykrztusił Farmazon. Za drzwiami zamajaczył cień. Czy to inni idą po niego? Renia, Deodoro, może nawet jego brat? Słodki Jezu, to przecież nie dzieje się naprawdę! Ale widział dosyć, by wierzyć we wszystko, co widzi. Farmazon rzucił się do stołu i pochwycił kawałek szkła. Mikołaj nie próbował mu przeszkodzić.

– Nie żyjesz – powtórzył Farmazon – i nie możesz mi nic zrobić.

Plecak z pieniędzmi poleciał w kąt. Farmazon zacisnął palce na odłamku.

II

36 godzin wcześniej

Farmazon zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Był maj, ale słońce prażyło jak w lipcu. Farmazon zapalił i zadowolony z siebie ruszył dziarskim krokiem w stronę bloku. Parkował w oddaleniu, bo do Kacpra nie dochodziła żadna droga. Farmazon był szczęśliwy – za dwa dni opuści to miejsce i zapomni o nim.

Blok zwany Kacprem Kłapaczem powstał u zmięzchu epoki gierkowskiej, jako zapowiedź niedosłęgo osiedla. Kraków rozrastał się w stronę Wieliczki, a dzisiaj Kacper Kłapacz jest jednym z nielicznych, smutnych wspomnień nieudanej ekspansji. Zabrakło pieniędzy i budowa osiedla stanęła. Pozostał tylko jeden blok, pozostawiony na gnicie i zatracenie. Powinien przepaść, wyburzony prawem maszyn lub zmęczenia materii, opuszczony i niezamieszkały. Jednak dekadę po wybuchu wolności zyskał szansę na nowe życie.

Mikołaj powiedział kiedyś, że Polska jest dziś tylko w takich miejscach jak Kacper Kłapacz. Tu nie dochodzą długie ręce urzędników, na tę podkrakowską rubież nie docierają lotne myśli architektów i urbanistów. Tu nikt nie płaci podatków, powrócił handel wymienny. Być może Kacper Kłapacz nie istnieje naprawdę, zrodził się w wyobraźni wszystkich marzycieli świata, myślał zadowolony Farmazon, to jedyne miejsce, gdzie pani Halinka może żyć ze swoimi psami, Deodoro bredzić o bezimiennych bóstwach, a Renia z Mikołajem kłócić się i planować życie.

Farmazon zapytał kiedyś Mikołaja, czemu władze nie zamkną Kacpra, czemu nie zjawią się tutaj stalowe smoki i nie zjedzą staruszka aż do korzeni. *Dzisiaj państwo może funkcjonować tylko wbrew sobie*, odparł wtedy Mikołaj, zaciągając się jointem, *zrozum człowieku, oni tam na górze świetnie wiedzą, że tworzą świat, w którym nie da się żyć. I zgadzają się na istnienie enklaw, targowisk pełnych pirackich ciuchów, gdzie nikt nie płaci podatków, internetowych aukcji i takich tam, także na nasze miejsce*. Farmazon zgodził się z nim w zupełności.

Dziesięć pięter Kacpra wznosiło się ku słońcu, ogrodzone z jednej strony lasem, z drugiej brudną łąką, za którą ciągnęły się łańcuszki domów. Po lewej biegła droga na Wieliczkę, po prawej widać było dalekie bloki Bieżanowa. Ciemne ciało Kacpra znaczyły blizny i znamiona – odłupany tynk, wybite szyby, napisy zrobione niezdarnie czerwonym sprayem. KACPER KŁAPACZ, widniało po lewej stronie pierwszej klatki, NASZ DESZCZ, dalej BRAT BRATA W DUPE HARATA, KACPER, TY CIULU na samym rogu, w miejscu, gdzie najczęściej stali ziomale.

Kiedy przyjechali do Kacpra trzy miesiące temu, Farmazon nie lubił ziomali. Stereotypy wymyślono po to, by łamali je głupcy, trzymali się ich mądrzy i Farmazon uznał, że każdy facet w spodniach z krokiem przy kolanach, czapeczce i bluzie z kapturem jest narkomanem w najlepszym razie, najpewniej złodziejem lub czymś gorszym. Ale tutaj ziomale byli spoko, dało się zrobić interes, napić się, zapalić lufę. Mikołaj opowiadał, że kiedyś widział, jak kolesie z pobliskich domków próbowali poturbować Deodora. Ziomale ruszyli i o gnojkach przypomina teraz krwawy półokrąg pod oknem pani Halinki. Podobno Krauze, ten sam, od którego Farmazon kupuje piwo, rozsmarował gówniarzowi pysk na ścianie. Ziomale są, jacy są, lepiej mieć ich po swojej stronie. Nigdy nie zrobili mu krzywdy.

Ziomale siedzieli pod napisem KACPER KŁAPACZ. Był Krauze, wysoki, chudy gość z nosem

pożyczonym od baby jagi, był jego kumpel Motylek, chudy i drobny, ale biada każdemu, kto próbowałby zaczepić Motylka. Reszty Farmazon nie znał lub znał słabo. Zresztą to przecież ziomale, podobni sobie, ujarana masa ludzka. Gdyby ziolo mogło człowieka przeanielić, poleciliby wszyscy do królestwa w niebie, w równych rządach, czwórkami, ziomal za ziomalem.

– Jak jest, Farmazon? – krzyknął Krauze.

– Dobrze jest – odpowiedział Farmazon, *lepiej niż myślisz*, dodał w myślach. Krauze stracił nim zainteresowanie, zgarbił się, przejął lufę od Motylka. Farmazon poszedł dalej i dochodził już do klatki, gdy dopadł go Filipek, jeden z czterech psów pani Halinki. W wąłym ciele Filipka zmieszało się wszystko, co w psach paskudne. Niewidzialna ręka genetyki obdarzyła psinę ślepiami tak wyłupiastymi, że wyglądały jakby zaraz miały wyskoczyć z czaszki i poturlać się po ziemi. Tłusty korpus trzymał się na krzywych, przeraźliwie chudych łapkach, czarnych u góry, z dołu białych, po środku Bóg jeden wie, jakiego koloru. Filipek ujadał potwornie bez względu na sytuację. Dopadł nogi Farmazona, otarł się, zaraz odskoczył i zaszczekał.

– Halinka musi cię bardzo kochać – powiedział Farmazon.

Pani Halinka wytoczyła się z za bloku, w towarzystwie pozostałych trzech psów. Farmazon nie znał historii pani Halinki, wiedział tyle, że ma nierówno pod sufitem, nie tak jak Deodoro, ale całkiem zdrowo, siedem punktów, zakładając, że Deodoro ma dziesiątkę. Wynurzyła się z za bloku, miała złotawe buty (Farmazon pamiętał jeszcze czas ich świetności), koszulę w słońca i palmy, na niej dzinsową kurteczkę, zbyt wąską w ramionach i za szeroką u dołu. Za tydzień te ciuchy znikną w foliowym worku, zawiązanym na supeł, ciśniętym w kąt mieszkania. Pani Halinka nie prała ubrań, co poniedziałek szturmowała szmateksy, by wrócić do Kacpra z naręczem łachów na najbliższy tydzień. Podobno jej mieszkanie wypełniają zawiązane worki pełne ciuchów, a pani Halinka toczy sobie drogę niczym kolorowy termit.

Kiedyś musiała być piękną kobietą, pomyślał Farmazon, *ale było to tak dawno, że sama tego nie pamięta*. Jej kurteczka łopotiała na wietrze. Pani Halinka wyglądała, jakby zaraz miała unieść się w powietrze. Filipek przypadł do niej, schyliła się i ujęła psią mordę w dłonie.

– No, Filipek, no przyszedłeś do pańci. Pańcia nie lubi, jak Filipek się oddała.

Cmoknęła Filipka w nos. Farmazon próbował ich wyminąć.

– Poczęstowałbyś mnie! – pani Halinka dosłownie zmaterializowała się przed Farmazonem. Farmazon bez słowa wysunął paczkę w jej stronę.

– To dziwne, prawda? Takie słońce tak wcześnie w tym roku – zagadnęła.

– Jest maj – zauważył Farmazon. Pani Halinka oparła się o ścianę.

– Ja sobie myślę, to to specjalnie grzeje naszego Kacpra, wiesz, Farmazon, żeby było dobrze. Żeby było lepiej.

– Święte słowa – rzekł Farmazon. Podpalił pani Halince spike'a i wszedł do domu.

– Ale spadnie deszcz – usłyszał. – Zawsze spada.

Deodoro przyleciał z innej planety, to pewne. Farmazon zastał go siedzącego na schodach, z kolanami zaciśniętymi na rękach i wpatzonego w sufit.

– Niedługo – powiedział do Farmazona.

– Nic nowego – odparł Farmazon. „Niedługo” było ulubionym słowem Deodora.

– To wszystko półprawdy – stwierdził Deodoro – to papierowy świat, nie widzisz tego, chłopcze Farmazonie. Zobacz – przyłożył palec do stopnia. – Gdy mocniej nacisnę, powstaje wgłębienie. Gdy patrzę na ciebie, jesteś płaski. Gdy widzę naszego Kacpra, cóż, z Kacprem bywa różnie. To dobry dom. Zobacz. Posłuchaj, chłopcze Farmazonie.

Deodoro rozsiadł się tak, żeby nie dało się go wyminąć i Farmazon był przekonany, że zrobił to specjalnie. Mężczyzna przyłożył ucho do ściany, podniósł palec do ust i powiedział:

– Słyszę, jak bije jego serce. To dobry dom.

– Puścisz mnie? – poprosił Farmazon.

– Ale to papier i papierowe serce – Deodoro podniósł się ociężałe – takie same jak nasze. Tylko prawa boskie są inne.

Przygryzł wargi.

– Prawa boskie są z żelaza – oświadczył.

– Rozumiem – przyznał Farmazon – powiedz mi lepiej, nie jest ci za gorąco?

– W Kacprze? – zaśmiał się Deodoro. – Nie, tu nigdy nie jest za gorąco.

Niezależnie od pogody, Deodoro przywdziewał ten sam strój, które to przyzwyczajenie stanowiło przyczynę smrodu. Spodnie, niegdyś beżowe, stały się czarne i wytarte na kolanach. Deodoro miał też sweter z golfem i marynarkę w jodełkę, rozdartą na plecach i postrzępioną na rękawach. Z szyi zwisał mu drewniany krucyfiks, długi na łokieć, a Chrystus wyglądał, jakby robił za dniówkę i zaraz miał schodzić na przerwę śniadaniową. Z Deodora zwisały dziesiątki świętych obrazów, poklejonych w łańcuchy długie do ziemi. Farmazonowi przypominał bosą choinkę. Deodoro miał ogromne stopy o stwardniałych podeszwach i połamanych paznokciach. Przycisnął się do ściany, na znak, że nie chce utrudniać przejścia.

– Niedługo – powtórzył, gdy Farmazon zniknął na zakręcie.

Telefon zadzwonił już na czwartym piętrze, gdzie mieszkali Mikołaj i Renia. Farmazon patrzył długo na migoczący ekran komórki, ale w końcu odebrał.

– Słucham?... No, to ja... Wiem. Nie, przecież mówię, że wiem. Chwila przerwy.

– W porządku, dobrze, ja rozumiem. Poszło priorytetem trzy dni temu... No przecież mówię.

Farmazon zatrzymał się, otarł usta.

– To nie tak, że ja pana nie rozumiem. To jasne, zupełnie jasne. Moment, ma pan dostęp do netu? Bo ja panu mogę dowód nadania przeskanować. To się pan upewni.

Pauza.

– Ja tylko mówię, że polska poczta jest, jaka jest. Rozesłałem ze dwadzieścia paczek w tym tygodniu, wszystkie doszły, więc naprawdę nie rozumiem, znaczy ja rozumiem pana powód do niepokoju, z tą różnicą, że przecież...

Zmarszczył brwi.

– Co pan mówi? Ja wiem, że pan się denerwuje. Jak nie dojdzie do jutra, proszę dzwonić. Proszę po prostu zadzwonić.

Farmazon rozłączył się, obrócił telefon w ręce i wyjął kartę.

– Dosyć tego dobrego – powiedział do siebie, przełamał kartę i zastukał do drzwi Mikołaja.

Mikołaj miał minę, jakby właśnie wylizał spluwaczkę. Siedział na materacu, w rogu pokoju z dłońmi na kolanach.

– Myślę, że za późno, żeby to roztrząsać – powiedział.

– Tu masz rację – odparła Renia – na wiele jest za późno. Trzeba było myśleć, nim znaleźliśmy się tutaj.

– To był pomysł Farmazona – rzucił Mikołaj. Nienawidził takich rozmów, do niczego nie prowadzą. W roli worka treningowego czuł się fatalnie, szczególnie że znał wszystkie kombinacje ciosów.

– A ty musisz za nim na sznurku tak? – Renia stała w oknie i patrzyła na kasztan. Z gęstej zieleni wystawały nagie konary.

– Nie ty – my, Reniu – Mikołaj podniósł się z materaca, podszedł do Reni, chciał ją objąć, ale cofnął się i opadł na krzesło.

– Ja poszłam za tobą. Teraz myślę...

– Nie byłaś sobą – dopowiedział z przekąsem.

– Jak mogę być sobą tutaj, popatrz tylko na to – ręka dziewczyny zatoczyła łuk po pokoju, jakby chciała oskarżyć odrapany stół, wylewkę na podłodze i gołą żarówkę, że są, jakie są. – I jeszcze ta wasza machlojka, tu w tym syfie, Mikołaj... Zobacz tylko. Miał być tydzień, dwa, zrobiły się trzy miesiące. I co teraz mi powiesz? Że za dwa dni to zostawiamy?

– Zostawiamy. Obiecałem.

Renia odwróciła się w stronę Mikołaja. Niedopałek poleciał za okno.

– Farmazon obiecał. Co byś zrobił, gdyby powiedział, że trzeba tu zostać?

– Nie możemy tu zostać – stwierdził Mikołaj. – Mamy już pieniądze.

– Co byś zrobił, gdyby ci kazał zostać?

– Farmazon niczego mi nie kazał – wzruszył ramionami. – Zrobiłem to dla nas.

– To? – Renia kopnęła stos książek pod oknem.

– Jutro wyjedziemy. I zostawimy wszystko za sobą.

Wiesz, czego nauczył mnie Robert? – teraz rozpląkała się na dobre. – Nigdy niczego nie zostawiamy za sobą. Mój błąd. Myślałam, koniec z podmywaniem tyłka, koniec z chorym, złośliwym, przedwczesnym starcem. I poszłam za tobą, może głupia byłam, może głupia jestem teraz. Ale już wiem, że pewnych rzeczy nie da się zostawić.

– Reniu... Renatko – Mikołaj spróbował ją objąć. Renia zeszywniała mu w ramionach. – Myślisz, że mi tutaj jest dobrze, że ja się nie boję?

– Trafimy do więzienia – wyzwoliła się z objęć. – Wszyscy.

– Nikt nie pójdzie do więzienia.

– Bo Farmazon nas ochroni? – prychnęła.

– Nie zwalaj wszystkiego na Farmazona – poprosił Mikołaj.

– Masz rację – podniosła głos, twarz jej poczerwieniała. – To nie wina Farmazona. To twoja wina, bo dałeś się mu omotać dla neurotycznej przyjaźni. Co ci w nim imponuje, że ćpa, że ciebie ćpać nauczył? Dałeś się tu zaciągnąć, oszukujesz ludzi w internecie i siedzisz ze mną, bredząc, że jutro będzie lepiej? Jutro? Od jutra zawsze będę oglądać się za siebie.

– Nic się nie stanie – obiecał – jesteśmy mądrzy.

– Masz rację – stwierdziła zgryźliwie. – To nie twoja wina. Powinnam tu nie przyjeżdżać.

– Reniu, ja cię proszę...

– Nie ma już, że proszę, nie ma, rozumiesz, Mikołaj?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Renia usiadła przy stole. Jeździła palcem po brzegu szklanki. Otarła oczy i spojrzała na Mikołaja.

– Ja też nie rozumiem. A wiesz, co to znaczy? Że zapętliliśmy się, ja i ty.

Farmazon zapukał trzy razy i wszedł do mieszkania. Lubił Renie prawie tak bardzo jak Mikołaja, ale z innych powodów.

W Reni uwielbiał drobne inicjatywy w przekształcaniu otoczenia, tyle zabawne, co bezsensowne.

Ozdobić tę norę, w której żyła z Mikołajem to nonsens, ale uroczy nonsens. Szafki nad zlewem Farmazon pamiętał doskonale, jak z Mikołajem targali je ze śmietnika, a Renia przemałowała na żółto-niebiesko i teraz należały do tej samej bajki, co kolorowa pościel na materacu i radosne kubki z Ikei, stojące w rzędzie na odrapanym stole. Grzyb na ścianie przypominał trochę Afrykę, czego Renia nie umiała docenić i rozwiesiła na nim kilkanaście małych zdjęć, przedstawiających kotki, psy oraz ją z Mikołajem. Aż dziw, że nie zrobiła klosza na żarówkę ze srajtaśmy i nie obkleiła tektury w oknie w kwiatki i króliki. *Kochana dziewczyna, strzelona trochę, ale naprawdę kochana*, myślał Farmazon wchodząc do środka.

Mikołaj krążył po pokoju. Renia siedziała przy stole nad szklanką pełną fusów i patrzyła na Farmazona z wyrzutem.

– Wiem – uprzedził ją Farmazon. – Tu się puka.

Renia wbiła wzrok w szklankę. Mikołaj zamachał rękami na znak, że nie jest dobrze. Farmazon wszedł do środka.

– Ja na moment – wyjaśnił. – Może fajkę? Renia zapaliła w milczeniu.

– Jezu, umarł ktoś?

– Daj spokój, Farmazon – poprosiła Renia. – Wchodzisz tu jak do siebie.

Mikołaj westchnął teatralnie.

– Przyszedłem powiedzieć, że wyrzuciłem kartę – rzekł Farmazon. – W samej rzeczy. Właśnie to zrobiłem.

– Szybko się połapali – zauważył Mikołaj.

– Wcale nie – Farmazon usiadł na brzegu stołu. – Po prostu kończą mi się wymówki. Jutro pojedę do banku. Wybiorę resztę pieniędzy.

– Jeśli jeszcze coś przyjdzie – rzuciła Renia znad szklanki.

– Przyjdzie. Jest jeszcze gość od tej minolty, co miał wpłacić wczoraj. I typek od dwóch monitorów.

– Płaskich siedemnastek? – zażartował Mikołaj.

– Ciekłokrystalicznych – uśmiechnął się Farmazon. – Jeśli nie spienili, to pieniądze powinny być na koncie. A jeśli nawet, więcej tam nie pójde.

– Moim zdaniem, zbyt się pospieszyliśmy – powiedział Mikołaj.

– Wolne żarty. Powiem ci tyle, Miki, dobry oszust nie może zapchać sobie żołądka. Staje się ociężały, biega wolniej, wolniej też myśli. Nadążasz?

Mikołaj skinął głową.

– Czytałem o innych przekrętach na Allegro czy w ogóle, na aukcjach w internecie. Kolesie wpadali,

bo chcieli więcej i więcej. Patrzyli na rzekę z forsą, mówili w nieskończoność, tak jak ty: „jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden dzień”, a potem bęc, zagalopowali się i lądowali w ciupie, bez forsę. Dlatego, Mikołaju, trzeba wiedzieć, kiedy mówić „stop”, rozumiesz mnie, stary?

Renia przełknęła ślinę. Niedopalony papieros zgasł z sykiem w fusach.

– Mogłeś być mądrzejszy wcześniej, Farmazon – powiedziała. Farmazon wstał ze stołu.

– Przepraszam, że zawracałem wam głowę – oświadczył. – Bawcie się dalej, dzieci.

Zatrzymał się już za drzwiami.

– Idziesz do mnie, Mikołaj? – zagadnął. Mikołaj spojrzął na Renie, westchnął, wysypał kilka papierosów na stół i z paczką w dłoni ruszył do wyjścia. Zamknął za sobą drzwi bez słowa.

– Pięknie. Po prostu pięknie – powiedziała Renia.

Farmazon mieszkał na piątym piętrze, najwyżej w całym Kacprze. Wyżej były tylko ruiny, puste mieszkania bez drzwi, gdzie nie zapuszczali się nawet ziomale. Tylko Deodoro czasem wędrował po bloku, hucząc i bucąc. Mikołaj często widywał jego sylwetkę sunącą od okna do okna na szóstym piętrze, koło mieszkania numer sto szesnaście, zabitego deskami, gdzie nikt nie wchodził. Piąte piętro Kacpra stanowiło granicę między światem ludzi a nieznanym, między życiem i umieraniem, i właśnie tutaj mieszkał Farmazon.

Kiedy się wprowadzali, wybrał trzypokojowe mieszkanie, włamał się i zamontował nowy zamek. Do niedawna był niepotrzebny, bo Farmazon nie posiadał nic, z czego mógłby zostać okradziony. Teraz sytuacja się zmieniła, pod materacem leżało siedemdziesiąt tysięcy złotych plus drobiazgi zdarte z uczestników internetowych aukcji. Farmazon siedział na brzegu łóżka i pił herbatę. Mikołaj myślał o Reni i patrzył na kasztanowca.

– Niedługo się zawali – stwierdził. – Spadnie nam prosto na pysk.

– Eeee – Farmazon odwrócił głowę – nic z nim nie będzie. Zwali się na łeb Deodora jako znak od Boga.

– Pewno jest całkiem pusty w środku – powiedział melancholijnie Mikołaj.

– Deodoro? Możliwe – zgodził się Farmazon. Podszedł do Mikołaja. – Co się dzieje, stary?

– Nic, co by się nie ułożyło – Mikołaj oparł dłonie na parapecie. Gęsta plwocina trafiła w kasztan. – Po prostu Renia nie rozumie pewnych rzeczy.

– Mówiłem.

– Nie stać jej na wynajęcie mieszkania.

Teraz już stać – Farmazon wskazał na materac. – Wiesz, to tutaj jest zabawa, jeśli żyjesz samemu. Ja traktuję to w kategoriach przygody, jej pewno trudniej. Wiesz, tu jest ciągła partyzantka, ciągły piknik. A ona jest starsza od nas, jej tak to nie bawi. Mógłbym oczywiście powiedzieć, że wiedziała, w co się

pakuje, ale to nie byłby dobry pomysł.

– Rzeczywiście – przyznał Mikołaj.

– Coś skręcę – Farmazon wydobył bibułki, ukruszył tytoń z papierosa i zaczął mieszać ze skunem.

– O to też się wścieka – rzekł Mikołaj. – Twoje akcje lecą w dół.

– Nigdy nie były przesadnie wysoko – przyznał Farmazon – co nie powinno cię ani martwić, ani cieszyć. Twój kłopot jest z tych, co rozwiązują się bez naszego udziału. Zobacz, jutro wyjmę resztę pieniędzy, pojedziemy do Wrocławia, tam się rozdzielimy. Odpoczniesz od Farmazona, zajmiesz się nią, wynajmiecie nowe mieszkanie, dziewczyna zajmie się jego urządzaniem, zobaczysz, wszystko wam się poukłada. To wina sytuacji.

Mikołaj lubił patrzeć, jak Farmazon skręca blanta. Nikt nie robił takich ładnych. Blanty ziomali były grube i nierówne, z końcówką „na odwal się” i niedbale wmontowanym ustnikiem. Blanty Farmazona były cieniutkie, ubite, twarde jak cegła, smukłe i ślicznie zakończone niczym kościelna wieża. Mikołaj patrzył na palce Farmazona i wreszcie wyrzucił to, co najbardziej leżało mu na sercu.

– To nie chodzi o Allegro ani warunki życia tutaj. Chodzi o Roberta.

Farmazon przestał skręcać.

– W takim razie mamy kłopot – powiedział.

– Ja tego nie rozumiem. Kiedy zaczęliśmy się spotykać, nie było dnia, żeby na niego nie klęła, czasami mówiła tylko o tym. Wcale się nie dziwiłem, przeciwnie, żał mi jej było. Myślałem, facet starszy o dwadzieścia lat, przykuty do łóżka, srający pod siebie, niezdolny do zwalania konia, nie mówiąc już o czymkolwiek więcej, to miała być jej przyszłość? Praca w przedszkolu?

– Sama za tobą poszła.

– Sam ją namówiłem – uzupełnił Mikołaj – i nie przypuszczałem, że Robert umrze.

– Młoda wdowa.

– Śmiej się. Nie przypuszczałem, że ona tak to przeżyje. To nie jej wina, równie dobrze mogła być wtedy w pracy. On po prostu umarł, było prawie pewne, że niedługo umrze. A ona mówi, że to przez nią. I wytłumacz jej to, staram się, naprawdę, staram się być dobry.

– I wszystko odbija się na twojej dupie – zauważył Farmazon. – Zmartwię cię trochę, z tym nic nie zrobisz, na babską wkrętkę nie ma rady.

– Ona nie jest głupia.

– I co z tego, człowieku, może być mądra jak telewizor, nic to nie zmieni. Będzie się gryźć i zadręczać, wylewać na ciebie pomyje, nie dlatego, że nawet ma żal do ciebie. Jesteś najbliżej, to wszystko, a dziewczyna po prostu nie radzi sobie ze sobą. Zobacz, siedzi w domu cały dzień, co z tego, że pojedzie do przedszkola te trzy razy w tygodniu? Więc siedzi w domu, czasem pójdzie pod kasztan, żadnych

koleżanek. Czy to normalne, żeby dziewczyna nie miała koleżanek?

– Mówi, że jej jest wstyd. Że wszyscy mają pretensje o Roberta.

– Co mogę ci powiedzieć? – Farmazon wzruszył ramionami i zapalił blanta. – Że będzie dobrze? Oczywiście, że będzie, jeśli teraz tego nie spieprzycie. Bo wtedy będziecie tego strasznie żałować, bardziej niż Roberta. Dużo bardziej i to oboje.

Mikołaj skinął głową i przejął blanta. Smakował ziemią.

– Jeśli coś mogę zrobić dla ciebie, jako przyjaciel – ciągnął Farmazon – to spalimy sobie w spokoju i pójdziemy po piwo do ziomali. Krauze pojechał dzisiaj do miasta.

Mikołaj nie odpowiedział.

– Wiem, wiem – roześmiał się Farmazon. – Ale radziłbym ci zejść jej z drogi. Za dwa dni będziecie mieli już tylko siebie.

Renia z zamkniętymi oczyma leżała na łóżku. Pod powiekami przepływały tytuły prasowe.

PONAD 30 UŻYTKOWNIKÓW ALLEGRO DAŁO SIĘ NABRAĆ. OSZUSTWO NA AUKCJACH, POSZUKIWANIA TRWAJĄ.

Dalej:

ARESztOWANO TROJE MŁODYCH LUDZI, OSZUŚCI PRYZNAJĄ SIĘ DO WINY. ZŁODZIEJKA – PRZEDSZKOLANKA. JAK ZROBIĆ BEZPIECZNĄ AUKCJĘ?

Tytuły zlały się w bezładny konglomerat oskarżających liter i nagle wyłoniła się zza nich twarz Roberta, bardzo poważna, z ostrą linią trupich ust i szklanymi oczyma. Robert rozchylił wargi, w ustach zamiast języka błędził kawałek gazety. Zęby również powstały z papieru i nagle lewe oko Roberta wypadło. Z oczodołu wysunęła się szeleszcząca kula.

Renia usiadła na łóżku. Schowała twarz w dłoniach, spomiędzy palców dostrzegła zrujnowane mieszkanie i słoneczny prostokąt okna. Był maj, najpiękniejszy, jaki widziała. Z Robertem także pobrali się w maju, dwa lata temu, ale wtedy było deszczowo, a kiedy wyszli, już po wszystkim, lunęło jak nigdy. Robert śmiał się, że to dobra wróżba. Miał wówczas czterdzieści dwa lata, smukłą sylwetkę i nic nie wskazywało, że od łóżka z basenem dzielą go dwa miesiące. Renia najbardziej lubiła jego ramiona, szczupłe i muskularne, bez tłuszczu, tak że spod skóry prześwitywały fioletowe żyły. Miał dłonie pianisty, o długich palcach, delikatne i szorstkie zarazem. W to majowe popołudnie życie Reni było określone, znała je lepiej niż podróżnik mapę, wiedziała, gdzie mknie chłodny potok, gdzie rosną gorące lasy, któredy trzeba iść, by ominąć bagna. Już w lipcu mapa spłonęła. Robert położył się i nigdy nie wstał.

Podniosła się z łóżka, siadła przed lustrem. Pomyślała, że wygląda okropnie. To miejsce... Od trzech miesięcy żyją w brzuchu Kacpra. Jego wnętrzości gniją, a ona razem z nimi. Wzięła szminkę i Robert powrócił, a wraz z nim chłód.

Jak różnił się od Mikołaja, choć obaj wzięli się z łapanek! Robert pojawił się na ostatnim roku jej studiów, kiedy koleżanki obrączkowały się szybciej niż rasowe gołębie, a świat wokół Reni zmieniał się

w pustynię. Robert wyszedł spod piasku, ze swoim uśmiechem, pieniędzmi, łagodnym ciepłem, ot – człowiek, którego niemal można pokochać. W każdym razie Renia robiła, co mogła. *To szaleństwo, Renatko, mówiła przyjaciółka, zobacz, będziesz miała czterdzieści lat, on sześćdziesiąt czy coś koło tego. Ani się obejrzysz, on będzie starcem.* Rzeczywiście, nawet się nie obejrzała.

Pamiętała, Robert leżał i śmierdział. *Ja nie wiem, co robić, mówiła Mikołajowi na pierwszym spotkaniu, kiedy przysiadł się do niej kompletnie pijany w dementywnej knajpie, daje mi pieniądze, mówi, że kocha, kupił mi dwa koty, kupił samochód, obiecuje, że jeśli go zostawię, zrozumie, ale w jego oczach widzę co innego. Boję się jego rąk, zaciskają się na brzegu łóżka i widzę, że gotów byłby mnie udusić. Potrafi krzyczeć o drugiej w nocy, pieklić się, że idę do pracy. Czasem zastaję go, jak siedzi na łóżku, aż fioletowy, wywija pięścią, mówi, że powinnam mu być wdzięczna, bo gość taki jak on mógłby mieć każdą dziewczynę, nawet teraz. Pewno ma rację. Ale co mam zrobić, skoro nie jestem mu wdzięczna?*

Musisz się wyzwolić, myślała, tak dalej być nie może.

Kiedy zostawiła Roberta, czuła niewysłowioną ulgę. Mikołaj był inny, wszystko, co miał, to discman i para spodni, ale z nim znów zaczęła się śmiać. No i rznął ją porządnie, z całą inwencją wyposzczonego studenta. Tak jak wtedy, w jego pokoju, zapominała o Robercie, tak tu, w brzuchu Kacpra nie przestawała o nim myśleć. Po co mówiła te przykre słowa. Pamiętała ostatnią rozmowę lepiej niż ślub, Robert leżał, niezdolny do ruchu i tylko łąpał powietrze, nie wiadomo – bardziej wściekły czy zrozpaczony. *Nie chodzi o to, mówiła mu Renia, że jesteś chory. Ale ty chcesz, żebym cię po rękach całowała za zaszczyt obmycia ci tyłka, prawda, Robert? Tego tyłka, którym nie umiesz nawet ruszać.* Robert krzyknął, próbował cisnąć w nią zegarkiem, ale był zbyt słaby. I Renia wybiegła, zostawiła koty, kosmetyki, biżuterię, wybiegła jak stała, prosto do Mikołaja, który na nią czekał, troskliwy jak zawsze. *Wtedy, myślała, uratował jej życie.* Tydzień później, przyjechali tutaj, prosto w trzewia Kacpra.

Otrząsnęła się, odwróciła lustro. Gruba warstwa pomadki odcinała się od bladych policzków. Zgarnęła papierosy. Czasem miała wrażenie, że pokój staje się coraz mniejszy, dzień w dzień kurczy się o centymetr. Pewnego dnia zamknie ich w betonowej sferze. Tak jak innych. Kto wie, co jest na wyższych piętrach? Co kryje pokój sto szesnasty? Może Deodoro ma rację i Kacper rzeczywiście żyje, gdzieś w piwnicach tłucze jego serce? I żywi się ludźmi. Tych na wyższych piętrach już pożarł. Teraz przyszedł czas na nią i Mikołaja.

Przestań, nie wolno tak myśleć! Renia zatrzasnęła za sobą drzwi i zbiegła po schodach. Nie zwolniła, popsuła kilka zapalek i zapaliła dopiero na dole, przed klatką, oparta o mur. Nad nią rozciągał się napis. KACPER KŁAPACZ. Z każdym oddechem powracał spokój, jak zawsze, gdy patrzyła na widok przed blokiem. Nagle nabrała przekonania, że wszystko będzie dobrze.

Tego roku drzewa były bardziej zielone niż zwykle, na niebie rozciągał się ekstrakt błękitu, słońce płonęło radośnie. Widziała dachy domków, kolorowe jak na landszafcie, ludzkie drobinki krzątające się wokół, drewniane płoty koloru żywicy i koty, stąd nie większe od mrówek, grzejące się w promieniach popołudnia. Bliżej było już mniej ładnie, na przytarganej ławeczce siedzieli ziomale i czynili to, co każdy porządny ziomal. Lufa krążyła zgodnie z ruchem zegara, butelka odwrotnie. Przynieśli stary magnetofon i słuchali czegoś, czym zachwycał się Farmazon, a Renia nawet nie próbowała zrozumieć. Zastanawiała się, czy nie podejść. Ziomale ją lubili, ale ci byli jacyś nowi. Nie widziała ich wcześniej i nic dziwnego, ziomali w Kacprze było dużo, jedni odpływali, ustępując miejsca nowym. Ze znanych twarzy rozpoznała tylko Motylka, który siedział na rogu i patrzył ponuro w ziemię.

Jednemu z zebranych, krępej kulce z kapturem na głowie, znudziło się siedzenie. Chodził wokół ławki z butelką, palił papierosa i wymachiwał rękami, jakby opędzał się od much. Słyszała jego głos nawet pod blokiem. Przed ziomalem zmaterializował się Filipek z rozmerdanym ogonem, ujadając wściekle. Ziomal nawet na niego nie spojrzał, kopnął na ślepo. Filipek próbował odskoczyć, zamiast w łeb, oberwał w szyję i potoczył się z piskiem po trawie. *Nie wychylaj się, pomyślała Renia, ostatnim, czego potrzebujesz, są kłopoty z tą bandą ćpunów.* Ale zamiast niej wychylił się kto inny.

Do ziomali sunął Deodoro, wrzeszcząc i sapiąc. Sunął z rozwianą marynarką i wirującą chmurą świętych obrazków. Krzyczał jak zawsze, o końcu świata i karze za grzechy. Krępy ziomal odwrócił się w jego stronę.

– Patrz w niebo – sapał Deodoro – patrz w niebo, ty młody durniu! Niech nie zmyli cię błękit, czarne chmury grzechu i pokuty już wiszą nad nami, nie zdołasz uciec, więc błagam, zaklinam, odwróć się od grzechu, padnij, jedź ziemię. Czy nie czujesz zimnego wiatru? Nie słyszysz bicia serca domu?

– Co on pierdoli? – zapytał krępy ziomal, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Deodoro, nie przerywając monologu, dotarł już do ławeczki, minął skomlącego Filipka, zdjął krzyż z szyi i z całej siły przedzwonił ziomalowi między oczy. Chłopak aż zgiął się w pół, oberwał ponownie, tym razem w plecy, ale gdy Deodoro próbował uderzyć po raz trzeci, pochwycił go za nadgarstek. Krzyż wypadł z dłoni, ziomal zamierzył się, Deodoro nie próbował się uchylić. Nagle Motylek zerwał się z ławki, odepchnął łagodnie Deodora i kopnął ziomala w splot słoneczny. Ziomal, nim otrząsnął się z zaskoczenia, dostał dwukrotnie w szczękę, w skroń, na odlew. Stał nieprzytomny, z rozkrzyżowanymi ramionami, z ust buchnęła krew. Cofnął się, splunął, wszystkie siły skoncentrował na tym, by nie upaść. Zaciśnięte pięści zdradzały strach.

– Jesteś popierdolony wariat – warknął. – Popierdolony, słyszysz?

– Uważałbym na twoim miejscu – stwierdził Motylek.

– Zapłacisz mi za to – ziomal posłał czerwoną mele między krzaki.

– Stul się tam lepiej – odezwał się ktoś z ławki – i zbieraj się stąd. Dobra rada.

Ziomal opuścił bezradnie dłonie, spojrzał z wściekłością na Motylka, potem na resztę zebranych. Jakby chciał powiedzieć: *no tak, pieprzeni zdrajcy.* Ale zgodnie z dobrą radą stulił się i zabrał spod Kacpra.

Drugie piętro było królestwem ziomali. Ziomalami nazywał Farmazon kilkunastu młodych ludzi w spodniach z krokiem w kolanach, czapczkach z daszkiem i twarzami napuchniętymi od fetowanej marihuany. Kiedy przybyli do Kacpra, właśnie ziomali obawiał się najbardziej, jak się okazało, niepotrzebnie. To ziomale załatwiali alkohol, oszczędzając Farmazonowi piętnastu minut jazdy do sklepu, to ziomal sprzedawał towar w uczciwych gramach, wreszcie właśnie wśród ziomali mógł szukać wytnienia, kiedy Mikołaj z Renią stawali się nie do wytrzymania.

Drugie piętro wprowadzało kolorystykę jarmarku w ponure korytarze Kacpra. Ściany pokrywało graffiti, słabo widoczne w półmroku. Drzwi do większości mieszkań stały otworem, wewnątrz, na koślawych stołkach siedzieli kolesie: pili i palili. Niektórzy pozdrawiali Mikołaja i Farmazona, większość nie zwracała uwagi. Farmazon spędzał trochę czasu z ziomalami, ale dla Mikołaja byli jak

graffiti na ścianach, kolorowi z osobna, razem złani w wielobarwną zupę.

Krauze mieszkał na końcu korytarza. Mikołaj pamiętał, że kiedy szli tu po raz pierwszy, Farmazon szepnął mu do ucha: *Krauze tu nie mieszka. Krauze tu jest.*

Zamiast drzwi, dostępu do barłogu Krauzego broniła foliowa firanka. Za firanką znajdował się pałac tymczasowego namiestnika Kacpra Kłapacza. Długi dywan ze zgniecionych puszek, bletek, gazet i niedopałków wiódł do samotnego fotela nieokreślonego koloru. Kanapa w rogu służyła za miejsce spoczynku dla młodzieńca o bardzo czarnych włosach i bardzo żółtych spodniach. Młodzieniec leżał na wznak, chrapał i marszczył nos. Butelka i lufka, które trzymał na brzuchu, upodabniały go do zmarłego króla, zaciskającego dłoń na jabłku i berle. Okna zabito deskami, poza jednym – przez ocalałą szybę świat wydawał się szary i pomarszczony jak na starej fotografii.

Krauze siedział w kucki pod ścianą i słuchał innego ziomala. Nikt nie zwrócił uwagi na Mikołaja i Farmazona.

– A Deodoro powinien uważać, beton jeden, w końcu ktoś go z ziemią zrówna i nie będzie ani ciebie, ani Motylka, żeby go z lipy wyciągać za te brudne kudły. I co on pierdoli? Nie mógłby jadaczki tak na przykład zamknąć, zamiast dupcyć jak marynarz w porcie? Co on sobie myśli, przecież powinien lepiej wiedzieć, że tu zupełnie inny syf jest i inna wykmina. Popatrz... No popatrz... – ziomal wywrócił nieprzytomne oczy. Krauze nawet nie podniósł głowy.

– To normalnie pierdolenie z żyjącym domem, czegoś takiego to nawet babka nie widziała, jak dla Niemca rozkładała nogi w procę, no więc patrz. Nie ma żyjących bloków, ale jest blokowość – rozumiesz, co to takiego? Blokowość? Straszny chujozol. Blokoza gierkoza. Znasz to?

Krauze, chyba z grzeczności, pokręcił głową. Kątem oka dostrzegł w progu Mikołaja i Farmazona, dał znak, żeby weszli dalej.

– Więc gierkoza blokoza – nawijał ziomal ubawiony własnym pomysłem – jest jak jebana szarańcza. Na Kurdwanowie było takie chujowe osiedle. A obok wybudowali nowe i ładne. Nadążasz? Jak szedłeś, to z jednej strony widziałeś to osiedle, a z drugiej syf, jak tu albo gorzej. I to przeszło na te nowe bloki. Jednego dnia ściana była nowa, drugiego wyglądała, jakby miała z trzydzieści lat, masz pojęcie, chłopie? W ciągu jednej nocy cała ściana się zjebała, myślałem, jak słyszałem o tym po raz pierwszy, że to ktoś ją specjalnie poniszczył, ale chuja tam, do dziesiątego piętra szary mur i wszystkie okna brudne. W dwa tygodnie zżarło całe osiedle, masz ty pojęcie, Krauze? Wpadłbyś na coś takiego?

Ziomal zamilkł, bo zorientował się, że Krauze już go nie słucha.

– Wpadliśmy po to, co zwykle – oświadczył Farmazon. Krauze bez słowa wstał i wrócił z siatką pełną piw.

– Dziesięć?

– Osiem by starczyło – odparł Farmazon. *Jutro nas tu nie będzie*, dodał w myślach.

– To masz tu jeszcze na płucka – Krauze włożył grudkę haszu w rękę Farmazona. – Trzy jawki, trzy blaszki, może być?

Farmazon bez słowa wręczył mu pieniądze. Krauze wrócił jeszcze po piwa, otworzył i podał zebranym po puszcze. Pili przez chwilę w milczeniu.

– Długo tu mieszkasz? – zagadnął nagle Farmazon. Ziomal na krześle patrzył na nich z zainteresowaniem, facet w żółtych spodniach przetoczył się na bok, mruczając i chrapiąc. Puszka po piwie wysunęła mu się z rąk, lufka podążyła za nią. Krauze zaklął półgłosem.

– Jakież trzy lata. Można przywyknąć.

– Pytam, bo każdy świr w Kacprze ma dziś nowy temat. Pogodę – wyjaśnił Farmazon.

Krauze wzruszył ramionami.

– Chodzi o deszcz – ciągnął tamten – radioaktywny jakiś?

– Deszcz – zamyślił się Krauze. – Kto ci o tym mówił?

– Deodoro i pani Halinka.

– No to sam sobie odpowiedz, ile to jest warte.

– Posłuchaj – do rozmowy włączył się Mikołaj – a sto szesnasty? Czemu jest zamknięty na głucho?

Krauze westchnął, popatrzył na Mikołaja jak ojciec zastanawiający się, jak wytłumaczyć dziecku, by nie wsadzało języka do kontaktu.

– Chcesz się tam wprowadzić? – zapytał.

– Po prostu jestem ciekaw.

– To weź pozrywaj deski i sobie zobacz – rzekł Krauze – wiem tyle, co ty.

Odwrócił się do okna, opadł dłońmi na parapet. Dla Mikołaja i Farmazona było jasne, że Krauze kłamie.

Pili piwo z Krauzem, ziomal na krześle milczał, a facet w żółtych spodniach chrapał i marszczył nos.

– O co chodzi z Deodorem? – zapytał Farmazon. Schował grama do kieszeni. Mikołaj chciał iść, Renia czekała, a on czuł się zmęczony ziomalami.

– O nic, moim zdaniem – odparł Krauze. – Facet się kończy. Ciekawe, jak zdejmą z niego to ubranie? Jest na nim jak druga skóra.

– I krzyże, obrazki – rzucił Farmazon.

– No, święte obrazki – rzekł obojętnie Krauze. – Ciekawe, jak Halinka to znieśie.

– Halinka? – odezwał się Mikołaj. – A co ona ma z tym wspólnego?

Krauze obdarzył go zdumionym spojrzeniem.

– Byli kiedyś razem – powiedział. – Nie wiedziałeś?

Mikołaj chciał iść do Reni, ale Farmazon zaciągnął go na ławeczkę pod kasztanowcem, na piwo i lufę, tłumacząc, że u Mikołaja nie napiją się w spokoju, a on, Farmazon, ma dosyć swoich czterech ścian. Pokaleczone ciało Kacpra zdawało prężyć się w ciepłe. Farmazon i Mikołaj długo pili w milczeniu. Farmazon nabił lufę, spalił ją, opróżnili po Carlsbergu, spalili jeszcze trochę i Farmazon przyznał, że ma serdecznie dosyć Kacpra.

– Renia mówi mi to samo – rzekł Mikołaj.

– Teraz myślę sobie, że bym was w to nie wpakował – Farmazon zgarbił się na ławeczce. – Trzy miesiące tutaj to za dużo dla tej dziewczyny. Przygoda się skończyła, jest tylko syf.

– Ona bardzo się boi.

– Myślisz, że ja się nie boję? Ona ma najmniejsze powody do niepokoju.

– Jest umoczona po uszy.

– E tam, gównem umoczona. Wywinie się jak raz. Ale dam ci dobrą radę – zapalił papierosa, zgniótł puszkę i cisnął pod kasztanowiec. – Wynajmijcie przytulne gniazdko w takim Wrocławiu, chuj tam, że zapłacisz stówkę więcej, niech będzie dobry standard. Pochodź z nią do restauracji, poszlajaj się po knajpach, kręgielniach, parkach wodnych i takich tam. Jak robił... – urwał – no wiesz sam. Wiesz.

Wiem, pomyślał Mikołaj, *jak Robert*. Farmazon mówił przecież z czystej przyjaźni, pewno połapał się, że strzelił gafę. Czasem Mikołaj miał wrażenie, że Robert wciąż jest z nimi, wisi jak pamięć po niedawnej zarazie. Milczeli przez chwilę, Farmazon wbił oczy w ziemię, Mikołaj podziwiał kasztanowiec.

Nigdy wcześniej nie widział tak wielkiego drzewa. Gdyby zebrać wszystkich ziomali, może zdołaliby wspólnie objąć brunatny pień. Guzowate gałęzie rozwidlały się na wysokości drugiego piętra, liście sprawiały wrażenie przepełnionych sokiem, ale ostatnie, najwyższe gałęzie były nagie i ostre, gotowe rozpruć niebo. Mikołaj chciał wstać i powiedzieć, że czas już iść, ale zza rogu wyłoniła się sfera pani Halinki, trzy kundle, a za nimi przydreptała sama Halinka z kwiatami w dłoni.

– Nie widzieliście Filipka? Filipka? – wołała z daleka. Farmazon odpowiedział, że nie.

Halinka kucnęła pod kasztanowcem, lewą ręką opierając się o pień. Odrzuciła puszki, papiery i niedopałki i starannie ułożyła kwiaty między korzeniami. Farmazon uznał, że to zaproszenie do zadawania pytań.

– Halinka? Zapalisz?

Pani Halinka podniosła się powoli, pogłaskała najbliższego psa i zbliżyła się do ławeczki. Porwała papierosa, Mikołaj podał ognia.

– Opowiedz nam o deszczu – poprosił Farmazon.

– Ja sobie myślę, że deszcz to nie taka ważna sprawa, on tylko przypomina nam, co jest złe, a co

dobrze, rozumiecie, chłopcy. Ja sama to nie lubię takich przypomnień, dziwnie się czuję, ale przecież nie zrobiłam nic złego, więc niech sobie pada – mówiła Halinka i nikt nie próbował jej przerwać – tak po prostu, to kiedyś, jak padało, umarł tutaj człowiek. Och, to było parę lat temu, dobrych parę lat. Już mieszkałam w Kacprze, ale był to jeszcze inny Kacper. Lepiej się żyło i ludzie więcej nadziei mieli. I jakoś właśnie na tych dniach ten człowiek wyskoczył z szóstego piętra i zabił się tutaj – wskazała na kwiaty pod kasztanowcem – wtedy strasznie padało i zbyt późno było, nikt nie umiał mu pomóc. Z szóstego piętra skoczył i wszystko, co mogliśmy zrobić, to zabić na głucho jego pokój, tam, na górze i składać kwiaty na pamiątkę.

– To ci historia – powiedział Mikołaj, gdy Halinka pokazała plecy.

– Halinka znów leci w klipy, co? – zza drzewa wyłonił się Motylek. – Bajdurzenie.

Przysiadł się, wziął łyk piwa od Mikołaja.

– Prawda jest taka, że tu wszyscy poszaleli – oświadczył.

– Ty jesteś jeden normalny, co? – burknął Farmazon.

Ja mam wszystko w dupie i trzymam język za zębami – Motylek był mocno podpity. – I bo ja wiem, czy to oznaka normalności? – splunął. – Ale wkurwia mnie, jak ktoś miesza i to zupełnie bez sensu.

– No, Halinka jest strzelona.

– Gówno tam, nie strzelona – burknął Motylek – albo się mówi wszystko, albo nic. Co to ma być, skoki jakieś, ziom anonim lecący z piętra? Miesza wam w głowach.

– Rzeczywiście, głupio to brzmiało – przyznał Mikołaj. Motylek siedział po turecku, dłonie oparł na kolanach. Miał drobne, niemal dziecinne dłonie.

– Głupio jak głupio. Nie powiedziała wam tylko, że ten facet, co skoczył, był bratem Stacha. Bratem Deodora.

Mieli zostać pod kasztanowcem na jedno piwo. Dochodziła szósta, siatka od Krauzego była już pusta.

– Pomyślałbyś, że dzieją się tu takie rzeczy? – zagadnął Mikołaj.

– Mnie coś tu śmierdzi – odparł Farmazon. – Ale cieszę się, że jutro wszystko będzie za nami. Są ludzie, którzy zadają za dużo pytań. Czemu Krauze leci z nami w chuja? O czym pierdoli Deodoro i czy naprawdę nazywa się Staszek? Czy jego brat rzeczywiście był jego bratem, czy tylko komuś tu się pokiełbasiło? Czemu skoczył? Co jest w mieszkaniu sto szesnaście? Mnóstwo pytań, które do niczego nie wiedzą.

– Święte słowa – powiedział Mikołaj, który zawsze przyznawał rację Farmazonowi, kiedy ten się rozgadał.

– Szukanie odpowiedzi pchnęłoby mnie w szambo. Myślę tylko o jednym: wyjąć resztę forsy z banku, jeśli jest tam jeszcze jakaś forsa, zrobić dwie uczciwe kupki i podwijać kitę. Niech sobie pada, niech ludzie skaczą z okien, latają z psami i...

– Słuchaj – przerwał mu Mikołaj. – Chciałeś powiedzieć trzy kupki, prawda?

– Możesz łaskawie powiedzieć, co takiego Renia zrobiła, że, jak chcesz mnie przekonać, forsa się jej należy? – Farmazon palił i krążył wokół Mikołaja. Mikołaj co chwilę musiał odwracać głowę, żeby go widzieć.

– Zachowujesz się jak Najsztub – powiedział.

– Najsztub? – Farmazon nie zwolnił. – Odpowiedz mi lepiej na pytanie.

– Renia jest z nami – wyjaśnił Mikołaj. – Uzupełniała informacje na aukcjach. Sprawdzała na sieci, czy nie robi się szum wokół sprawy...

– Wielkie mi rzeczy – Farmazon pstryknął niedopałkiem.

– Zawsze coś.

– Słuchaj, sam mówiłeś, że chcesz ją trzymać z daleka od tego, sam mówiłeś, prawda? Jedno pociąga za sobą drugie. Nic nie wkładasz, nic nie wyjmujesz.

– Mówię przecież... – Mikołaj opuścił ręce.

– Robiła to z nudów, stary, wiesz o tym dobrze. Popatrz, jeśli sprawa się zawali, Reni w niej nie ma i cześć, koniec pieśni – Farmazon kucnął przed przyjacielem. Bawił się patykiem. – Myślisz, że za co my bierzemy pieniądze? Za postawienie fikcyjnych przedmiotów na Allegro, toż dziecko może to zrobić! Bierzymy forszę za narażanie dupska, ot, co, a Renia nie ryzykuje niczym i tyleż dostanie.

– Mi chodzi o sprawiedliwość – stwierdził Mikołaj.

– A mnie nie, co? – wybuchnął Farmazon. – Chcę dojechać tobie i twojej szurniętej dziewczynie. Tak, właśnie tak. Chcę po prostu was wkurwić.

– Świetnie ci idzie.

– Słuchaj, mam pomysł, panie sprawiedliwy, słuchasz mnie pan? – Farmazon znów zaczął krążyć wokół ławeczki. – Dajmy zaraz jeszcze działę Krauzemu, bo donosi nam browar jak samym lordom i pani Halince, bo była zajebista dupa za króla Ćwieczka, i jeszcze Motylkowi, bo uzupełnia miejscowe legendy i obroniłby nas w razie czego, i to nasza wina, że jeszcze nie daliśmy mu na to szansy.

– Farmazon...

– Dalej, leć do szafy, wyjmuj flotę i porozdawaj! A nie zapomnij o ukochanym Deodoro, przecież należy mu się parę stówek za samą tylko duchową pociechę.

– Farmazon, daj mi dojść do słowa – Mikołaj mówił powoli i stanowczo. – Rozumiem twoje racje. Naprawdę. Ale myślałem, że jesteśmy drużyną, tylko my troje. Jej się to po prostu należy. Choćby za to, że siedzi tu z nami, wytrzymuje życie w Kacprze.

– Lepsze to, niż ścierać kalece winogrona z rowa. Bardzo się cieszę, że chcesz ratować swój związek,

ale nie wiem, czy chcę, żebyś to robił na mojej dupie.

Farmazon zastygł z otwartymi ustami. Pod Kacprem, na wyciągnięcie ręki stała Renia. Mikołaj wstał i objął ją.

– Super – powiedział Farmazon.

Kopnął puszkę i poszedł do Kacpra. *Ciekawe, co powiedziałby na to Najsztub?* – pomyślał, otwierając drzwi.

Kiedy nie mógł zasnąć, lubił śledzić cienie na suficie i myśleć, że większość ludzi także to lubi. Pamiętał cienie ze swojego dzieciennego pokoju, w których żyły złe duchy. Potem, w akademiku, układały się w kształty kobiet, kolegów i wykładowców, zawsze w ruchu, pchane i zganiane przez światła samochodów. W pierwszym wynajętym mieszkaniu ginęły w zagłębieniach sufitu, wpełzały między belki, czyhały w szparach pod framugami okien. Mikołaj już się ich nie obawiał. Ale w Kacprze nie było żadnych cieni, światło z dalekich domów gubiło drogę i Mikołaj patrzył w czarną studnię, w którą zmienił się sufit. Renia także nie spała.

– O czym myślisz? – zapytał, ale nie usłyszał odpowiedzi. Coś tłuło się za oknem.

– Bo ja myślę o tym, co zrobimy pojutrze. Dokąd pojedziemy? Do Wrocławia, jak mówiliśmy? Ja bym chciał. Wybierzesz nam mieszkanie. Może nawet starczy nam pieniędzy, żeby jakieś kupić.

– Obawiam się, że nie starczy – odparła Renia. – Nawet jeśli dostaniemy dwie kupki.

Łup, łup, za oknem. Echo dudniło w głowie Mikołaja.

– Daj spokój, kochanie. Kto wie, ile pieniędzy jutro przyniosę? A Farmazona przekonam. Rozumiem jego powody, ale się z nimi nie zgadzam.

– Możesz się nawet zgodzić – powiedziała Renia, patrząc w sufit.

– Nie mów tak. Staram się dbać o nas – Mikołaj podniósł się na łóżku. – Na pewno starczy nam na biznes. Może założymy tę kwaciarnię, o której mówiłaś?

– Najpierw miejmy te pieniądze.

Wokoło było tak ciemno, że Mikołaj nie widział własnych stóp. Prostokąt okna z trudem odcinał się od czarnych ścian. Mikołaj miał wrażenie, że znajduje się w pustce, ciśnięty w kosmos jak garść słonecznego pyłu. Nie wiedział, dokąd pędzi i w jaki sposób się zatrzyma.

– Czemu jesteś taka? – zapytał. – Co dzisiaj się dzieje?

– Farmazon. Dziwisz mi się?

– Mówiłem już, że się nie dziwię. Słyszałaś, co mówiłem.

– Zastanawiam się czasem, Mikołaju, jak głęboko go wpuścisz do naszego życia. Wlazł tu z butami. Wiem, że to twój przyjaciel, że przeszliście razem niejedno. Pomyśl jeszcze raz o tej rozmowie pod

kasztanem – poradziła. – Niewiele brakowało, żebyś zaczął go przeproszać.

– Mówiłem właśnie, że rozumiem jego racje. Wiesz, jaki jest Farmazon.

– Wiem lepiej niż ty – rzuciła Renia.

Zapadła chwila ciszy rozproszona tylko przez głuchoe stukanie na zewnątrz.

– Powiem ci na pocieszenie, że Farmazon obiecał zniknąć na tydzień, dwa, kiedy stąd odjedziemy. Rozumie, że musimy odpocząć.

– Powinien również zrozumieć, że na odpoczynek od niego potrzeba więcej czasu – zawiesiła głos – być może całego życia.

– Co chcesz powiedzieć?

– Że nie lubię sprzedaży wiązanej – naciągnęła kołdrę, jakby wstydziła się swoich piersi. – Nie brałam cię z Farmazonem, a teraz, od miesiący, widuję go tak często jak ciebie. Niech wpada do nas na kawę raz na tydzień, raz na tydzień idź się z nim uchlać, wziąć jakieś gówno, to twoja sprawa, skarbie. Sprawa z Allegro to ostatni biznes z Farmazonem.

– Nie wiem, czemu tak mówisz – skłamał Mikołaj.

– To się zastanów. Nie chcę rozbijać waszej przyjaźni i nie zrobię tego. Chcę mieć trochę miejsca dla siebie. A jesteś już dużym chłopcem i powinieneś wiedzieć, co jest naprawdę ważne.

– Wydaje mi się, że wiem.

– Tylko na trochę. Proszę cię, Mikołaju. Łup, Łup. Mikołaj jeździł dłonią po brodzie.

– Dobrze – odpowiedział – tylko na trochę.

Chciał przytulić się do Reni, ale po raz pierwszy zabrakło mu odwagi. Jej skóra była chłodna. Przypominała mu szkło.

– Czasem mam wrażenie, że już nie wierzysz w nasz związek – powiedział wreszcie.

– A tobie czasem głupoty przychodzą do głowy – Renia usiadła na brzegu łóżka, nałożyła koszulę i spodnie. – Oczywiście, że wierzę.

Farmazon także nie mógł zasnąć. Siedział przy stoliku i żałował, że nie ma więcej piwa. Haszysz od Krauzego już się kończył. Palił melancholijnie ostatnią lufkę i zastanawiał się, jak wyjść z twarzą z sytuacji. Łup, łup, dochodziło zza okna.

Wcześniej, gdy bywało ciężko, Farmazon pocieszał się myśleniem, co robi z forszą, kiedy wreszcie wyjadą. Obiecywał sobie tydzień imprez, a potem pół roku rekonwalescencji – poszaleje z dziewczynami i koksem, a potem zaszyje się w jednopokojowym gniazdku, by robić wszystkie niewinne, głupie rzeczy, na które nie miał wcześniej czasu – pogra na komputerze, poczyta książki, poogląda filmy. Rzuci palenie. Prawie rzuci palenie. Przynajmniej się postara.

Tym razem wyobraźnia nie przysłała w sukurs. Farmazon biedził się nad sprawą rozliczenia z Mikołajem. Ustąpienie nie wchodziło w grę. Sądził, że dobrze rozumie racje przyjaciela, ale bardziej był przywiązany do swoich. *Przez kobietę rozpadli się Beatlesi, myślał, więc uważaj, stary, żeby Renia nie zrujnowała naszej przyjaźni.* Stawiał diamenty przeciw orzechom, że dziewczyna teraz truje Mikołajowi dupę i znalazła przynajmniej tuzin sposobów na objaśnienie mu, jakim bucem jest Farmazon. Kto wie, czego będzie musiał wysłuchać jutro rano?

Obiecał sobie, że dotrzyma słowa i zniknie na parę tygodni. Muszą odpocząć od siebie. Lubił Renie i wiedział, że w innych okolicznościach dziewczyna także by go polubiła. Być może podzieliliby się z nią pieniędzmi, gdyby Mikołaj nie postawił sprawy na ostrzu noża. Może jeszcze się dogadają? Niepotrzebnie zrobił awanturę pod kasztanowcem.

A gdyby tak zniknąć, przepaść bez słowa? Mógłby rano wziąć taksówkę, wyjąć resztę pieniędzy i heja do Gdańska albo nawet dalej. Zaraz za Krakowem zadzwoniłby do Mikołaja i obiecał, że zrobi mu przelew. Przelew oczywiście poszedłby, równe pięćdziesiąt procent. Ani więcej, ani mniej. Czy rzeczywiście ta przyjaźń musi się tak rozpaść?

Pamiętał, jak bardzo się cieszył, gdy Mikołaj poznał Renie. Mikołaj zawsze miał problemy z dziewczynami. Albo angażował się zbyt mocno, albo w ogóle, najczęściej nie trafiał i zdobycz umykała mu sprzed nosa. Starzał się szybko, sprawiał wrażenie coraz bardziej zagubionego. Farmazon nie chciał, by Mikołaj podzielił jego los, los narkomana i samotnika lubiącego własne myśli bardziej niż cokolwiek na świecie. Mikołaja stworzono do kochania, dawania i brania, nawet nie do przekrętów na Allegro. Renia pojawiła się w najczarniejszej godzinie, równie nieszczęśliwa, samotna i przerażona przyszłością, co Mikołaj. Farmazon życzył im jak najlepiej.

Łup, łup. *Ale nie na mojej dupie.*

Nie ucieknie, postanowił. Razem przeszli przez całe to gówno, razem z niego wyjdą. Jutro, już jutro będzie po wszystkim. Jeśli przyjaźń jest prawdziwa, nic jej nie zaszkodzi. Zwłaszcza tak sympatyczna dziewczyna, jak Renia. Wytrzepał lufkę na stół. Farmazon wiedział, że nie zaśnie.

Tłuczenie zza okna nasiliło się i Farmazon postanowił sprawdzić jego przyczynę. Przetarł szybę. Widział potężny kasztanowiec, ławicę czarnych liści i Deodora, który klęczał i miarowo walił głową w pień.

Łup, łup, łup. Równo, jak galernik.

– Ale nie na mojej dupie – powiedział do siebie Farmazon.

Mikołaj spał za drzwiami. Renia wyszła zapalić na korytarz. Była bosa, ale nie czuła zimna. Kuciała oparta o ścianę i obracała w palcach chesterfielda. Lubiła sobie mówić, że pali tylko, gdy jest zdenerwowana, i doszła do paczki dziennie.

Uśpiony Kacper Kłapacz stawał się przyjemnym miejscem. Ciemność pochłonięła chropowatość korytarza i brud szyb w ocalałych oknach. Umilkły już ryki ziomali, szczebiot pani Halinki i pobożne pohukiwania Deodora. Renia nie słyszała już miarowych uderzeń z dołu. W jej nocnym królestwie nie było miejsca dla Farmazona. Wszystko zajęły wątpliwości. *To cudowne i zajmujące, jak bardzo chcielibyśmy zmienić swoje życie, myślała, zawsze przypomina autostradę z jednym możliwym*

kierunkiem, ale gdy spojrzysz w lusterko, zobaczysz mnóstwo skrętów i odnóg, których wcześniej nie było. Co zrobić, kiedy nie działa wsteczny? Paliła powoli, zaciągała się płytko.

Z dołu zabrzmiały kroki. Ktoś szedł ostrożnie, jakby nie chciał być słyszany, tak jak Renia, która nie chciała być widziana w spodniach i bluzce ubranych na gołe ciało. Nie sama, w Kacprze o czwartej rano. Skryła papierosa w dłoni i zza załomu obserwowała wysoką postać wspartą na lasce, z wysiłkiem pokonującą kolejne stopnie. Renia widziała tylko zarys sylwetki. Nogi poruszały się sztywno, plecy gięły się do ziemi. Na piętrze postać przystanęła, otarła twarz i ruszyła dalej, w górę.

Nieznajomy miał wzrost i posturę Roberta. Robert próbował kiedyś chodzić o lasce, ale nie dał rady, choroba podcięła mu nogi, wepchnęła na wózek i zaraz na łóżko. Robert zmarł pół roku temu.

Renia ruszyła za mężczyzną. Nie odważyła się zbliżyć. Dotarła do schodów, poczekała, aż nieznajomy zniknie za rogiem, i cicho wspięła się na stopnie. Szła po drobinkach szkła i gruzu, nie czując bólu. Przystanęła przed załomem na półpiętrze. Bała się, że jeśli skręci, zobaczy trupią twarz Roberta. Ale to nie mógł być Robert, Robert umarł we śnie. To inny człowiek, bezdomny, kumpel Deodora albo Farmazona. Do Kacpra przychodzą najdziwniejsi ludzie w najdziwniejszych porach. Renia postanowiła zobaczyć ostrożnie, gdzie obcy się skieruje.

Policzyła do dziesięciu i wyjrzała zza załomu. Nie wyskoczył żaden duch, nie poczuła lodowatej ręki na szyi. Ruszyła dalej, wyjrzała ostrożnie na korytarz. Nikogo. Już myślała, że nieznajomy wszedł do któregoś z pustych mieszkań, gdy usłyszała kroki na schodach prowadzących na szóste piętro. Renia nie była tam nigdy. Poszła dalej.

Szóste piętro pokrywał dywan kurzu. Kurz wydawał się miękki, drobinki szkła mieniły się w srebrnym świetle. Nieznajomy przyśpieszył. Renia mogłaby pobiec i spróbować go zatrzymać. Wiedziała, że poczuje się lepiej, przekonawszy się, że to zwykły bezdomny. Wychylała się zza ściany, przygryzając wargi. Krok nieznajomego stawał się sprężysty, wyglądało na to, że facet zaraz odrzuci laskę i zacznie biec. Nagle przystanął, położył dłoń na kłamce jedynego mieszkania, do którego nie wchodził nikt – mieszkania sto szesnaście.

Drzwi otworzyły się gładko i nieznajomy zniknął w środku. Cisza powróciła. Renia odzyskała odwagę i wybiegła na korytarz. W jednej chwili dotarło do niej, że stąpa boso po gruzie, puszkach i szkłe, że jest zimno, że jest czwarta rano. Postanowiła, że podejdzie do drzwi, podsłucha chwilkę i cicho wróci do łóżka. Im szybciej to zrobi, tym szybciej będzie miała to za sobą.

W pierwszej chwili myślała, że pomyliła mieszkania. Ale to niemożliwe, numer sto szesnasty był jedynym, który w ogóle miał drzwi i to zabite grubymi deskami, drzwi, których nie sposób otworzyć bez łomu, a które moment temu stały otworem. Pokrywał je kurz. Gwoździe wbito solidnie, głęboko. Ich łebki miały wielkość dwugroszówki.

Zorientowała się, że w palcach trzyma zgasły niedopałek.

Renia wracała z szóstego piętra, a Mikołaj śnił o krwi. Sen był wysoki i czarny, jak ściany w samotni kata.

III

Farmazon przysnął tylko na chwilę. We śnie wędrował przez Kacpra Kłapacza. Kacper był pusty, sufit ginał w mroku, gruz był miękki jak gąbka. Nogi same niosły Farmazona, miał wrażenie, że płynie, a gdy spojrzął za siebie, dostrzegł, że korytarz, z którego przyszedł, zdaje się nie mieć końca, podobnie jak schody po lewej. Setki stopni załamywały się w spirale i niknęły w mroku. W oknach tkwiły lustra. Farmazon zatrzymał się i wodził po nich ręką. Nabrał przekonania, że jeśli naciśnie mocniej, szklana tafła ustąpi jak gęsta ciecz. Ale nic takiego się nie stało, szkło było twarde, a moment później Farmazon wiercił się w łóżku. Był nagi, pościel leżała na podłodze.

Uznał, że już nie zaśnie i wstał. Każdy dzień w Kacprze zaczynał podobnie. Szedł do umywalki, mył jaja, pachy i stopy. Ubierał wąskie jeansy, koszulkę na ramiączkach, siadał z petem i myślał, co by tu zjeść, żeby się nie narobić. Tym razem umył się porządnie, wymył skudłacone włosy, wyszorował zęby – w końcu, cholera, od dziś zaczyna nowe życie.

Nie było jeszcze piątej, gdy umyty i ubrany Farmazon usiadł przy stole z papierosem i kawą. Nie umiał znaleźć sobie miejsca – ręka bębniła o blat, noga drżała; wstał wreszcie i podszedł do szafy sprawdzić, czy nikt nie ukradł pieniędzy. Zastał je na swoim miejscu, za szafą, owinięte w reklamówkę. Pogładził folię, nacisnął, poczuł przyjemny opór. Nabrał ochoty, by je przeliczyć, ale zrezygnował. Jeszcze będzie na to czas. Podszedł do okna patrzeć, jak wstaje nowy dzień.

Gałęzie kasztanowca obsiadły ptaki, przytulone jeden do drugiego, z liści spływały duże krople rosy. Ani jeden samochód nie sunął po odległej drodze, a las przypominał płamę zbrązowiałej zieleni. Farmazon otworzył okno, cisnął papierosa. Niedopałek zawirował w powietrzu i spadł na kark Deodora, leżącego bez ruchu między korzeniami.

Farmazon chwycił kurtkę i pognął po schodach.

Deodoro leżał twarzą do dołu. Był chudy i lekki, Farmazon bez trudu obrócił go na plecy.

Świt był zimny, błyskawicznie przemoczył buty i nogawki Farmazona. We mgle Kacper Kłapacz przypominał bezkształtną bryłę. Najwyższe piętra pozostawały niewidoczne, podobnie jak gałęzie kasztanowca. Farmazon chwycił Deodora pod ramiona, zaciągnął do bramy i ułożył na stopniach.

Deodoro żył, oddychał przez nos, puls miał słaby. Na ustach zaschła krew zmieszana ze śliną, na czole rozlał się ciemnoczerwony strup. Strużki krwi wypływały spod cienkiej skorupy, sunęły po policzkach, opływały uszy. Pod paznokcie Deodora powchodziły drzazgi, palce miał fioletowe i nabrzmiałe. Farmazon dotknął czoła. Deodoro miał wysoką gorączkę.

– Co robisz?

– Dzwonię po pogotowie – odparła Renia. Zaczęła wybierać numer, ale Farmazon wyrwał jej komórkę.

Stali we troje nad Deodorem.

– Czyś ty, Farmazon, oszalał?! – próbowała odzyskać telefon, Farmazon cofnął się, skrzyżował ręce na

piersi. Renia znieruchomiła. Mikołaj próbował ją objąć.

– Zapominasz, gdzie jesteśmy i po co – oświadczył Farmazon.

– Ten człowiek umiera.

– Gównu, a nie umiera. Zasłabł, to wszystko – powiedział Farmazon. – Pomożecie mi go zanieść?

– Dokąd? – odezwał się Mikołaj.

– Jezus, myślże trochę. Do mnie, do was, gdzieś, gdzie będzie miał łóżko i kawałek kołdry. Inaczej rzeczywiście tu wykorkuje.

– On potrzebuje lekarza, Farmazon – Renia pochyliła się nad Deodorem.

– Przede wszystkim potrzebuje mydła – Farmazon pociągnął nosem. – Co ja Caritas jestem?

– Daruj sobie – Renia przetarła chusteczką czoło Deodora. – Dotknij tylko, jest cały rozpalony. Długo mógł tak leżeć?

Mikołaj pokręcił głową.

– Nie mam zielonego pojęcia. Noce teraz są ciepłe.

– Przestań wreszcie pieprzyć.

– Renia ma trochę racji, stary – powiedział spokojnie Mikołaj. – Ten człowiek potrzebuje pomocy.

Farmazon oparł się o ścianę, przejechał dłonią po twarzy, na znak, że myśli i cierpi.

– Możecie mnie posłuchać tylko przez moment? – poprosił. – Ja wasze racje rozumiem, są w porządku, a nawet szlachetne. Ale czy naprawdę chcemy, żeby ktoś wiedział o życiu w Kacprze? Oj, ziomale by nam podziękowali, gdybyśmy ściągnęli im policję na głowę. Przypominam wam – ściszył głos – o lewych aukcjach w zeszłym tygodniu i pieniądzach z tychże aukcji u mnie za szafą. To nie jest już hop siup, że dostaniesz zawiasy, sześć miechów na dwa lata. Może być gruby wyrok. Więc cieszę się, że troszczyacie się o tego tutaj – trącił Deodora stopą – ale może zatroszczycie się także o siebie, a w wolnej chwili, także o mnie?

– Tu chodzi o życie – powiedziała Renia.

– Bez przesady.

– Chodzi.

– Renatko – westchnął Farmazon – mógłbym wzruszyć się twoją szlachetnością i pewno bym to zrobił, ale ty, jak już wiemy, nie jesteś w nic umoczona. Ciebie po prostu tutaj nie ma. Ja i twój facet, dla odmiany, stoimy po uszy w szambie i nie chcemy, przynajmniej ja nie chcę, żeby to szambo nas zżarło. Jeśli można prosić.

– Jeśli można prosić, to ja się przyznam – krzyknęła Renia. – Jeśli będzie sprawa, sama jedna przyznam się do wszystkiego.

– Brawo – warknął Farmazon.

– Więc oddaj telefon.

– Posłuchaj, Renatko...

– Jesteś kutas i gówniarz.

– Cały blok nas usłyszy.

Renia wyglądała, jakby miała rzucić się Farmazonowi do gardła.

– Poczekajcie – poprosił Mikołaj. – Dajcie mi minutę. Oczy obojga zwróciły się na niego.

– Oboje macie rację – zaczął Mikołaj. – Renia, bo Deodoro rzeczywiście potrzebuje pomocy. I Farmazon, bo sprawa Deodora nie dotyczy tylko nas, ale wszystkich tutaj, w Kacprze.

– Co masz na myśli? – zapytała Renia.

– My jesteśmy w gównie i na nielegalu. Ale na nielegalu jest każdy tutaj. Ziomali można wpakować do pierdła za dragi, panią Halinkę wypierdolić, bo mieszka na lewo, a przecież, jeśli pogotowie przyjedzie po Deodora, to przecież on już tu nie wróci. Pójdzie do zakładu i nie wiem, czy mu się to spodoba.

– Jeśli będzie martwy, na pewno nie – zauważyła kwaśno Renia.

Mikołaj nie odpowiedział. Cofnął się, stanął w cieniu.

– Niech wam będzie – westchnął Farmazon – zaniemiemy go do was, dobrze? Spróbujemy umyć i ocucić. Ty, Renia, pójdziesz po ziomali albo po panią Halinkę. Zastanowimy się, co robić.

– Nie wiem, czy pani Halinka to dobry pomysł – powiedział Mikołaj.

– Sam mówiłeś, że to nasza wspólna sprawa – odparował Farmazon – więc pójdziemy po nieszczęsną panią Halinkę. Ty, Mikołaj, pojedziesz do banku, wyjmiesz pieniądze, jeśli jeszcze jakieś przyszły, i wrócisz jak najszybciej. Jeśli zobaczysz coś podejrzanego, jakieś samochody, zabierasz dupę w troki i ani waż się dzwonić.

– A ty? – zagadnęła Renia. – Co z tobą, Farmazon? Mikołaj i Farmazon chwycili Deodora i skierowali się do mieszkania.

– Ja? – odkrzyknął Farmazon z półpiętra. – Ja zostanę tutaj i będę pilnował, żebyście nie narobili głupot.

Ułożyli Deodora na materacu w mieszkaniu Reni i Mikołaja. Rozebrali go do koszuli, obmyli, przykryli kołdrą. Oddech mężczyzny stał się głębszy, serce biło mocniej. Renia klęczała i ocierała mu czoło. Farmazon palił.

– Wiesz, Farmazon – zagadnęła Renia – kiedyś cieszyłam się, że Mikołaj przyjaźni się z tobą. Myślałam, że stwardnieje przy tobie, a ty ochronisz go w razie potrzeby. Ale teraz rozumiem – żaden z ciebie twardziel, Farmazon, choć lubisz tak myśleć o sobie. Jesteś bezwzględny mięczak.

– Bezwzględny mięczak – powiedział z zadumą – ładnie brzmi.

Strzepnął popiół na podłogę.

– Na twoim miejscu zastanowiłbym się, co ty takiego możesz dać Mikołajowi – stwierdził.

– Łajdak jesteś, Farmazon. Wiesz, że to boli.

– Pytam, bo jestem ciekaw, Renatko. Co zrobiłaś, żeby czuł się tutaj dobrze, żeby mu pomóc przejść przez syf wokoło, przez tę chorą sytuację z internetem? Jedyne, czym umiesz się dzielić, to wyrzuty sumienia.

– Gdyby nie ty, nie byłoby wyrzutów. Nie trafilibyśmy tutaj.

– Byłyby, były – uśmiechnął się Farmazon – sama wiesz to najlepiej. Jeśli nam się uda, jeśli zwiejemy stąd z pieniędzmi, każdy przypisze zasługę sobie. Jeśli sprawa się spierdoli, wszystko pójdzie na Farmazona.

– Nie – odparła Renia dziwnym głosem, jakby zaraz miała przeproszać. – Tak nie będzie. Mówię to wszystko dlatego, że nie chcę, aby Mikołaj żył twoim życiem. Tak jak ty.

– Normalny układ rzeczy – odburknął Farmazon. – Powiedziałaś, że jestem łajdak, i masz rację. Bezwzględny mięczak, bardzo możliwe, bycie mięczakiem też ma swój urok. Chcę ci coś opowiedzieć.

Zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego. Usiadł wygodnie i zaczął mówić.

– Rodzice mojego kumpla, mniejsza o imię, byli najuczciwszymi ludźmi pod słońcem. Nie dawali i nie brali łapówek, nie pisali donosów, płacili podatki w głębokim przekonaniu, że tak trzeba. Żyli skromnie, nie biednie, skromnie po prostu. Skromnie, ale uczciwie. Ładnie to brzmi, prawda? Ten ich chłopak podrośł na tyle, że chciał zacząć żyć normalnie, na własny rachunek. Nagle okazało się, że nie ma jak go wypchnąć w tę dorosłość, po prostu brak środków na mieszkanie, choćby na pierwszą ratę. Na dobrą pracę też nie miał szans, takie rzeczy załatwia się tutaj za kopertę, a rodzice na koperty mieli alergię. Więc chłopina zaczął kombinować, zrobił jeden przekręt, drugi, wyruchał paru kumpli i ma wszystko, co chce. A rodzice pozostali uczciwymi ludźmi.

Gwałtownie wciągnął powietrze, jakby właśnie wynurzył się z wody.

– Inny przykład – ciągnął. – Mój inny kumpel, też prawy człowiek. Ma jedną dziewczynę od szkoły średniej, pracuje na uczelni, niedawno obronił doktorat. Nigdy nie wziął łapówki ani nie chwycił studentki za tyłek. Jest wzorem uczciwości. Jego stary natomiast to oszust grubego kalibru. Przekręcał ludzi na lewych biurach turystycznych, obligacjach, akcjach, komputerach, gdzie tylko mógł, nawet nie chcę myśleć, na czym jeszcze – ale syna ochronił przed podobnym losem. Zapewnił warunki do nauki. Kupił mieszkanie. Dopłacał, gdy ten tyrał za grosze na uczelni. Stworzył akwarium uczciwości.

Zgasił papierosa na ścianie. Renia wciąż obmywała czoło Deodora, ale co chwilę zerkąła na

Farmazona.

– Mówię to tylko po to, żebyś zrozumiała, że na każdego uczciwego człowieka pracuje sztab kutasów bez sumień. Ich kurestwo pozwala niektórym na bycie uczciwym, choćby uczciwi nie mieli o tym pojęcia i tego nie chcieli. Pamiętaj o tym, Renatko. Pamiętaj zawsze – powiedział gorzko – ale nie musisz mi dziękować ani myśleć, że to, co mówię, w jakiś sposób mnie usprawiedliwia.

Mikołaj, nim wybrał pieniądze, ubrał czapkę z daszkiem i nałożył ciemne okulary. Do długiej listy oszustw, które popełnili, trzeba dorzucić konto założone na lewy dowód (tysiąc pięćset złotych plus konieczność wypełnienia go samemu). Operacja poszła gładko, kobieta w okienku kazała mu zdjąć okulary, długo patrzyła na zdjęcie, ale w końcu Mikołaj wydobył ostatnią ratę, prawie piętnaście tysięcy złotych. Jak zdołał obliczyć, u Farmazona leżało cztery razy tyle. Dość, by o nic nie martwić się przez rok.

Wyszedł z banku, zdjął okulary i czapkę. Pieniądze zwinął w gruby rulonik i wepchnął do kieszeni jeansów. Śmiać mu się chciało, bo wyglądał jakby miał erekcję. Usiadł na murku, zapalił. Kluczem kilkakrotnie przejechał po karcie bankomatowej i przełamał ją, pomagając sobie zębami. Maestro Sezam, złożony w lśniącą książeczkę, znalazł się na trawniku i Mikołaj od razu poczuł się lepiej. Ten etap przygody został zamknięty.

W Krakowie wstał dzień.

Farmazon powiedział mu przed wyjazdem, żeby wracał jak najszybciej, ale Mikołaj nie posłuchał. Nie chciał oglądać Kacpra. Potrzebował odpoczynku przed ucieczką.

Zaparkował fiata przy placu Szczepańskim, trzaśnięciem drzwiami poderwał gołębice do lotu i ruszył różnym krokiem do rynku, na spacer. Miał wrażenie, że jeśli kiedyś wróci do tego miasta, gdzie spędził ostatnie siedem lat, nic już nie będzie takie samo. Wydekoltowane tabuny dziewczyn nie będą już tak nęcące, smak piwa w ogródku straci na wyrazności, kolory kamienic wyblakną, szyldy i reklamy zubożętnieją, stracą diabelską zdolność wodzenia na pokuszenie. Niektórzy nazywają to starzeniem się, inni dojrzwaniem.

Poszedł do Empiku. W czasie studiów chodził tu trzy razy w tygodniu, brał naręczne gazet i czytał przez dwie, trzy godziny. Czasem brał książkę lub komiks i nie wychodził przed dziesiątą, czytał i słyszał, jak po płycie rynku przewalają się ludzie w poszukiwaniu wolnej knajpy. Miał pieniędzy na tyle, że starczało na kawę obok stoiska z komiksami, czasem tylko na wizytę w ubikacji obok. Teraz mógł kupić, co tylko chciał. Przeglądał kolejne książki, zszedł na dół, poprzerzuczał filmy i płyty, by wyjść na powietrze z niczym.

Wypił kawę w „Vis-a-Vis”, ogródku o pięknej, piwnicznej tradycji, która znalazła swój koniec w chamstwie paskudnej kelnerki. Mieszał powoli i patrzył, jak luminarze kultury spijają się w południowym słońcu, jak ciężą im głowy, jak ich dziewczyny szczebioczą w zachwycie, jak ręka obejmuje kufel, niczym kielich z tchnieniem samego Boga. Poczuł się źle, zostawił dziesięć złotych i poszedł.

To kolorowe muzeum udające miasto, wypełnione stworami udającymi ludzi, porodziło Kacpra. Mikołaj czuł, że jest do gruntu złe i skazane na zagładę. Nigdy wcześniej nie odniósł takiego wrażenia.

Farmazon kazał mu się spieszyć, Mikołaj go nie posłuchał. Pomyślał, że mógłby zrobić to ponownie. Ciekawe, czy Deodoro odzyskał przytomność? Co ustalono wspólnie z panią Halinką i ziomalami? Mikołaj mógł sam podjąć właściwą decyzję. Wydobył telefon, wybrał numer pogotowia, ale cofnął palec. Będzie bezpieczniej, jeśli zadzwoni z budki. Odstał swoje w kolejce, ale wyszedł z niczym. Farmazon to jednak mądry facet.

Jazda z centrum do Kacpra zajmuje czterdzieści minut. Trzeba minąć dworzec, kierować się na Kurdwanów, przejechać osiedla i tuż przed Wieliczką skręcić w prawo. Mikołaj jechał szybko, w pełnym słońcu. Dopiero pod koniec trasy pogoda zaczęła się psuć.

Nad Kacprem wisiała ołowiana chmura.

– Co tak długo? – zapytał Farmazon. Stał na czwartym piętrze i próbował panować nad sobą.

– Składałem się do kupy.

– Gratuluję.

– O co ci chodzi? – Mikołaj ukradkiem pokazał Farmazonowi zwitek banknotów. Oczy Farmazona zwięzły się. Schował pieniądze do kieszeni.

– Zaraz przeliczymy i zbieramy dupy – obrzucił wzrokiem ściany. – Zaczynam mieć dosyć tego miejsca. I tych ludzi też, jeśli mam być szczerzy.

– Jak Deodoro?

Twarz Farmazona rozjaśnił uśmiech.

– W pewnym sensie lepiej. Sam zobacz.

Być może nieznanymi z imienia kumpel Krauzego ma trochę racji z gierkozą blokozą – taka myśl nawiedziła Mikołaja, gdy stanął w mieszkaniu, w którym spędził ostatecznie trzy miesiące. Wysiętek Reni, by zmienić zdewastowaną norę w pastelowe gniazdko, został zniweczony, wszędzie panowała szarość. Kolorowe kubki z Ikei pobladyły, żółto-niebieskie meble stały się tak nijakie, że trudno było określić, jakiego teraz są koloru. Książki pod oknem sprawiały wrażenie obłożonych w papier pakunkowy. Nawet pani Halinka pochylona nad oprzytomniałym Deodoresem wyglądała na wyciągniętą z czarno-białego filmu.

Na dworze był ciemno jak w nocy. Czarne chmury zasnuły niebo.

Deodoro leżał na materacu. Stopy wystawały spod kołdry, podobne do czarnych płatów kory. Ręce splótł na piersi, czoło posrebrzył mu pot. Deodoro wydymał wargi odsłaniając czarne kruszynki zębów i nie przestawał mówić.

– Niedługo. Niedługo. Niedługo – powtarzał. Zakrztusił się i pościel zabarwiła czarna kropla śliny – gównem tam. To już. Chłopcze Mikołaju, Chłopcze Farmazonie. Panno Renatko. To już i chyba nic nie zrobimy.

– Ma tak od dwudziestu minut – wyjaśnił Farmazon.

– Gdzie ziomale? – chciał wiedzieć Mikołaj.

– Pani Halinka nie chce tu ziomali – wyjaśniła Renia. – Mówi, że mu tylko zaszkodzą. On potrzebuje lekarza w tej chwili.

W oczach pani Halinki zakręciła się łza.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – zapytała Renia. – Musimy zadzwonić po pogotowie.

– Daj nam dziesięć minut – Farmazon pociągnął Mikołaja do wyjścia. Wiedział, że muszą przeliczyć pieniądze i dać nogę. Zatrzymał go głos Deodora.

– A co zrobisz, chłopcze Farmazonie, jeśli ten deszcz pada właśnie dla ciebie? – zakrakał Deodoro. – Jeśli oni przyjdą w tym roku tylko po to, żeby rozliczyć się z tobą? Jakie wtedy znajdziesz słowa, co tam im wyklapiesz, mój mądralo, mój ty chłopcze Farmazonie? Będziesz nagi jak cię Bóg stworzył, z wszystkim na wierzchu, zupełnie bezbronny. Ich oczy mają kolce, ich żyły tłoczą jad. A przyjdą, bądź o to spokojny.

– Wolałem go, jak leżał cicho – stwierdził Farmazon. – Idziesz na moment, Mikołaj?

Mikołaj nie drgnął. Słuchał Deodora.

– Krople deszczu brzmią jak ich kroki. Tup, tup – Deodoro mówił z wysiłkiem, kaszlał i krztusił się. Coraz więcej śliny pokrywało kołdrę. – Ale ja się nie boję, choć moja wina jest wielka. Módl się, żeby twoja nie była równa mojej. Ale ja karę noszę w sobie, wina zjada mnie jak ogień, więc nic mi nie robią, wiedzą, że najgorsze, co mogą, to minąć mnie, iść dalej. Chciałbym, chciałbym dostąpić ich sprawiedliwości. Chłopcze Mikołaju. Panno Renatko. Chłopcze Farmazonie.

Deodoro gwałtownie usiadł na łóżku. Oczy mu zapłonęły. Mikołaj wreszcie się ruszył, nie bez pomocy Farmazona.

– Zbieraj się, Renatko – rzekł Farmazon. – Za pięć minut jesteśmy z powrotem.

Deodoro uniósł rękę i wskazał na Farmazona:

– Zważ, co uczyniłeś. Policz grzechy jak zęby. Lepiej oko sobie wyłupić, niż stać się przyczyną zgorzenia.

– Świetnie – odparł Farmazon – po prostu świetnie, chłopcze Deodorze.

O parapet zabębniły pierwsze krople deszczu.

Farmazon pędził po schodach i Mikołaj z trudem za nim nadązał. W około pociemniało.

– Farmazon! Farmazon! – krzyczał Mikołaj. – Dwie sprawy!

– Co znowu? – Farmazon zatrzymał się na półpiętrze. Przez wybite okno do środka wlewały się strugi wody.

– Dwie sprawy – powtórzył Mikołaj. – Co robimy z tym lekarzem?

Farmazon westchnął, dając do zrozumienia, że ma dosyć tego tematu.

– Jeśli się nie pospieszymy, nasz milusiński rzeczywiście umrze – powiedział. – Ciekaw jestem, czyja to będzie wina i komu zostanie wypomniana. Masz kartę telefoniczną?

Mikołaj przytaknął.

– Jak wyjedziemy, zatrzymamy się przy pierwszej budce i zadzwonimy.

– Nawet bez karty.

– No, bez karty – rzucił Farmazon i ruszył po schodach.

– Poczekaj. Jak się liczymy? Nie ustaliliśmy jeszcze tego.

– Co znowu? – Farmazon oparł się o ścianę, odchylił głowę. – Jak sędzę, ustaliliśmy to już dawno temu.

Błyskawica rozjaśniła niebo.

– Nie chcę się kłócić przy Reni. Ona także ma dosyć. *Wszyscy mamy dosyć*, pomyślał Farmazon. Zerknął w okno, *jazda w ulewie to nic przyjemnego*.

– Załatwimy to tak – powiedział wreszcie – sześćdziesiąt procent dla was, czterdzieści dla mnie. Tylko dlatego, że stałyś tutaj i mnie męczył tak długo, że Deodoro rzeczywiście by umarł. Nie z gorączki. Nie z głodu. Ze starości.

Mikołaj z Farmazonem w ciągu poprzedniego tygodnia wystawili na internetowych aukcjach trzy laptopy, cztery płaskie monitory siedemnastki, dwa aparaty cyfrowe Canon, trzy aparaty cyfrowe Minolta, sześć discmanów Sony, cztery kamery cyfrowe Philipsa, cztery zestawy kina domowego (każdy innej marki), jeden telewizor plazmowy i dwa zwykłe po trzydzieści dwa cale, plus trochę drobiazgu. Żaden z tych przedmiotów nigdy nie istniał. Siedząc i paląc w pokoju Farmazona, obliczyli, że zarobili na czysto osiemdziesiąt sześć tysięcy, czterysta dwadzieścia jeden złotych, do tego całe sześćdziesiąt groszy.

Kiedy Farmazon opuścił pokój, Deodoro natychmiast się uspokoił i opadł na łóżko wyczerpany gorączką i długą przemową. Pani Halinka co chwilę dotykała rozpalonego czoła, zwilżała wargi, trzymała go za rękę. Renia patrzyła w okno. Nigdy wcześniej nie widziała takiej burzy.

Mozna by pomyśleć, że nad Kacprem otworzyło się niebo. Chmury spływały znad drzew łagodną falą i formowały się w rozległy wir, szary na brzegach i czarny po środku. Jedna po drugiej, błyskawice przecinały niebo, chmury wyglądały wówczas jak śnięte ryby, niesione prądem rzeki. Woda momentami tworzyła litą ścianę. Renia spojrzała w dół, Kacpra oplotły rwące potoki. Zagrzmiało, dziewczyna cofnęła się instynktownie. *Kiedyś w takie noce, przemknęło jej przez głowę, ludzie obawiali się wychodzić z domu. Siedzieli przy lampie i odganiaли złe duchy*. Noce? Nie było trzeciej po południu.

– Pierwszy raz widzę taką ulewę – powiedziała do pani Halinki. Niepewnie dotknęła szyby. – Może by okno przytrzymać?

– Nie pomoże – odparła Halinka, patrząc na Deodora, i Renia nie wiedziała, jak ma to rozumieć. Zapadła chwila milczenia. Żarówka słabła. Deszcz napierał na szybę, nie było widać niczego poza strugami wody.

– Jak on się czuje? – zapytała Renia.

Wystarczyło spojrzenie, by stwierdzić, że z Deodorem nie dzieje się nic dobrego. Ponownie stracił przytomność, wyschnięte czoło lśniło, a nos wydłużył się i zaostriął. Gdyby Renia miała komórkę, wiedziałaby, co z nią robić.

– Wyzdrowieje, prawda? – pytała raz po raz, a pani Halinka zdawała się kurczyć i maleć. Deodoro oddychał płytko. Oczy drżały pod powiekami.

– Przepraszam na moment – powiedziała Renia i zamknęła drzwi za sobą.

Na korytarzu odgłosy burzy pozostawały przytłumione, za to środkiem sunęła struga wody spływająca z opuszczonych mieszkań i wbitych okien. Renia przycisnęła się do ściany. W tylnej kieszeni znalazła pogniecione papierosy, wyprostowała jednego, zapaliła i natychmiast cisnęła o ziemię. Pomyliła strony i filtr się zajął. Chesterfield sunął środkiem potoku na korytarzu Kacpra.

Renia nie chciała wracać do pokoju. Deodoro umrze. Wszyscy umrą, przeraziła się, tak, umrą, utoną. Zaraz Kacper ruszy wraz z nurtem i roztrzaska o rogatki Krakowa. Reni zrobiło się zimno. Woda obmywała jej stopy. Wydobyła kolejnego papierosa.

Z półpiętra zabrzmiał znajomy głos i Renia usłuchała wezwania.

Szóste piętro. To tu, zdaniem Farmazona, Kacper Kłapacz miał swój żołądek. Jelito korytarza ginęło w mroku przeorane przez wejścia bez futryn i grube bruzdy w brązowym tynku. Tylko jedne drzwi ocalały nienaruszone, lśniły nowością, niczym klejnot na mulistym dnie, słonecznie żółte, bez rysy i desek, drzwi do mieszkania sto szesnaście. Renia stała na schodach ze świeczką. Spojrzała w dół. Mikołaj nie zauważy, że jej nie ma. A jeśli nawet, co z tego? Czy widział ją kiedykolwiek? *Pewno leciał na moje cycki*, myślała, *w końcu wszystkim facetom chodzi tylko o to*.

Z wyjątkiem jednego.

Powiał wiatr, deszcz bił o okna. Renia wciąż stała, bojąc się iść dalej i wstydząc się wracać. Drzwi do mieszkania sto szesnaście były nowe. *Może pomyliłam piętra?*, myślała, *albo, mówiąc po ludzku, obluzowała mi się klepka?*

Ruszyła korytarzem. Gałęzie kasztanowca biły o parapet. Przypomniała sobie wszystkie dziwadła z ostatnich dni. Każdy w Kacprze wydawał się odmieniony, jakby oczekiwał czegoś szczególnego w najbliższym czasie. Weźmy ziomali, oni żyją bez kalendarza, ale dzisiaj wydawali się dziwnie poważni. Taki Krauze wyglądał, jakby spodziewał się telefonu, który zadecyduje o jego życiu lub śmierci. Pani Halinka, no cóż, pani Halinka zawsze jest sobą, przejmuje się tylko psami. Tylko dlaczego zagoniła je wszystkie do domu i gdyby nie sprawa z Deodoro, siedziałyby z nimi? Deodoro wreszcie uwierzył, że Bóg, ten mściwy i okrutny, w którego wierzy tylko Deodoro, rzeczywiście wypali jego duszę ognistym deszczem. Wszyscy mówili o deszczu.

Jak echo tej niepokojącej myśli zabrzmiał brzęk tłuczonego szkła. Ostatnie całe okno na piętrze rozprysło się, woda zalała podłogę. Renia spojrzała za siebie, środkiem sunął czarny strumień w mętym świetle świecy podobny do plamy ropy. Dziewczyna pobiegła i zatrzymała się dopiero, gdy jej palce zacisnęły się na klamce zakazanego pokoju.

Drzwi do nawiedzonych miejsc otwierają się same z siebie, pozostają zamknięte lub trzeszczą okropnie. Nic takiego się nie stało. Przez moment Renia myślała, że pokój sto szesnasty jest zamknięty na głucho – ktoś w ciągu paru godzin wymienił drzwi i zamknął je, może nowy sąsiad, jeden z tych, co nie da sobie wkręcić żadnej pierdoły? Klamka ugięła się bezgłośnie, zawiasy zaskrzypiały. Ze środka bił znajomy zapach – plastikowy smród apteki.

Na mieszkanie numer sto szesnaście składał się mały pokoik, bez drzwi, które mogłyby prowadzić do kuchni lub łazienki. Ścianę na wprost zajmowało okno. Wiatr uderzał w nie z furją i Renia miała wrażenie, że szyba zaraz wygnie się jak żagiel. Poniżej framugi stał długi stół z lekarstwami, pudełka mieniły się znajomymi, syntetycznymi kolorami, była strzykawka i basen, słowem wszystko, co Renia zdołała poznać i znienawidzić. Podłogę pokrywały gazety, niektóre nowe, inne sprzed paru lat – w rogu piętrzyły się hałdy „CKM-ów”, „Playboyów” i pism motoryzacyjnych, których Renia nigdy nie nauczyła się rozróżniać. Telewizor nadawał teleturniej, bezgłośnie. Na wielkim łóżku leżał Robert.

Odwrócił głowę i dziewczyna widziała, że bardzo cierpi. Pomimo tego, podniósł się na rękach, spróbował wyciągnąć dłoń. Zakaszła.

– O Boże – powiedziała Renia.

– Podasz mi laskę? – poprosił. Podciągnął się na łokciach. Renia odniosła wrażenie, że cieszy się na jej widok.

– Podaj mi laskę – powtórzył. – Nie chcę się tak witać z tobą.

– Gdzie twój wózek?

Robert odgiął głowę do tyłu. Szyję miał żółtą, jabłko Adama przypominało cytrynę.

– Nie używam już wózka. Wózek to gówno, wózek jest dobry dla starców. Z laską czuje się trochę młodziej, może nawet lepiej. Myślę, że powinienem zmuszać organizm do większego wysiłku, inaczej to świństwo zeżre mnie ze szczętem. Sama to mówiłaś, prawda? To twoje słowa – przełknął ślinę i dodał smutno – długo cię nie było.

– Wiem – odważyła zbliżyć się do niego, ale nie na wyciągnięcie ręki. To zbyt chore, by było prawdziwe, Robert nie żyje. Więc co? Wrócił z martwych? I przytargał ze sobą apteczny zaduch, graty do srania bez wstawania, łóżko i pół czytelnicy czasopism? A może wszystko wylazło z jej głowy? Tak albo tak, nie ma czego się obawiać.

– Ja to rozumiem – mówił – każdy by zrozumiał. Myślę, że mogłem poradzić sobie lepiej, no wiesz...

Uderzył ręką w pierzynę.

– Z tym wszystkim.

Uśmiechnął się, jakby znał świetnie całą sytuację – wiedział o Mikołaju, Kacprze i oszustwie na Allegro.

– Rozumiem, że nie chcesz podejść – powiedział – ale byłoby miło, gdybyś chciała.

Renia usiadła przy łóżku. Palce same znalazły jego dłoń. Nagle zorientowała się, że jest zupełnie odprężona i spokojna, że tutaj, przy Robercie, nie grozi jej nic złego.

– Robert...

– Nie mów nic. Wszystko wiem. I nie mam do ciebie żalu.

– Nie powinnam była odchodzić.

– Nie darowałbym sobie, gdybym zmarnował twoje najlepsze lata. Ja cię rozumiem, Renatko. Nie mogłem wytrzymać sam ze sobą, więc co dopiero ty.

Przycisnęła policzek do jego dłoni. Była ciepła, w Robercie biło życie.

– Też myślałam o tym, Robert. Na dobre i złe, pamiętasz? Tego złego zrobiło się za dużo. Nie wierzyłam, że będzie lepiej, bałam się, że wciąż będziesz chorował... I zostawisz mnie kiedyś, to jest, umrzesz, a ja będę miała czterdzieści lat, cyce opadną mi do kolan, a wszystko...

– Masz śliczne cycuszki.

– Wszystko, co będę umiała – otarła łzę – to podcierać ci dupę i zagryzać wargi. I wiesz, co jeszcze? Myślałam, co będzie, jak wyzdrowiejesz. I bałam się, że przywykłeś do posiadania sługi od każdej pierdoły i dalej będę wokół ciebie tańczyć i dalej słuchać tego wszystkiego, a ty przed niczym się nie zawahasz, bo możesz, bo ci pozwoliłam.

Robert pocałował ją w czoło, a Renia uwolniła łzy i wtuliła się w jego chude ciało.

– Wiem, co zrobiłem źle – mówił. – Szkoda, że tak późno. Jak, powiedz mi, jak teraz ci idzie?

Chce wiedzieć, czy mam kogoś, pomyślała Renia. Mikołaj wydał się jej kimś odległym, wspomnieniem z dzieciństwa, brudną plamą po stopniałym śniegu. Oszustwo na Allegro skazywało ją na wieczną banicję. Bycie wygnańcem jest gorsze niż podcieranie tyłka komuś, kogo się kocha.

– Nic szczególnego – odpowiedziała – powinnam częściej ciebie słuchać.

– To dobrze – odparł Robert łagodnie – bo powoli musimy się żegnać. Nie wolno mi zostać tutaj zbyt długo.

– To dobrze – powtórzyła Renia – bo chcę dzisiaj pójść z tobą.

– Jesteś pewna? – zapytał. Renia nie chciała puścić jego ręki i tylko pokiwała głową. Była szczęśliwa szczęściem z pierwszej randki.

– Będzie nam ciężko, przynajmniej na początku – mówił dalej – nie mówiąc już o tym, że nie wyjdę

z domu o własnych siłach.

– Mamy samochód.

– Nie – pokręcił głową – myślę, że powinniśmy iść. Pomożesz mi?

– Czemu nie masz wózka?

– Myślę, że powinniśmy iść – powtórzył Robert. Zacisnął dłoń na brzegu szafki i spróbował podnieść się szarpnięciem. Zrezygnowany, padł na łóżko. Renia delikatnie objęła go w pasie, pocałowała i podniosła. Robert stał, wsparty na niej całym ciężarem, ale wydawał się lekki, jak lekki jest cały świat, kiedy kogoś się kocha.

Renia włożyła mu laskę w rękę, ale kiedy zaczęła szukać spodni, Robert zaprotestował.

– Musimy już iść – odwrócił głowę w stronę okna – wystarczy mi płaszcz, kapelusz i buty.

Renia, mimo protestów Roberta, zawiązała mu jeszcze szalik. Wyszli z pokoju, korytarz stracił uprzednią groźbę. Reni nie opuszczało wrażenie, że Robert z każdym krokiem odzyskuje siły. Jego oddech stawał się pewniejszy, krok bardziej sprężysty. Pomyślała, że dobrze im to wróży.

– Ciągłe go nosisz – powiedział Robert, gdy doszli do wyjścia. Patrzył na pierścionek.

Renia uniosła rękę.

– Tak – przyznała i spojrzała mu w oczy. – Zawsze czułam, że to za wcześnie, żeby go zdjąć.

– Gdzie Renia? – Farmazon wbiegł do mieszkania, z tyłu majaczył cień Mikołaja.

– Pali na korytarzu – odparła pani Halinka. Trzymała głowę Deodora w objęciach. Farmazon rozłożył bezradnie ręce na znak, że nie widział nikogo na korytarzu.

– No to całkiem w pytel – odwrócił się do Mikołaja. – To nie najlepszy moment na rozmowę, ale twoja dziewczyna to skończona idiotka.

Mikołaj przełknął tę informację bez słowa.

– Pytam po raz ostatni, czy możesz wreszcie zadzwonić? – powiedziała pani Halinka. Farmazon nigdy wcześniej nie słyszał w jej głosie takiej determinacji. Cofnął się, spojrzał bezradnie na Mikołaja.

– Mówiłem, pięć minut. Jakby tu była Renata, już byśmy dzwoniли.

Pani Halinka ułożyła głowę Deodora na poduszce i podeszła do Farmazona.

– Naprawdę nie wiem, co wy tam macie za tajemnice. Ja tylko nie chcę go stracić. Proszę pana, panie Farmazonie.

Jej słowa zabrzmiały jak groźba. Farmazon nie odpowiedział, minął osłupiałego Mikołaja i pobiegł korytarzem, rozchlapując wodę.

– Gdzie idziesz? – krzyknął za nim Mikołaj.

– Do ziomali – huknął Farmazon – może Renia tam poszła?

– Co? – Mikołaj nie dosłyszał.

– Gówno! – ryknął Farmazon. – A ty nie waż mi się stąd ruszyć!

Mikołaj nie odzywał się do pani Halinki i starał się nie patrzeć na Deodora, który zdawał się chudnąć i żółknąć w oczach. Wolał deszcz. Jako dzieciak mógł godzinami patrzeć na wodę zalewającą podwórko. Mama śmiała się, że tak, jak inne dzieci jadą na wakacje dla wody i słońca, tak Mikołaj cieszył się, jeśli obiecano mu, że przynajmniej przez tydzień będzie lało jak z cebra. Mały Mikołaj lubił deszcz, bo nikt nie odrywał go od książek i gier planszowych.

Burza nad Kacprem była rzeczywiście niezwykła, nie tylko dlatego, że słoneczne popołudnie momentalnie przeobraziło się w listopadową noc. Deszcz prał z taką furją, jakby miał wypłukać z ziemi wszystkie nieprawości. Mikołaj nie zdziwiłby się, gdyby nagle sufit w mieszkaniu skłębił się w czarny obłok i spłynął deszczem. Dokąd mogła pójść Renia?

Z zalem przyznawał Farmazonowi rację. Renia zachowała się nieodpowiedzialnie, mamrząc i skomląc o telefon, wreszcie – znikając bez słowa. Prawdopodobnie rzeczywiście poszła do ziomali prosić o komórkę. No, to ziomale podziękują całej trójce, kiedy zajadą tu radiowozy, zwłaszcza w takie uroczne popołudnie, gdzie nie ma dokąd zdupcać, bo Bozia z aniołkami właśnie robią pranie. Renia nie jest złą dziewczyną, ale należy do tego nieszczęsnego gatunku, który grupuje się w manifestacjach o prawa zwierząt, robotników lub przedsiębiorców, w zależności od tego, którądy bardziej po drodze. Mikołaj bardzo ją kochał i uznał, że zrobił błąd. Należało przyjechać do Kacpra tylko z Farmazonem. Z Renią było pewne, że wszystko się spieprzy w najważniejszym momencie.

Odwrócił się do pani Halinki i powiedział:

– Nikt z nas nie chciał, żeby tak wyszło. Pani Halinka nie podniosła głowy.

– Jeśli wiesz, dokąd poszła Renata, to najwyższy czas nam powiedzieć. Im szybciej się dowiemy, tym szybciej będziemy mogli zadzwonić. To w końcu Kacper Kłapacz – dodał, jakby to wyjaśniało cokolwiek.

Przycisnął twarz do szyby. Zabawne, że wszyscy przepowiedzieli deszcz. Jakby każdy miał barometr w dupie. Nawet ziomale wiedzieli, że coś jest na rzeczy. Patrząc na strugi wody zalewające kasztanowiec, poszukiwał spokoju. W ciemności drzewo zmieniło się w bezkształtny cień. Pień trzeszczał pod naporem wiatru, bezlistna gałąź pomknęła w mrok. W świetle błyskawicy Mikołaj zobaczył człowieka stojącego na gałęzi.

Mężczyzna był nagi i wychudzony. Półdługie, białe włosy lepiły się do szczupłej twarzy. Pod wysokim czołem zionęły oczy, niby dwie jamy, a usta – dosłownie – rozciągały się od ucha do ucha. Szyja wydawała się nienaturalnie długa, w przeciwieństwie do nóg, krępych i krzywych, o kolanach gładkich jak kule bilardowe. Mężczyzna bił dłońmi o uda, wprawiając w ruch zabiedzone genitalia, podobne do zasuszonych gałęzi na szczycie kasztanowca. Nim Mikołaj zdążył się przyjrzeć albo chociaż upewnić się, czy nie mają go zmysły, zapadła ciemność i mężczyzna zlał się z drzewem.

Mikołaj odwrócił się bezradnie do pani Halinki, cofnął się i opadł na krzesło. Znowu spojrzął w okno. Gałęzie były o szybę. Spróbował się podnieść, ręka sama znalazła papierosa i wtedy, kiedy chłopak trzymał zapalniczkę tuż przy twarzy, piorun znowu rozświetlił niebo. W elektrycznym świetle Mikołaj widział mężczyznę na gałęzi; widział, jak ten rozpościera ramiona, ujawniając szerokie pasy błony łączącej łokcie z biodrami. Czarne usta otworzyły się, uwalniając strumień wody. Mężczyzna poszybował w powietrzu, prosto na Kacpra, i znowu zrobiło się ciemno.

Mikołaj zrobił niezdarne kroki do tyłu, potknął się i runął między szafkę z książkami i materac, na którym leżał Deodoro. Ręce wysunął przed siebie, nie ochronił pleców przed upadkiem, więc rąbnął ciężko, w głowie zahuczało mu, jakby uderzył piorun. Błyskawicznie poderwał się z podłogi, nie odrywał wzroku od okna, pewien, że zaraz uderzy w nie ten przerażający człowiek. Ale nic takiego się nie stało. Mikołaj przymknął oczy, oddychał głęboko. Nad nim przygasła żarówka.

Wymacał zapalniczkę, zapalił. Z dołu wszystko wygląda inaczej, pomyślał. Pani Halinka urosła, Deodoro zmałał.

Farmazon biegł po schodach, które wydawały mu się dłuższe niż wcześniej. Wiedział, że to bzdura, wkurwiał się na siebie. Wkurwiał się na wszystko – na wodę ścigającą się z nim po stopniach, na zasraną ulewę, w której przyjdzie mu jechać, na Renie i wszystkie rozumy, które pozjadała, wreszcie na Mikołaja, święcie przekonanego, że zjedzenie ciastka i posiadanie ciastka jest proste jak jebanie. Przeskakiwał po dwa stopnie, kłął i wołał Renie.

Jeśli nie ma jej u ziomali, może być gdziekolwiek. Równie dobrze mogła pójść boczyc się na górę, na szóste piętro albo wyżej, choć tam tylko gołębie srają, a każdy kawałek gruzu wypatruje naiwnej głowy, na której mógłby się roztrzaskać. Mogą szukać jej do rana. Zabawne, bardziej, niż o los swój i ukochanego troszczyła się o nieszczęsnego Deodora, a teraz, jeśli Deodoro umrze, będzie to wyłącznie jej wina.

Dotarł na trzecie piętro, zmęczony, jak po długim i forsownym biegu. Spojrzął za siebie, schody zmieniły się w wodospad, ale wcale nie były dłuższe niż zwykle. Farmazon pobiegł w lewo, uderzał w każde ocalałe drzwi, krzyczał, wpadał do mieszkań, robił kółko i wracał na korytarz. Jeśli Renia chciała się schować, nigdy jej nie znajdzie.

Obiegł tak połowę piętra i przystanął, z walącym sercem, mokrymi butami i koszulą wilgotną od potu. Otarł czoło. W takich chwilach żałował każdego wypalonego papierosa, każdej wciągniętej kreski, najbardziej jednak przeklinał moment, w którym doradzał Mikołajowi, że ta cycata dziwka po przejściach może okazać się miłością życia. Ruszył truchtem przez piętro, nawoływał, sapał, wściekał się, przyrzekał, że w następnym biznesie nie będzie żadnych kobiet, nawet jeśli chodziłoby tylko o sprzedaż precli na przystanku albo grę w trzy karty.

Niewiarygodne, ile gratów mieścił w sobie Kacper Kłapacz. Każde piętro wypełniał bezwartościowy drobiazg. Farmazon, mokry i wściekły, o mało nie upadł, zahaczywszy nogą o rowerek trójkołowy, upiorną podróbkę tego, którym jeździł małeńki Danny w *Lśnieniu* Stanley'a Kubrick'a. W kawalerce na rogu zwałił meblościankę z płyty pilśniowej. Egzemplarze „Kraju Rad” zawirowały w powietrzu i spłynęły szerokim strumieniem aż do progu. Farmazon znalazł kolekcję świerszczyków w czyjejś opuszczonej samotni, kilkaset kryminałów ustawionych w rzędach tam, gdzie kiedyś znajdowała się łazienka. Stoły bez jednej nogi, butelczyny, odrapane zlewy, potrzaskane muszle klozetowe były na piętrze trzecim na porządku dziennym. Farmazon znalazł nawet wannę, którą ktoś przytargał na środek pokoju,

zapewne tylko po to, by nasrać do środka. Wanna była jedynym suchym miejscem w pomieszczeniu.

Ciekawe, co by powiedziała, gdybyśmy teraz zabrali stąd dupy w cholere, do czego zresztą mamy pełne prawo? – myślał Farmazon, starając się złapać oddech przy wybitych drzwiach jednego z mieszkań. Jeśli by się uparła, zdołałaby nas znaleźć. Nie, stary. To źle postawione pytanie, odpluł się i patrzył, jak mela splywa z nurtem, co powiedziałaby Mikołaj?

Farmazon przestał się dziwić, że każdy, kto pomieszka w Kacprze, dostaje pierdolca w temacie ulewy. Wnętrze bloku wyglądało malowniczo. Strumyczek po środku korytarza zmienił się w rwący potok, który zakręcał i pędził po schodach. Blok musiał stać krzywo, nic dziwnego, w czasach, kiedy powstawał, prosty był tylko uścisk dłoni pierwszego sekretarza. Fale załamywały się na progach mieszkań, strumienie wlewały się przez okna. *Jak na pieprzonej arce*, pomyślał Farmazon i ruszył w dół, na drugie piętro.

Próbował przeskoczyć przez potok na środku, ale źle wymierzył i wpadł po kostki w zimną wodę. Skoczył raz jeszcze i omal nie upadł – wylądował na krawędzi mokrego stopnia, gładka podeszwa zsunęła się i tylko poręcz uchroniła Farmazona przed upadkiem. Odetchnął chwilę i pobiegł dalej. W koszta biznesu, obok paru lat pierdla, należy włączyć zapalenie płuc. O ile od pierdla można się wywinąć, to zapalenie ma pewne, jak amen w pacierzu.

Na półpiętrze zderzył się z kimś, kto pędził na górę. Uderzenie było bolesne i bardzo szybkie, Farmazon oberwał w bark, okręcił się i wylądował tyłkiem w wodzie. Skaleczył się w rękę o ostry kawałek gruzu, czuł cierpki ból, krew mieszała się z wodą.

– Ej, ty! – krzyknął podnosząc głowę. Głos uwiązł mu w gardle. Po schodach sadził susy maleńki, nagi człowiek. Gdyby Farmazon wstał, nieznajomy sięgałby mu do pasa. Miał grube łydki i uda, ale pośladki powiewały mu jak dwa kawały płótna. Z wąskich pleców wyrastały muskularne dłonie, jedna dłuższa od drugiej, zwieńczona skarłowaciałymi palcami. Szyję przygniatały grube fałdy karku. Uszy sterczały, wielkie i niekształtne. Człowieczek miał skórę jasną i gładką jak piaskowiec.

U szczytu schodów odwrócił się. Farmazon rąbnął głową w ścianę.

Człowieczek nie miał ust ani żadnego śladu po ich obecności. Zamiast nosa sterczała gładka wypustka, za to oczy były ogromne, pozbawione źrenic, mętne, ale Farmazon wiedział, że stwór patrzy na niego. Poderwał się na nogi, pochwycił kamień i cisnął w niego. Człowieczek nawet nie drgnął. Dopiero teraz Farmazon spostrzegł, że na szyi dziwnego nieznajomego wisi mnóstwo aparatów fotograficznych. Gdyby odważył się podejść bliżej, mógłby rozpoznać markę i model. Aparaty bujały się między kolanami. Człowieczek pochwycił pierwszy z brzegu, zrobił zdjęcie Farmazonowi i zniknął na półpiętrze.

Minęła długa chwila, nim Farmazon odzyskał siły. Starczyło mu ich dokładnie na wparowanie do Krauzego i wyrwanie butelki piwa gospodarzowi.

– Widzieliście Renie? – wykrztusił. Krauze pokręcił głową.

W takim razie powiedzcie, co tu się, kurwa, dzieje?!

– Przyszli – powiedziała pani Halinka.

U Krauzego siedzieli ziomale z całego piętra. Wejście zabezpieczono workami z piaskiem i dzięki

temu woda nie wlewała się do środka. Okna uszczelniono.

Usadzili Farmazona na łóżku, na którym poprzednio spał ziomal w żółtych spodniach. Dali piwa i herbaty.

– Muszę zaraz wracać – wykrztusił Farmazon.

– Widziałeś ich, co? – zagadnął Motylek. Farmazon pokiwał głową.

– Jednego – rzucił, nie mając pojęcia, kim są „oni”.

– Po pierwsze – Krauze przytargał stołek i usiadł naprzeciwko Farmazona, kładąc łokcie na oparciu – po co miałem ci mówić? Po drugie, mogę popieprzyć mnóstwo rzeczy. Jeszcze nie mieszkałem tutaj, jak to się zaczęło. Ale powiem ci to najlepiej jak umiem i gównu mnie obchodzi, co potem z tym zrobisz. Rozumiesz? Farmazon pokiwał głową. Herbata rozgrzewała mu żołądek, ale nogi wciąż miał zimne. Ręka krwawiła, co chwilę wycierał ją o spodnie. Ziomale nie widzieli tego albo nie chcieli widzieć.

– Sprawa zaczęła się jakieś dziesięć lat temu, kiedy Deodoro nazywał się Staszek i był normalnym mętem – zaczął Krauze. – W Kacprze wszystko było mniej więcej tak, jak teraz. Staszek pił bełty i zbierał złom. Potrafił przejść dziennie i z dwadzieścia kilosów i był kurewsko silny. Mieszkali z bratem, Deodoro na piątym, a brat na szóstym. W pokoju sto szesnaście. Chcesz jakieś spodnie?

Farmazon skinął głową. Motylek rzucił w jego stronę parę jeansów.

– Co ja ci mam powiedzieć o bracie Deodora? Tyle, że pił i zbierał złom. Był chyba młodszy i mniej zniszczony. Widziałem kiedyś zdjęcie, bo się zajawiłem na tę sprawę. Jakoś w dziewięćdziesiątym szóstym w Kacprze zamieszkała pani Halinka.

Farmazon zmienił spodnie. Ręka już nie krwawiła.

– Zawsze mówię, że menel też człowiek i należy mu się coś od życia. Deodoro nie był jeszcze tak popierdolony, a Halinka zupełnie znośna, jak na żulinę. No i jakoś skumali się ze sobą. Trochę chlali, trochę kręcili pieniądze, on sypiał u niej, ona u niego. Z tego, co ludzie mówią, byli szczęśliwi, pewnie byliby do dzisiaj, Halinka nie miałaby tych kundli, a Staszek nie zmieniliby się w Deodora. Tak by było, gdyby nie braciszek.

– Wiem, że to dla ciebie strasznie dziwne, ja wiem, jak wyglądam i jak ludzie na mnie patrzą – pani Halinka siedziała na brzegu łóżka, Mikołaj na podłodze plecami do okna. – I możesz się śmiać, ale naprawdę go kochałam. Nie przypuszczałam, że kiedyś mnie to spotka no i, jak to mówią, nie doceniłam tego, co miałam. A planowaliśmy, słuchaj tylko, że jeszcze jakoś będzie dobrze, że wyzwolimy się i pozjemy jak ludzie.

Pani Halinka mówiła szybko, nie spuszczała wzroku z Deodora.

– Czesiek był przeciwieństwem Staszka. Staszek był cichy, Czesiek awanturował się zawsze, jak popił. Staszek to nawet lubił pracować i miał okresy, że pracował dużo, Czesiek najchętniej kłął na ludzi, że nie ma pieniędzy, a inni to mają, a on przecież nie był gorszy. Trochę racji w tym było, bo Czesiek, jak chciał, to umiał mówić i robić, ale że rzadko mu się chciało, to inna rzecz. Myślałam na początku, że mnie nie cierpi i ma żal, bo rozdzieliłam go z bratem, ale nie – on po prostu miał taki sposób bycia i to mi się

w nim podobało.

Mikołaj skinął głową na znak, że rozumie.

– I nie wiem, czy przez alkohol, czy przez moją głupotę własną zaczęłam też kręcić z Cześkiem. Staszek kochał mnie strasznie i ja go kochałam, ale w Czesiu było coś takiego, że normalnie, no, nie mogłam się oprzeć. Ukrywałam wszystko i bałam się jak niczego, żeby Staszek się nie dowiedział.

– W końcu sprawa się zjebała – powiedział Krauze. – Z tego, co wiem, Staszek ich nakrył i zrobił jazdę. Tej samej nocy brat Staszka wyskoczył oknem. I miał facet pecha.

Skończył robić blanta, ściągnął chmurę i podsunął Farmazonowi. Farmazon odmówił ruchem głowy.

– Gdyby rąbnął z szóstego piętra o ziemię, zabiłby się na miejscu, ale uderzył o drzewo. Połamał się, ale żył, jak przyjechała karetka. Zdechł w szpitalu tydzień później, w męczarniach. Rozumiesz, Farmazon, był menelem, lekarzom nie chciało się ruszyć dupy, więc nieszczesny chłop konał przez siedem dni i boję się myśleć, ile wycierpiał.

Spojrzał w kierunku okna, jakby czegoś wyczekiwał.

– Halinka i Staszek nie wrócili do siebie. Pani Halinka zajęła się psami, a Staszek przemienił się pomału w proroka bredzącego o Bogu i karach piekielnych. Psiurnia stwierdziła samobójstwo, a Deodoro zabił drzwi na głucho. Właśnie, masz tajemnicę sto szesnastki.

– Ludzie myślą, że Czesiek sam się zabił, ale to nieprawda – pani Halinka wcisnęła dłonie między kolana. – Czesiek nie był z tych, którzy aż tak się przejmują, nawet bym powiedziała, że nie przejmował się niczym. Stachu poszedł do niego porozmawiać, pokłócili się i to Stachu, nikt inny, wypchnął Cześka przez okno. Nie musiał nic mówić, widziałam, że to on. Przychodziłam do Cześka trzy razy w tygodniu, kiedy Stachu wyruszał na miasto ze swoim wózkiem – patrzyła na Mikołaja, jakby chciała powiedzieć: „my, odpady społeczne, też mamy swoje potrzeby” – tamtego dnia lało jak z cebra, prawie tak jak dzisiaj, i Stachu wrócił do domu, nic do picia nie znalazł, więc poszedł do brata osuszyć butelkę no i znalazł, co chciał, mnie i jego, oboje. Przygryzła wargi. Pogłaskała Deodora po czole.

– Mam nadzieję, że teraz nas nie słyszy – ściszyła głos. – Jak tylko Stachu się pojawił, wybiegłam z mieszkania i tylko słuchałam, jak Czesiek się piekli, mówił, jakby to Stachu nie miał racji i wreszcie Stachu wyszedł, zaciągnął mnie na dół, do mieszkania. Żeby nie skłamać, prał mnie, ale nie żałuję, bo pranie mi się należało. Otworzył potem wino, a wolną ręką wyciągał moje rzeczy i ciskał na środek pokoju. Słowa nie powiedział. Tak dziwnie zaciskał ręce na butelce i bałam się, że mi nią przyłoży. Dopił ją, cisnął, za włosy wywlókł mnie z mieszkania i zostawił na korytarzu. Czekałam na niego, czekałam długo, aż wreszcie wrócił, wzrok miał straszny, zapytałam go tylko, co tam robił na górze. Odpowiedział, że rozmawiał. Właśnie tak – pani Halinka obniżyła głos, naśladując z powodzeniem sposób, w jaki mówił Deodoro – „rozmawialiśmy”, tyle powiedział i poszedł do siebie. Więcej do mnie się nie odezwał, aż do dzisiaj.

Otarła łzę. Deodoro zakaszłał.

– Nie miałam odwagi iść na górę, więc włóczyłam się od mieszkania do mieszkania. Deszcz ciągle padał, było ciemno, jak dziś. Próbowалаłam się położyć, ale nie potrafiłam zasnąć. Tak bardzo się

martwiłam, no i przeszkadzał mi deszcz. Zdrzemnąłam się, jak wstałam, był chyba środek nocy. Postanowiłam się przejść. Ziemia była mokra, aż w niej się grzęzło. Nie uszłam daleko, bo zaraz znalazłam nieprzytomnego Cześka. Przyczołgał się aż spod kasztanowca i zemdłał, tak blisko wejścia. Niewiele pamiętam z tej nocy. Wiem, że wezwałam pogotowie. Bałam się na niego patrzeć, taki był pokaleczony. Wiedziałam, którądy się czołgał, bo zostawił za sobą krwawy ślad. Zmarł w szpitalu, chociaż lekarze robili wszystko, żeby go uratować. Tak mi powiedzieli. Hm – mruknęła, przymykając oczy – długo dochodziłam do siebie. Myślałam, że to koniec tej historii. To wszystko...

– Dopiero się zaczynało. Wszystko spierdoliło się między nimi – kontynuował Krauze. – Pewnie obwiniali się oboje. Ale żadne nie ruszyło dupy z Kacpra. Bo co? Lepszego miejsca by nie znaleźli. Jak tu przyszedłem, Stachu już miał swój krzyż, obrazki, już pierdolił jak najęty o boskich klątwach. Strasznie mnie to bawiło. Do pierwszego deszczu w maju.

Zgasił blanta o oparcie. Wokoło zgromadzili się ziomale. Część słyszała tę historię, część nie, ale nikt nie przerywał.

– Po śmierci brata Deodora co roku w maju jebie deszczem. Na początku byłem zesrany. Motylek powiedziała by to i owo na ten temat. Zesrałem się w gacie. Dosłownie.

Motylek przytaknął. Jeden z ziomali parsknął śmiechem, ale szybko zamknął gębę.

– Co dzieje się w takim deszczu? – zapytał Farmazon.

– Przychodzą duchy – odpowiedział zimno Krauze. Oczy Farmazona rozszerzyły się.

– No co? – obruszył się Krauze. – Jeśli coś ma skrzydła jak nietoperz albo pół metra wzrostu, czai się w cieniu, przechodzi przez ściany, ja będę to nazywał duchem i cześć.

– Zawsze zjawiają się w deszczu. Czesiek zginął w maju, ale nie pamiętam dokładnie dnia. I nigdy nie możemy dojść, czy deszcz spada w rocznicę jego śmierci, czy oni zjawiają się podczas pierwszej majowej burzy. Ważne, że przychodzą od ośmiu lat. Raz w roku.

Spojrzała na Mikołaja i ten zobaczył w jej oczach więcej inteligencji, niż mógł przypuszczać.

– Widziałeś jednego, prawda? Skinął głową.

– To dopiero się zaczyna. Przyjdą także tutaj. Na pewno. Zawsze przychodzą. Nie mogę znieść ich widoku, mimo że nie robią właściwie niczego złego. Jeśli skrzywdziłeś człowieka, przypominają ci to. Pierwszej rocznicy pojawił się Czesław, w szykownym garniturze, ale ze zmasakrowaną twarzą, ledwo go poznałam. Nic nie mówił, tylko cisnął na łóżko klucze od jego mieszkania. Żebym pamiętała. Oni zawsze przynoszą przedmioty. Nie wiem, co zrobił Staszkiowi, ale na drugi dzień widziałam Staszka bez butów i z tym krzyżem na piersiach. Zrobiłeś kiedyś komuś coś złego?

– Jak każdy – odparł sucho Mikołaj. Pani Halinka uśmiechnęła się.

– Wiem, o co chcesz jeszcze spytać – powiedziała.

– Czy oni mogą cię zabić? – zapytał Krauze. – Opinie w tym względzie są podzielone.

– Nie chodziło mi o mnie. Czy mogą zabić człowieka – uzupełnił Farmazon. – O to pytałem.

Zrozumiałem – przyznał Krauze. – Wiesz, nikt nie widział, żeby duch poderżnął komuś gardło, zastrzelił albo zwyczajnie napierdolił drągiem. Ale kiedyś mieszkał tutaj taki Mateuszek. Ludzie mówili o nim dziwne rzeczy, a to, że przed psiurnią się chowa, a to, że zgwałcił jakąś dziewczynę, a to, że wydłubał jej oczy i zostawił za miastem, żeby się błąkała. Każdy tu ma problemy z psiurnią, ale nikt chyba nie zrobił takiego kurestwa. Może to prawda o tym Mateuszku, może nie, ważne, że po deszczu znaleziono go na korytarzu zimnego jak dupa Eskimosa. Zawał.

– Opowiedz o gościu od UFO – rzucił Motylek.

– Pamiętasz aferę z UFO?

– Kręgi w zbożu? – próbował żartować Farmazon. Wstał, oparł się o ścianę.

– Kręgi, kurwa twoja – prychnął Krauze. – To był rodzaj dropsa. Piguły. Tabletki Extasy. Nadążasz, Farmazon?

– Pamiętam – powiedział Farmazon – kupa ludzi po tym poumierała.

– Przez dwa tygodnie telewizor gadał tylko o UFO. A był w Kacprze facet, który miał tego kilkaset sztuk, zainwestował kupę floty i nagle został w dupie. Żeby być mniej stratnym, zaczął sprzedawać te lewe pigułki za jedną trzecią ceny, po pięć blaszek, mniej niż piwo w knajpie. Tyle kosztowała u niego śmierć.

– Też zszedł na zawał – dokończył Motylek. Krauze zajmował się otwieraniem piwa zapalniczką. – Dowiedzieliśmy się, bo śmierdziało spod drzwi. Ale słuchaj tego, jakie jajo, skurwiel wpierdolił na raz wszystkie dropsy, które mu zostały, ponad sto sztuk. Sto pieprzonych UFO-ków, myślę, że rozerwały mu serce na kawałki.

– Był jakiś taki alfons, co zamiast pieprzyć swoje dziwki, prał je na kwaśne jabłko – przypomniał sobie inny ziomal. – Wpadł tu w interesach, dwa lata temu, a że akurat lało, to tak spierdalał, że rozsmarował się na drzewie. Przeżył nawet, a z merola przesiadł się na wózek.

– Wolałbym się zajebać – stwierdził Motylek.

– Ciekawe, że zawsze coś ze sobą przynoszą. Prezent – dodał Krauze – żebyś nie zapomniał.

Krauze chrząknął.

– Była jeszcze...

– Pani Ela i jej mały Adaś, tośmy się nawet przyjaźniły. A ona poczuła miętę do takiego Krzycha, co do ziomali przychodził, i coś ten Adaś zaczął jej zawadzać i pewnego dnia nie było już Adasia. Nikt o niego nie pytał, no, słyszałeś, żeby w Kacprze padło jakieś pytanie, jak długo tu już jesteś? Hę? Sam widzisz i równo dwa lata temu ja słyszę krzyki, rano patrzymy, kobieta brzuch sobie rozpruła, jakby chciała jeszcze raz urodzić.

Pani Halinka umilkła.

– Muszę poszukać Renaty – powiedział Mikołaj i wybiegł z pokoju.

– Nie gap się tak. Stęskniłeś się za ich widokiem? Farmazon wiedział, że musi iść, ale nie mógł oderwać nosa od szyby. Krauze położył mu dłoń na ramieniu.

– Istnieją dwie teorie – powiedział. – Jedna, że mogą zabić, a druga, że nie.

– Bardzo mi pomogłeś – podziękował Farmazon. Krauze nachylił się do niego.

– Nie śmiej się, kurwa, mówię, co wiem. Każda ze śmierci była jak naturalna. Nikt nie wie, co ci ludzie zobaczyli. Ja myślę w ten sposób: zrobiłem w życiu wiele draństwa, ale nic straszego. Nie mam czego się bać i mam nadzieję, że ty też nie. Zabijają cię, jak im pozwolisz, ale prędzej zrobisz krzywdę sobie.

Też mam taką nadzieję, pomyślał Farmazon.

– No, w każdym razie, wiesz już wszystko. Powiedz, czy gdybym powiedział ci to wczoraj, uwierzyłybyś choćby w jedno słowo?

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego – Farmazon nie odrywał wzroku od widoku za oknem. Wydawało mu się, że widzi znajomą postać idącą w kierunku samochodu. – Widziałeś ich, tak?

– Aha. Mieszkam tu trzy lata i widziałem ich trzykrotnie.

– Nie boisz się?

– Ja nikomu nie wydłubałem oczu. Jestem drobnym oszustem, Farmazon. Nikt przeze mnie nie płakał. No, może moja stara.

Roześmiał się.

Tak, to była Renia, Farmazon nie miał wątpliwości. Szła w towarzystwie wysokiego mężczyzny ubranego w płaszcz i coś, co z daleka przypominało spodnie od pidżamy. Myślał, że idą w stronę drogi, ale nie, kierowali się do lasu.

– Nie o to pytałem – rzucił Farmazon. – Co zobaczyłeś?

– Najpierw to, co widzą wszyscy. Faceta z błonami u ramion, smutną dziewczynkę z włosami do ziemi, raz śmiesznego karzełka bez ust i nosa. A potem inni przyszli. Tylko do mnie. Bo widzisz, Farmazon – odsunął się w głąb mieszkania – możemy pierdolić tak do rana, a oni przychodzą do każdego osobno. Jakby mieli imienną listę. Spróbuj się nie bać, a wszystko będzie wporzo. Farmazon bez słowa opuścił mieszkanie Krauzego.

– Przedmioty! – krzyczał za nim Krauze. – Zawsze przynoszą przedmioty! Musisz o tym pamiętać!

Jeśli Farmazon sprawdzał dolne piętra Kacpra, to Mikołajowi pozostała droga do góry. Nie spodziewał znaleźć się wiele. Zabrakło mu odwagi, by zaglądać po kolei do mieszkań, więc pochodził po korytarzu czwartego piętra, wykrzykując imię dziewczyny. Co chwilę oglądał się za siebie albo przystawał i nasłuchiwał, czy gdzieś nie brzmią złowrogie kroki. Nic takiego się nie działo – słyszał

tylko szum wody, wiatr i bębnienie deszczu. Może człowiek na drzewie stanowił uboczny skutek zażywania narkotyków, a opowieść pani Halinki produkt jej zdemenciałego mózgu? Trójkąt z bratem Deodora, grecka tragedia rozpisana na role wśród meneli, nie, proszę państwa, to w żadnym razie nie trzyma się kupy – tak pocieszał się Mikołaj, a w duchu prosił Boga, by Renia czekała na piątym piętrze. Myśl, by iść jeszcze wyżej, napawała go przerażeniem.

Ale tak musiał zrobić. Opowieść o morderstwie, duchach i ich zemście zmieniała się w złowrogie kłębowisko myśli. Wchodził na stopnie, jakby do stóp przywiązano mu ciężary i garbił się nisko, jakby dźwigał wszystkie grzechy świata. Na półpiętrze przystanął, krzyknął ochryple. Echo odbijało się od dziur i załomów Kacpra Kłapacza, „Renia...”, „Renia...”, „Renia...”

– Czemu mnie zostawiłaś? – jęknął i ruszył dalej, na szóste piętro. Co było na siódmym, ósmym i dalej, wolał nawet nie myśleć. Był prawie pewien, że Renia wyszła już z Kacpra. Może wracała tu z pogotowiem i policją? Mikołaj chętnie wyszedłby z tego domu, nawet w kajdankach.

Dotarł na szóste piętro i stwierdził ze zdumieniem, że drzwi od pokoju sto szesnaście stoją otworem, a ściślej rzecz biorąc, wiszą krzywo na ocalałym zawiasie. Drugi leżał przy schodach, u stóp Mikołaja. Połamane deski walały się przy przeciwległej ścianie, jedna, targana prądem burej wody, tłukła się o próg innego mieszkania. Połamane deski sterczały z futryny i samych drzwi. Wyglądało na to, że ktoś otworzył drzwi od środka jednym silnym pchnięciem.

Renia? – zawołał Mikołaj.

Spojrzał za siebie. Otaczała go woda, brudne ściany i kanciaste cienie. Mógł chociaż wrócić do siebie po latarkę, lecz było za późno. Szedł, trzymając się ściany. Żałował, że nie ma niczego do obrony, choćby kija. Podniósł więc kawałek gruzu i wszedł do pokoju numer sto szesnaście.

Wewnątrz panował stęchły zapach, właściwy miejscom, w których nikt od dawna nie mieszkał. Nieliczne meble pokrywała gruba warstwa pleśni, podłoga przegniła, ze stołu poderwał się ptak. Mikołaj trącił butelki po tanich winach. Znał ich kształt. Pijał z podobnych dziesięć lat temu, w pierwszych latach szkoły średniej. Oparł się o meblościankę. Ta zawałowała się z trzaskiem, a Mikołaj razem z nią, prosto w wodę. Poderwał się i dostrzegł kunę – wybiegła przez rozbite okno i zniknęła między gałęziami kasztanowca.

Przez sufit biegła rysa. Mikołajowi wydała się nienaturalnie szeroka. W ogóle wszystko w pokoju sto szesnastym sprawiało wrażenie zbyt dużego lub małego. Splunął na ziemię i podszedł do okna. Szyby były całe, poza jedną. Przyjrzał się jej uważnie. Czy czarne ślady na ostrych krawędziach to resztki krwi? Czy nitki na framudze pochodziły z ubrania brata Deodora? Zapewne nigdy się tego nie dowie. Zamarudził tu zbyt długo. Zapomniał, po co przyszedł.

Wracając na korytarz, znalazł Renie. Dziewczyna leżała na plecach, rozwierała dłonie, jakby właśnie ktoś wypuścił ją z objęć. Mikołaj, zanim uklęknął przy Reni, nie zorientował się, że dziewczyna nie żyje.

Nie ma nic gorszego niż bieg w deszczu i błocku. Nie ma też sensu się zastanawiać, które z nich jest gorsze, gdyż deszcz i szlam zawsze występują w parze i psują ludziom popołudnia. Takimi myślami pocieszał się Farmazon, chcąc odegnać złe przeczucia i próbując znaleźć drogę wśród ciemności.

Do deszczu i błocka należy dodać chłód. W majowe popołudnie nad Kacpra nadciągnął najczarniejszy

listopad. Farmazon, gdy tylko wybiegł z bloku, poczuł przejmujące zimno. Zgarbił się, zwolnił, wysunął rozczapierzoną dłoń, która napotkała ścianę wody. Spodnie błyskawicznie przemokły. Nie uszedł dziesięciu kroków, a skończyły mu się przekleństwa i musiał zacząć litanie od nowa.

Okolica zmieniła się nie do poznania. Zielone kępki, przy których codziennie stawała pani Halinka i patrzyła na psy, przytuliły się do ziemi, a wiatr targał liście, jak targa się z gęsi pierze. Trzepak ginał w mroku, widoczny był tylko róg, który skojarzył się Farmazonowi z szubienicą dla dzieci i karłów. Tuż obok Farmazona przemknęło pranie, wciąż przyczepione do kawałka sznurka. Daleko, między pniami, Farmazon dostrzegł coś, co mogło być kobietą sylwetką. Mogło być też szmatą zawieszoną na gałęzi.

W gruncie rzeczy, mogło być cymkolwiek.

– Renia! – krzyknął, ale jego głos zabrzmiał słabo, niepewnie. Pobiegł dalej.

Mógł przebyć kilometr albo dziesięć kroków, i tak był mokry, stracił Renie z oczu, a gdy przystanął, zorientował się, że nie wie, dokąd iść. Otaczała go bezdusznym ciemnością wszechświata bez gwiazd, drzewa zdawały się oddalać, niczym graty kosmicznego śmietnika. Spojrzał pod nogi, ale nie widział już wody, czuł za to chłód. Nabrał przekonania, że gdyby położył się, popłynąłby z nurtem, zanurzając się powoli. Okręcił się, próbując znaleźć jakiś punkt orientacji, ale zgubił się do reszty.

– Renia! – huknął, zebrał siły i popędził przed siebie. Już nie wyciągał ręki do przodu, dzięki czemu chód zmienił się w bieg. Co chwilę wydawało mu się, że widzi sukienkę Reni albo płaszcz tamtego faceta. Zmuszał wówczas nogi do większego wysiłku, nieodmiennie na próżno. Bał się upadku, a zarazem chciał zawadzić o coś, co naprowadziłoby go na drogę powrotną. Starał się nie myśleć o zmęczeniu. Potem przestał myśleć także o Reni, o Mikołaju, wreszcie o pieniądzech, przeliczonych i podzielonych, czekających w mieszkaniu na piątym piętrze. Nagle wywinął orła (mógł przysiąc, że podczas upadku znów widział Renie i to tak wyraźnie, że zdołał stwierdzić, na którym palcu lśnił pierścionek) i rąbnął o ziemię.

Upadł środkiem pleców na sękatą gałąź. Coś twardego, prawdopodobnie kamień wielkości dużego jabłka, czekał na jego nogę, a jego mały kolega boleśnie wbił się w skórę pod łopatką. Kość ogonowa trafiła na ten jedyny fragment ziemi, który nie był dość rozmokły i rozmyty, żeby zamortyzować upadek. Farmazon stwierdził, że poprzednie przecucie było błędne – nie tylko nie płynął w rzece wszechświata – nie płynął w ogóle, tylko leżał na trawie, obmywany przez wszystkie nieczystości okolicy. Próbował się podnieść, ale nie zdołał ruszyć nawet palcem. *Raz, dwa trzy, pomyślał, na trzy otworze oczy, podniosę się i pójdę po latarkę, żeby znaleźć nogi i ręce.*

Ale na trzy zdołał tylko otworzyć oczy.

Naprzeciwko tańczyły chmury.

Wydawały się być zawieszane na szczytach drzew. Wirowały powoli wokół wspólnego ośrodka. Ich brzegi były szare jak chrom, na takich chmurach kruszą się samoloty. Chmury zmieniały barwę wraz z zawężaniem się spirali, przechodząc w stalowy błękit i czerń. Sprawiały wrażenie gładkich jak szkło, prawie dało się w nich przejrzeć. W ich ruchu był niewymuszony spokój, każdy bałwan toczył się w zgodzie z innymi, a kiedy któryś spieszył się, pozostałe rozsuwały się i robiły mu miejsce. Pioruny trzaskały jeden za drugim i Farmazonowi wydawało się, że sam środek wiru jest krwistoczerwony. Farmazon w innych okolicznościach zachwycałby się burzą, ale z lewej nadeszła niewielka fala

i wpłynęła mu do ust. W następnej chwili siedział, krztusił się, a piękno burzy obchodziło go tyle, co dalsze losy rocka progresywnego.

Z trudem wstał, ręka sama znalazła pień drzewa. Szansa na odnalezienie Reni przepadła, czego już nie żałował. Szkoda było zmarnowanego czasu. A może by tak deszcz przeczekać tutaj? Farmazon nagle nabrał przekonania, że klątwa dotyczy tylko Kacpra, że na zewnątrz będzie bezpieczny.

Wystarczyło się rozejrzeć, by stwierdzić, jak bardzo się mylił.

Z mroku wyłaniały się nagie postacie. Dziewczyna o obciętych piersiach rozchyliła wargi, a na jej języku widniał sutek. Obok niej siedł smutny mężczyzna z łysą głową, nienaturalnie długimi dłońmi i wydętym brzuchem. Nogi kończyły się tuż pod kolanami, mężczyzna siedł z trudem, więc karzeł, z jednym okiem na środku czoła i garbem pełnym narośli, podobnym trochę do złożonych skrzydeł, podtrzymywał go. Farmazon cofnął się i poczuł na szyi dotyk zimnych dłoni.

Miał przed sobą chłopaka przed trzydziestką, na pierwszy rzut oka nie potrafił stwierdzić, co było w nim niezwykłego. Ale chłopak uniósł palec do góry, przeciął paznokciem skórę na szyi, odciągnął ją gwałtownym ruchem. Zamiast żył, mięśni i kości miał świeżą ziemię, w której wiły się dziesiątki robaków. Z ust chłopaka wydobył się jęk skargi. Powtórzył go, gdy oko zapadło się w oczodół i czerwona larwa utorowała sobie drogę na wolność.

Farmazon odwrócił się i pobiegł. Zderzył się z garbatym karłem, posłał go na ziemię i pognął na oślep, wyjąc z przerażenia. Nie zatrzymywał się i nie oglądał. Miał nadzieję wypaść na drogę, zobaczyć światła wioski. Po raz pierwszy w życiu cieszyłby się nawet z widoku zasranego Bieżanowa.

W zamian, uderzył w mur Kacpra Kłapacza. Usiadł, jęknął, zerwał się na nogi i wbiegł do środka.

– Oboje nie żyją – oświadczył Mikołaj na widok Farmazona. Farmazon dotarł na czwarte piętro tylko dzięki poręczy, która uratowała go przed osunięciem się na kolana lub upadkiem z mokrych schodów. Buty chlupały przy każdym kroku, spodnie i koszula lepiły się do ciała. Na udzie rozkwitał wielki guz, lewe przedramię było rozcięte, a Farmazona nie opuszczało przeczucie, że z twarzą także nie jest najlepiej. Głowa pulsowała tęnym bólem, a opuchlizna na czole pękła, uwalniając leniwy strumień krwi. Mikołaj zdawał się tego nie dostrzegać. Stał na korytarzu i wyglądał, jakby prosił Boga, by wziął go w dwa miłosierne palce i przeniósł w inne miejsce.

– Deodoro z Halinką? – Farmazon otarł usta. – Strasznie mi, kurwa, przykro.

Mikołaj odwrócił się i wszedł do mieszkania. Farmazon, choć uważał to za stratę czasu, podążył za nim. Pierwszą osobą, którą zobaczył, była pani Halinka, siedząca w kucki, z palcami rozczapierzonymi na kolanach, jakby chciała je wyrwać i cisnąć w Farmazona. Miała kredowobiałe usta i czerwoną twarz tęgiego pijaka. W oczach szklily się łzy. Obok Halinki leżał Deodoro.

– Cóż – powiedział, patrząc obojętnie na panią Halinkę – mogę powiedzieć tyle, że mi przykro. Mikołaj – zawahał się – co tu się jeszcze stało?

– Renia – Mikołaj z trudem panował nad sobą – znalazłem ją. Farmazon oklapł na krzesło, wydobył przemoczoną paczkę papierosów i natychmiast cisnął w kąt.

– Jezus – wykrztusił.

– A co ma Jezus do tego? – jęczał Mikołaj. – Była na szóstym piętrze, nie muszę mówić gdzie, no nie? Omal jej nie przeoczyłem. Zszedłem tutaj, sam nie pamiętam jak. I... i zastałem jego, takiego, jak tu leży.

Wskazał na Deodora.

– Rozumiem – Farmazon starał się powiedzieć coś konstruktywnego. – Jak ona tam weszła? Mam na myśli Renie. I pokój sto szesnasty. I dużo więcej... widziałem, człowieku...

Ich spojrzenia spotkały się.

– Jezus – powtórzył Farmazon i zacisnął pięść na ustach.

– Nie udawaj, że cię cokolwiek obchodzi. To moja sprawa.

– Jak sobie chcesz – rzekł ze złością Farmazon. Rozejrzał się bezradnie po mieszkaniu.

– Mam dosyć – mówił dalej Mikołaj. – To ty tu nas ściągnąłeś i przez ciebie to wszystko. Wciąż pieprzysz, jak o nas się troszczysz, a jak dotąd gówno zrobiłeś i jeszcze masz krew na rękach. Gdyby nie ty, Renia by żyła i Staszek może też.

Pani Halinka drgnęła na dźwięk tego imienia. Dłonie Farmazona zacisnęły się w pięści.

– Jeśli po drodze nie rozpiardoli mnie sumienie lub upiór – powiedział – przejmiesz kierownicę. A jak dojedziemy na miejsce, to kupię ci topór z belką, żebyś ściął mi głowę, i jeszcze stulę, żebyś mnie wcześniej wypowiedział. Ale teraz, proszę cię, nic tu po nas.

Wydawało się, że Mikołaj rzuci się na niego. Pochylił plecy, na karku zawinęła się fałda. Farmazon znieruchomiał. Wówczas zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Najpierw wokół Deodora zebrała się niewyraźna poświata, jakby ciało natarte było siarczkiem baru albo otoczył je rój świetlików. Przez moment Mikołaj mógł przysiąc, że zmarły podnosi się do pozycji siedzącej (słyszał o przypadkach, w których zwłoki poddawane kremacji siadały w krematorium na skutek skurczu mięśni pod wpływem ciepła; jest to widok, którego lepiej oszczędzić żałobnikom). Znad nieruchomego ciała podniosła się migocząca postać. Mieniła się łagodną żółtością, twarz i pierś miała wyraźną, ale przedramiona i nogi nikły, tylko w miejscu stóp i paznokci jarzyły się pojedyncze punkty. Twarz Deodora była jasna i spokojna, popatrzył na chłopców z doskonałą obojętnością i zwrócił oczy w stronę pani Halinki.

Farmazon patrzył na zjawę, lecz nie czuł lęku. Deodoro za życia nie chciał zrobić mu niczego złego, więc trudno przypuszczać, że zmieniłby zdanie po śmierci. Im dłużej patrzył na świetlistą postać, tym mocniej nabierał przekonania, że to nie Deodoro, prorok z Bożej łaski, ale Staszek – pijaczyna, który wpadł do dawnej dziewczyny. Twarz nie zyskała wiele szlachetności, ale zniknął ponury obłęd. Śmierć starła wszystkie winy ze Staszka-Deodora.

Zjawą zbliżyła się do pani Halinki. Kobieta podniosła się z kolan, otarła włosy z czoła, Farmazon miał wrażenie, że zaraz dygnie. Deodoro nachylił się, jakby wyciągał dłoń w jej kierunku, dłoń, której nie widzieli Mikołaj z Farmazonem i której bliskość poczuła pani Halinka. Uśmiechnęła się, jakby pod

wpływem pieśczoły, ale zaraz cofnęła się, spoważniała, pokręciła głową. Twarz Deodora-Staszka także spochmurniała, by zaraz wrócić do obojętności właściwej zmarłym. Przepłynął w powietrzu przez pokój, odwrócił się jeszcze, popatrzył i zniknął za drzwiami.

– Spierdalamy stąd, Mikołaj – powiedział Farmazon, starając się nie patrzeć na trupa ani na oniemiałą panią Halinkę – co byś o mnie nie myślał.

Mieli wziąć pieniądze z góry i spieprzać, ale Farmazon wiedział, że nie pojedzie zbyt gładko. Czemu nie zabrali ich od razu? *Pamiętam*, złościł się, *chodziło o Renie*. Cóż, Renia wypadła z gry. Farmazon wparował do środka, pochwycił większą paczkę, zawahał się i rzucił ją w kierunku Mikołaja. Ale Mikołaj nie wyciągnął ręki.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał.

– Wsadzić sobie w dupę – Farmazon narzucił kurtkę na ramiona. – Wypierdalamy.

Mikołaj nie poruszył się. Zacisnął wargi, jak dzieciak, który chce pokazać starszym i silniejszym kolegom, że się nie boi.

– Mikołaj – Farmazon tłumił wściekłość. Sprawa poszłaby gładko, gdyby nie ten idiota i dziewczyna, tak głupia, że pewno do teraz nie wie, że umarła – w krótkich, żołnierskich, słowach. W Kacprze są dwa trupy i Bóg jeden wie ile zwariowanych duchów, jak co roku. Takie święta. Szopka taka. Ale to nie moje jasełka, więc bierz forszę, żebyś jutro nie żałował. I nie ma nas. Jasne?

– Część pieniędzy jest Reni – wykrztusił Mikołaj – należą do niej.

Farmazon zgarnął swoją działkę do plecaka. Szukał kluczyków do samochodu.

– Weź, leć na górę i jej zostaw – rzucił. – Jakbyś się nie śpieszył, mnie już tu nie będzie.

Natychmiast pożałował swoich słów. Wykonał nieokreślony ruch ręką, dając do zrozumienia, że to tylko żarty i naprawdę tak nie myśli. Mikołaj wyrósł tuż przed Farmazonem, wykonał zamach. Farmazon podbił mu pięść. Mikołaj uderzył ponownie, celował w brzuch, ale trafił w żebra. Farmazon rozchylił usta, wypuścił ze świstem powietrze.

– Daj spokój – poprosił.

Mikołaj uderzył go w twarz, głowa Farmazona skoczyła do tyłu. Z ust ściekała szeroka struga krwi. Farmazon splunął, zsunął plecak z ramienia, doskoczył, Mikołaj próbował niezdarnie obronić się przed atakiem. Farmazon był dużo silniejszy i bez wysiłku cisnął Mikołaja na meble.

– Oszczędź nam tego – powiedział.

Mikołaj rozglądał się rozpaczliwie w poszukiwaniu czegoś, co wyrównałoby szanse. Farmazon był wyższy o pół głowy, wyraźnie cięższy i miał nadgarstki prawie tak grube, jak łydki Mikołaja. Chwycił krzesło, cisnął. Rąbnęło o ścianę z hukiem. Farmazon nawet się nie obejrzał.

– Zabijesz mnie potem – powiedział – jak zjedziemy z autostrady.

– Nie – Mikołaj wyprostował się – chcę ci tylko dwie rzeczy powiedzieć.

Farmazon westchnął i skinął głową.

– Chcę, żebyś wiedział, że to wszystko twoja wina. Od początku do końca i bez taryfy ulgowej. Razem zrobiliśmy przekręt i na nas obu spoczywa odpowiedzialność za nasze oszustwo. Ale to przez ciebie nie żyje Renia i umarł Staszek.

– Deodoro – mruknął Farmazon.

– Zaciągnąłeś nas do tego przeklętego miejsca – Mikołaj puścił uwagę mimo uszu – wiedząc, że w Kacprze nie ma warunków do życia z dziewczyną. Zmieniłeś nasze życie w ćpanie na kupie gnoju. Wiem, co chcesz powiedzieć – głos mu się załamał – że każdy jest kowalem swojego losu. To prawda. Ale to ty nadużyłeś naszej przyjaźni. Wiedziałeś, co nas tu czeka i wiedziałeś, że wszędzie za tobą pójde. Złożyłem swój los, złożyłem Renatę w twoje ręce tylko po to, żebyś podtarł sobie nami dupę, Farmazon.

Farmazon wbił ręce w kieszenie, stał w lekkim rozkroku, podniósł głowę. Próbował się uśmiechać.

– I tego ci nie daruję, Farmazon. Twoja ksywa dobrze cię określa.

– Nie powiedziałaś mi niczego nowego. Pozwól, że tym razem..

Nie skończyłem jeszcze, Farmazon – rzekł Mikołaj. – Są dwie sprawy i oto druga. Nigdy ci tego nie daruję. Jedź, gdzie chcesz, mnie to nie obchodzi. Pierwsze, co zrobię, to zadzwonię na policję, sram na ziomali i ich interesy. Zadzwonię i przyznam się do lewizny na Allegro. Oczywiście powiem, że zrobiłeś to ze mną, a żeby nie było mało, opowiem, jak umarł Staszek i co się stało z Renią. Chcę cię usłyszeć jak tłumaczysz, że pozabijały ich wampiry. To ty zrobiłeś, Farmazon, i odpowiesz za tę krew.

– Nie mówisz poważnie.

– Zawsze mówiłem poważnie. Ty nie słuchałeś.

– Ciebie też zamkną, idioto.

– Dostaniesz dłużej i więcej. Mi też się należy – pociągnął nosem. – I każdy odcierpi swoje. Nic się nie nauczyłeś.

– Naoglądałeś się westernów.

– Miałeś iść – odparł Mikołaj.

Nastąpił moment ciszy i Farmazon zrozumiał, że Mikołaj wcale nie żartuje. Nie ma też szans, żeby rozmyślił się w drodze do budki telefonicznej. Rozmyśli się później, w radiowozie, na komisariacie, jak wsadzą go do aresztu z trzema gitowcami, może dopiero na procesie, świdrowany oczyma zasmuczonej rodzinki. Farmazon próbował odzyskać spokój. Niczego nie zdoła wytłumaczyć.

– Nie zrobisz tego.

Mikołaj tylko się uśmiechał. Odkąd pamiętał, ostatnie słowo należało do Farmazona. Warto pójść do

pierdla tylko po to, by zobaczyć, jak uśmiech znika z jego twarzy, by nigdy nie powrócić.

– Nie zrobisz, bo ja na to nie pozwolę – powiedział Farmazon.

Mikołaj próbował się bronić. Najpierw bił Farmazona po twarzy i ramionach, potem próbował kopać, na koniec, już w drodze do okna, gryzł po barkach i karku, niezdolny do wyrwania się z uścisku. Tuż przy szybie zatrzymali się, Mikołaj sapał i świszczął, oczy wyszły mu na wierzch. Raz jeszcze spróbował odepchnąć Farmazona, uwolnił nawet lewą nogę, ale kopniak trafił w próżnię. Twarz Farmazona stała się blada niczym talerz, oczy przemieniły się w ciemne jamy, w których można przepaść bez wieści.

– Nie wyjdiesz stąd – syknął Mikołaj, a wielka łza sunęła po jego nosie – nigdy cię nie wypuszczą.

W burzy brzęk szyby nie był głośniejszy od odgłosu otwieranej puszk. Odłamki szkła zasypały Farmazona, poraniły twarz. Jeden, duży i doskonale trójkątny, minął oko i zarył się przy skroni. Farmazon, sapiąc z bólu i wysiłku, pchnął Mikołaja najdalej jak potrafił, w ciemność. Mikołaj nie krzyczał. Próbował zahaczyć nogą o framugę, bezskutecznie, a gdy Farmazon go puścił, zamachał rękami, jakby strugi deszczu miały ułożyć się w niewidzialną drabinę. Zawierucha porwała go natychmiast i Mikołaj zniknął sprzed oczu Farmazona, podążając szlakiem przetartym osiem lat temu przez brata Deodora.

Farmazon długo stał oparty o parapet. Wiatr chłostał mu twarz, deszcz przemoczył do kości, a Farmazon czuł, że w żyłach zamiast krwi krąży ogień. Osunął się powoli na kolana, przycisnął twarz do ściany. Klęczał w wodzie i już nigdzie się nie śpieszył.

Okrągła twarz Farmazona kurczyła się niczym ziemia widziana z rakiety wstrzelonej w kosmos. Mikołaj rozpostarł ramiona. *Za szybko*, przemknęło mu przez głowę, a potem uderzył plecami o gałąź i stracił przytomność.

Umarłem i jestem jednym z nich – tak brzmiała pierwsza myśl Mikołaja. Leżał pod kasztanowcem zalany wodą, krwawił i krztusił się. *Umarłem i jestem jednym z nich, Kacper Kłapacz stał się więzieniem i trzyma na sznurku moją duszę. Odtąd będę błąkał się po korytarzach, niewidzialny dla ludzi. Raz w roku uzyskam widmowe ciało, by przestraszyć kolejnego Farmazona i posłać do grobu inną Renatę.* Kaszlnął, spostrzegł, że ma krew na rękach, zorientował się, że noga boli go tak, jak może boleć tylko żywa tkanka. Powoli wychodził z odrętwienia – poczuł wodę obmywającą ciało, deszcz chłostający twarz i koncert wygrywany przez siniaki i skaleczenia na napiętych strunach nerwów.

Więc żył – leżał na wznak, z głową zanurzoną w wodzie po uszy i nogami cudacznie rozrzuconymi między korzeniami kasztanowca. Najpierw poruszył palcami dłoni. Bolało jak diabli. Czuł, że pod polarową bluzą, na lewym przedramieniu, pęcznieje ogromny siniak. Z palcami nóg było odrobinę lepiej, ale kiedy spróbował zgąć kolano, ból eksplodował z trzaskiem, jakby ktoś wwiercał się w rzepkę wolnoobrotowym wiertłem.

Odleżał chwilę, łapiąc oddech, i spróbował przekręcić się na brzuch. Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem. Mikołaj źle rozłożył ciężar i osunął się na powrót, uderzając podstawą czaszki o sęk na korzeniu. Zaklął i spróbował ponownie. Obrócił się gwałtownym szarpnięciem. Lewa ręka nie wytrzymała ciężaru i twarz Mikołaja bezwładnie zanurzyła się w wodzie. Poderwał się, krztusząc się i sapiąc, oparł się na zdrowym, prawym ramieniu, otarł czoło i usta. Odliczył do trzech i podciągnął lewą nogę. O dziwo, poszło gładko.

Powierzył ciężar ciała lewej, obolałej ręce, prawą opuścił na pień drzewa. Odniósł wrażenie, że kora pulsuje ciepłem i jest miękka jak świeżo upieczony biszkopt. Prawie kruszyła się w palcach. Odliczył, tym razem do pięciu.

Powolne przesuwanie prawej nogi okazało się błędem, a szybkie szarpnięcie – błędem fatalnym. Ból targnął Mikołajem do przodu, twarz chłopaka uderzyła z impetem w pień, który nagle stał się zimny i twardy. Spojrzał za siebie, obie nogi były zgięte w równym stopniu. *No, prawie najgorsze za nami. Trzeba wstać.*

Wolałby stąpać po rozpalonych kamieniach. Lepszy byłby spacer przez ogniste jeziora na dnie piekła. Ale stał, kurczowo przyciśnięty do pnia. Stał, oddychał – żył.

Zabawne, jak przekorne bywają koleje losu. Mikołaj, stojąc pod kasztanowcem, odnalazł przyczynę swojego ocalenia. Uratowały go te same gałęzie, które połamały kości nieszczęsnemu Cześkowi. Spadł z okna prosto na nie i dotarł na dół, pokaleczony, ale żywy. *Niech kasztanowiec przeżyje Kacpra – myślał – niech stępią się na nim piły drwali, niech dalej udziela schronienia wiatrom i ptakom, nawet wtedy, kiedy szlag trafi Kraków.*

Być może ucałowałyby błogosławiony pień, ale miał inne rzeczy do zrobienia.

Oprzytomniał na tyle, żeby rozważyć swoją sytuację. Samochód wciąż stał przed Kacprem Kłapaczem, bez kluczyków nie miał wielkiej wartości. Zapalanie silnika za pomocą dwóch kabli dobrze wygląda na filmach. Równie dobrze Mikołaj mógł splatać z liści latający dywan. Ale jeśli stoi samochód, to Farmazon jeszcze nie odjechał. Jest w środku, żywy albo martwy. Mikołaj miał nadzieję na drugą możliwość. Pierwszą uznał za bardziej prawdopodobną.

Farmazon omamił go fałszywą przyjaźnią, ukradł pieniądze, zabił dziewczynę. Zemsta w tym wypadku stanowi obowiązek. Tyle, że trudny do spełnienia – Mikołaj bał się Farmazona. Obawiał się słów, usypiających fałszywą słodyczą, okręcających się wokół szyi sznurem gładkich kłamstw. Obawiał się pięści, bo poznał ich siłę. Nawet z nożem lub kijem, miał małe szanse w bezpośrednim starciu. Cios w plecy, atak z zaskoczenia nie wchodziły w grę. Mikołaj chciał zobaczyć strach w oczach Farmazona.

Torba z pieniędzmi także nie była pozbawiona znaczenia.

Olśnienie przypominało eksplozję gwiazdy, Mikołaj prawie poczuł na twarzy podmuch słonecznego wiatru. Układanka nagle stała się kompletna. Rozproszone elementy znalazły swoje miejsca i wszystko stało się jasne, tak cudownie oczywiste, że Mikołaj za pomniął o deszczu i sińcach. Musi szybko wrócić do swojego mieszkania, a potem pójść na górę, do pokoju sto szesnaście. Tam znajdzie wszystko, czego potrzebuje.

Schylił się i podniósł podłużny kawałek szkła. Zacisnął zęby i zrobił pierwszy krok. Miał wrażenie, że noga eksploduje.

Nie zatrzymał się.

Farmazon podniósł się z podłogi ze szczerym zamiarem wyjścia, lecz dotarł tylko do krzesła, opadł łokciami na stół i zdziwił się, że zapalniczka działa i mokry papieros chce się palić. Siedział tyłem do okna, ale co chwilę oglądał się na nie, jakby w obawie, że zaraz Mikołaj sfrunie z nieba niczym nocny

gość miasteczka Salem.

Wszystko wydawało mu się nierealne. Przekręt na Allegro liczył sobie chyba kilkaset lat, od wczorajszej wizyty u ziomali minęły eony – a gdzie te czasy, kiedy z Mikołajem chodził na wina w czasie szkoły średniej, jak kombinowali razem z pierwszymi dziewczynami, kryli się z paleniem papierosów, wymieniali płytki divix w plastikowych pudełkach? Ot, wiadomo, gdzie są. Wyleciały przez okno i nikt ich nie pozbiera.

Wiedział, że musi iść. Okłamywał siebie, że wstanie zaraz, jak skończy palić. Nie chciał wychodzić z Kacpra, choć niedawno myślał tylko o tym. Wraz z zatrzaśnięciem drzwi rozpocznie wielką ucieczkę, której końca nie potrafił dostrzec. Może potrwa lata, może dziesiątki lat. Zawsze będzie musiał oglądać się za siebie i nigdy nie poczuje, że jest w domu. I dobrze, że tak się stanie. Mikołaj miał rację. To jego wina.

Spojrzał za okno. Wciąż padało i nic nie wskazywało na to, żeby miało przestać. *Niech leje, może pracować zabami i do końca świata*, pomyślał. Deszcz wpadał do pokoju, zalewał tapczan i biurko, pokryte drobkami szkła.

Poczuł wątpliwości dopiero na piętrze Farmazona. Spod drzwi biło ciemnożółte światło. Sukinsyn siedział w środku, Mikołaj nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Co, jeśli przejrzy tę tanią maskaradę? Albo spróbuje się bronić? To była najślabsza część planu – Mikołaj nie miał pojęcia, w jaki sposób zachowa się Farmazon.

Stał po środku korytarza, woda obmywała mu stopy. Mógł przysiąc, że Kacper Kłapacz wstrzymał oddech, a wszyscy jego mieszkańcy, żywi i umarli, pochowali się w mysich dziurach z przejęciem oczekując, co będzie.

Mikołaj zacisnął palce na pierścionku Renaty, odłamek szkła spoczywał bezpiecznie w kieszeni. Z nadgarstka zwisał krzyż Staszka – Deodora. Mikołaj wciąż kulał, próbował iść prosto, ale wówczas ból stawał się nie do zniesienia. Żałował, że nie ma lustra, w którym mógłby się przejrzeć, ale wiedział, że nie chciałby spotkać siebie samego w ciemnej uliczce.

Zebrał się w sobie, wciągnął ze świstem powietrze (*oddychaj płytko, on nie może tego spostrzec*) i bezgłośnie otworzył drzwi do pokoju Farmazona.

Farmazon stał tyłem i patrzył w okno. Bawił się kluczykami do samochodu. Mikołaj pomyślał, że powinien chrząknąć albo powiedzieć coś w stylu *Siewka, brachu, właśnie wróciłem z za grobu*, gdy Farmazon okręcił się na pięcie i natychmiast zatoczył, klucze wypadły mu z rąk. Po wypełniającej pokój wodzie rozeszły się koła. Mikołaj ruszył powoli.

Farmazon przycisnął plecak do piersi, najwyraźniej składał słowa. *Co mi teraz powiesz, stary przyjacielu, jaką mądrą gadkę wymyślisz, czym mnie zbajerujesz?*, myślał Mikołaj i mógł przysiąc, że Farmazon zaraz zacznie się kurczyć do rozmiarów palca i przepadnie zmyty przez wodę.

Dłonie Mikołaja, zakrwawione i opuchłe, wykladały na stół kolejne przedmioty mechanicznymi ruchami. Na pierwszy ogień poszedł krzyż Staszka – Deodora.

– Zostaw – jęknął Farmazon. – Zostaw, proszę. Dlaczego mi to robisz?

Tuż przy krzyżu Mikołaj położył pierścionek Reni (zabrał go przekonany, że Renia doceniłaby ostatni i jedyny dowcip, który wyciął Farmazonowi), brzęk metalu zbiegł się z jękiem Farmazona.

– To nie tak miało być! To nie tylko moja wina! – jęczał Farmazon. – To wina nas wszystkich!

Do tego momentu Mikołaj stał odwrócony bokiem, z twarzą skrytą w cieniu. Wyłożył najważniejszy przedmiot – kawałek szkła zabrany z dołu. Wszedł w krąg światła, zmrużył oczy, przestraszył się, że zostanie odkryty, ale Farmazon tego nie dostrzegł. Mikołaj oddychał najpłycej, jak umiał. Oczy patrzyły w przestrzeń, ruszały się tylko z całą głową.

– Nie żyjesz – wycharczał. Ponownie spojrzął za drzwi i przeniósł spojrzenie na Mikołaja.

– Nie żyjesz – powtórzył odrzucając plecak z pieniędzmi – i nie możesz mi nic zrobić.

Porwał odłamek szkła i przycisnął do piersi.

Mikołaj poczuł, że zaraz zabraknie mu powierza. Pragnął odetchnąć głęboko, przełknąć ślinę, zwilżyć wysuszone wargi. Zaczął zbliżać się do Farmazona. Ten przycisnął się do ściany, łkał.

Mikołaj nigdy nie widział go takim i pomyślał, że tak płacze się tylko po przyjacielu. Niczym wyrzut sumienia, wyciągnął rozczapierzoną rękę.

Farmazon zamachnął się odłamkiem, Mikołaj przeraził się, że rzeczywiście go uderzy. Ale ręka nagle zmieniła kurs i opadła, zagłębiając się w brzuchu Farmazona. Farmazon sapnął, z ust buchnął mu strumień krwi. Czerwona plama, która wykwitła na koszuli, rozrastała się w oka mgnieniu. Nim Farmazon złapał powietrze, dotarła do spodni.

– O to ci chodzi? – powiedział, krztusząc się krwią. – No, powiedz!

Zaciął się znowu, tym razem w klatkę piersiową. Jęk zabrzmiał nierzeczywiście, jak puszczonej ze starej, trzeszczącej płyty. Ręka Mikołaja była tuż przy twarzy Farmazona.

– Powiedz coś! – zawył Farmazon.

Mikołaj uklęknął i wziął w dłonie twarz Farmazona.

– Przepraszam, stary – wychlipał Farmazon i wbił szkło po raz trzeci, tuż pod szyją, bardzo głęboko. Gorączkowo łapał powietrze. Ostatkiem sił przycisnął się do piersi Mikołaja i Mikołaj objął go. Głowa Farmazona była tak gorąca, jakby zaraz miała stanąć w ogniu.

Mikołaj pozwolił opaść bezwładnemu ciału. Zabrał pieniądze i skierował się do drzwi. Na progu przystanął.

– To na tyle, chłopcze Farmazonie – powiedział.

Na korytarzu spotkał panią Halinkę, która na jego widok odsunęła się w cień. Najwyraźniej miała wątpliwości, czy stoi przed nią żywy, czy umarły.

– Żyje – uspokoił ją Mikołaj – tak sędzę.

Pani Halinka pociągnęła go za rękę.

– Gromadzą się – powiedziała, wskazując na schody.

Jak mógł nie dostrzec ich wcześniej? Na półpiętrze zgromadzili się mali z Kacpra Kłapacza. Mikołaj od razu rozpoznał Staszka-Deodora, ale na szczęście nie wypatrzył Reni. Widział garbate karły, anioły o połamanych skrzydłach, ludzi bez nóg i oczu, wreszcie parę, olbrzymia i karlicę, usadowioną między jego monstrualnymi łopatkami. Była kobieta z rozprutym brzuchem, był młody człowiek o twarzy narkomana. Czekali.

– Nigdy nie padało tak długo – mówiła pani Halinka. Mikołaj przerwał jej, kładąc palec na ustach.

– Muszę teraz iść. Przykro mi z powodu Staszka – wygrzebał z paczki gruby zwitek banknotów i zamknął w jej dłoni. Pani Halinka nawet nie podniosła oczu. Mikołaj pomyślał, że gdyby była młodsza, kazałaby mu je zżreć.

Bez słowa zaczął schodzić po schodach. Zacisnął dłonie na plecaku.

– Dokąd idziesz?

Pani Halinka stała u szczytu schodów.

Mikołaj spojrzał na świetliste postaci i uniósł głowę.

– Wynoszę się stąd – powiedział – i już się nie boję. Wszedł między umarłych.

WIGILIJNE PSY

I

Myślałem, że przeznaczono mnie do wielkich zadań. Gorzko się pomyliłem. Wierzyłem w magię cudownych narodzin, ale życie włożyło mi głowę w imadło i przykręciło korbę. Uśmiełem się szczerze, teraz piszę i czekam na pierwszą gwiazdę. Na psy.

– Nie przeciągaj rzeczy ponad miarę – mówił mi ojciec. – Jeśli masz dość kobiety, odejź od niej i nie żęń się tylko dlatego, że masz z nią dziecko. Gdy praca cię złości, zostaw ją i poszukaj innej. I nie żyj na siłę i nigdy nie trzymaj się życia jak pijany latarni.

Życie trzymało się mnie. Lekarz w szpitalu, w którym się urodziłem, popełnił błąd i dał mnie w obce ręce. Pomyłkę wykryto szybko, wystarczyło rozchylić pieluchy i zobaczyć, co tam lata między nogami. Matka wyszła ze szpitala, a gdy ją odnaleziono, dziecko, które otrzymała, spływało warszawskimi kanałami. Można powiedzieć, że żyję dzięki pomyłce. Przybrani rodzice wychowali mnie jak własne dziecko.

Przed wojną wyjechaliśmy z Warszawy i dzieciństwo spędziłem pod nosem Franka, dzieląc dom z lwowskimi uchodźcami, którzy wybrali Hitlera zamiast Stalina. Nauczyli mnie palić. Miałem trzy lata i pętałem się po obejściu. Chętnie przyjąłem nałóg i po latach zbierania niedopałków, było to za najczarniejszego Stalina, kupiłem pierwszą paczkę Sportów. W latach siedemdziesiątych paliłem Marlboro, potem znowu Sporty, a teraz różnie, jak emerytura pozwala. Rzucąłem trzynaście razy, najdłużej wytrzymałem pół roku. Lubię Sporty i czerwone Marlboro. Nigdy nie paliłem innych i nigdy nie opuściłem domu nad rzeką, do którego ojciec przeniósł nas w pięćdziesiątym szóstym.

Gomułka okrzepł, ludzie powychodzili z więzień i na wieś spadł czarodziejski urok wyrozumiałego reżimu. Ojciec był sołtysem, miał różową koszulę i cygaro, które zapalał w niedzielę, jadąc do kościoła. Gasił je przed wejściem, chował i zapalał za tydzień ponownie. Którejś niedzieli przyniósł butelkę, wypił i poszedł topić psy. To wtedy powiedział mi, że nie warto trzymać się życia na siłę. Miał dłonie jak wypieczone chleby. Chwycił mnie za policzki i mówił. Potem wziął psy i poszedł nad rzekę.

Miła, nasza suka, urodziła cztery szczenięta. Dwa oddaliśmy do innych gospodarstw, pozostałe trzeba było utopić. Widziałem przez uchylone drzwi, jak ojciec bierze dwie futrzane kulki i wsadza do worka. Zrobił to szybko i pewnie, psy piszczały, ale ojciec zgarbił się tylko, zawiązał worek i poszedł chwiejnie w stronę skarpy.

– No, synu, czekaj tu na mnie. Chcę ci jeszcze poopowiadać – pomachał mi ręką i zniknął.

Ojciec dobiegał sześćdziesiątki i wódka wchodziła mu gorzej niż kiedyś. Tego ranka spadł deszcz. Ziemia nad rzeką była wilgotna i śliska. Ojciec wpadł do wody bezgłośnie i poszedł na dno, jakby sam był psem, zawiązanym w worku na ziemniaki. Nie słyszeliśmy wołania. Nigdy więcej go nie widziałem.

Rzeka wraz z ojcem zabrała mi marzenia. Chciałem iść do Krakowa, do szkoły rolniczej i zostać inżynierem, by w ten sposób spłacić dług wobec rodziny i państwa, które dało mi darmową szkołę, tanie książki i sok owocowy. Zostałem na gospodarstwie z matką i młodszą siostrą, obiecując sobie, że gdy

Ewa podrośnie, pójdę na studia i nadgonię stracone lata. Byłem wybrany, wyrwany śmierci z trzewi nie po to przecież, by gnić na wsi jak w zielonej trumnie. Dom zatrzymał mnie przy sobie. Zająłem się polem, królikami i samotną krową, którą co rano wyciągałem na pastwisko, nim raczyła zdechnąć, zdejmując mi ciężar z pleców.

Mam dwa zdjęcia, pierwsze zrobione w trzy miesiące po śmierci taty, i drugie, w dniu dziewiętnastych urodzin. Na pierwszym stoję nad rzeką, w przyciętych spodniach i śmieję się szeroko spod jasnej strzechy kręconych włosów. Mam ciemne oczy chłopca i twarz jak odpustowy balonik. Drugie zdjęcie przedstawia szczupłego faceta opartego o drewnię. Skóra napina się na kościstej szczęce, oczodoły przypominają dwa kratery z zamglonymi światłami na dnie. Mam krótkie włosy, stojące zawiadacko nad wysokim czołem, i wąskie usta, jakby niezdarnie dorysowane do zdjęcia. Obok mnie stoi Miła. Miła uciekła późnym latem i nikt za nią nie tęsknił.

Najgorzej wspominam pierwszą Wigilię, gdy miejsce na końcu stołu było jasne i zimne. Dobra rodzina to taka, w której nikt nie udaje, więc siedzieliśmy smutni: ja, matka, Ewa, babcia i dwie ciotki przybyłe z miasta, by wesprzeć matkę w trudnym czasie. Pieprzyć takie Święta, myślałem, Święta bez ojca to ponura szopka, gdzie Herod zjada Jezusa przy trzasku opłatków. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem psy.

Ujadały tak głośno, że matka poprosiła mnie, bym poszedł i je przegonił. *Zastrzel nawet, prosiła, zastrzel, niech tylko dadzą nam spokój.* Ciotka protestowała głośno, że tak nie można, że w Wigilię nie zabija się nikogo. Nie chciałem słuchać jej trajkotania, więc poszedłem. Otworzyłem drzwi i psy wpadły do środka. Pierwszy przemknął mi między nogami, drugi skoczył na pierś i polizał po twarzy. Przypominał kreta, z tym spiczastym pyskiem, niezgrabną głową i drobinkami oczu ledwo odcinającymi się od futra. Oderwałem go od siebie, wytargałem przyjacielsko za uszy, a już z pokoju dobiegały odgłosy zachwytu. Nawet matka się śmiała.

Wróciłem, prowadząc psa za płat skóry na karku. Gdy dostrzegł towarzysza baraszkującego u stóp matki, wyrwał się bez trudu. Okrążył zebranych, nos wibrował mu jak czarny silniczek, a potem wskoczył mi na kolana i lizał po rękach. Wielki, postrzępiony ogon obijał się o krzesła. Miał smolisty pysk, krótki, jakby ścięty, i ślepia, w których radośnie trzaskał ogień. Jego towarzysz przypominał charta. Ciemne futro przecinał biały pas od ogona do chudego karku. Pies pokręcił się po kuchni, podszedł do mnie i położył głowę na moich stopach. Zapytałem matki, czyje są to psy.

– Nie mam pojęcia – wruszyła ramionami. – Nie widziałam ich tutaj. Może ten Skomila, co dom wybudował, sprowadził sobie te psy. Chyba rasowe są.

– Skąd, to kundle – stwierdziła ciotka. Zwinęła usta w trąbkę i zaczęła cmokać. – No, choć, piesiećku, choć do pańci.

Piesieciek nie odwrócił głowy.

– No, mały – głaskałem czarnego po kwadratowym łbie – złaż ze mnie, bo ciężko. Skąd się wzięłeś, mały? No powiedz mi, dzisiaj zwierzęta przecież mówią.

Pies nie miał ochoty na rozmowę. Niechętnie opuścił moje kolana i dołączył do towarzysza. Stopy zginęły mi w czarnym futrze. Matka zdecydowała, że gość, jaki by nie był, musi dostać poczęstunek. Mięsa nie tknęły, ale mleko wypity całe. Ciotka zwróciła uwagę, że psy są oswojone i wykarmione, więc muszą pochodzić z sąsiedztwa. Klepała je po brzuchach, przeżywała śmiesznymi obzartuchami, a potem

zaczęła mówić, jak to źle, odkąd na Kraków spada pył z Nowej Huty. *Widziałam kałuże żółte od siarki*, opowiadała, *a wszystkie drzewa na Plantach są szare od ołowiu. Naprawdę. Zająłem się psami.*

Matka powiedziała, że zwierzęta mogą przenocować w drewni, a rano przejdę się po wsi i popytam, komu mogły zginąć. *Możesz iść z nimi, bo cię lubią*, mówiła. Psy łąsiły się do mnie, lizały łydki i dłonie. Po kolacji zamknąłem je na skobel. Miałem wrażenie, że psie oczy płoną jak stal.

Rano zastałem zasunięty skobel i pustą drewnię. Matka powiedziała, że duży pies może przecisnąć się przez otwór wielkości piłki. Znalazłem parę dziur i obluzowanych desek. Pamiętałem szerokie bary wigilijnych kompanów i nie chciało mi się wierzyć, że psy zdołały się przecisnąć. *Były psy, a teraz ich nie ma*, stwierdziła filozoficznie matka i sprawa przycichła do następnej Wigilii.

Tymczasem stanęliśmy na nogi. Działalem trochę w partii i zdobyłem dobrą pracę przy remontach. Przedpołudnia spędzałem na dachu, wbijając gwoździe i pijąc ciepłe piwo. Ewa kończyła szkołę średnią i marzyła o architekturze. Dom wypełnił się rysunkami. Matka wspominała o szkole wieczorowej, do której mógłbym chodzić. Za trzy lata zdobyłbym maturę. Przed trzydziestką zostałem inżynierem.

Wigilia, półtora roku po śmierci ojca, była świętem odrodzenia. Śnieg ocierał się o okna, na niebie wysypały się gwiazdy, a matka z Ewą przystroiły dom. Wielka choinka na podwórku obwieszona kolorowymi łańcuchami dawała znak, że nie planujemy złożenia broni.

Psy przyszły późno, na koniec kolacji. Ten z białym pasmem na grzbiecie skrobał łapą w drzwi, aż otworzyłem. Wpadły do domu, do nóg matki i moich. Mogłem przysiąc, że nie zmieniły się ani trochę.

Wypiłem zbyt wiele i zostałem na dole sam. Targałem psy za uszy, tarzałem się z nimi, aż wreszcie wziąłem mojego ulubieńca (całkiem czarny, ze śmiesznym łbem), pogłaskałem po głowie i zacząłem mówić. Nazwałem go Czarny. Czarny i Szary. To dobre imiona dla psów. Opowiedziałem im swoje życie, nudne i proste jak droga przez pole. Psy milczały. Czarny patrzył na mnie poważnie i w pijackim widzie zdało mi się, że w jego oczach widzę wodę, ponurą, szarpaną wiatrem toń, pełną wirów, złą i niespokojną. Schyliłem się i dmuchnąłem mu w nos. Nawet nie drgnął, stary drań.

Nie zamykałem ich w drewni. Położyłem się na podłodze, pijany jak fiks i zasnąłem między Czarnym i Szarym. Ostatnim, co pamiętam, jest pysk i toń spokojnych oczu. Obudziłem się sam, o świcie, z obolałymi plecami i tęnym łupaniem w czaszce. Nigdy wcześniej tak nie zmarzłem.

Psy przychodziły co roku, w Wigilię Bożego Narodzenia. Jest pewien rodzaj magii, który wszyscy chętnie przyjmujemy. To magia czerwonych majtek na studniówce, zaklęcia szczęśliwych przypadków, klątwy czarnych kotów i kominiarskiego fartu. Prosta niezwykłość ubarwiająca życie, która nic nie zmienia, jak łańcuszek na szyi dziewczyny, w którym wygląda ładniej, choć jest tą samą osobą. Drobiazg, który zawsze chętnie przyjmiemy, by żyło nam się piękniej. Wziąłem psy wigilijne jak prosty omen, nad którym nie warto myśleć. Śmierdziały wsią, błotem i rzeką, czasem były mokre i brudne, wytarżane w śniegu jak czworonożne bałwany. Wzięliśmy je z matką i Ewą dbając, by na Wigilię nie zabrakło mleka. Czarny i Szary piły, lizały mi stopy, a ja zasypiałem z nimi. Fajnie.

Skończyłem wieczorówkę, ale nie poszedłem na studia. Wziąłem ślub i szybko zostałem ojcem. Z radością patrzyłem, jak dwuletni Michał dosiada Czarnego i jeździ na nim po pokoju.

Trzymał go za uszy, a Czarny tylko schylał łeb i maszerował posłusznie, jakby rozumiał, że niesie

najdroższego człowieka na świecie.

Zostałem technicznym w pobliskiej szkole. Mój los odmienił facet z ministerstwa kultury. Przyjechał do wsi, wygłosił pogadankę na zebraniu koła i powiedział, że potrzebuje robotniczych pamiętników. Podszedł do mnie jeden z drugim, wyciągnęli na piwo i powiedzieli, że mam gadane jak nikt inny, no więc czemu nie. Siadłem, napisałem. Po trzech miesiącach ciszy przyszło pismo ze Związku Literatów, że mam przyjechać do Krakowa i z kimś się spotkać.

Związek mieścił się na Krupniczej. Na dole był bar, gdzie ściany przegryzł dym. Przyjęto mnie miło, kolejni faceci w jasnych koszulach trzęśli moją dłoń jak wajchę przy jednorękim bandycie. Wreszcie zjawił się prezes, pogratulował mi i powiedział, że wygrałem konkurs, mam publikację i żywą gotówkę do odebrania. Ten nocy zabalowałem, że hej, a gdy podniosłem się z łóżka, z ołowianą głową i spalonym gardłem, wiedziałem, że już nic nie będzie takie samo. Zostałem pisarzem.

Zacząłem od urządzania pokoju. Mieliśmy klitkę na piętrze, z trójkątnym oknem i masą szpargałów zalegających na skrzyni i szafach. Zniosłem wszystko do drewni. Od sołtysa załatwiłem przedwojenne biurko. Kupiłem maszynę do pisania, bibularz, papier, wieczne pióro, miękki fotel, sweter z golfem, popielniczkę, lampę, kosz na odpadki (rzadko używany), i mnóstwo książek, które poustawiałem na regałach. Gdy wszystko było gotowe, zapaliłem, zabębniłem radośnie w maszynę i poczułem się jak Hemingway.

Pisałem o pracy chłopca na roli, o szacunku dla ziemi, deszczu, sercach czerwonych jak sztandar, pieściłem się z glebą niczym z dorodnym cyckiem. Zgrzeszyłem ciężko przeciwko sprawiedliwości i literaturze. Wiedziałem o tym zawsze, nawet podczas alkoholowych świtów, wódczanych dreszczy, między papierosem a papierosem, wiedziałem, Bóg mi świadkiem, że deptam kwiaty chłopskim butem. Ale zawsze był ten czar, za którym chętnie szedłem – słodka magia wieczorków autorskich, szacunku, zazdrości grzejącej plecy. Płaciłem za nią przyciężkim słowem i kawałkami o Żydach, które wypłułem z siebie w pewien marcowy poranek. Teraz, gdy przegoniono mnie nawet ze słowników, nie wiem, czy żałować tych dni, czy cieszyć się wspomnieniem.

Chlaliśmy na Krupniczej aż trzeszczały ściany. Budziłem się na podłodze, na stole, przy łóżku, w siwym powietrzu i bombą wodorową w głowie. Zwiedziłem izbę, detoksy, komisariaty i nie opuszczało mnie wrażenie, że buduję legendę pisarza z ludu, takiego, co jedną ręką strzeli arcydzieło, drugą chwyci za kieliszek i zaraz za kieckę. Kobiety były, a jakże. Mógłbym skrócić sobie kark od oglądania się za nimi. Wyrzuty sumienia wietrzały rano, wraz z wódką.

Po drugiej książce (nazywała się *Wieczorowym polem* i opowiadała o chłopskiej rodzinie rzuconej w wir miejskiego życia i nie wiem doprawdy, czy ktoś zdołał przedrzeć się do ostatniej strony) znalazłem sobie kogoś na stałe. Kończyła studia, polonistykę chyba i włóczyła się za mną jak mucha za krowim ogonem. W końcu przygarnąłem ją do siebie i rznąliśmy się w pokoiku na czwartym piętrze Żaczka.

Żona łykała kłamstwa jak spaniel gówno. Kochałem ją, na ile umiałem wtedy i nie zostawiłbym jej nigdy. Była moją kobietą, matką mojego syna, mojej żrenicy, mojej gwiazdy. Po pijaku patrzyłem na księżyc i widziałem w nim bladą, ale uśmiechniętą twarz Michała.

Z drugiej strony, moja studentka była całkiem w porządku – niewysoka, urocza, z kolanami pod samym gardłem. Powiedziałem jej dwie rzeczy, których musiała się trzymać – po pierwsze, nigdy nie zostawię dla niej Ali i po drugie, że pod żadnym pozorem nie może dzwonić do mojego domu.

Przychodziłem do niej, kiedy chciałem i znikalem, na tydzień, dwa, na miesiąc i wracałem, jak przysłała mi ochota. Czasem wrywaliśmy się na weekend – Ali mówiłem o plenerach literackich, spotkaniach i wieczorach w innych miastach. Pieprzyłem się z Małą po całej Polsce, drżały Tatry, falowało morze, a ja rozpląywałem się w słodkiej bezkarności.

Matka starzała się i gasła. Pierwszej Wigilii za Gierka zobaczyłem przy stole starą kobietę ze skórą napiętą i błyszczącą. Pod powiekami zagościł cień. Zostałem gościem w domu, ale psy dalej przychodziły. Michał bawił się z nimi. Żona wyraźnie ich się obawiała.

– Ile te psy już przychodzą? – pytała, a ja odpowiadałem, że nie wiem dokładnie. Dziesięć lat, może mniej.

– To dlaczego się nie zmieniają? Popatrz na nie. Wyglądają tak samo, jak rok, jak pięć lat temu. No popatrz i powiedz, że tego nie widzisz.

Miałem trochę w czubie. Zza stołu widziałem jasną czuprynę Michała i smolisty grzbiet Czarnego.

– Skąd – burknąłem – popatrz tylko. Wyraźnie zmężniały. Okrzepły. Szary był, no, o ćwierć mniejszy niż teraz. Patrz, jakie ma nogi i ile sadła pod brzuchem.

Szary podniósł łeb i popatrzył mądrze.

– To są wiejskie psy – nigdy, gdy byłem pijany, Ala nie zbliżała się do mnie. Tym razem dotknęła mnie. Czuję jej zimne dłonie na karku. – Mają gładką sierść, żadnych zadrapań, wyrwanego futra. Wyglądają jak z pańskiego domu.

– Może to zatem nie są wiejskie psy? Nie każdy, kto na wsi mieszka, jest wieśniakiem. Może to psy doktora albo księdza.

Albo tych, co mają tylko domek letniskowy. Dobry Boże, nie wiem, przychodzą i już. Przeszkadzają ci? Miałem wrażenie, że Ala bardzo się ich boi.

– Ale widziałeś ich oczy? – mówiła. – Mają młode oczy. Zawsze takie same.

Już jej nie słuchałem. Głowa zatonała mi między łokciami. Rano kac obijał się mi po czaszce. Ala przeniosła mnie do łóżka – spałem w koszuli i majtkach, cuchnąłem, jakbym kąpał się w nawozie, a w ustach miałem pył i pleśń. Skołowałem klina, przeszedł mnie ożywczy dreszcz. Zszedłem na dół. Za oknem budził się świt. Łóżko Michała było puste.

Kac natychmiast mnie opuścił. Obudziłem Ewę. Sprawdziłem dom i dREWUTNIĘ. *To psy, to psy go zabrały*, rozpaczała Ala i po raz pierwszy miałem ochotę przywalić w ten czerwony baniak łez. Wyszedłem na dwór, w samej koszuli, spodniach i z papierosem. Nie musiałem iść daleko, bo Michał się odnalazł.

Siedział nad rzeką i wrzucał do niej kamienie. Zobaczył mnie, wstał, pomachał ręką – miał wigilijny garniturek. Zapalenie płuc gotowe, myślałem, albo i gorzej. Zadałem pytania, które zadałby każdy. Stałem przed, Michałem nie wiedząc, czy przytulić go, czy uderzyć.

– Poszedłem z psami na spacer – wyjaśnił z pewnością dziewięciolatka – z psami i...

– Czekaj, zawołam mamę. Umiera z niepokoju...

Ala oczywiście przybiegła z histerią, dopadła Michała i tarosiła jak dziecko odnalezioną lalkę.

– Daj chłopakowi spokój. No, Michał, idziemy. Napijesz się herbaty i do łóżka, ale już. Dalej, dalej – chwyciłem go za rękę i pociągnąłem do domu – co było z tymi psami?

– Poszedłem bawić się na dwór. Bawiłem się z psami i ze starszym panem, który mieszka w rzece.

Powiedziałem mu, żeby nie opowiadał głupstw. Od zmyślenia w rodzinie byłem ja. Michał nadał się i milczał, aż wypił herbatę. Wyglądał na pokrzywdzonego.

– Jest pan, który mieszka w rzece. Podobny do ciebie, tylko starszy. Starszy i zabawny. Opowiadał mi historie, jak byłeś młody i rąbaliście razem drewno i jak podkradałeś papierosy z kredensu. I powiedział jeszcze – bawił się szklanką – że, znaczy powiedział, że masz powiedzieć, że mam powiedzieć, że masz płonąć, a nie trawić. Płonąć, spłonąć, jakoś tak. Ale nie trawić, nie napychać sobie buzi i nie trawić. Tak właśnie powiedział, a potem odszedł i zabrał psy. Ogrzał mnie. Jestem ciepły. Nie zmarzłem. Pan z rzeki jest gorący.

Uderzyłem Michała na odlew. Spadł z krzesła. Wyszedłem. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia spędziłem w jedynej czynnej knajpie, wieś dalej. Wróciłem na mocnym gazie, spaliłem na dole pięć papierosów i przeprosiłem Michała. Objąłem obitą głowę chłopca i wylałem na nią wszystkie łzy.

II

Rozwiodłem się w 1975 roku, u szczytu popularności, kiedy moje książki schodziły z prasy w dwustutysięcznych nakładach. Mała skończyła studia. Załatwiłem jej ciepłą posadę w Narodowej i cicho przebąkiwałem, by znalazła kogoś, kto zapewni jej spokój i dostatek. Pozostała głucha na moje sugestie, chciała się dalej pieprzyć i jeździć po Polsce. Przez moment zastanawiałem się, czy nie odstawić Alicji na boczny tor – żona brzydła, lata zmieniały ją w wysuszoną kukłę. Nie zrobiłem tego, a na początku 1974 roku Mała złamała drugą zasadę.

Zadzwoniła z kompletną bzdurą. Potrzebowała numeru do koleżanki, kolegi, kogokurwakolwiek. Odebrałem, byłem na gazie i trzasnąłem słuchawką. Wskoczyłem w samochód – Mała zajmowała kawalerkę na KozłóWKu, którą jej wynająłem. Nim zdążyła otworzyć usta, przywaliłem jej tak, że w powietrzu zawirowała chmura czerwonych kropli. Nie upadła, stała oniemiała, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Biłem ją dalej, dopóki starczyło sił. Nie próbowała krzyczeć, tylko osunęła się do moich stóp. Kopnąłem parę razy, wybuchła płaczem – pchnąłem ją na plecy i biłem otwartą dłonią, aż zamilkła. Wstałem. Gniew odszedł. Mała drżała, łapała powietrze.

Powiedziałem, że ma zniknąć z mojego życia, dałem miesiąc na opuszczenie mieszkania i zamknąłem drzwi z drugiej strony. Pojechałem na Krupnicza, wypiliśmy parę głębszych i zasnąłem przy stole, mamrocząc przekleństwa na babską głupotę. Koledzy przenieśli mnie do łóżka. Półprzytomny, słyszałem głosy zwiastujące burzę.

Mała poszła na milicję. Ruszyłem z posad bryły świata, unikałem aresztowania, ale Alicja dowiedziała się o wszystkim. Wiejska prostota, za którą ją kochałem, obróciła się przeciw mnie. Miesiąc później sprawa rozwodowa trafiła do sądu rejonowego.

Małą załatwiłem szybko. U kobiet rozsądek panuje nad gniewem – wyczyściła mi kieszeń, ale wycofała oskarżenie. Nie wiem, czy kogoś ma, nie wiem nawet, czy żyje. Odeszła jak dobre wspomnienie. Złe wspomnienia, pamiętajcie, trzymają się nas jak rzepy.

Zgodziłem się na rozwód. Adwokat powiedział, że wygrana graniczy z cudem, a przeciąganie sprawy tylko pomnoży koszt. Wojna rozpętała się o dziecko. Michał podrósł na tyle, by wiedzieć, co jest grane. Potrzebował ojca i musiał zrozumieć, że czasem facet musi zanurkować w inną dziurkę. I że nerwy puszczają. To można wybaczyć. *Ludzie nie są dobrzy ani źli, każdy z nas czegoś się wstydzi, a my, ojciec i syn, jesteśmy po to, by rozumieć się i sobie wybaczać* – tak powiedziałbym mu, gdyby chciał jeszcze ze mną rozmawiać.

Z Alicją starliśmy się na sali sądowej, wytaczając najcięższe działa. Wskazywałem, że była żona nie zdoła zapewnić dziecku odpowiedniego wychowania, poza tym chłopak w tym wieku bardziej potrzebuje ojca. Alicja odmalowała mój portret ostrą kreską. Zastałem dziwkarzem, pijakiem i pedałem. Adwokat mówił mi, że sąd już nie nabiera się na kobiecą histerię i że najpewniej wygram sprawę, jeśli nikt nie ciśnie mi kłody pod nogi.

Kłeska przyszła ze strony najmniej oczekiwanej. Prosiłem Ewę, by świadczyła po mojej stronie. Odmówiła z pokorą, tłumacząc, że Alicja uniemożliwi jej kontakt z dzieckiem. W kolejnej sprawie stanęła jako świadek mojej żony i wyśpiewała wszystko, jak Piekarski na mękach. Nie było wspólnej tajemnicy, której by nie przytoczyła, nie istniała rozmowa tylko-między-nami, której nie wyprułaby

flaków przed szacownym zgromadzeniem. Siedziałem oniemiały, adwokat skurczył się w sobie, a w przerwie nachylił się do mnie i szepnął: *to naprawdę pana siostra?*

Nie wiem, jak utrzymałem nerwy na wodzy. W przerwie podszedłem do Ewy i zapytałem, co do cholery wyprawia. Nadęła się jak kura z rurą w dupie i wypluła gadkę o sprawiedliwości, o tym, że zawsze trzeba stawać po stronie pokrzywdzonych. Kto tutaj był pokrzywdzony, do jasnej cholery? Mała i Ala wypluwały mnie z pieniędzy. Co to za myślenie? Rodzina ma być, cholera, razem, a jeśli już, należy stawać po słusznej stronie, która niekoniecznie zawsze jest pokrzywdzona. Mówiłem tak do niej, z rękami złożonymi na plecach, a potem odszedłem. Nigdy więcej nie powiedziałem do Ewy ani słowa.

Sprawę przegrałem sromotnie. Alicja z Michałem zniknęli z mojego życia. Zmuszony przez sąd, kupiłem kawalerkę. Michał zabrał zabawki, książki, ubrania i odszedł. Matka kazała zostawić wszystko, co kiedykolwiek mu kupiłem. Nie wierzę, aby zrobił to z własnej woli. Na środku pokoju została barwna kupa snów mojego syna.

Wierzyłem, że Michał wróci, ale matka owinęła go sobie wokół palca. To dziwne i smutne, gdy syn, krew z krwi, tonie w obcym życiu, a ty idziesz za nim jak ślepiec, składasz jego drogę jak niekompletną układankę – wypytyjesz znajomych, śledzisz wyniki matur, egzaminy, obronę. Nie piłem z nim piwa, nie rozmawiałem o kobietach, nie służyłem radą ani wsparciem. Chyba poradził sobie dobrze. Minęliśmy się kiedyś na ulicy. Jest grubym trzydziestolatkiem, ale ma żywe oczy ojca. Cokolwiek znalazł, mam nadzieję, będzie dla niego dobre.

Została mi matka i siostra. Wigilię 1979 roku spędziliśmy we troje. Nie złożyłem Ewie życzeń. Uścisnąłem matkę – miałem wrażenie, że trzymam w ramionach worek kości. Milczeliśmy, piłem wino, a potem przyszły psy.

Szary obiegł dom, usiadł przede mną i patrzył. *Co narobiłeś, stary?*

Matka umarła na wiosnę. Siedzieliśmy przy niej trzy dni. Nie mogła mówić. Próbowała złączyć nasze dłonie. Powiadają, że wypełnienie woli zmarłego jest obowiązkiem, ale nie przychyliam się do tego zdania. *Zgniotłeś ją jak ogień na świecy*, powiedziała mi Ewa. Chciałem jej odpowiedzieć, że jest dokładnie na odwrót. To Ewa zwróciła się przeciwko mnie i zatrąła nasz dom. *Patrz na swoje dzieło*, cisnęło mi się na usta. Milczałem.

Trzy miesiące po pogrzebie Ewa wyjechała z przyjaciółką. Przeniosłem jej rzeczy do pokoju na Krupniczej, zmieniłem zamki i wysłałem telegram do Buska z informacją, że nie mieszka już w Tenczynku. Tak poradził mi mój prawnik i Ewa zniknęła z mojego życia. Chciałbym powiedzieć, że nie tęskniłem.

W grudniu 1981 roku Solidaruchy z Jaruzelskim podpaliły Polskę, a ja spędziłem pierwszą z dwudziestu samotnych Wigilii. Dzieciątko Jezus przyniosło mi butelkę wódki. Piłem i rozmawiałem z psami. Próbowałem bawić się z Czarnym, jak dawniej, ale pies siedział przede mną. Szary zasnął na moich nogach.

– Aleśmy się postarzeli – ścisnąłem butelkę kolanami. – Jak to robicie, pieski, że nie widać tego po was? No, Czarny, powinieneś mieć futro rzadkie i siwe jak na dupie starucha. Siedzimy razem, jest Wigilia. Powiedzcie coś do mnie. Chcę wiedzieć, czy robię dobrze. Powiedzcie, a ja to spiszę, napiszę o was książkę, bracia.

W roku 1981 psy miały prawie dwadzieścia lat.

Pisałem, wydawałem i nie związałem się z nikim. Związek Literatów przepadł, zbyt wielu z nas dostrzegło w Wałęsie męża opatrzości. Pozostałem wierny państwu, które dało mi szansę. Wytykałem piórem niegodziwość wobec ustroju. Nigdy nie publikowałem tak dużo, jak w latach osiemdziesiątych. Wielu ludzi odsunęło się ode mnie, czego nie zamierzam żałować. Ssali czerwoną pierś, a gdy ta pomarszczyła się, pobiegli do młodej i puste macochy. Nigdy nie przypuszczałem, że to macocha odniesie zwycięstwo.

Rok 1989 był dla mnie szokiem. Księgarnie zalały tandetne książki w błyszczących okładkach, Związek skarłał i utracił wpływy. W połowie lat dziewięćdziesiątych wyrzucono nas z Krupniczej (jaki był los Ewy? Doprawdy, nie wiem, ale ja byłem zbyt zobojętniały, by się tym przejąć). Czarnej owcy nie pyta się o zdanie. Ci, którzy byli ze mną, szybko zapomnieli. Reszta tłuła we mnie jak w drzewo, które nagle spróchniało od środka.

Najgorszy był szok wydawniczy. Jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy wydałem *Głosy południa*, nakład przekroczył dwadzieścia tysięcy. Z rozpędu wydałem zbiór opowiadań w 1991 roku – dziesięć tysięcy. Nie znalazł nabywców, zmielono moje słowo. Cisza. Tułałem się trochę, ale byłem za stary, by na nowo wkładać się w łaski. Z okazji mojego 35-lecia, wyszedł cienki zbiór krytyki na pięknym, szarym papierze oraz tomik wierszy w twardej oprawie. Nie chciało mi się pisać, więc zostałem poetą. Przyszło paru dziennikarzy, nieliczni znajomi. Gratulowali. Wieczorem popatrzyłem w lustro – czy ten prosiak z gardłem rozlewającym się na krawat to ja? Śmiech. Pieprzcie się, głąby. Pewno zdechłbym z głodu, gdyby nie renta i zaskórniaki. Siedziałem w Tenczynku, piłem i gniłem. Czekałem.

Przez te lata nie zapominałem, że jestem wybrany.

Powinienem płynąć kanałem w 1937 roku.

Wybrano cię, byś mógł coś zrobić, a ty nie zrobiłeś mówiły oczy Czarnego. Jak nie zrobiłem, głupi psie, mój futrzany przyjacielu: popatrz na półkę, jak trzeszczy pod ciężarem książek? Zerknij tylko na ściany, tam masz nagrody. Teraz jest cisza, ale cisza to tylko wzywanie wiatru. Statek popłynie dalej.

Wrak, nie statek, myślałem, stojąc w gaciach przed lustrem w łazience. Miałem czerwoną mordę, brzuch niczym bęben i sflaczałe ramiona. Tłuszcz wisiał na nich jak chorągiew na maszcie w bezwietrzny dzień.

Zostały mi psy i wódka. Kochane, czterdziestoletnie psy. Powiew magii w moim życiu. Łączyłem je z tajemnicą narodzin – stanowiły dowód, że jeszcze coś jest przede mną. Wierzyłem, że wypłynę do światła.

Lekarz mówił, że powinienem przestać pić. Zadałem proste pytanie: *po co?* I Boże Narodzenie przywitałem z butelką. Obiecywałem sobie, że to ostatni raz. Wraz z powodzeniem opuściły mnie kobiety. Sześćdziesięciolatek piszący do szuflady i przepijający radośnie każdy grosz nie stanowił najlepszej partii.

W Wigilię Szary ugryzł mnie w rękę. Psy przyszły wraz ze zmrokiem. Chciałem pogłaskać Szarego, a ten szarpnął łbem i zacisnął zęby na nadgarstku. Krzyknąłem, szarpnąłem się. Puścił. *Drugi raz tego nie robisz*, patrzył. Umiałem czytać z jego oczu. Stałem w rogu kuchni. Trzymałem butelkę, gotów stłuc ją

i walczyć.

Czarny warczał.

Wigilijne psy urosły w siłę, a ja osłabłem. Powłóczyłem nogami, z trudem podnosiłem wiadro z wodą. Usiadłem. W oczach Czarnego trzeszczał ogień. Grube mięśnie karku pulsowały życiem. Szary posłał mi smutne spojrzenie i wybiegł w noc.

W pijackim śnie znów byłem dzieckiem. Bawiłem się z Czarnym i Szarym przy wielkiej choince. Sufit błyszczał jak zorza. Wybiegliśmy na dwór, na niebieski śnieg. Chwyciłem Czarnego za uszy i wsiadłem na kudłaty grzbiet. Obiegliśmy dom. Obok Szary ujadał radośnie. Skierowaliśmy się ku rzece.

Czarny sadił susy przez zasy, jego łapy nurkowały w śniegu. Szary ujadał tuż za mną. Dotarliśmy do nadbrzeża, ale Czarny nie zwolnił. Puściłem uszy w chwili, gdy pies skoczył na cienki lód. Zsunąłem się i upadłem. Lód trzasnął jak pęknięta kość.

Woda była ciepła i słodka. Nurt szarpnął mną i przycisnął do dna. Szorowałem po kamieniach, widziałem gwiazdy migoczące nad lodem, podłużne ryby i rośliny czarne jak sam diabeł. Coś pękło nade mną i ciemny kształt podążył na dno. Ojciec miał jasną twarz i rybie oczy. Chwycił mnie za ramiona.

– Nie przeciągaj rzeczy ponad miarę – bulgotał – jeśli masz dość kobiety, odejź od niej i nie żeń się tylko dlatego, że masz z nią dziecko. Gdy praca cię złości, zostaw ją i poszukaj innej. I nie żyj na siłę, nigdy nie trzymaj się życia jak pijany latarni.

Znów byłem dorosły. Wziąłem się z ojcem za bary.

– Jestem wybrany! To mi ma się udać! – ścisnąłem gardło ojca. Otworzył usta. Zamiast języka miał czerwia z gładkim łbem. Robak zsunął się po wardze, za nim spłynęły następne, białe i wielkie jak namokła fasola. Opadły na mnie, szarpnąłem się, spróbowałem płynąć, ale osunąłem się na dno. Nade mną unosił się ojciec. Wiedziałem, to sen. Zacisnąłem powieki. *Obudzisz się w łóżku*, pomyślałem, przecież takie rzeczy się nie dzieją.

III

Zeszłej Wigilii psy próbowały mnie zabić. Nie piłem. Dzwoniłem po znajomych, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Pierwszą gwiazdę przywitałem, siedząc po turecku na stole. Patrzyłem w okno i myślałem, że święta spędzimy we troje. Kupiłem karmę, mięso i mleko. To jedna z tych chwil, gdy człowiek rozważa wszystko, co utracił. Papieros za zmarnowany rok. Jeden płomień za każdego, kogo skrzywdziłem.

Najpierw zjawił się Szary. Wygiął plecy w kabłąk. Oczy miał jasne i puste. Za nim Czarny, potężniejszy niż kiedykolwiek. Miał łapy jak cumownicze liny. Skoczył bezgłośnie. Pokryta pianą szczęka zatrasnęła się przed moim gardłem. Chwyciłem go za szyję.

Szary ugryzł mnie w nogę.

Kość strzeliła jak szkło.

Chyba krzyczałem. Szary ciągnął mnie na podłogę. Stłukłem butelkę o kant stołu. Oczy Czarne, tuż przed moją twarzą, wyglądały jak wodne wrota, myślałem, że wciągną mnie w siebie, zatopią, zaduszą. Wbiłem butelkę głęboko w bok psa.

Zapisał i zsunął się ze mnie.

Zsunąłem się ze stołu. Szary sięgnął mojego uda. Biłem go po łbie, wrywałem strzępy futra, aż wreszcie zostawił mnie. Pokuśtykałem do drzwi. Czarny odzyskał siły. Powłóczył łapami, musiał bardzo cierpieć. Miałem na rękach jego krew. Była zimna jak górski strumień.

Do klamki dotarłem pierwszy. Szarpnąłem i byłem w przedpokoju. Jezu, jak bolało. Miałem wrażenie, że wszystkie nerwy wypłynęły mi na skórę. Łapałem powietrze. *Dalej, stary. Do drewnutni, do drewnutni.*

Zaparłem się, pies wsunął łeb, kłapnął szczęką. Uderzyłem go drzwiami. Zaskowytał, przez moment zrobiło mi się go żal. Płakałem, gdy uderzałem drzwiami, raz po raz, aż pysk trzasnął, rozpadł się na drobinki. Czarny opadł ciężko na podłogę. Żył i mogłem przysiąc, że płacze. Kopnąłem go w grzbiet, szpara w drzwiach stała się wolna. Trzask. Pobiegnę do drewnutni.

Zakrwawiłem śnieg. Myślałem, że nie zdołam dojść. Szary wył w domu. Gdy dobiegałem celu, umilkł. Spojrzałem za siebie. Gnał, sadząc wielkie susy. Miałem wrażenie, że rośnie i zaraz stanie na dwóch łapach, równy mi wzrostem, niczym wilkołak z czarnobiałych filmów.

Z trudem dotarłem do drewnutni. Siekiera wisiała na miejscu. Chwyciłem trzonek w obie dłonie. Oparłem się o framugę.

Szary przystanął.

Miał teraz oczy jak rybie łuski.

Zza niego wysunął się Czarny, z przekrzywioną głową i krwawiącym bokiem. Z trudem dotarł do towarzysza. Wsparł się na nim. Mogłem przysiąc, że odzyskuje siły.

– No chodźcie! – machałem ostrzem – chodźcie, skurwysyny i nauczcie starego capa, jak trzeba umierać! Dalej, przyjaciele. Nie boję się was, słyszycie! Nie boję się ani trochę. Jestem za stary, by bać się kogokolwiek! Przetrwałem wrogów, przyjaciół teraz przetrwam, na co czekacie?!

Psy patrzyły na mnie. Ich oczy znów się zmieniły. Były puste, okropnie stare, pełne złości i mogłem przysiąc, że zaraz pocieknie z nich gorzka ciecz. Zarazem było w nich coś znajomego. Minęła chwila, nim zrozumiałem. Szary i Czarny patrzyły na mnie moimi oczami.

Psy odwróciły się i pobiegły do rzeki.

Minął rok i dziś znów jest Wigilia.

Czekałem w pustym domu. Poszedł za dobrą cenę. To ostatnia noc. Psy zostaną ze mną. Przyjaciół się nie sprzedaje.

Mam bilet do Hiszpanii i niewielki domek kupiony nad samym morzem. Noga zrosła się dobrze. Jestem krzepkim sześćdziesięcioparolatkiem, nie piję, palę jak smok i noszę głowę w chmurach. W Hiszpanii będę pływał w morzu i chodził na corridę. Chciałbym zwiedzić trochę świata, poznać przyjaciół i fajną staruszkę, która zniesie towarzystwo takiego ramola jak ja. Potem napiszę o tym książkę i po raz pierwszy będę pisał dla siebie. Mam nadzieję, że znajdzie się w niej mnóstwo przygód i wszystkie będą prawdziwe.

Mój ojciec się pomylił, bo zawsze jest czas, by zacząć od nowa.

Muszę jednak poczekać na psy. Mam mocny kij. Mógłbym odjechać, ale znajdą mnie wszędzie. Chcę się z nimi zmierzyć. Drąg w starych ramionach przeciw ich kłom, to uczciwy układ. Mam nadzieję, że wygram. Przynajmniej na rok. Tak czy inaczej, dowiem się, czy warto.

Chodźcie, przyjaciele. Spróbujcie mnie wziąć. Kiedyś wam się uda.

Ale jeszcze nie dziś.

ANGELUS®

– Niech pan opowie o swojej pracy – powiedział Rogorz, siadając z trudem na brzegu łóżka. – Pan wybaczy. Jestem jeszcze bardzo słaby.

Rogorz przypominał ożywionego świątka, który przed chwilą zeskoczył z drewnianej kapliczki. Miał kanciaste, szerokie ramiona i kwadratowe palce. Grubo ciosana twarz wydawałaby się martwa, gdyby nie ogromne oczy wytrzeszczone w moją stronę. Nie lubię takich spojrzeń.

Mój zawód jest niezwykły, a jego czarnej strony upatruję w ciągłym odpowiadaniu na podobne pytania. Znam wszystkie miny wyrażające zdziwienie i każdy rodzaj zająknięcia. Mówię wciąż to samo, aż język zmienia się w katarynkę, a uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Zdziwienie człowieka to krok do jego pozyskania.

– Więc niech mi pan choć trochę opowie.

– Dostarczam złe wiadomości – odparłem. – To zapewne wie pan z internetu.

Rogorz przesunął się na łóżku. Zobaczyłem gazety z ostatnich miesięcy otwarte na artykułach poświęconych *Angelusowi*.

– Prawdopodobnie wszystko pan wie.

– Dlaczego pan to robi? – zapytał poważnie. Nachylił się. Jego oczy przypominały teraz szklane kule pełne śniegu.

– Dlaczego mówię ludziom, że córeczka będzie miała brzdąca przed maturą, że babcia umarła, syn wyleciał z roku, a droga małżonka obejmuje nogami połowę miasta? Czemu znoszę w spokoju płacz, złość, agresję? – wyszczerzyłem się – dla pieniędzy, proszę pana.

– Musi pan być odważnym człowiekiem – powiedział wpatrzony w okno.

– Ostrożnym. Wolę to słowo.

– Niech pan mówi dalej.

– Wołałbym, widzi pan, pokazać to na jakimś przykładzie. Podobno ma pan coś dla mnie.

– To prawda – rzekł powoli – chciałbym, aby pan przekazał ode mnie złą wiadomość.

– Wygląda to tak. Spisujemy umowę, dokładnie taką – położyłem ją obok Rogorza – wyszczególnia pan, co i komu mam przekazać. Pana podpis potwierdza, że to prawda. Do tego drobiazgi w rodzaju danych osobowych, takie tam... Wie pan, o co chodzi?

Skinął głową i słuchał uważnie.

– Najczęściej potrzebuję dodatkowego dowodu – mówiłem mechanicznie – zwłaszcza w wypadku

informacji o śmierci. Więc jeśli ktoś umarł, musi mi pan przedstawić akt zgonu.

– Nikt nie umarł – Rogorz spojrzął po sobie, przeniósł wzrok na mnie i znowu na parapet.

– Pan rozumie, połowę zarobku wydaję na prawników.

– Mogę pana uspokoić – podniósł się ciężko i podreptał w stronę biurka. Poruszał się powoli, plecy przypominały kadłub statku wywrócony kilem do góry, a prawa ręka zwisała jak kawał portowej liny. Usiadł. Łydkami ścisnął brązowy nesoser.

– Zanieś pan to pod wskazany adres i powie, że rozwiązałem umowę. Tylko tyle. Potem wróci pan do mnie.

– Do kogo mam to zanieść? Krewni, rodzina? – zapytałem.

– Stary znajomy – podał mi kartkę z adresem – tyle powinno panu wystarczyć.

– Najzupełniej. Co jest w środku? – zapytałem obojętnie.

– To już nie powinno pana obchodzić. Wyprostował się na oparciu.

– Powiedziałem, że potrzebuję dodatkowego dowodu – podniosłem się i stanąłem przed oknem, zmuszając Rogorza, by na mnie spojrzął – i zawsze muszę wiedzieć, co jest w przesyłce.

– Mam nadzieję, że stawki macie ruchome? – zapytał.

– Jak najbardziej, ale nie lubimy naciągać ludzi. Skoro to taki drobiazg, niech pan pójdzie do kuriera albo na pocztę. *Angelus* jest droższy.

– Posłaniec. Słowo „Angelus” oznacza posłańca. Wie pan o tym, prawda? – powiedział głucho.

– Skąd mam wiedzieć, czy tam nie ma broni albo pięciu kilogramów koksu, pornografii dziecięcej, dowodu w jakiejś popieprzonej sprawie? – oparłem się o parapet. – Jestem po prostu uczciwym człowiekiem.

– Zapewniam pana. Możemy umówić się na...

– Nie. Nie chcę tego słuchać – przerwałem. – Byłem prawie pewny, że mam do czynienia z wariatem albo dziennikarzem, Bóg jeden wie, co gorsze – niech mi pan powie, co zrobiłby pan na moim miejscu?

Rogorz zmarszczył czoło i przez moment myślałem, że posypie się z niego pył.

– Niech będzie. Ale prywatnie obieca pan jedno. Jeśli otworzę nesoser, cokolwiek tam będzie, wysłucha mnie pan do końca. Potem będzie mógł pan iść, gdzie zechce. Na policję, do czubków, żeby mnie zabrali, gdziekolwiek. Zgoda?

Wyciągnąłem dłoń na znak porozumienia, ale Rogorz pochylił się, mozolnie rozpiął zamek dwoma palcami lewej ręki i kopnął nesoser w moją stronę. W środku leżał pojedynczy, chłodny przedmiot. Otworzyłem nesoser i natychmiast upuściłem. Nesoser skrywał ludzką rękę, uciętą przy barku

i zachowaną w doskonałym stanie, zapewne za sprawą lodówki, gdzie była trzymana.

– To moja ręka – powiedział miękko Rogorz podwijając rękaw. Nosił toporną, drewnianą protezę. Brązowa rękawiczka skrywała sztuczną dłoń – mogę to panu podpisać. To chyba nie przestępstwo, rozporządzać własnym ciałem, prawda?

Schylił się i wyjął zawartość neseseru.

– Nawet, kiedy nie jest do końca własne – dodał – mogę powierzyć fragment siebie firmie *Angelus*, wierząc głęboko w jej uczciwość, terminowość i solidność, prawda? Tego jeszcze – zaakcentował – nasze kochane państwo nie zabrania. A na wypadek, gdyby moja wiara w uczciwość, solidność i terminowość firmy *Angelus* osłabła, mogę wzmocnić ją odpowiednią sumą.

– Po prostu pięknie – powiedziałem z ironią, ale Rogorz wiedział, jak mi zamknąć pysk.

– Proponuję panu trzydzieści tysięcy złotych. Dziesięć otrzyma pan teraz, gdy załatwimy formalności. Kiedy pan wróci, otrzyma pan resztę. Pokwitowanie możemy podpisać na mniej. Co jeszcze? Jeśli pan czegoś się obawia, proszę sporządzić dowolny załącznik do umowy. No, niech pan powie, jak mam pana przekonać, że to naprawdę moja ręka?

– Terminowość, uczciwość i solidność to wizytówka firmy *Angelus* – westchnąłem, wciąż niepewny, czy postępuję właściwie. Nigdy nie miałem tylu pieniędzy.

– Człowiek, do którego pan idzie, nie zrobi panu krzywdy – zapewnił – to w gruncie rzeczy miły facet.

– Mówi pan, jakbym mógł mieć problemy z dostarczeniem tej – zawiesiłem głos – przesyłki.

– Problemy to ja mam nawet przy sikaniu – zarechotał, wyraźnie rozluźniony. – Nie, nic nie powinno się stać.

– Nie mówię, że się nie zdecydowałem – spojrzałem na rękę, wystającą teraz z neseseru. – Mogą po prostu ujawnić się pewne trudności w przekonaniu tego uroczonego człowieka, do którego pan mnie posyła, żeby pokwitował mi ten kawałek martwego ciała. Pańską rękę, konkretnie – odkaszlnąłem.

– Och, tego pan nie musi się obawiać – roześmiał się i zaczął wypełniać umowę. – Powie pan, od kogo i na pewno weźmie. Może pan być zupełnie spokojny.

Pół godziny później, z kieszenią pełną forsy i z ręką w neseserze, szedłem do taksówki, pełen obaw i złych myśli. Zastanawiałem się, co wyniknie z tej historii i czy wszedłem w szambo po pas, czy po szyję. Chciałem też wiedzieć, czy Walasik obije mnie, nim skończę mówić.

Wyłączyłem dyktafon, wsiałem do taksówki i pojechałem prosto do niego.

– Janusz Półpanek – powiedział Walasik wpatrując się w kartkę od Rogorza – no tak. Czułem, że przyjdzie taki dzień.

– Jaki znów dzień?

Angelus przynosił zyski i Walasik wziął na kredyt mieszkanie w nowym budownictwie. Panele

zniknęły pod warstwami papieru – kserowanych książek, faktur, notatek, pudełek po papierosach, kartonów po pizzach, ulotek i Bóg wie, czego jeszcze. Za popielniczkę robił słoik pełen wody. Środek pokoju zajmował wysoki materac, na którym przysiedliśmy. Przy ścianach piętrzyły się książki i hałdy zdjęć, wycinków z gazet. Na ubrania przeznaczono dwa kosze, czarny i brązowy. Komputer stał na ziemi. Monitor podwyższała czterotomowa encyklopedia, a wszystko ginęło w półmroku słabej lampy i papierosowym dymie.

– Jaki znów dzień? – powtórzyłem.

– Taki, w którym zrobimy coś zupełnie szalonego. Rozkładałem pieniądze na równomierne kupki.

– Bez podatku – zauważyłem.

– I szybko. Jak dobrze pójdzie, to będzie najszybciej zarobiona w życiu forsa.

– Powiem ci szczerze – odłożyłem ostatnią stuzłotówkę – że najpierw to chciałem zaraz pojechać do tego Półpanka, wcisnąć mu neseser z ładunkiem i wrócić po resztę floty.

– Jezu, nie mów: flota.

– Co masz do floty?

– Warszawskie – Walasik utopił peta w słoju. – Poza tym, flotę to masz, jak sprzedajesz fajury na sztuki. A to jest, proszę pana, gros.

Ostatnie słowo wypowiedział gardłowo i z przejęciem. Podniósł kartkę, złożył na cztery i zgasił w niej papierosa. Zmiętą cisnął do kosza, niecelnie.

– Dobrze, że przyszedłeś. I dobrze, że nagrałeś wszystko. Powiedz mi tylko, co to zmienia?

Wyłożyłem się na łóżku, z rękami pod głową.

– Rozumiem, to jest ta dobra rada? Życzliwe słowo od współnika?

– Nie. Przyszło mi do głowy coś zabawnego. Przy okazji *Angelusa*. Konkretnie, anioła. Słyszałeś kiedyś o paktach z szatanem? Takich prawdziwych, nie z filmów?

Walasik studiował, odkąd go znałem. Zmieniał kierunki częściej niż dziewczyny, a w głowie zbudował szufladę pełną fascynujących niedorzeczności. Godzinami opowiadał o śpiewakach z góry Atos zdolnych do kruszenia szkła głosem lub o przedstawieniach teatralnych, na których pojawiał się Chrystus. Widzowie czuli jego oddech na plecach.

– To i owo.

– W średniowieczu i baroku, podpisując pakt, symbolicznie oddawałeś diabłu konkretną część ciała. Najczęściej rękę lub nogę

– rozpoczął. – Potem mogłeś dawać czadu, ile wlezie. Tylko, dziwnym trafem, ludzie prowadzeni na spalenie albo po prostu umierający błagali, by odrąbać im felerną kończynę.

– By zabrał ją diabeł – odgadłem – ją, nie ich.

– Mądra małpka – trącił mnie po przyjacielsku. – Taki człowiek zrobiłby wszystko, aby wywinąć się od kary.

– W takim razie diabeł to frajer. Popatrz, wystarczy sprzedać duszę i, we właściwej chwili, oddać rogatemu rękę lub nogę. Nic prostszego. Sam bym się na to pisał.

– Możesz zginąć nagle.

– Albo wykręcić się sianem. Znaczą się, posłużyć kimś innym

– parsknąłem śmiechem – znaczą się, nami.

– *Angelus* to był twój pomysł – poklepał mnie po ramieniu.

– No, zbieraj się. Jedziemy.

– Jezu, człowieku, jest prawie dziesiąta.

– Za trzydzieści patyków mógłbyś ruszyć tyłek. Przymknąłem oczy i zobaczyłem Rogorza, siedzącego na brzegu łóżka i śledzącego gołębie obłąkanym wzrokiem. Kopnąłem neseser tak, że wylądował pod ścianą. Własik podniósł go i położył mi na brzuchu.

– Dość skuczenia, mały – wyciągnął telefon. – Biorę taksę i za godzinę będziemy taplać się w forsie.

Już przy drzwiach, za którymi czekał wrogi grudzień, Własik zerknął na kartkę i zapytał:

– Gdzie, do cholery, jest osiedle Radości?

Stałem przed budynkiem czarnym jak trup w hałdzie węgla. Wspominałem początki *Angelusa*. Pamiętam, przesiedzieliśmy dzień z Własikiem, na przemian broniąc i atakując ten dziwny pomysł. Jeden wątpił, drugi natychmiast znajdował nowe argumenty. Wirowaliśmy w młynie słów i byłem pewny, że jutro *Angelus* powędruje na cmentarzysko pomysłów niewykorzystanych. Stało się inaczej.

Rok temu Własik siedział w kucki nad kawą, z półdługimi włosami podobnymi do splecionych drutów, kurzył i słuchał. Powiedziałem, że *Angelus* wciąż chodzi mi po głowie i nie chce wylecieć, jak ćma spod klosza lampy. Nie będziemy tego robić, mówiłem, ale popatrz, jest w tym jakaś myśl, genialnie prosta – ludzie nie chcą przekazywać złych wiadomości. Czemu pary rozstają się przez e-maile? Czemu małżeństwa porozumiewają się tylko na kartkach z bloczka? Są tacy, którzy by zapłacili za zdjęcie brzemienia. Brzemienia złej informacji, której nikt nie chce przekazać.

– Nic w tym dziwnego – skwitował wtedy Własik – skoro czasem nawet my nie chcemy.

Więc stałem przed czarnym domem i myślałem, jak szaleni byliśmy na początku. Zrobiliśmy w sieci stronę z garścią chaotycznych informacji. *Wyrzucili Cię ze szkoły? Chcesz zostawić żonę? Żaden problem. Tę wiadomość przekazemy – komu chcesz!* Górę strony ozdobiło niewyszukane logo i poważny anioł w garniturze ze skrzydłami rozpostartymi na cały ekran. Po trzech dniach skrzynka pękała od maili, a my zrozumieliśmy, że bez rejestracji firmy i zatrudnienia prawnika z księgową nie damy rady.

Rok później, wypełniając PIT-y, dowiedziałem się, że zasilłem drugą grupę podatkową. Ale żaden pieniądz nie obroniłby mnie teraz przed wejściem do czarnego domu.

– Tu nikt nie mieszka – powiedział Walasik. Z warg starczał mu niezapalony papieros – nikt nawet nie wie, że jest takie miejsce.

Staliśmy na jednym z zapomnianych przez Boga osiedli, magicznych miejsc, które wgrzyły się w Kraków. Po lewej stronie rozciągały się pola, wysuszone i czarne niczym język diabła, dalej rysowała się linia lasu i łagodne wzgórza z łańcuchem samochodowych świateł. Na prawo wznosiły się ponure bloki, wszystkie bure, pełne czarnych okien, o płaskich dachach najeżonych antenami. Osiedla takie jak te łączą pokolenia – stary poczęstuje młodego winem, młody odwdzięczy się blantem i lepszym papierosem.

Dom, do którego mieliśmy wejść, był wieżowcem z lat siedemdziesiątych, strawionym przez pożar. Ściany szczeniały. Okna zarosły brudem. Nie wypatrzyłem ani jednej szyby. W załomach czały się pierzaste kształty. Wejście stanowiła wyrwa, szeroka na kilka metrów i dziwnie postrzępiona, jak ślad po pięści olbrzyma. Nigdzie nie paliło się światło.

– Hej, macie może lufkę? – zabrzmiało z tyłu.

Myślałem, że serce wybije mi zęby. Odwróciłem się i spojrzałem na dwóch koleś w luźnych spodniach. Starszy nie miał więcej niż czternaście lat.

– Nie – pokręciłem głową – ale spróbuj skrócić z tego blanta. Podetknąłem mu dwudziestozłotówkę pod nos. Porwał ją i odwdzięczył się nieufnym spojrzeniem.

– Mieszka tu ktoś? – zagadnął Walasik.

– Zjawy, pogrobowcy – powiedział i uśmiechnął się, dumny, że zna tak trudne słowo – rozkminiacie coś?

– Tak – powiedział Walasik z wahaniem – dom... rozkminiamy.

– Dwie jawki – młody zamachał banknotem – wbijajcie się sami.

– Mieszka tu ktoś?

– Kwadrat, jak kwadrat – rzekł młody. – Tu się ludzie popalili. Knypek był ze mnie, ale pamiętam. I teraz mieszka tylko ten typek. Na górze kima. Siewka.

Chciał odejść. Położyłem mu rękę na ramieniu.

– Jak na dwie jawki się nie wysiliłeś.

– No może. Typek, nie. Czysty, ale tam mieszka. Rzadko schodzi. Czasem świeci się na górze, pewno prąd podpierdala. Jak z nami nie gada, to z wami też nie. No, mogę już...

Puściłem chłopaka. Odszedł z ulgą i zniknął między blokami. Spojrzałem bezradnie na osiedle, przeniosłem wzrok na spalony budynek i wreszcie na Walasika. Wzruszył ramionami i powiedział, że trzeba iść.

– Po cholere dałeś mu dwie dychy?

– Jawki.

– No, jawki – jęknął – Chryste panie.

– Żeby nam gardeł nie poderżnęli – rzuciłem. – No żeby się tak gówniażerii bać... ja pierdolę, co za miejsce...

– Uspokój się, stary.

Przede mną wyrastał czarny dom i mogłem przysiąc, że odkąd przyjechaliśmy, urósł o dwa piętra. Oddałbym tę górę goli, co już dostaliśmy i dwie następne, Chryste, dałbym wszystkie gole świata, żeby mieć to już za sobą.

– Spokojnie – odetchnąłem – tam w środku nie może być gorzej. Bierz walizkę i idziemy.

– Ty masz walizkę – rzekł Walasik. Spojrzeliśmy po sobie, potem dookoła i zimno spadło mi na kark. Pamiętałem dobrze, jak wysiadałem z taksówki i walizka zahaczyła o drzwi.

– Te gnojki – jęknąłem. Walasik nie potrafił wydusić słowa. Twarz wyglądała jak polana białym woskiem.

– Skurwysyny – wrzasnąłem – pierdolone ziomusie z pierdolonego osiedla. Skurwysyny! Myśleli, że tam jest złoto, te pieprzone jawki albo co. Chryste jedyny... Rozkminiacie, co... tak to było, no to. Trójco święta – osunąłem się na kolana – nas rozkminili.

Klątwą człowieka jest wyobraźnia, zaczerniająca przyszłość. Wyobraziłem sobie Rogorza i siebie, jak składam słowa, jakbym budował most na butaprenie, a potem on mówi, dzwoni gdzieś i już po *Angelusie*, po mnie, po wszystkim.

Poderwałem się i wrzeszcząc coś o skurwysynach popędziłem przez osiedle. Walasik chwycił mnie za rękę, odtrąciłem go, chyba upadł. Słyszałem, że woła za mną. Gnałem bezładnie, mijałem śmietniki i ludzi śmietnikom podobnych, ciekawskie głowy wyskakujące z okien. Odprowadzały mnie świetliki papierosów i ujadanie piesków. Strach dodawał skrzydeł. Daliśmy zrobić się jak dzieci.

Kolesie od dwóch jawek zdobyli już lufkę i raczyli się towarem w cieniu drzewa. Ten, co nas rozkminił, właśnie wciągał dym. Na mój widok upuścił lufkę i stanął bezradny, nie wiedząc, czy bronić się, czy dać nogę. Obaliłem sukinsyna. Wywalił język. Owiał mnie odór przetrawionego mięsa, piwa i marihuany. Cuchnęło, jakby napchał sobie brzuch igliwiem.

– Gdzie to masz? – zapytałem. Nie czekając na odpowiedź, przywaliłem w napuchniętą mordę. Gdzieś za mną Walasik wołał, bym się uspokoił. Następnego ciosu nie zadałem. Drugi gnojek uderzył mnie w tył głowy. Zabrzmiało, jakby w środku czaszki urwał się trybik, a potem ten trzeci, wyraźnie wyższy, sprzedał mi takiego kopa, że naraz eksplodowały wszystkie gwiazdy.

Na moment zanurzyłem się w ciemności, zimnej i bezbolesnej. Gdy otworzyłem oczy, leżałem na plecach, obok mnie chłopak próbował powstać, a Walasik szamotał się z tym trzecim. Walasik jest silniejszy ode mnie, dwa razy nawet się osłonił.

– Dziesięć tysięcy – wykrztusił, nim pięść trafiła go w policzek i posłała na parter. Nasz prześladowca, chmielowa tyczka z amfetaminą zamiast krwi, szykował się do kopniaka w jaja.

– Dziesięć tysięcy – powtórzyłem głośniej. Duży odwrócił otepiąle oczy. Podniosłem się i oparłem o drzewo. Leżący czternastolatek patrzył na mnie z nienawiścią.

– Tyle dostaniecie, jak oddacie walizkę. Nie mamy forsy tutaj. Ja tu zostanę. Jemu dacie – wskazałem na Walasika. Chryste, jak bolało... – ten pieprzony nesesor. Poczekam, aż wróci z pieniędzmi. Potem możecie nas nawet zabić. Słyszysz mnie w ogóle?

Wysoki gość nie odpowiedział.

– Walizka – dodał Walasik z klęczek. – Ci dwaj wzięli nam walizkę. W środku nie ma niczego cennego...

– ... dla was – uzupełniłem.

W oczach wysokiego gościa pojawiła się nadzieja na interes życia.

– Przynieście tę walizkę – kazał młodemu. Ale chłopcy nie drgnęli.

– Ten gość dał mi tylko dwie dychy – powiedział jeden – a myśmy niczego nie zabrali.

Szanse na ocalenie uległy zmniejszeniu.

To sztuka, obić faceta, żeby się nie przekręcił. I żeby bolało. Gość z osiedla odniósł sukces. Każdy fragment ciała przypominał, że żyję. Do śródmieścia wróciliśmy w milczeniu. Twarz Jarka przypominała ciasto ze śliwkami.

– Wierzę – powiedział, trzaskając drzwiami – wierzę, że to klątwa.

– Wierzę, że to syf. Chodź. Położysz się u mnie.

– Co chcesz dalej robić? – zapytał. Majstrowałem przy zamku. Z trudem utrzymałem klucze.

– Chcę dobrego drinka. Dla ciebie dwa. Drugi do mordy sobie przyłożysz.

Weszliśmy do klatki, przywołałem windę.

– Rogorz – powiedział Walasik.

– Wiesz co? – winda ruszyła. – Pierdołę Rogorza. Mógł powiedzieć, gdzie nas wysyła. Do ruin jakichś, pełnych morderców.

– Ty zwariowałeś.

– Co, zwariowałem?

– Rzucasz się na gościa w środku osiedla. Jego osiedla – zaakcentował. – No i co? Miał sobie walizkę

z dupy wyjąć?

– To ty chyba w dupie oczy miałeś? – krzyknąłem, rąbnąłem pięścią w ścianę. – Jak ja gadam z gościem, to ty choć patrz... przynajmniej tyle. A nie do mnie z takimi! Co ty sobie myślisz? Co miałem zrobić? Iść i pięknie poprosić?

Winda stanęła, wściekły otworzyłem drzwi.

– Przepadło i trudno – awanturował się Walasik. – Więc puknij się z łaski swojej. Uratowałem ci tyłek...

Nie chciałem tego słuchać. Najchętniej zatrzasnąłbym mu drzwi przed nosem. Wparowałem do przedpokoju i w lustrze oceniłem rozmiar zniszczeń. Gęba byłaby w porządku, gdyby nie napuchnięta warga i malinowe oko. Wzdłuż szyi biegły sinoszare pręgi, podobne do smug popiołu. Walasik trzasnął lodówką i rozwalił się w pokoju na wersalce. Nasza przyjaźń przetrwała różne sztormy i wiedziałem, że ten jej nie zagrozi.

– Zrobię ci okład – powiedziałem. Odpowiedział mi okrzyk zdziwienia.

– Chodź tu – wołał Walasik, nakręcony, jakby wylądował w worku z koką.

Zajmuję dwupokojowe mieszkanie pełne szaf z odłupanym lakierem, płyt bez pudełek i hałd bielizny dookoła łóżka. Najważniejszym meblem jest fotel w kratę z lat siedemdziesiątych – przetrwał dorastanie kotów, zagubione niedopałki, kawę, piwo i wódkę. Wygodą nie równa się z niczym, co można kupić teraz, chociaż miękkie oparcie wróżyło zgubę kręgosłupowi.

W fotelu siedział Walasik, bezmyślnie szczęśliwy, i trzymał nasz nesesor.

Ocknąłem się wieczorem następnego dnia, wolny od bólu i pełen wątpliwości. Pierwszym, co zobaczyłem, był brązowy nesesor z zamkniętą w sobie tajemnicą.

Spacerowałem po mieszkaniu, zdjęty przeczuciem, że moje nogi nie należą do mnie. Słuchają mnie tylko, tak jak pracownik wykonuje polecenia zidiociałego szefa, myśląc jedynie o tym, jak zapaskudzić mu życie. Wyobraziłem sobie pięty, jak szepczą i spiskują. Kolana, jak czekają na właściwy moment, by ugiąć się, popchnąć mnie na kant stołu. Może powinienem je odrąbać, tak jak Rogorz? Może jego ciało także oszalało?

Przed siódmą przyszedł Walasik z czteropakiem żywca i plikiem kserówek. Wyglądał jak stara panna maskująca zmierzch urody kilogramami pudru.

– Jak dzisiaj? – zagadnął.

Nie udaję przed przyjaciółmi.

– Słaby jestem – odparłem – i wariuję. Ubzdurałem sobie, że moje nogi nie są moje. Powiedz lepiej, jak ty się masz?

– Kupiłem butapren i posklejałem się do kupy – obwieścił. – Mam też parę interesujących informacji. O tym dziwnym domu i Rogorzu.

Przeszliśmy do pokoju. Podziękowałem za piwo.

– Byłem w bibliotece, w swoich sprawach. I pomyślałem, że trochę poszperam. Na kserówki wydałem majątek. Zobacz. Krok po kroku, układa się piękna historia. Zaczynamy od tego.

Rozłożył kserowany numer „Echa Krakowa” z zamierzonych lat siedemdziesiątych. Nagłówek głosił OSIEDLE RADOŚCI UKOŃCZONE. PIERWSI LOKATORZY JUŻ OTRZYMALI KLUCZE. Pierwsze zdjęcie przedstawiało czterdziestolatka w kraciastej marynarce, z żoną i dzieckiem – szczęśliwych jak kot srający w sieczkę. Stali na progu nowego domu. Na drugim – widziałem osiedle Radości, betonową pustynię ułożoną w leśnej kotlinie. Odkryłem, że bloki rozchodzą się na kształt dziwacznej serpentyny poprzedzielanej śmietnikami i namiastkami zieleńców.

– Tutaj – wskazał Walasik – znajduje się nasze чудо. Czarny dom stał na ostatnim łuku serpentyny i niczym się nie wyróżniał. Miał małe okna podobne do oczu ginących w tłustej twarzy. Przyjrzałem się i dostrzegłem drobną postać na balkonie szóstego piętra.

– Osiedle zbudowano, gdy Gierek tracił rozpęd – wyjaśnił Walasik. – Spalony dom służył przedtem artystom za pracownię. Wiesz... rzeźbiarze, pisarze, malarze i inne wrzody. Zobacz zresztą tutaj, mamy artykuł – wyjął kolejne ksero. – Tym razem rocznik siedemdziesiąty ósmy. Mieszkańcy protestują przeciwko pijaństwu i awanturom w czarnym domu. Podobno wiara bawiła się lepiej niż ruskie w czterdziestym piątym. Ale lepsze jest co innego. Ostatnie piętro zajmował niejaki Janusz Rogorz. Malarz. Malarzyna. Informacje o Rogorzu mam tutaj.

Rozłożył przede mną notatki z wystaw zbiorowych, fragmenty katalogów, wreszcie wywiad z artystą zrobiony w najczarniejszych dniach, za Jaruzelskiego.

– Rogorz do roku osiemdziesiątego to człowiek o zdolnościach i szczęściu meduzy. Trafiał tam, gdzie fale poniosły i malował knoty, aż miło. Na Akademię Sztuk Pięknych zdawał czterokrotnie, w końcu się załapał, został asystentem. Artystyczne zero. Do osiemdziesiątego. Potem zaczyna się festiwal Rogorza.

Otworzył piwo zapalniczką i mówił dalej.

– Zaczyna malować wielkie dzieła. Podobno. Galerie zabijają się o jego prace, cała Polska szaleje. Rogorz wychodzi na Zachód. Uważaj, to lata osiemdziesiąte, a jeździ sukinsyn po całej Europie. Wszyscy go chcą. Do upadku komuny osiąga status Opałki, Nowosiela, Dudy-Gracza. W dziewięćdziesiątym drugim przychodzi krach.

Podsunał mi piwo pod nos. Pociągnąłem łyka.

– Najpierw pojawiły się nieprawdopodobne plotki. Zza drzwi pracowni ludzie słyszeli nieludzkie krzyki. Mówiono, że odwiedzał go dziwny człowiek. Ktoś powiedział, że Rogorz robi obrazy z ludzkiej skóry, maluje krwią i wnętrznościami. Wiesz, legenda napędza kolejną. Jakiejś kobiecie zaginęło dziecko, zwołała pospolite ruszenie i próbowali włamać się do pracowni. Interweniowała policja. Dziecko oczywiście się znalazło. Żeby nie przedłużać, ludzie odsunęli się od Rogorza. Ale karierę załamał tragiczny wypadek w cztery lata później.

– Przyjechał szatan na czarnym rumaku?

Coś w tym stylu – przyznał Walasik. – Fakty są takie. W dziewięćdziesiątym szóstym roku budynek spalił się, a pożar zaczął się właśnie od ostatniego piętra. Podobno wybuch gazu. Ludzie wiedzieli swoje. Ten dziwny człowiek znów zjawiał się u Rogorza. Krzyki dało się słyszeć nawet na parterze. Rogorz, sam lub wspólnie z nieznanym, zdemolował swoją pracownię i podłożył ogień. Reszta to zupełna fikcja. Niektórzy widzieli, jak malarz lata nad pogorzelskim na błoniastych skrzydłach. Inni przysięgali, że Rogorz stał naprzeciw płonącego bloku, malując kolejny obraz.

– Bzdury.

– Rogorz wywinął się od oskarżeń, a potem zniknął. Nie malował. W Warszawie, Krakowie i Berlinie odbyły się trzy wystawy retrospektywne, ostatnia w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Ale akcje Rogorza poleciały na łeb, na szyję. Teraz jest zgasłą gwiazdą. Jego obrazy, zamiast drożeć, tanieją. Pojawiły się nowe nurty. Starcy też zwężyli szyki i Rogorz wypadł z obiegu, na własne życzenie albo i nie.

– Kiedy byłem u niego, wyglądał na ducha – przyznałem. – Taki zgorzkniały, stary upiór, co nie chce nawet łańcuchami dzwonić.

Walasik parsknął śmiechem i zapytał, jak się mam.

– Jak ktoś, komu wyciągnięto flaki przez dupę, sprano je kijem i wepchano z powrotem – spojrzałem tęsknie na piwo. – Nie martw się nic. Prześpię się trochę, a jutro pojedę do Rogorza oddać neseser i pieniądze. Zupełnie ci odbiło – stwierdził Walasik.

– Co mi odbiło? – porwałem butelkę. Żywiec smakował jak żółć. – Dostaliśmy lanie wszechczasów, a potem o mało nie pozabijaliśmy siebie nawzajem. Neseser magicznym sposobem wylądował tutaj. Do tego przychodzisz i nawijasz o jakichś miejskich legendach. Ja tam po prostu nie wrócę, stary. Pamiętasz, co mówiliśmy, zakładając *Angelusa*?

– To tak szalone, że musi się powieść – zacytował.

– Nie, stary – podniosłem głos. – Żadnych problemów, mówiliśmy. Nie przekazujemy informacji o nieoddanych długach ani gróźb. I wiesz, co? Gdybym wiedział, gdybym tylko mógł przewidzieć, to dodałbym: „Nie zaiwaniamy na zadupie z kawałkami ludzkiego ciała”.

Zorientowałem się, że wywijam rękami jak dyrygent.

– Trzysta starych baniek – podkreślił Walasik – i myślałeś, że jak to będzie wyglądało, że Radość okaże się rajem zielonym nawet w grudniu, a pan Janusz uroczym staruszkciem? Pogłaszczcie nas po głowach, powie: „Jaka piękna ręka” i da walizkę dolców napiwku?

– A ja myślałem, że to ty boisz się klątw! Kto mi latami nawijał o tajemnych energiach we wszechświecie? Kto mówił, że tarot ściąga nieszczęścia? Kto ujarany widział diabła, jak sunie po suficie? A teraz...

– Wierzę w różne rzeczy, stary. Przede wszystkim w to, że *Angelus* to nie robota na całe życie. Przecież to wykańcza. Po co mam ci to mówić...

To prawda. Kiedyś spotykano zjadaczy grzechów, wędrujących po wioskach i poprzez rytualny posiłek przyjmujących grzechy lokalnej społeczności. Czułem się podobnie. Brałem grzech w usta, żułem

i wypluwałem na progu domu. *Angelus* miał być kolejnym szaleństwem, kwartalną rozrywką do opowiadania w knajpie. Przemienił się w ponury kierat, napędzany niepewnością jutra. Nigdy nie rozmawialiśmy o zamknięciu firmy, ale czułem, że będzie trzeba z niej wyjść. Tylnymi drzwiami i z pełną kieszenią.

– Ja tam nie idę – powiedziałem spokojnie – za żadne pieniądze.

Własik odstawił opróżnioną butelkę.

– Świetnie – oświadczył. – Ja nie mam z tym problemów. Wyrzuciłem z siebie potok słów o tym, jak nas obili, i żeby się nie wygłupiał, bo wymuszanie takich decyzji jest nie fair i cześć.

– Nikt cię do niczego nie zmusza. Ja po prostu chcę tam iść.

– Dorobimy się inaczej.

– A gdzie forsa z ostatniego roku? Ten ciężki szmal, co zatonął w knajpach, czynszach, taksówkach, kobietach?

Przy *Angelusie* po raz pierwszy dorwaliśmy się do poważnych pieniędzy. Poznałem radość wydawania.

– Za forszę Rogorza otworzymy coś nowego – ubrał kurtkę i stanął w drzwiach – biznesik dla leniwych ludzi.

– Trzydzieści kawałków to za mało.

– Każdy coś zachomikował. Mogę sprzedać kino domowe. Wystarczy. Zawsze chciałeś mieć wydawnictwo, pamiętasz?

– Ja tam nie pójdę – podniosłem się ciężko. – Czysto fizycznie nie mam siły.

– Nic nie szkodzi – rzekł poważnie – chcę iść sam. Wepchnął ręce w tylne kieszenie spodni, próbował się uśmiechnąć. Wiedziałem już, o co chodzi.

– Sukinsynu – jęknąłem. – Ty w to wierzysz, prawda?

Nie odpowiedział. Ubrał buty, zabrał neseser i wyszedł na klatkę. Dokuśtykałem do progu. Własik stał przed drzwiami windy. Miał ponurą twarz neofity i płonące oczy.

– Ty jedziesz polować na duchy.

– Jadę się dowiedzieć.

– Dowiedzieć czego? Prawdy o sobie, o Bogu?

Winda przyjechała. Własik przesłał mi smutne spojrzenie.

– Skąd. Na to mam całe życie. Wystarczy mi prawda tego miejsca.

Widziałem przez okno, jak kręci się po chodniku, stawia kołnierz, naciąga czapkę, wreszcie wsiada do taksówki.

Najstraszliwszym osiedlem w Krakowie jest Bieżanów Nowy. Można przemieszkać tam całe życie i nie zobaczyć policjanta. Redakcje brukowych pism mogłyby żyć z Bieżanowa. Tam ludzie wieszają się na wiatach tramwajowych. Pewien chłopak pociął dziewczynę żyletką, ponieważ nie chciała pójść na ulicę, a zrobił to tak równo, że na jej piersiach można by rozegrać partię szachów. Dwóch nastolatków napadło czterdziestoletniego mężczyznę, a ponieważ się stawiał, wydlubali mu oczy kawałkiem drutu. Ale najstraszniejsza opowieść dotyczy domu w najstarszej części Bieżanowa. Postawiony jeszcze za kajzera, stał się areną nieszczęśliwych śmierci, aż, u schyłku komuny, stracił ostatniego lokatora. Pewien młody człowiek spędził tam noc. Rano znaleziono go, błąkającego się po osiedlu. Miał białe włosy, podobnie jak żrenice. Jeśli wierzyć miejskim legendom, chłopak trafił do zakładu zamkniętego, kolejnej legendy, gdzie trzymają mordercę kobiet, Lucjana Stanika.

Pamiętam, że nim nastał czas *Angelusa*, Walasik chciał spędzić noc w tym domu. Odwodziłem go przez tydzień, aż obiecał, że nigdy tam nie pójdzie. Teraz pozwoliłem mu powędrować w znacznie gorsze miejsce.

Nie mogłem spać, czytać, oglądać telewizji. Piłem kolejne herbaty, przerzucałem bezmyślnie strony w internecie, sprawdzałem, czy komórka jest włączona, wyglądałem przez okno w nadziei, że zobaczę uszczęśliwionego Walasika, bez neseseru, za to z górą forsy. Bałem się, że Walasik pojedzie do domu, wyłączy telefony, będzie się modlił, walił konia, mówił wszystkimi językami czy robił cokolwiek innego, a ja nie dowiem się, czy żyje. Zdechnę z niepokoju i wyrzutów sumienia.

Przyjaźń może przetrwać najdziwniejsze próby, ale prawdziwie groźne są te pozornie niezaistniałe. Oto bałem się pójść do czarnego domu i chciałem pieniędzy Rogorza. Wolałem, żeby Walasik zaniósł neseser na ostatnie piętro, wzbogacając mnie i siebie. Nie ryzykowałbym niczym. To była prawda, prosta jak cios między oczy.

Szukałem spokoju w filmie, grze o zabijaniu, w drętwej książce i radiu. Śledziłem wskazówki zegara, walczyłem ze sobą, czy nie pojechać na osiedle Radość. Walka mnie zmogła i usnąłem, wciśnięty w róg kanapy.

Obudził mnie trzask otwieranych drzwi.

W progu stał Walasik z papierosem w ustach i neseserem przyciśniętym do piersi. Usiadł przy mnie. Strzepnął popiół na podłogę.

– Miałeś rację – powiedział – tego nie da się oddać. Wyrwany ze snu, cieszyłem się, że go widzę.

– Może tobie poszłoby lepiej – ciągnął – albo nam dwóm. Zmarnowałem czas i pieniądze.

Usta mu drżały. Oczy przypominały studnię, w której przegląda się wszechświat. Co tam się wydarzyło?

– Napijesz się czegoś? – wstałem. Walasik dygotał. – Zrobię ci herbaty i wszystko mi opowiesz.

– Jutro pogadamy – zapewnił. – Muszę się położyć.

– Rozścielić ci?

Wstał, położył mi rękę na ramieniu.

– Muszę wyspać się we własnym łóżku. Przemyśl, co z tym zrobić – kopnął neseser w moją stronę. – I zadzwoń jakoś.

Zostawił mnie na środku pokoju.

– Co tam widziałeś? – krzyknąłem.

– Pogadamy – rzucił z korytarza. – Naprawdę muszę się położyć.

Spałem do południa.

Obudziło mnie dwóch mundurowych. Jeden tak tusty, że gdyby go skremować, zamiast popiołu zostałyby skwarki. Stałem w samych slipkach, patrzyłem na nich jak cielę na święty obraz, pewny, że przyszli w sprawie walizki.

Ale powiedzieli, że Walasik nie żyje. Wyskoczył z siódmego piętra spalonego wieżowca.

– Gdzie pan był wczoraj o dziesiątej wieczorem? – pytał zły glina. Dobry kiwał głową. Coś złego, zimnego rozpełzło po moich plecach.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Popołudnie spędziłem na komisariacie mieląc po stokroć te same słowa. Tłumaczyłem, czym zajmuje się *Angelus*, pokazywałem umowy, przemilczałem skwapliwie neseser z ręką.

Nie powiedziałem też, że Walasik przyszedł do mnie kilka godzin po dziesiątej.

Stałem w bramie czarnego domu, z neseserem w jednej i latarką w drugiej ręce.

Pewne rzeczy należy dokończyć bez względu na pieniądze. Nie chciałem już od Rogorza ani złotówki. Najchętniej kazałbym mu zeżreć zaliczkę. Najpierw pragnąłem o sprawie zapomnieć. Opuściłem komisariat jak zombie. Wędrowałem na nie swoich nogach, a w głowie przewalał się Walasik, jego dziewczyna, matka i pokój pełen książek, do których już nie wróci – wszystko na tle czarnego domu. Błagałem o zapomnienie. Szybko zrozumiałem, że jeśli zostawię tę sprawę, ta mnie nie opuści. Walasik chciałby, aby została dokończona.

Pojechałem do czarnego domu. Latarka błędziła po gruzie i papierach, szkło trzeszczało pod butami. Miałem wrażenie, że ciemność żyje, rozstępuje się przed światłem tylko po to, by opaść za moimi plecami, uzbrojona w nóż i tysiące oczu. Dom chłonał ciszę – nie słyszałem ptaków ani głosów z osiedla. Podniosłem kamień i cisnąłem w mrok. Nie doczekałem odgłosu upadku.

Spodziewałem się bezdomnych koczujących w zakamarkach, napchanych wekiem z majonezem, pogrążonych w owocowym śnie. Powinienem spotkać młodych, palących marihuanę, albo parki, pieprzące się mimo zimna. Tymczasem nic. Ani jeden napis nie zdobił ściany, a wszystkie butelki wrzucano przez okna. Na wyższych piętrach nie znalazłem ani jednej. Czarny dom zaczarował czas. Mogłem wędrować minutę albo rok. Nie zdziwiłbym się, gdyby mój zegarek zwariował i wskazówki

dały dyla w przeszłość.

Powoli forsowałem kolejne piętra. Zaglądałem do opuszczonych mieszkań. Niektóre znajdowałem puste, w innych natrafiałem na zniszczone meble, zardzewiałe sztucce, nawet obrazy i wyblakłe zdjęcia. Jakby ktoś, kto kiedyś tu mieszkał, wyszedł po papierosy i już nie wrócił. Zatrzymałem się i stanąłem w oknie. Wydało mi się, że Ziemia zmieniła się w gazową kulę, na której unoszą się ludzie, drzewa i domy, dryfując powoli, byle dalej od czarnego domu. Ogarnął mnie strach. Wyobraziłem sobie, jak spoglądam w dół z kolejnego piętra i widzę tylko skłębioną ciemność.

Co ci się stało, Walasik? Dlaczego wyskoczyłeś?

I czemu odniosłeś neseser?

Pogubiłem się w liczeniu pięter. Nie wiedziałem już, ile drogi przede mną. Część schodów była zawalona i musiałem wspinać się po szynach, przyciśnięty do ściany, z neseserem w zębach. Wyżej ślady pożaru stawały się lepiej widoczne. Widziałem stopione doniczki, zwęglone meble i czarne smugi na ścianach.

Myślałem o Rogorzu, paktach z szatanem, Jarku i jego upiornej wizycie wczorajszej nocy. Na moment przebił się głos rozsądku. Przecież to wszystko może być snem albo narkotycznym złudzeniem, myślałem. *Angelus* to wieczny stres i proszę, karta się odwróciła. Coś przeskoczyło w głowie, wypadła śrubka, sufit się skrzywił. Zwariowałem. Przyjmuję wizyty ze świata duchów i wędruję z walizką, której nie mogę się pozbyć. Powinienem zawrócić i zamknąć *Angelusa*.

Przenosiłem zło między ludźmi i zło powróciło do mnie.

Ostatnie piętro, ku mojemu zdziwieniu, uniknęło zniszczenia. Nacisnąłem kontakt i klatkę wypełniło mdłe, żółte światło. Minąłem odmalowane drzwi z mosiężną wizytówką i następane, ozdobione serduszkami Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Za ścianą ujadał pies. Obok stał rower, przykuty do kaloryfera.

Półpanek mieszkał na końcu korytarza. Zrobiona odręcznie wizytówka informowała, że za drzwiami mieści się „pracownia malarska”. Żadnego nazwiska. Zastukałem. Neseser zaczął mi ciążyć.

Słuchałem spokojnych kroków wewnątrz mieszkania. Poczułem strach, że niczego się nie dowiem. Otworzy obcy facet, zabierze neseser i zostawi mnie na progu, z głową pełną pytań. Ale otworzył Rogorz, tryskający zdrowiem. Prawą ręką opierał się o framugę, w lewej trzymał papierosa bez filtra. Nie poznał mnie. Być może nie miał powodu.

– Firma *Angelus* – wyszczerzyłem się. – Dostarczamy złe wiadomości.

Szarpnięciem otworzyłem neseser i cisnąłem ręką w osłupiałego malarza. Rogorz chwycił ją, upuścił. Zdziwienie na twarzy przeszło w strach. Próbował zamknąć drzwi. Zablokowałem nogą.

– Zostaw mnie! – wrzasnął i odskoczył w głąb mieszkania. Podniosłem rękę i pognałem za nim.

Wpadliśmy do ogromnego pokoju. Panował półmrok. Centralne miejsce zajmowała wielka sztaluga z niedokończonym płótnem. Na stole, wśród farb, dostrzegłem butelkę rozpuszczalnika.

Rogorz próbował zwać do łazienki. Dopadłem drania, obaliłem na ziemię i pociągnąłem do światła. Bełkotał, że jeszcze nie czas, że nie taka była umowa i żeby go puścić. Zapalony papieros poturlikał się na środek pracowni.

– To należy do ciebie – wcisnąłem mu rękę w zdrętwiałe palce. Rogorz próbował się podnieść.

– Błagam. Jeszcze trochę czasu – wykrztusił. – Umawialiśmy się inaczej.

– Ja tylko dostarczam wiadomości – pozwoliłem mu powstać. Chwiał się na nogach i ryczał jak dziecko.

– To chyba na tyle – powiedziałem. – Powodzenia.

Uniosłem dłoń w geście pozdrowienia, odwróciłem się i poszedłem do wyjścia, nie próbując niczego rozumieć. Rogorz uderzył od tyłu. Rąbnął mnie w nerki. Zgiąłem się, a wtedy sukinsyn zacisnął mi palce na szyi. Szarpnąłem się, uniosłem drania, spróbowałem przerzucić. Przeceniłem siły i poleciałem na plecy. Uderzyliśmy o stół. Farby poleciały na ziemię, butelka pękła z trzaskiem. Zamroczyło mnie, a gdy się ocknąłem, Rogorz wbijał mi kolana w barki i okładał po mordzie.

Walasik mawiał, że z artystów są rycerze, jak z cipy gwóźdź. Zrzuciłem Rogorza bez wysiłku, poprawiłem kopniakiem w pysk i już spotulniał. Pluł krwią i, na czworakach, próbował wydostać się na klatkę. Chwyciłem rękę i zacząłem go nią okładać po plecach i głowie. Skulił się, osłaniał.

Za nami stanęła ściana ognia. Plama rozpuszczalnika dotarła do niedopałka. Ogień zajął już firanki, wpełzł na stół, a gdy dotarł do sztalugi i obrazów, Rogorz podniósł się i zaczął krzyczeć. Stałem i patrzyłem, jak kolejne obrazy giną w płomieniach. Pokuśtykał do łazienki, a kiedy wrócił z wiadrem, połowa pokoju stała w ogniu.

– Pomóż mi – krzyczał. – Tylko nie to! Tylko nie to!

– Nie zapomnij o tym – cisnąłem mu rękę i wybiegłem.

Klatkę spowijał dym. Krztusząc się i kaszląc, dotarłem na niższe piętro. Spojrzałem przez okno do góry, ale nie widziałem już płomieni.

Na dole, przed czarnym domem stał neseser.

Przyznaję, że zrozumienie mojego zadania, ostatniego zadania powierzonego *Angelusowi*, nie zabrało mi zbyt wiele czasu.

Wróciłem z czarnego domu po północy, wziąłem prysznic i, z neseserem pod pachą, poszedłem złożyć wizytę Rogorzowi.

Otworzył mi w piżamie i obdarzył spojrzeniem pełnym nadziei.

– Firma *Angelus* – powiedziałem – dostarczamy złe wiadomości.

Cofnął się o krok.

– Zła wiadomość jest taka, że przesyłka nie może zostać dostarczona – wszedłem do mieszkania. Rogorz rozejrzał się rozpaczliwie.

– Wynika z tego, że musi pan wywiązać się z umowy. Rogorz pobierał, ale nie próbował się bronić. Pociągnąłem go do okna, bezwolnego, jak kukłę. Na wargach zapieniła mu się ślina. Wcisnąłem mu neseser w zmartwiałe ramiona. Jediną rękę zacisnął mi na ramieniu.

– Nie chciałem – wykrztusił. – Dobry Boże...

Pchnąłem Rogorza na szybę. Właściwie, uniosłem go, jakby był z papieru. Nie przypuszczałem, że znajdzie siłę. Stary malarz przeleciał przez okno i runął w dół, z siódmego piętra. Zupełnie bezgłośnie. Wiedział, że krzyk mu nie pomoże.

Zszedłem spokojnie. Rogorz leżał na śniegu, obejmował neseser. Zbiegali się ludzie. Kupiłem butelkę wódki, paczkę fajek i wróciłem do domu, by zrobić porządek z własną głową.

Tydzień później rozwiązałem *Angelusa*. Pojąłem, że są rzeczy, z którymi nie warto igrać. Ale niedawno czytałem, że dwie firmy, w Katowicach i Gdańsku, podchwyciły pomysł i zajmują się podobną działalnością. Życzę powodzenia, ale myślę, że są wiadomości, które powinniśmy przekazywać samodzielnie.

LOMBARD

Parę lat temu Piotr Jaworski rzucił we mnie garścią pomysłów, które miałem przekuć na scenariusz filmowy. To tam pojawił się wątek ludzi z Lombardu czyniących dobro – Kramera, Wielebnego i Tymona. Z Jarkiem Orządą daliśmy zarobić wielu knajpom, obgadując, jak pociągnąć ten wątek. Film ani scenariusz nie powstały, ale poniższa opowieść jest naszym wspólnym pomysłem – wszystko, co w niej dobre, pochodzi od Piotrka i Jarka, co złe, obciąża tego, który ją spisał.

Ł.O.

Gdy patrzysz długo na dłonie, możesz zobaczyć diabła skaczącego po opuszkach. Waldek przyłożył pięść do ust i dmuchnął. Otworzył okno i spojrzął na Kraków. Lubił podróżować i spać na najwyższych piętrach. Palił wtedy dobrego skręta i miał wrażenie, że miasto w dole oddycha. Z Krakowem było inaczej. Mówili, że śmierdzi Nowa Huta, spaliny, takie tam, ale Waldek wiedział swoje: to odór trupa. Więcej dowiesz się z własnej dłoni niż od kogokolwiek tutaj.

Usiadł na parapecie i odetchnął. Miał się nie oglądać i walczył ze sobą. Bo co, jeśli za nim pokój bezgłośnie rozsypał się na kwarki? Cholera wzięła materac i podłogę, parę książek, rumuńską wódkę w kartonie, stolik i kubek po kawie. Uległ pokusie i spojrzął za siebie. Wszystko udawało, że jest w porządku, ale rzeczy kłamią.

Spojrzął w rękę jak w znajomą książkę i przyszło mu do głowy, jak wielu ludzi, tam na dole, podziela jego wiedzę. Z każdym dniem będzie ich więcej, ale jego to nie dotyczy. I pieprzyć romantyzm. Żaden skok w wieczność. Zwyczajne *fik*.

Pukanie.

– Zaraz – krzyknął Waldek. Nie ma co zwlekać.

Z kciuka na serdeczny palec przeskoczył purpurowy diabeł.

Waldek skoczył.

Cały świat można poznać, będąc ślepcem. Ze słów i przesunięcia ich znaczeń. Poczciwego „domokrążcę” zastąpił „akwizytor”, który ustąpił miejsca „pracownikowi działu sprzedaży bezpośredniej”. Obłuda rozpycha nos. Gdy pytają, co robię, odpowiadam, że kombinuję, mam na kieliszek czarnego chleba i na podwieczorek. Jestem Tymon i nim wszystko się zaczęło, przemierzałem Kraków z torbą i plecakiem. Stukałem do drzwi i szybko nauczyłem się oceniać, za którymi znajdę kupca. Oczywiście, trafiały się pomyłki.

Od tamtych dni minęło pół roku, a czasem zdaje mi się, że lata. Piszę to wszystko i mam wrażenie, że opowiadam o kimś obcym.

Otworzyła mi kobieta po czterdziestce. Całą twarz miała w płytkich bruzdach.

– Mam na imię Tymon – powiedziałem. Widziałem, że nic z tego, ale spróbować nie zaszkodzi – przyniosłem pani dobre słowo.

Nieufne oczy jeszcze się zwężyły.

– Za dobre słowo też się płaci? – warknęła.

– To słowo Boże – wyjąłem z torby Biblię i podsunąłem kobiecie pod nos.

Wzięła książkę do ręki i przerzuciła pospiesznie, jakby chciała sprawdzić, czy to ta sama Biblia, o której trąbi ksiądz z ambony.

– Mam ją zatrzymać?

– Oczywiście – przyszedł czas na wytrenowany uśmiech. – Biblia powinna być w każdym domu.

– I pewno co łaska?

Wyczuła mnie lepiej, niż myślałem.

– Dokładnie – odparłem idiotycznie. Trzeba było wykrztusić „wedle skromności i zrozumienia” albo „chylę się do stóp”. Kobieta wepchnęła mi Biblię w rękę.

– Idź ty chłopcze do uczciwszej pracy.

– Moja dziewczyna mówi mi to samo – rzuciłem przez ramię i powędrowałem do windy.

Te Biblie były gównem warte. Brałem je od Adwentystów Dnia Siódmego, do których zapisałem się, by szerzyć ewangelię. Wychodziłem na nich nienajgorzej i czekałem siódmego dnia, w którym adwentyści złapią mnie na przewałce. W ogóle, wtedy był ze mnie kawał drania.

Inny klient mieszkał dwa piętra wyżej. Znałem go jako Krzaka i odwiedzałem raz w tygodniu. Krzak miał depresję – nie tę, która dopada nastolatkę, gdy wmówi sobie, że jest gruba. Przychodziła jesienią i przepadała wiosną, czwarty rok z rzędu, jak mi mówili. Krzaku bladł, przestawał wychodzić, a pierwszy śnieg oglądał z karimatki rozłożonej pod ścianą. Wiosna wracała mu siły i ruszał na podbój świata. Pragnął zawojować rynek spodni, zostać dilerem, gangsterem, sterydźiarzem i Bóg adwentystów wie, kim jeszcze. Gdy zaczynało przypadkiem iść, przychodził październik i tęsknota do karimaty.

Długo dzwoniłem. Otworzył w bokserkach i koszulce na wąskich ramiączkach. Kolesia z deprecją poznać po tym, że nie goli się i nie myje. Krzaku cuchnął, jakby oborę otwarto.

– Przyniosłem panu dobre słowo. Pokazał mi drogę do środka.

Był marzec i Krzaku ożywał. Zapytał mnie nawet, jak Biblie.

– Dziś dwie. Słabiutko. Ropa spod ciebie nie chciała.

– Ona – rzekł Krzaku leniwie – jest z tej bajki, gdzie bogata starucha szczuje psami Chrystusa przebranego za włóczęgę.

– Na początku szło mi nieźle.

– Pewnie jeszcze się gdzieś przejdiesz.

Krzaku umiał być nudny i myślę, że robił to, żeby wszyscy się odpierdolili.

– Tylko do jednego. Też zamawia. Spędzam wieczór z Agą. Masz tutaj.

W torbie noszę Biblię, a w plecaku rumuńską wódkę w kartonie. Krzaku raz w tygodniu zamawiał trzy litry.

– Masz jeszcze?

Pokręciłem głową. Krzaku dbał o własny interes i wypatrzył karton na dnie plecaka.

– To dla stałego klienta. Takiego jak ty.

– Dałbyś.

– A byłoby ci miło, gdybym odsprzedał twoją wódkę ropie z dołu? Mogę wpaść jutro z repeta.

Krzaku nie odezwał się ani słowem. Uścisnąłem mu rękę i poszedłem powoli do wyjścia. Miałem nową zabawę z tym małym gadem. Udaję, że zapominam o pieniądzach, oddalam się i nie zdarzyło się, aby Krzaku mnie zatrzymał. Są tacy, którym mija depresja, gdy wystawią kumpla do wiatru. Pozwalałem Krzakowi cieszyć się jak najdłużej, zwiększając późniejsze rozczarowanie. Za progiem chwyciłem się za głowę i zawołałem w głąb mieszkania.

– Idiota. Zapomniałem o pieniądzach.

Krzaku wepchnął mi banknoty do ręki. Był smutny jak pinczer prowadzony na uśpienie.

Nie znoszę wchodzić po schodach, ale uwielbiam po nich zbiegać, zeskakując po kilka stopni. Myślałem o Krzaku, o tym, że wódka będzie dziś bardziej gorzka dla niego, a także o tym, kiedy znudzi mu się ta zabawa. Zapewne nigdy, bo Krzaku był jednym z tych gości, którzy chodzą na spotkania AA, zaprzyjaźniają się z jakimś nieszczęśnikiem i proponują wyjście na kielicha. Potrzebowaliśmy siebie.

Patrzę na tamte czasy i dochodzę do wniosku, że Agnieszka była jedyną kładką pomiędzy mną a normalnym światem. Trudno powiedzieć, że to doceniłem i myślę, że najważniejszy był prestiż związany z tą dziewczyną. Byłem przekonany, że Agnieszka ma mokre nogi na samą myśl o tak wspaniałym facecie, jak ja. Było dokładnie na odwrót.

Nie znosiła, jak odwiedzałem ją w pracy, co chętnie robiłem z tych samych powodów, dla których droczyłem się z Krzakiem.

Sprzedawała gruzińskie żarcie w niewielkiej jadłodajni na Tomasza.

– Mówiłam, żebyś tu nie przychodził – powiedziała, gdy objawiłem się przed ladą.

– Jestem głodny – odparłem i czekałem na uśmiech.

– To zamów i zjedz. Lawasz na wynos mamy po piątce.

Nie złość się, kochanie. Mówię tylko, że jak skończysz tańczyć koło tych ludzkich istot – ściszyłem głos i wskazałem na salę – to zabrałbym cię tam, gdzie dają jakieś prawdziwe żarcie. Pogonię jeszcze kartonik i przyjdę o siódmej.

– Znalazłbyś normalną pracę.

– Jak twoja? Siedem dni w tygodniu, jedenaście godzin dziennie i tysiąc na rękę.

Nie lubiłem dyskusji, podczas których od razu wiadomo, że każdy zostanie przy swoim.

– Liczą mi się lata pracy. I emerytura.

– Martw się, czy twoi rodzice dostaną emeryturę. Bo ZUS szlag trafi najdalej za pięć lat. Ekonomia na to wskazuje.

– A co ty możesz wiedzieć o ekonomii?

– Niech zgadnę. Bo nie mam studiów?

– Dokładnie.

– Ty masz i wiedzie ci się świetnie – omiotłem wzrokiem gruzińską knajpę.

– Ale ja mam dwadzieścia sześć lat, a ty trzydzieści – poczułem, że słabnie i uderzyła w najsłabszy punkt. Lubilem, gdy była wściekła. Miała czerwony nos i marszczyła go śmiesznie. Wyglądało to, jakby zaraz miała buchnąć z niego para. Objąłem Agnieszkę i pocałowałem w ten rozszalały nosek.

– Wpaść o siódmej?

Spojrzała na mnie dziwnie. Nie próbowałem zgadnąć, co to znaczy. Ważne, że powiedziała, abym przyszedł.

Facet, do którego szedłem, pracował w lombardzie. Znaliśmy się trochę i patrzyłem, jak praca go zżera. Zawsze twierdziłem, że gość jest równy i za przyzwoity, jak na te wszawie czasy. Brał ludzkie marzenia w zastaw i sprzedawał z potrójnym przebicciem i zaczął od tego pić. Myślałem, czy mu nie pomóc, ale postąpiłbym jak lekarz, który za szybko leczy bogatego pacjenta. Gość stanowił filar każdego obchodu.

Przychodziłem do niego codziennie i zostawiałem kartonik. Proponowałem, żeby brał z rabatem po siedem na tydzień, ale nie chciał. Może szukał rozmówcy albo bał się przyznać przed sobą, że straszliwie chleje. Widząc jego mieszkanie, obserwowałem stopniowy upadek – patrzyłem, jak znikają rzędy książek, dmuchany materac zastępuje łóżko, a gospodarz chudnie i marnieje. Nie moja sprawa, myślałem, włożysz palec między tryby, to ci go urwą.

Mieszkał na dziesiątym piętrze, ale śmierdziało już na ósmym.

Zastukałem. Kokosił się w środku. Zastukałem ponownie. Pewno spił się i nie chce mu się ruszyć. Parę razy zastałem go pijanego w sztok. Leżał na materacu i kiwał ręką, żebym zostawił kartonik i zabrał należność z kurtki. Pewno teraz jest podobnie, pomyślałem i nacisnąłem klamkę. Waldi nigdy nie zamykał

drzwi.

– Zaraz! – krzyknął, ale zdążyłem wejść.

Siedział na parapecie, dziwnie zgięty nad własną dłońią. Zniknął, nim zdążyłem rozdziawić gębę. Nie dostrzegłem żadnego ruchu – w jednej chwili Waldi był w oknie, w drugiej zniknął, jak na źle zmontowanym filmie.

Są momenty, kiedy cynizm idzie na spacer, a człowiek zostaje sam z własną bezradnością. W pierwszej chwili chciałem dać dyla. Gdyby policja doszła do tego, że tu byłem, miałbym cholerny problem. Nie chciałem pracować na ich sukces. Zamknąłem drzwi i wyjrzałem przez okno.

Waldi leżał dziesięć piętér niżej, na boku, z ręką pod głową, jakby schlał się i zasnął na trawie. Wyjąłem karton z torby i cisnąłem w kąt. Rozglądałem się po mieszkaniu – materac, parę książek i mnóstwo zgniecionych pamiątek po moich dostawach. Na parapecie leżała wizytówka z adresem lombardu.

Schowałem ją do kieszeni i zadzwoniłem na policję.

Ile razy można powiedzieć, że sprzedaje się Biblie?

Siedzieliśmy w kwadratowym pokoiku o zielonych, nadzartych przez grzyb ścianach. Gliniarz tłuł dwoma palcami w maszynę, więc mówiłem wolno. Powiedziałem, że byłem przyjacielem zmarłego, wiedziałem, że pije i że pracuje w lombardzie, gdzieś w starej części miasta. Jasne, często wchodziłem bez pukania, ale Waldi nigdy wcześniej nie siedział w oknie. Miał miły zwyczaj leżeć w rogu pokoju, ozdobiony wymiocinami i bełkotać o Boskiej chwale. Tak, sprzedaję Biblie.

Metoda jest taka, że po piątej godzinie przesłuchania miesza ci się wszystko i mówisz to, czego nie powinienes. Ale nie miałem nic do ukrycia i dobry gliniarz powinien to poznać. Trzymał mnie do jedenastej, klepiąc zeznanie na starym łuczniku. Przeczytałem je pobieżnie. Wtedy podpisałbym nawet, że jestem księciem Karolem i załatwiłem księżną Dianę dla czystego wicu. Tak, sprzedaję Biblie, panie władzo, mogę już iść?

Trzymali mnie sześć godzin i odkryłem fajną zabawę. Gapiłem się w ścianę, wyobrażając sobie, że nacieki na ścianie to granice miniaturowych państw. Dałem im nazwy, historię, religie i zasypałem wybitnymi postaciami. Mówiłem, jak Waldi zniknął z parapetu i wizualizowałem sobie wojny toczone między mieszkańcami nacieku pod sufitem z imperium rozciągającym się od szafy do biurka gliniarza. Gdy imperium zebrało lanie i uznałem, że czas wejść w wiek oświecenia, dostałem zeznania do podpisu i mogłem odejść.

Na korytarzu komendy spotkałem dziwnego człowieka. Wychodziłem, on wchodził, zderzyliśmy się w przejściu. Nie wiem nawet, jak wyglądał.

– Znał pan Waldka? – zagadnął.

Kiwnąłem głową.

– Jak pan myśli – rzucił nerwowe spojrzenie na oczekującego policjanta – czemu on to zrobił? Taki młody...

– Myślę, że to jego rzecz. Samotność, praca do dupy. Każdy tak ma, ale jeden skacze, a drugi nie.

– On kochał ten lombard, rozumie pan? Mówił, że to najlepsze miejsce na świecie – rzucił i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyszedłem na zewnątrz i zapaliłem. Mróz skoczył mi do twarzy i wbił pazury w policzki. Szukałem spokoju. Wyobraziłem sobie, że moja głowa jest hałaśliwą fabryką, a ja pełzam od taśmy do taśmy w poszukiwaniu cichego kąta. Skaczący Waldek. Sześć godzin na komisariacie. Wyglupy z tym kretyńcem, Krzakiem. I sprzeczką z Agnieszką, idiotyczna i niepotrzebna.

Chryste, Agnieszka.

Dochodziła jedenasta. Cztery godziny spóźnienia.

– Cześć, kochanie.

Nie ma nic głupszego, jak wędrowanie po nocy z komórką na wierzchu.

– Dzięki, że byłeś – była wściekła i miała rację. Próbowałem streścić dzisiejsze popołudnie, ale natychmiast mi przerwała. Zawsze, gdy kłóciliśmy się, Aga krzyczała i płakała na przemian, a ja słuchałem spokojnie. Tym razem nie podniosła głosu. Wiedziałem, że walczy, by się nie rozbeczeć.

– Jeśli powiem, że mam cię dosyć, odpowiesz mi, że vice versa, prawda? Bo jesteś taki mądry. Zawsze wiesz, co powiedzieć. Więc powiedz samemu sobie, że straciłeś ostatnią osobę, która jeszcze chciała z tobą gadać.

Rozłączyła się.

Chryste, co za dzień. Poszedłem na spacer alejką koło stacji benzynowej i zadzwoniłem ponownie.

– Nie odkładaj. Powiem ci jedno. Znajdę pracę i wtedy zadzwonię. Nie wcześniej.

Rozłączyła się i nie wiem, czy wysłuchała mnie do końca.

Gdy miałem mały problem, upijałem się w Klubie Kulturalnym na Szewskiej. Ale gdy z rozmysłem wchodziłem w szambo, pokutowałem w czterech ścianach wynajętej nory. Wyniosłem się z domu po kłótni z ojcem, a samodzielność finansową okupiłem utratą studiów i barwną kolekcją wrzodów. Czasem leżę i słucham, jak kotłują się w brzuchu. Gdy działo się to wszystko, zamieszkiwałem klitkę na Kazimierzu. Miejsca starczyło na łóżko, biurko i półeczkę. Wyglądała jak wywrócony bebecch. Tego wieczoru leżałem na łóżku i obserwowałem cienie ścigające się na suficie. Czekałem, aż półeczka nade mną rozbije mi głowę. Była diabelnie ciężka, bo stało na niej sto sztuk mojej jedynej książki. Napisałem ją siedem lat temu i wydałem za pieniądze podatnika. Nazywała się *Dobry brzeg*.

Już szyld wskazywał, że z lombardem jest coś nie tak. Niebieskie litery na kanarkowym tle. Wewnątrz przypominał rupieciarnię. Na wysokich po sufit regałach stały książki, komórki, stare telewizory, walkmany bez kłapek, ale także wypchane zwierzęta, srebrne łyżeczki, zdjęcia. Jakby ktoś pozbiierał odpadki po pchlim targu. Za ladą stał gość w garniturze i rozmawiał z pijakiem.

Pijak trzymał na sznurku psa.

Pies był szkaradny jak poranek w marcu. Na nóżkach, jakby bezkostnych, uplecionych z samych żył, kiwał się łysiejący odwłok koloru kłapy od śmietnika. Gruby kark wieńczyła maleńka główka. Jedno z olbrzymich oczu uciekało w prawo. I jeszcze te uszy niczym postrzępione żagle i ogon paskudny jak fiut pawiana. Gdy tylko wszedłem, zwierzak zaczął ujadać, aż piana wyszła na tę rozpląszczoną mordę. Prosił się, by posłać go butem do psiego nieba.

– Nazywa się Kropeczka – wychrypiał pijak, całkiem podobny do swojego pupila.

– Kropeczka – powtórzył gość w garniturze.

– To dobry pies – dorzucił – ma dopiero półtora roku. Kropeczka miał łysy łeb i mogłem pójść o zakład, że za młodu razem z mamutami spierdalał przed lodowcem.

Gość w garniturze spróbował pogłaskać psa. Ten natychmiast ugryzł go w rękę.

– Szczepiony – zapewnił pijak.

– Załatwmy to szybko – westchnął facet w garniturze – sto złotych za Kropeczkę powinno pana usatysfakcjonować, prawda?

Nie wierzyłem własnym uszom. Twarz pijaka rozjaśnił dziecięcy uśmiech.

– Więc tak – facet w garniturze wyjął plik papierów – przy „towar” wpiszemy: „pies Kropeczka” prawda?

Pijak kiwnął głową.

– Wartość: sto złotych. Dobrze. I damy panu, powiedzmy, miesiąc na wykupienie, prawda, pana przyjaciela. To będzie, proszę pana, sto dwadzieścia złotych.

– Mogą być dwa miesiące?

– Sto trzydzieści złotych – powiedział gość. – Po dwóch miesiącach Kropeczka przechodzi na własność lombardu. Proszę podpisać.

Pijak wykonał zamaszysty podpis.

– Tu są pieniądze. Może pan pożegnać się z psem.

Pijak porwał sto złotych, wepchnął smycz w dłoń gościa z lombardu i tyle go widzieli. Przebieg wypadów był dla Kropeczki zupełnie obojętny. Pies patrzył na mnie z obrzydzeniem.

– O co chodzi? – zapytał facet.

Formułka nauczona przed wejściem wyleciała mi z głowy.

– Nie chcę niczego kupić ani sprzedać. Jestem przyjacielem Waldka.

– Rozumiem.

– Właściwie, nie przyjacielem. Dobrze znaliśmy się, tyle.

– Chce mi pan powiedzieć, że alkoholicy nie mają przyjaciół, prawda?

– Szczerze, to chcę powiedzieć, chcę zapytać, czy nie miałby pan zajęcia tutaj. Dla mnie.

Spaliłem.

– Waldek bardzo chwalił to miejsce.

– Bo to dobre miejsce.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Facet w garniturze stanął przede mną i zaczął się bezczelnie przyglądać.

– Pracował pan kiedyś w lombardzie?

– Nie – wybrałem szczerłość.

– Może to i dobrze. A może i nie. Proszę pana... Miał pan coś do czynienia z handlem?

– Miałem.

– To też dobrze. Może mi pan pokazać rękę?

Patrzył w nią chyba z minutę i gryzł wargi. Przejechał kciukiem po linii życia.

– Niektórzy oceniają ludzi po dłoniach – wreszcie mnie puścił – można ocenić, czy ktoś pracował fizycznie. Pana zapewne nurtuje, czy jestem pedałem. Otóż nie jestem i znowu nie wiem, czy to dla pana dobrze, czy źle.

Znowu zapomniałem języka w gębie.

– Jak chcesz tu pracować, nie wstydź się własnego zdania. A tak poważnie, to nazywam się Feliks Kramer i lubię mówić swoim pracownikom na ty. Lubię też, gdy to odwzajemniają. Zapalisz...?

– Tymon.

– Tymon. Rzadkie imię.

Palił Męskie bez filtra.

– Nie mogę ci obiecać, jak długo potrwa twoja praca. Trochę będę musiał cię podszkolić, w ogóle przemyśleć to wszystko. Od kiedy możesz zacząć?

– Od zaraz.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się Feliks. – Przejdź się z nim, a potem znajdź kocyk na zapleczu i zrób mu miejsce do spania obok lady.

Wcisnął mi smycz w rękę.

Kropeczka patrzył na mnie, jakbym chciał przerobić go na smalec. I chciałem, wierzcie mi.

Do Kulturalnego chodzę od dziesięciu lat. Zjawiłem się tam jeszcze przed książką i pierwszą poważną dziewczyną. Szybko wyłowilem ćmy barowe – gości po trzydziestce, siedzących co wieczór, choćby samotnie, ze spojrzeniem uwieszonym na pierwszych lepszych cyckach. Obiecałem sobie, że do trzydziestki chcę mieć żonę, dzieciaki, a do knajpy wpadać z kumplami, raz na tydzień. Kolejny dzień, kolejna klęska.

Siedziałem przy barze i patrzyłem na dziewczyny przy stoliku obok.

– Jak tam? – zagadnął barman. Znaliśmy się lata, ale nie wiedziałem nawet, jak ma na imię. Barman jest barman i cześć.

– Znalazłem robotę.

– Koniec z wódką?

– Nie będę ci chleba odbierał – uśmiechnąłem się. Dziewczyny przy stoliku obok trzymały się za ręce. Cholerny świat.

– Czemu się dziwisz? – rzekł wesoło barman. – Wczoraj pedały miały tu randkę. Jeden w białej koszuli i słuchaj, brachu, w czerwonym wełnianym kubraczku. A drugi, taki artysta z nadwagą. Włosy to miał jak u tej śmiesznej rasy psów... No, zachodziły mu za oczy. I jeden mówi do drugiego: „Jesteś przystojny, a nawet seksi”.

– Zadziwią się niebiosy, jak mu w dupę wejdzie kosa – zrymowałem. – A czego chciałeś?

Barman krztusił się od śmiechu.

– Lepiej popatrz w tamtą stronę.

Każda knajpa ma swoje ikony. Monika przychodziła tutaj od trzech lat. Przypominała ożywiony posąg, z tą białą skórą, okrągłym tyłeczkiem i ustami, które wydawały się za duże dla drobnej twarzy. Gdy siedziałem, a ona przechodziła obok, mogłem przysiąc, że nogi kończą się tuż pod biustem, drobnym, ale zawadiacko sterczącym nawet bez stanika. Oczy przypominały wielkie, zamrożone łyzy.

Tak, Monika była piękna, a ja nigdy nie próbowałem do niej podejść, może dlatego, że oferowałem tylko bara-bara pod poetyckim debiutem. Kąciki oczu i ust Moniki schodziły lekko w dół, odwykłe od śmiechu, a w źrenicach strzelały białe iskry, takie, co dla zabawy podpalają ludzi.

Był też gość podobny do spasionego knura, z gębą tak szeroką, że mogła skrywać kły. Tyłek sięgał do połowy ud, czarna grzywka nachodziła na zrosnięte brwi. Mówił gwałtownie i nieskładnie, wyrzucając w powietrze drobinki śliny. Nie nosił złota, ale każdym ruchem objawiał światu, że ma podłogę z dwudziestodolarówek i sra pluszem koloru lila.

Grubas siedział z Moniką. Zwierzęca łapa spoczywała na jej ramieniu.

– Kurwa – powiedziałem.

– Święte słowa. Popatrz, jakie to zabawne.

Grubas siedział jak najważniejszy kogut na grzędzie. Monika trzymała dłonie na kolanach, uśmiechała się sztywno i co chwilę zerkła na salę, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia, że postępuje właściwie.

– Pierwszy szczebel kurewstwa – objaśniłem – jeszcze ze sobą walczy, jeszcze się spiera, ale decyzja już zapadła. Jak pierwszy dzień pracy szambonurka.

– Jak myślisz, czy smyra go w pępuszek?

– Jezu, przestań.

Monika minęła nas w drodze do ubikacji. *Pewnie zwymiotuje*, pomyślałem i spojrzałem na Grubego. Rozwalił się na trzech krzesłach i bębnił w oparcie tymi swoimi kluseczkami.

– Powiedz lepiej, co teraz robisz? – zapytał barman smutno, jakby moja odpowiedź miała przywrócić mu wiarę w świat i ludzi.

– Jeszcze nie wiem. Ale jeśli chcesz zastawić psa, uderzaj jak w dym.

Waldiego chowali w niedzielę.

Stałem z postawionym kołnierzem płaszcza, a wiatr ślizgał się po mojej łysej czaszce. W połowie ceremonii spadł wściekły śnieg. Miałem wrażenie, że drobinki lodu wiercą mi dziury w policzkach.

Nie wiedziałem, skąd Waldi miał tylu znajomych. Przybyło stado starych bab w futrach. Ryczały równo, a łzy rozmazywały makijaż. Zjawilo się paru rówieśników Waldiego i przynajmniej trzech takich, co obskakują każdy pogrzeb w Krakowie, chyba z radości, że jeszcze nie ich chowają. Kramer nie przyszedł.

Zjawił się za to gruby facet w pomarańczowych spodniach, srebrnej kurtce z wielkimi guzikami i czapce ozdobionej czerwonymi różkami. Na tle cmentarza skojarzył mi się z kolorową piłką podskakującą na brązowych falach. Żuł gumę i kiwał kwadratową głową. Była z nim dziewczyna i od razu skojarzyli mi się z Moniką i z Grubym. Zawszę mówię, że wszyscy ludzie to draby, a dzielą się na drabów ponurych i drabów wesołków. Gruby był tym pierwszym, odnośnie faceta w srebrnych spodniach i różkach też nie miałem wątpliwości.

Myślałem, że Waldkowi oszczędzą mowy pogrzebowej, choćby dlatego, że trudno znaleźć dla niego dobre słowo, ale chudy gość gadał chyba piętnaście minut i ani razu nie wyszedł poza ogólniki. Szkoda, że taki młody, i że mógłby to i tamto, gdyby nie fiknął tym nieszczęsnym oknem, i ciekawe, czy zrobiłby to ponownie, gdyby wiedział, ilu ludzi przyszło go pożegnać, no... w dół z tą trumną, ziemia na denko i cześć.

Dziwiła mnie nieobecność Kramera, za to zderzyłem się z człowiekiem, którego spotkałem w komisariacie.

– Mnóstwo ludzi – powiedział.

– Jak ich widzę, samemu chce mi się skoczyć.

– Wątpię, aby ich znał dobrze. To był samotny człowiek. Istniał on i lombard.

– Dobrze go znałeś?

Wzruszył ramionami. Płaszcz na nim podskoczył, jakby zatelepać wieszakiem.

– Nie wiem, czemu skoczył, jeśli o to chodzi. Strasznie chlał i bredził, to wiem. Znałem go ze szkoły.

– Niewiele z nim rozmawiałem.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Człowiek w pomarańczowych spodniach stał w rozkroku i patrzył na grabarzy. Głowę wysunął do przodu, jakby w oczekiwaniu na uderzenie młotem.

– W kółko bełkotał o dłoniach – powiedział facet z komisariatu – i o tajemnicy, która jest w nich zapisana. Jakiś koszmar, bredzenie wariata. Wiem jedno i tyle ci powiem, był pewien, że niedługo umrze i to tak, jak dwa do dwóch jest cztery. Włożyłem papierosa w usta.

– Masz ognia?

Pokręcił głową i wskazał na kolesia z różkami. Gość wyjmował właśnie davidoffa. W prawej ręce obracał złotą zapalniczkę. Podszedłem go niego i poprosiłem o ogień.

– Był pan przyjacielem Waldka?

– Waldi nie miał przyjaciół – zadudnił. Jego głos brzmiał jak sztucznie obniżony o oktawę. – Był moim człowiekiem, a tacy to przyjaciół nie mają.

Gość nosił kilogramy złota. Uszy obciążył wielkimi kolczykami, łańcuch na szyi zniknął pod kolorowym polarem i mogłem pójść o zakład, że wisi na nim medal gruby i wielki jak dłoń drwala. Palce zdobiły sygnety, każdy z innym kamieniem.

– Myślałem, że robił w lombardzie.

– Lombard, lombard – prychnął – nie wiem, co wy macie z tymi lombardami. A nigdy nie wiadomo, kto dla kogo pracuje.

Spojrzał, jakby wiedział o mnie wszystko.

– Podobasz mi się – rzucił *i* poszedł.

Śmieszny facet. Lubię takim nadawać przydomki.

Ten będzie nazywał się Prezes.

Miałem tylko moment, aby przyjrzeć się jego dziewczynie. Pewnie miał takich dziesiątki. Wyglądała przy nim jak drzazga przy drewnianej belce i może byłaby i fajna, gdybym mógł coś dostrzec poza kilogramami pudru. Ciekawe, jak wyglądało przedstawienie rodzicom nowego narzeczonego. Ech, życie,

splunąłem i poszedłem, myśląc o Monice i Grubym, kolesiu z różkami i pornostarze, sobie i Agnieszce, by dojść do wniosku, że to wszystko jest gównem warte.

– To jest kasa fiskalna, czyli wrzód za ciężkie pieniądze – rzekł Kramer. – Musisz się sam z nią uporać. Może Wielebny podpowie ci co i jak, kiedy się zjawi.

Był jasny, grudniowy dzień. Gruby promień padał przez szybę na ladę lombardu.

– Lubię zaczynać od rzeczy mniej istotnych. Staramy się z Wielebnym układać rzeczy wedle pewnego klucza, ale ten klucz ostatnio rdzewieje. Na tym regale stoi elektronika i telefony. Nie dawaj na niego rzeczy zbyt ciężkich i tak stoi na słowo honoru.

Spojrzałem. Na regale zalegały nieodgadnione kłęбки kabli, tranzystorowe radia i komórki wielkości połowy cegłówki. Na podłodze stał antyczny Rubin, tak wielki, że od samego spojrzenia zaczynały boleć plecy.

– Ten regał – kontynuował Kramer – to komputery. Trochę ich mamy.

Zabrakło mi odwagi, by zapytać, jak schodzą. Na półkach nawarstwiły się dziesiątki Amig i atarynek, ze cztery igłowe drukarki, skaner ręczny i drugi, stacjonarny, z oderwaną klapą. Osobną półkę zajmowały dwa pecety z kieszeniami na duże dyskietki. Najokazalej wyglądała ośmiobitowa konsola Nintendo z dwoma padami i wpiętym kardridżem DOUBLE DRAGON 3.

– Niżej – Feliks wskazał na długi wieszak, rozciągnięty między regałami – są kurtki. Kiedyś kurtka skórzana była inwestycją. Pamiętasz te czasy, Tymon?

Na wieszakach wisiały brązowe skóry, jakie można było kupić w latach osiemdziesiątych, jedna katana czarna od naszywek i ramoneska.

– Jest jeszcze parę książek. Jak dojdą nowe, kładź je tam – Feliks wskazał ręką na szeroką półkę koło lady – mamy też rower, ale jak nie zejdzie do końca tygodnia, będziesz musiał go wyrzucić.

Biały Pelikan w kącie już wieki temu przegrał walkę z rdzą.

– A Kropeczka? Kundel spał na ladzie.

– Miejsce Kropeczki jest wszędzie. Jak będzie chciał sikać, po prostu go wyprowadź.

Zapytałem Feliksa, czy nie ucieknie.

– Skąd. Gdzie byłoby mu lepiej niż tutaj?

Feliks usiadł na ladzie obok Kropeczki i wysunął paczkę w moją stronę. Pokręciłem głową.

– Muszę ci jeszcze opowiedzieć o Wielebnym. Pierwsze, co musisz wiedzieć, to to, że masz z nim rozmawiać jak ze mną. Jest współwłaścicielem lombardu i moim bratem. Pewnie chcesz spytać, dlaczego Wielebny. Za młodu to on był tym złym bratem, jak w bajkach. Potem poczuł głos Boga albo spokoju i poszukał szczęścia w klasztorze. Musiałem wyciągać go za uszy, aby mi pomógł z lombardem. Ale to dobry człowiek, choć czasem można się go przestraszyć. O, jest.

Wielebny przypominał zbira z Dzikiego Zachodu, który wystroił się na komunię córki. Był niski i szczupły, z wysuniętą dolną szczęką i guzowatym czołem. Szedł, jakby w butach miał sprężyny.

– To jest Tymon i pracuje u nas,– rzekł Kramer. Wielebny był o głowę niższy ode mnie. Popatrzył z dołu podejrzliwie.

– No tak – powiedział. – Pokaż rękę.

Wielebny miał łapska jak dorsze. Popatrzył we wnętrze mojej lewej dłoni, odkaszlnął i zapytał:

– Wiesz już, na czym polega lombard?

– Z grubsza tak.

– Nie wie – poprawił Kramer zza lady.

– Co to za dziadostwo? – Wielebny spojrzał na Kropeczkę. Kropeczka odpowiedział wyniosłym spojrzeniem.

– Zastaw – wyjaśnił Feliks. Wielebny uśmiechnął się, ukazując zażółcone zęby. Usiadł na ladzie i położył mi rękę na ramieniu.

– Że wszyscy jesteśmy tu na „ty”, to pewnie wiesz – zaczął.

– Dostrzegłeś pewnie, że staramy się być tu małą rodziną. Tak było z Waldim i mam nadzieję, będzie też z tobą.

Akurat, na pogrzeb to nie ruszyłeś dupy, pomyślałem.

– Ja lubię znaleźć się od razu na głębokiej wodzie – ciągnął Wielebny – więc masz tu klucze, zostajesz jutro z interesem. Może wpadniemy po południu, ale, jak to mówią, raczej wątpię. Naprawdę

– odwrócił się do Feliksa – nie powiedziałaś mi, o co w tym chodzi?

– Ty to lepiej zrobisz. Jesteś taki...

– Prostolinijny, co? – parsknął Wielebny. – Więc słuchaj, młody przyjacielu. Ten lombard ma jedną zasadę. Każdy, kto przychodzi, ma zostać jak najlepiej obsłużony, czyli mówiąc wprost, cokolwiek przyniesie, dostanie dwa razy tyle, ile to jest warte. A jeśli nie będzie nic warte...

– Jak Kropeczka – uzupełnił Feliks.

– Na przykład Kropeczka – kontynuował Wielebny. – Za Kropeczki i inny szajs dajesz stówę. Nie puść nas z torbami, ale trzymaj się tej reguły.

Myślę, że nigdy nie rozdziawiłem gęby tak szeroko, jak wtedy.

– Pewno chodzi ci teraz po głowie, że pierzemy tu pieniądze odezwał się Kramer. Bujał nogami w powietrzu i palił męskiego – nic bardziej mylnego, mój drogi chłopcze.

– Jesteśmy tutaj, aby czynić dobro – powiedział Wielebny.

Co rano walczą we mnie dwie myśli. Dzwoni budzik i natychmiast otwieram oczy. Zastanawiam się wtedy, czy wstać od razu i mieć spokojny poranek – wykąpać się w spokoju, wypić kawę, spalić ze trzy pety i dowiedzieć się z sieci, co nowego na świecie.

A może lepiej przysnąć na pół godziny, odpocząć, a potem szybki prysznic i biegiem ruszyć na miasto? Na ogół wybieram kompromis. Śpię pół godziny, palę, wchodzę na internet, a gdy kończę kawę, porywam kapotę i lecę na miasto, z obłędem w oczach, bo na wszystko jest już za późno.

Zwykle czytam trzy książki. Pierwsza leży przy łóżku i ma związek z historią. Drugą biorę do tramwaju i jest to powieść ze średniej półki. Ale lekturą waniennio-klozetową musi być naprawdę zła książka. Tego ranka leżałem w wodzie po szyję i żałowałem, że *Kraby* Smitha liczą tylko sześć części.

Przy kawie zadzwoniłem do Agnieszki i powiedziałem, że mam pracę. Nie dopytywała się, gdzie, więc musiałem wyjaśniać, że to lombard, ale porządny lombard, psia krew, to chyba najfajniejszy lombard pod słońcem.

– Prowadzi go dwóch gości – opowiadałem. – Pierwszy jest byłym księdzem i wygląda jak bandyta, a drugi pewnie jest bandytą, za to wygląda jak ksiądz. Wpadniesz kiedyś?

– Może wpadnę – odpowiedziała.

Z domu do lombardu dzieli mnie dziesięć minut szybkim krokiem.

Zaraz za drzwiami powitał mnie Kropeczka. Siedział naprzeciw tego, co narobił w nocy, cały zadowolony, że mały piesek może strzelić tak ogromny stolec. Trzepnąłem go w głowę i sprzątnąłem paskudztwo, dochodząc do wniosku, że oprócz psów są też pjeeski. Pjeeski mają małe nóżki, szkaradne mordki i największą radość znajdują w ujadaniu.

Kropeczka łąził za mną wszędzie.

Na zapleczu znalazłem graty, których nikt nie chciałby nawet za darmo, ułożone aż po sufit. Obok, na ziemi, leżały dziesiątki książek, znakomita większość w językach obcych. Ktoś pewnie oddał swój zbiór, a ci dwaj durnie zapłacili za niego ciężką gotówkę, myślałem. Większość dotyczyła antropologii i miała mniej lub bardziej ścisły związek z dłońmi. Już miałem odejść, gdy dostrzegłem znajomy widok – kilka nowych egzemplarzy tej samej książki. *DŁOŃ I RYTUAŁ*, przeczytałem na obwołucie. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, sprzed czterech lat.

Z tylnej strony okładki spoglądał na mnie Kramer, jeszcze z czarną grzywą półdługich włosów i w okrągłych okularach. Szalony pan doktor pełną gębą. *Feliks Kramer* czytałem, *dr hab. wydziału etnologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Ur. 1961. Autor prac WSPÓŁCZESNY SZAMANIZM SYBERYJSKI (1988), ZOBACZYĆ BOGA. CZCICIELE PEYOTLU W AMERYCE POŁUDNIOWEJ (1994). DŁOŃ I RYTUAŁ to szczegółowa analiza porównawcza symboliki dłoni i linii papilarnych w kulturach EUROAZJATYCKICH I AFRYKAŃSKICH. Autor odbył wyprawy do...*

Odłożyłem książkę. Miałem dość własnego szaleństwa.

Zapewne Feliks Kramer popisał tutaj takie brednie, że wywalili go z uniwerku.

No, chyba, że łapał studentki, za co nie trzeba.

Dzwonek dał znać, że w lombardzie zjawił się klient. Wyszedłem z zza zaplecza i stanąłem przed Grubym. Nie poznał mnie albo dobrze udawał.

– Chciałem to zastawić.

Położył przede mną aparat cyfrowy.

To była Minolta 7 HI, 5,5 megapikseli z baterią, paskiem, programowaniem i kablem USB, i ekranem 1,8 cala. Do tego obudowa ze stopu magnetycznego i gwarancja na dwanaście miesięcy. Cacko warte sześć tysięcy, jak nie więcej. Tyle mu zaproponowałem. Grubas zaświszczał z ulgą.

Dałem mu papiery do podpisania i uświadomiłem sobie, że kasa lombardu może być pusta.

Nie była.

– Ma pan miesiąc na dokonanie pierwszej wpłaty. Po dwóch miesiącach milczenia z pana strony aparat przechodzi na własność lombardu.

Pokiwał głową i obdarzył mnie spojrzeniem, zarezerwowanym dla Naprawdę Dużych Frajerów. Przeliczył pośpiesznie pieniądze (myślałem, że zacznie skakać z radości) i powlókł się do wyjścia.

– Kobieta kosztuje – rzucił przez ramię. Transakcja nie trwała więcej niż dziesięć minut.

Aparat mógł być zepsuty, ale wątpiłem, czy interesowałoby to Wielebnego lub Kramera. Z ich punktu widzenia, stwierdziłem ze śmiechem, to nawet lepiej.

Patrzyłem chwilę na aparat, myśląc, że z takim cackiem można przestać martwić się o pracę. Zrobiłem miejsce na półce z elektroniką i postawiłem Minoltę, świeciła się jak diament w składzie złomu. Otworzyłem książkę i, z pewnym wahaniem, wpisałem: MINOLTA 7HI. Cena zakupu: 6000 PLN. Płacąc tyle, mogłem zastanawiać się, czy postępuję właściwie, ale takie myślenie nie przyniosło jeszcze nikomu niczego dobrego. W takich chwilach układałem w głowie melodie.

Nie mam kompletnie słuchu, więcej, jestem głuchy jak stuletnie drzewo, więc moje melodie składają się ze słów. To jedyny rytm, który znam i mogę sobie przyswoić. Ktoś kiedyś powiedział, że wszystko, co żyje, ma swoją melodię. Każde stworzenie – inną. Jaka była melodia Kropeczki? Teraz mam wątpliwości, ale wtedy byłem pewny, że da się ją zagrać tylko za pomocą widelca i szyby. Wziąłem gada za obrozę i pociągnąłem do wyjścia. W drzwiach zderzyłem się z Agnieszką.

– Cześć – powiedziała. – Przyszłam zastawić pierścionek.

To zabawne, jak zmienia się piękno kobiet. Agnieszkę poznałem trzy lata temu – wtoczyłem się pijany do knajpy. To była „Jemioła” na Floriańskiej. Agnieszka siedziała przy szerokim, drewnianym stole, a ja nie mogłem oderwać od niej oczu. Była jak Minolta w naszym lombardzie. Przychodziłem do „Jemioły” codziennie, w nadziei, że znów ją spotkam. Zjawiała raz w tygodniu, zawsze z koleżanką. Do ich stolika przysiadali się faceci, by odejść dziesięć minut później, i zaczynałem rozumieć, że Agnieszka nie jest dziewczyną dla kogoś takiego jak ja.

Ale poszło mi dość łatwo.

Po okresie euforii Aga zaczęła powszednieć. Dostrzegłem, że ma włosy rzadkie i tłuszczące się, takie, które powinno się ścinać krótko, tak, jak nie lubię. Biodra były zbyt szerokie, idealne dla krowy rozplodowej, nie dla mojej dziewczyny. Wreszcie wąsik, który depilowała sobie, co odkryłem z przerażeniem w trzecim miesiącu naszej znajomości. Księżniczka zeszła z tronu pomiędzy gęsi.

Ale w drzwiach lombardu była tak piękna, że dech zapierało. Zabawne, prawda?

– Przyszłam zastawić pierścionek – powtórzyła.

Jest prosty sposób na uniknięcie małżeństwa. Każda dziewczyna chowa za plecami sidła. Być z kimś to jedno, zaobrączkować się, to drugie, kobieta ciśnie, co robić? Ja postanowiłem się zaręczyć. Kupiłem pierścionek, wraz z nim dwa lata spokoju. A dwa lata przed nami i dwa lata za nami to zupełnie różne dwa lata.

W każdym razie, to był ten pierścionek.

Agnieszka patrzyła na mnie z całym spokojem, na jaki było ją stać.

Rozpaczliwie przywołałem naszą ostatnią rozmowę – tę o nowej pracy. Czy powiedziałem jej, gdzie pracuję? Podałem adres? No jasne, że podałem.

– Dobrze – powiedziałem sucho. Zabrałem pierścionek i poszedłem z nim za ladę.

Termin pierwszej raty równo za miesiąc. Kredyt lombardowy. Na pewno sprawdziłaś, ile to jest. Po trzech miesiącach pierścionek przechodzi na własność lombardu. Tu jest tysiąc złotych. A tu papierek do podpisania.

– Tysiąc złotych? – nie przypuszczała, że dostanie aż tyle. Wyszczrzyłem się.

– Gdzieś tyle za niego dałem.

Pierścionek powędrował pod oszkloną ladę, obok ruskiego zegarka na skórzanym pasku, pary posrebrzanych kolczyków i łańcucha udającego złoto. Agnieszka podpisała. Długopis trzymała, jakby był z ołowiu.

– Co u ciebie?

Uwielbiam takie pytania. Cholerne mordokleje.

– Jakoś sobie radzę, wiesz – zamachałem ramionami – unoszę się na fali, biję rękami, nogi pracują, woda mi jeszcze nosa nie zalała.

– Masz chociaż umowę? Tutaj...

– Nie – odparłem szczerze – ale będę miał.

Wątpię, aby goście tak popieprzeni jak Kramer i Wielebny zawracali sobie głowę umową.

Agnieszka chciała coś powiedzieć, ale do lombardu wkuśtykała staruszka. Kropeczka natychmiast podbiegł do niej i polizał w rękę. Aga odwróciła się gwałtownie, rzuciła przez ramię słowa pożegnania i tyle ją widziałem.

Staruszka z trudem dotarła do lady, stanęła w świetle. Nie wiedziałem, że ludzie żyją tak długo – Momencik – powiedziałem. Chciałem skończyć z pierścionkiem. Wpisałem: ZŁOTY PIERŚCIONEK (zajebał Broniek, he!) pod MINOLTA i wartość: 1000 złotych.

– Chciałam zastawić różaniec. Jest z drewna różanego.

– Proszę bardzo – wziąłem go w dłonie. Był lekki i ciepły. – Dam pani sto złotych.

Gadka o miesiącu i własności lombardu.

– Proszę tu podpisać.

– Ten różaniec przywiozła mi córka z Rzymu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych. Teraz mieszka w Austrii, od wielu, wielu lat. I nie pisze.

Włożyłem długopis w rękę staruszki. Podpisała się tak, jak wszystkie starsze osoby – bardzo wyraźnie, przyklejając nos do kartki.

– Szczęść Boże – zawołałem za nią.

Różaniec dołączył do pierścionka pod ladą. Jeszcze raz przyjrzałem się lombardowi. Był stary i musiał działać od dawna. Ciekawe, kiedy przejął go Kramer i odkąd ciągnie tę absurdalną politykę sprzedaży? Skąd były belfer ma na to forszę? I do cholery, po co? Pierze szmal? Ale to wszystko idzie bez faktur. Co myślisz o tym, Kropeczka, stary draniu z oczkami jak na rosole?

Chwyciłem psa za mordę i spojrzałem mu w ślepia. Nie opierał się, gdy podniosłem mu łapkę i spojrzałem w jej wnętrze. Przejechałem po opuszcze i pies szczechnął. Brzmiało jak pękające szkło.

– Kogo ja tu widzę?

W drzwiach lombardu stał Prezes. Tym razem miał dresowe spodnie, na które ponaszywano strzępy różowej tkaniny, ortalion i żółtą bluzę z napisem I LOVE SATAN na szerokiej kłacie.

– Nie mówiłeś mi, że tu pracujesz.

– Ty też nie powiedziałaś, gdzie robisz – odparłem. Prezes roześmiał się.

– Jak interes? Może coś kupię... Ładna Minolta. Obrócił aparat w ręce i odstawił na półkę.

– Jest Kramer?

– Dziś go nie będzie – Prezes mnie męczył. Korciło mnie, by spytać, czy chciałby zastawić łańcuch.

Wspaniale – usiadł na ladzie, jak zawsze robił to Kramer – dobrze pracować samemu w takim miejscu. Można coś urwać, a jak wpadnie okazja, to nawet zapłacić ze swoich. Wyglądasz mi na

sprytnego. Ta Minolta, powiedz mi, ile dałeś? Tysiaka, góra półtora, prawda?

– Trochę więcej.

– To niedobrze, kolego – podsunął mi pod nos paczkę cienkich vogue'ów.

– Palisz papierosy dla kobiet w ciąży? – zagadnąłem. Przez moment myślałem, że walnie mnie na odlew, ale Prezes tylko roześmiał się irytująco, piskliwie.

– No to powiedz mi, kiedy będzie ten twój Kramer?

– Proszę spróbować jutro.

Poklepał mnie po ramieniu. Czułem się jak pogłaskany przez niedźwiedzia.

– Dobrze, dobrze – był wystarczająco blisko, bym dostrzegł rubin w górnej jedynce. – Powiedz mi, ile ci płacą? Anglicy dają w mordę za takie pytania, Amerykanie obrażają się śmiertelnie, ale ja pytam z czystej serdeczności. Bo może będę miał coś dla ciebie.

– Nieźle – odparłem.

– Czyli zawsze może być lepiej – wstał i oparł się dłońmi o szkło. – Powiedzmy, że kiedyś zrobiłbyś coś dla mnie. Niczym nie zaryzykujesz. Gra w mojej drużynie ma jeden plus, Tymon.

Pokazał mi plecy.

Skąd ten złoty fiut znał moje imię?

– Zawsze się wygrywa – rzucił na progu i zamknął drzwi z takim hukiem, że Amiga spadła na ziemię z najwyższej półki. Klawisze rozsypały się jak po ciosie prętem. Wściekły na zarozumiałego palanta i na siebie, że wdałem się w tę rozmowę, zacząłem sprzątać.

Kropeczka porwał *enter* i pognął na zaplecze.

Stałem pod oknem lombardu i słuchałem, jak bracia się kłóć.

– Teraz, teraz chcesz mi to zrobić? – wykrzykiwał Kramer. Byłem pewny, że stoi za ladą i wymachuje chudymi ramionami.

– Teraz, nie teraz, jakie to ma znaczenie? – burczał Wielebny. Idę o zakład, że oparł się ramionami o ladę i wbił wzrok w brata. – Stało się coś szczególnego przez ostatnie lata?

– Zrobiliśmy dużo – głos Kramera osłabł.

– A ile jeszcze trzeba zrobić? Myślałeś kiedyś, jaki jest przelicznik? Pięćdziesiąt tysięcy? Sto? Po stu będzie spokój? Myślałeś kiedyś, czym kupczysz?

Zapaliłem.

– Najchętniej posmarowałbyś się gnojem albo zdarł z siebie skórę i wykąpał się w occie. Tego nauczyli cię w klasztorze?

– Nauczyli mnie tego, że Bóg nie gra w znaczone karty i...

– No, bardzo mądrze – Kramer przerwał mu, świszcząc. – Tylko może powiesz mi, co masz dla nas w zamian? Dla mnie i dla ciebie, bo wciąż jesteśmy na tym samym wózku. Jeszcze.

– Dobrze, świetnie, ja to rozumiem. Wiesz, co jest najgorsze? Że ty mnie o to pytasz, bo wiesz, że ci nie odpowiem – huczał Wielebny – bo nie ma nic do robienia. Równie dobrze możemy trzasnąć tym lombardem, chłopakiem i kundlem, pójść w cholerę i żyć, rozumiesz? Kiedy czułeś, że żyjesz? Pamiętasz to jeszcze?

– Nie mieszaj w to chłopaka.

– Nie, a czemu, do cholery, może powinniśmy zacząć o tym trąbić?

Chwila milczenia. Wielebny musiał palnąć jakieś głupstwo.

– Waldi wiedział.

– Żadna różnica.

– A ty? – Kramer podniósł głos. – Nie chciałbyś, żebym wydarł ci z głowy to i owo? Nie byłoby ci lepiej?

Wielebny zamilkł. Słyszałem, jak spaceruje. Zgasilem papierosa o ścianę i wszedłem do lombardu.

– Mamy kłopoty – powiedziałem w progu. Wielebny miał siną twarz i zacięte usta.

– To coś nowego – rzucił.

– Był tu facet i wypytywał o was. Nie wiem, co to za gość, ale kłopoty miał napisane na czole.

– Cały w złocie, śmiesznie ubrany? – dopytywał się Kramer. Opierał się o ladę i podpierał pięścią głowę. Przytaknąłem.

– Mogliśmy się tego spodziewać – rzekł Wielebny. Kramer obdarzył mnie bezradnym spojrzeniem.

– Powiedział ci coś jeszcze?

– Nie – skłamałem.

Zasada dobrego kłamcy brzmi – mów tyle prawdy, ile tylko możesz.

– Spróbuj go złapać – poradził Wielebny. – Powiedz mu coś. Ręce Kramera wisiały bezradnie, jak złamane skrzydła albo żagle, w które nie chce dąć wiatr. Podniósł wzrok, westchnął i, z papierosem w ustach, pokierował się do wyjścia. Miał płaszcz pocięty przez mole i kapelusz nieokreślonego koloru.

– Idę. Tylko po to, żebyś potem niczego nie mówił. Wielebny długo odprowadzał go wzrokiem, a ja patrzyłem na Wielebnego. Pamiętam, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, wydał mi się tępakiem o brutalnych rysach i wrażliwości nosorożca. Twarz Wielebnego, pokryta bliznami, wyciosana przez pięści, przypominała niedokończoną maskę, na której zaschła skapująca glina. Zaraz po wyjściu Kramera Wielebny wydał mi się kimś zupełnie innym. Skurcze szarpały mu policzki, czoło przecięła gruba żyła. Mówiąc wprost, zrozumiałem, że Wielebny żyje.

– Życie jest jak walka na bagnety – powiedział, nie odrywając wzroku od okna. – Wiesz, jak walczy się na bagnety?

Miałem mgliste wyobrażenie żołnierzy biegnących na oślep w stronę okopów wroga.

– Idziesz całą grupą – podjął Wielebny – i jak już dochodzicie do wroga, uderzasz – ale tego nadchodzącego z boku, który się nie spodziewa. Jeśli jesteś w drugim szeregu, starasz się dziabnąć tych z pierwszego szeregu przeciwnika. Łapiesz, Tymon, co? A nigdy nie mamy oczu dookoła głowy.

Powiedziałbym chętnie, gdzie może wsadzić sobie takie mądrości. Wielebny rozumiał więcej, niż mi się wydawało.

– Najpierw chciałem zostać księdzem – rzekł wesoło – i jak myślisz, co najbardziej mi się w księżowaniu podobało? Kazania, Tymon. Chciałem głosić słowo Boże z siłą wodospadu. I coś tam z tego zostało, więc daruj to gładzenie i pamiętaj, że nawet klechę nie zostałem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Na zapleczu jest mnóstwo gratów – rzekł Wielebny. – Idź tam i, na miły Bóg, coś z nimi zrób. Tylko nie wywalaj wszystkiego, i tak mamy popieprzone w księgach.

Sama radość.

– Ja tu siedzę na wypadek, gdyby znowu przyszła ta menda – usłyszałem, nim zamknąłem drzwi.

Sprzątanie na zapleczu przypominało przetrząsanie grobów. Samo pomieszczenie było jak krypta, o szarych ścianach i zimnym świetle z oszronionego okienka. Przytargałem stołek i zacząłem przerzucać graty z jednej kupy na drugą. Książki rozsypujące się w rękach. Radia pełne kurzu. Złote błyskotki okazujące się odpustowym szmelcem. Ile czaszek trzeba skruszyć, by znaleźć złoty ząb?

Towarzyszył mi Kropeczka. Kundel rozwalił się na gratach jak smok w skarbcu i obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek. Ile razy próbowałem go pogłaskać, odrzucał głowę do tyłu i warczał. Uroczestwo.

– No co? – powiedziałem, cofając dłoń – doceniłbyś mnie trochę. Wiesz, Kropeczka, jesteś tak brzydki, że opowiem ci pewną historię.

Wzięłem się za czyszczenie jednokasetowego Grundiga. Na takim odsłuchiwałem pierwsze kasety, jeszcze w latach osiemdziesiątych.

– Byłem na wsi i miałem chyba ze cztery lata. Słuchaj mnie uważnie, Kropeczko. I był tam piesek, trochę do ciebie podobny. Należał do pana Wacka. Nazywał się Ciapek. Krótkie, paskudne życie

szczekacza spędził na pięciometrowym łańcuchu. Miał jednak tyle poczciwości, że bawił się ze mną i z moim kumplem. I polubiliśmy Ciapka, i Ciapek był dobry – naśladowałem głos Wielebnego, w nadziei, że mnie słyszy – aż Ciapek zyskał konkurenta. Znaleźliśmy szczeniaka w krzakach, taką białą, futrzaną kulkę z oczyma ciekawymi świata. Bawiliśmy się z nim jak szaleni, a pod wieczór poszliśmy do pana Wacka z pytaniem, czy by go nie wziął. Pan Wacek, kochany Kropeczko, obejrzał naszego kundelka bardzo uważnie, potem położył mi na głowie wielką rękę i poprosił, żebyśmy już poszli. Schowaliśmy się za płotem i widziałem wyraźnie, jak pan Wacek idzie przez podwórze ze szczeniakiem pod pachą. Ciapek merda ogonem i wita pana przyjaznym ujadaniem. Wacek wziął siekiere i uderzył Ciapka styliskiem w głowę i, proszę Kropeczki, nie było już Ciapka. Pan Wacek cisnął martwego psiaka za ogród, nałożył szczeniakowi obrożę i zostawił przy budzie. Nauczyła cię czegoś ta historia, Kropeczko?

Kropeczka dał się pogłaskać i natychmiast ugryzł nadgarstek.

Korciła mnie książka Kramera. Musiałbym oślepnąć, by nie dostrzec, że dziwny lombard spaja tak różnych ludzi, jak Kramer, Prezes i Wielebny, że rzuca cień na śmierć Waldiego. Pomyślałem o nim jak o magicznym miejscu, które ściąga ludzi do siebie i przeżuwa jak bezzębny staruch. Waldiego już trawi. A ten katabas o wyglądzie bandziora? Czy nie rzucił klasztoru, by pracować tutaj? A Kramer, zamiast grzać tyłek na uniwersyteckiej posadzce, zbudował to miejsce, które z niewiadomych przyczyn chce przejąć gość w złocie. Dość powiedzieć, że dzień pracy ściągnął tu Agnieszkę.

Agnieszka?

Jej głos poznam wszędzie.

– Chciałam odebrać pierścionek. Szelest dokumentów.

– Pamiątka? – spytał Wielebny.

– Jest ładny. Lubię go. Czuję się jak bez palca.

– Proszę tu podpisać. Osiemset złotych.

– Tysiąc.

– Tu jest napisane osiemset. Wielebny łgał. Wiem, co wpisałem. Chwila milczenia.

– Dlaczego pan to robi?

Śmiech Wielebnego. Brzmiał jak bilon wpadający do puszki.

– Poprawiamy nasz wizerunek.

– Jeśli chce pan mnie poderwać, może pan zastanowić się, czy ten tysiąc nie będzie lepszy.

Znów cisza.

– Doszedłem kiedyś do wniosku, że lepiej jest ludzi krzywdzić, niż im pomagać – powiedział Wielebny. – Okradniesz kogoś, pobijesz, powiedzą, że jesteś zawadiaka, twardziel, a jak nazwą sprawę po imieniu, odpowiesz, że trzeba jakoś żyć. I wszystkim zamkniesz mordy. Ale zrób komuś przysługę,

życzliwą, nonsensowną, to powiedzą, że chcesz wykorzystać ludzi, że jesteś dwulicowy, kombinujesz i trzeba trzymać się od ciebie z daleka, bo, psia mać, nie wiadomo, czego po tobie się spodziewać.

– Powiedziałaś tylko, że chce mnie pan poderwać – Agnieszce drżał głos. Usłyszałem jej kroki i trzask drzwi. Wściekły. Aga może być tak wściekła tylko na siebie. Wyszedłem z za zalepca.

– Dziwna historia – rzuciłem.

Wielebny opierał się o regał, żółty jak egipska mumia.

– Zostań tu – cisnął klucze na ladę. I pobiegł za Agnieszką.

Niektórzy nawet w szambie widzą gwiazdy.

Kiedy patrzysz na dłoń odpowiednio długo, zobaczysz diabła, skaczącego po opuszkach. Siedziałem w lombardzie dłużej, niż powinienem, a zazdrość paliła mnie jak zgaga. Wielebny nie wrócił.

W tamtych czasach myślałem, że życie to walka, Wielebny punktował mnie w rogu, a ja zachodziłem w głowę, jak się osłonić. Można mówić: pierdolę wszystko, ale pewnych spraw nie możemy odpuścić. Porównywałem siebie do niego i doszedłem do fatalnych wniosków.

Zamknąłem lombard i poszedłem do „Kultury”.

Wielebny przypominał grzyba zjedzonego przez ślimaki i miał nos krzywy niczym skocznia w Lillehammer. Był niższy ode mnie o głowę, dziesięć lat starszy i, mówiąc bez ogródek, nie grzeszył intelektem. Stałem przed knajpą, pomyślałem, ile wieczorów spędziłem tu w ostatnim miesiącu i zrozumiałem, na czym polegała różnica między nami. To było jak cios między oczy.

Sprzedłem parę kartonów wódki, przeleciałem kilka panienek i napisałem gówno wartą książkę. Z gadką i bystrą głową (kumpel powiedział mi po pijaku: *masz byłant zamiast mózgu*) mogłem robić za kawiarnianą atrakcję. A Wielebny coś przeżył, ten swój klasztor, ring, modlił się, walił w ryj, a ja nigdy nikogo nie uderzyłem, a z Bogiem rozmawiałem tylko po kwasie. Zrozumiałem, że nigdy nie żyłem, a Wielebny owszem, zszedłem na dół, by uzalać się nad sobą.

– Co tam? – zahuczał za mną barman. Wędrowałem z piwem do stolika.

– Nic.

– Coś nie gra?

– Zrobiłem sobie dołerski wieczór – odparłem. – Puszczasz Joy Division, czytasz Hłaskę. Idziesz do knajpy, zamawiasz piwo i jak kufel jest pusty, walisz głową w mur, ile masz tylko siły. Potem idziesz do baru, zamawiasz kolejne i powtarzasz proceder. Kończysz, gdy zderzenie z murem nie boli.

Nie wiedziałem, że można otworzyć oczy tak szeroko. Poszedłem do drugiej sali i zobaczyłem dziewczynę Prezesa, samotnie dopijającą piwo przy stoliku dla dwojga.

– Opędzasz się od spojrzeń? – zapytałem.

– Też mam wieczór dołerski. Zabawne, zwłaszcza, że kończyła piwo.

– Zaraz będzie ten moment – trąciłem ścianę. – Postawiłbym kolejne, ale mam tylko trzy pięćdziesiąt.

Miałem forszę z Minolty w tylnej kieszeni.

– Studenciak?

– Miałem już dziewczynę. Niewiarygodne, ale się zaśmiała. Usiadłem.

– Gdzie twój chłopiec?

– Nie powinien tutaj przyjść.

– Pewno tęskni. Jak masz na imię?

– Klara.

Gdy spotkałem ją na pogrzebie, sprawiała wrażenie cwanej trzpiotki przebranej za gwiazdę porno. W „Kulturze” miała tylko lekki cień, podkreślający skośne oczy. Spod makijażu wyłoniła się ładna dziewczyna, z gładką cerą i ustami stworzonymi do pocałunków.

– Co robi twoja dziewczyna?

– Nie mam dziewczyny – zapaliłem – tak się poukładało.

– Lubię słuchać o takich rzeczach.

– A ja nie lubię mówić – uśmiechnąłem się – jak musisz wiedzieć, to ją zostawiłem. Nie, że coś we mnie umarło, że źle nam było ze sobą. To był dobry człowiek, nakłoniła mnie, wiesz, żebyśmy razem dom zbudowali. Wynajęli coś, rodzina, te sprawy. Najpierw kątem albo na cudzym. Potem się ułoży, podobno ułoży i też tak na początku myślałem.

Odetchnąłem boleśnie i lgałem dalej.

– Po to poszedłem do tego lombardu. Nie pierwsza praca i nie ostatnia. Robiłem tu, tam, szyby myłem, roznosiłem ulotki, latałem z ubezpieczeniami i w końcu zrozumiałem, że jeśli coś zbudujemy, to będziemy zbyt starzy, by móc się tym cieszyć. Więc odpuściłem.

– Tak po prostu?

– Dochodzisz do ściany. Pewno nic o tym nie wiesz. Nie możesz więcej pracować, bo wysiądzie ci fizyczność. Przystaniesz kontaktować, zaczniesz pracować coraz mniej efektywnie, więc będziesz pracować dłużej, zaczniesz męczyć się jeszcze bardziej i spirala się nakręca.

Patrzyła na mnie ze współczuciem i podziwem. Kłamałem dalej, bawiąc się świetnie i świadomy, że mogę powiedzieć wszystko, bo ta dziewczyna nie pójdzie ze mną do łóżka.

Obudziłem się wcześniej. Patrzyłem na Klarę i odkryłem, że rano jest prawie tak ładna, jak wczoraj

wieczorem. Spojrzałem po mieszkaniu i przeszedł mnie pijacki dreszcz. Prezes ma pewnie ściany ze złota. Próbowałem zasłonić te nieszczęsne książki, gdy dziewczyna obudziła się.

– Która godzina? – zapytała, wybita ze snu.

– Prawie dziewiąta.

Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wstał tak szybko. Podałem ubranie, ciesząc oczy ciałem Klary.

– Nie mam jak cię podwieźć.

– Nie ma sprawy. Znajdź mnie jakoś.

Pocałowała mnie i wybiegła. Słyszałem, jak zbiega po dwa, trzy stopnie, ale przez ulicę przeszła już spokojnie. *To se ne wrati* pomyślałem i patrzyłem na nią z drugiego piętra, wściekły na Prezesa bardziej niż wczoraj na Wielebnego. Czemu mi przypadają okruchy z pańskiego stołu? I co stało się tej miłej dziewczynie, że poszła w objęcia tego grubego potwora?

A najgorsze, że przez najlepszą noc mojego życia byłem zalany jak prosię w Zielone Świątki.

Zobaczyłem, że po Klarę podjeżdża czarna beemka, taka, którą widuje się tylko na filmach. Dziewczyna usiadła z tyłu. Ruszyli. Przestałem się w tym orientować.

Z Wielebnym rozumieliśmy się bez słów. Podkrążone oczy, zarost i nieznikający uśmiech. Nie miałem już powodów do zazdrości. Przywitał mnie kawą. Godzinę później zrobiłem kolejną. Lombard działał na mnie kojąco.

– Słuchaj, Tymon – powiedział Kramer markotnie. – Musimy pogadać o zaufaniu. Żałuję, że Waldek nie żyje, bo nie musiałbym teraz rozmawiać z tobą. Powiedzmy, że z tym facetem w kolorkach...

– Z Prezesem – uzupełniłem.

– Dobre imię – zauważył Wielebny.

– Więc z Prezesem – ciągnął niewzruszony Kramer – zawarliśmy pewną umowę, z tamtej perspektywy niezwykle korzystną. Teraz... dużo mniej. Chyba powinienem powiedzieć, jak przykro mi, że cię w to wplątałem.

Wielebny obdarzył mnie przeciągłym spojrzeniem.

– Umowa wciąż obowiązuje, ale pewne warunki uległy zmianie. Można powiedzieć, że dopisano aneks. Nie zauważyłem, nie zauważyliśmy – wskazał na brata – tekstu drobnym drukiem. To ciebie nie interesuje. Ważne jest tylko to, żeby nie przejęli lombardu przed Bożym Narodzeniem.

– Co wtedy?

– Diabeł wyczyści ci tyłek miotłą ognistą – rzucił Wielebny.

– Daj spokój – poprosił Kramer. Wielebny narzucił kurtkę na ramiona, machnął ręką i wyszedł.

– Mam coś do załatwienia – krzyknął zza drzwi, w odpowiedzi na pytający wzrok Kramera.

Kramer westchnął i zapalił.

– Czasem myślę, że zostałem sam z tym wszystkim – westchnął. Przez szybę widziałem, jak Wielebny wsiada do audi Kramera i rusza z piskiem opon.

– Wziął twoją furę.

– Nieważne. Posłuchaj mnie, Tymon – położył mi ręce na ramionach. – Nie wiesz, o co tu chodzi. Niech tak zostanie, dobrze? Ale nie wolno za żadną cenę dopuścić, aby Prezes przejął lombard. Może tu przyjść. Kusić cię górami złota. Stać go na to. Czasem myślę, że ma wszystkie pieniądze świata.

Gryzł wargi, na czole zbierał się pot. Kramer przypominał królika zagonionego przez psy do płytkiej nory.

– Cokolwiek ci oferuje, odmów. Nie rób tego dla mnie, zrób dla siebie. Na umowach z Prezesem nikt nie wyszedł dobrze. Popatrz na Wielebnego. Popatrz na mnie. Tymon, chłopcze...

Myślałem, że wybuchnie płaczem. Puścił mnie i poszedł za ladę. Osunął się przy ścianie i zastygł w kuckach. Nie lubię, gdy facet toczy gluty jak panienka, ale Kramer wzbudził we mnie szczere współczucie.

W tym momencie byłem pewien, że go nie zawiodę.

Domyślałem się, gdzie może być Wielebny.

Agnieszka mieszkała na Nowym Bieżanowie.

Bieżanów, czyli *bierz za nóż*, nie trzeba filologa, by to odkryć. Niektóre osiedla w Krakowie są jak rak, który oderwał się od skażonego organizmu i rozpoczął własne, niepokojące życie. Miasto wypłuło z siebie taki Kurdwanów, Prokocim, właśnie Bieżanów i teraz chce o nich zapomnieć. Nawet tory są z boku. Tramwaj mija osiedla jak mąż żonę, brzydką i pijaną. Możesz przemieszkać tu lata i nie opuszczać Bieżanowa. Tu są kumple, knajpa, jest komu dać w mordę, powiesić na pętli tramwajowej i jeszcze złapać trochę grosza, gdy przyjadą kręcić film o blokiersach.

Bieżanów to także przestrzeń, głęboki oddech między blokami. Środkiem osiedla biegnie szary deptak. Rozcina zieleniec (wtedy zasypany śniegiem) jak brudne sukno. Bloki są bardziej szare niż gdzie indziej i miałem wrażenie, że wciąż rosną, wypływają z siebie kolejne piętra, jak brudna rafa. Najzabawniejsze, że w środku osiedla leży mały cmentarzyk, który w listopadzie zmienia się w ognisty dywan. Obok, na kiosku, napisano czerwonym sprayem: MŁODZI PRZECIWIW CHRYSZTUSOWI.

Mijałem koleśki na ławeczkach. Nikt tu nie patrzy, każdy ocenia. Spod czapeczek i kapturów wystawały dziobate twarze. Był gościu, który twierdził, że każdy z nas jest gwiazdą. Chętnie wziąłbym go za fraki, trzepnął kontrolnie raz i drugi, po czym zaciągnął na Bieżanów uczyć astronomii. Ci koleśki nie są tak twardzi, jak się mówi, nie mają też marzeń, które im się wpaja. Osiedle jest jak wieloryb i ma swój plankton. Każda epoka rodzi Jonasza na swoją miarę.

Agnieszka mieszkała w dziesięciopiętrowcu naprzeciwko cmentarza. Obiecałem sobie, że jeśli

zobaczę audi Kramera, nie wejdem na góre. Krążyłem jak mucha wokół gówna i wreszcie ich zobaczyłem. Siedzieli w samochodzie. Ciężka ręka Wielebnego leżała na ramieniu Agnieszki. Wielebny zapalił silnik. Ruszyli. Widziałem, jak wykręcają, zjeżdżają w dół i jadą główną szosą, z miasta.

Miałem wrażenie, że Wielebny odwraca się do mnie i unosi kciuk, że niby wszystko jest wspaniale.

Powinienem był odejść. Szach i mat. Bałem się, że ktoś mnie zaczepi. Morda nie szklanka, ale tego popołudnia mógłbym rzucić się na kolesia i odgryźć mu pół twarzy albo tłuc w ryj tak długo, aż zacznie charczeć, a oczy zrobią się białe.

Poszedłem do mieszkania Agnieszki. Nie mówię, że miałem przecucie, Chandler by się uśmieł, lecz coś mówiło mi, że na górze czeka mnie niespodzianka. Miałem klucze, ale drzwi były otwarte na oścież.

Agnieszka wynajmowała klitkę na dziewiątym piętrze. W pokoju starczyło miejsca na wersalkę, regalik i szafę. Czternastocalowy telewizor stał na kupie notatek. Ściany ozdabiałały zdjęcia. Większość przedstawiała mnie lub nas dwoje. Lubię zdjęcia. Patrzyłem chwilę i przypominałem sobie, co czułem, gdy je robiono. Zapomniałem. Dobry Boże, myślałem, nic już z tego nie pamiętam. Chciałem rozryczeć się jak Kramer przed południem.

Agnieszka spakowała się pospiesznie. W łazience znalazłem rzeczy wysypane z kosmetyczki. Szafa w pokoju była otwarta. Część ubrań leżała na podłodze. W kuchni stała niedopita kawa i popielniczka z górą petów. Niedopałki walały się po ziemi i stole.

Podniosłem. Na filtrze widniał ślad szminki. Agnieszka rzuciła palenie zaraz po obronie.

Na środku stołu leżała otwarta książka Kramera.

Kiedy podjechał samochód, akurat zamykałem lombard. Najpierw myślałem, że kolejny Żyd przyjechał na Kazimierz obserwować stare śmieci. Gdy zatrąbił, przypomniałem sobie. Do tej fury wsiadła Klara po wyjściu z mojego mieszkania.

Wolałbym już, aby sam diabeł przyszedł w towarzystwie kolegów i powiedział: *pan z nami*. Wsiadłem. Kierowcy nie pamiętam. Wiem, że miał ciemne okulary i twarz szczura. Byłem pewny, że dowiedział się o mnie i Klarze. Chce ze mną pogadać, zobaczyć strach w moich oczach, a potem wycisnąć jak dojrzałego pryszczka z białą główką.

– Puszczę ci coś fajnego – powiedział kierowca.

Mówił, jakby nie znał polskiego i czytał fonetycznie. Coś wcisnął i karoserią zaczęło bujać w takt muzyki.

– Szef to lubi – rzekł kierowca.

Prezes mieszkał na Woli Justowskiej, w domu, o jaki można podejrzewać szalonego szejka albo Murzyna, który dorobił się na dragach i hip-hopie. Musiałem samemu przejść przez ogród. Widziałem dach załamujący się w dziwnej symetrii, kolumny pozornie rozsypane bez ładu i składu, podgrzewane sadzawki pełne ryb wielkości noworodka, psy uwiązane na purpurowych łańcuchach, złote kłamki i błękitne żaluzje. Drogę do wejścia ozdabiałały posągi i zrozumiałem, że Prezes ma szmergla jak Kapelusznik po drugiej stronie lustra. Lord Byron stał obok Davida Irvinga, Adolf Hitler w zawadiacko

przekrzywionej czapce zerkał na Matkę Teresę. Potrzebowałem wysiłku, aby w drobnej i chudej figurce zobaczyć Charlesa Mansona, ale Marilyn Monroe, Piusa XII i przewodniczącego Mao poznałem bez trudu. Rząd posągów wieńczył sam Prezes, przebrany za Dionizosa i skromnie odziany w tunikę i sandały. Paznokcie rąk i stóp miał pomalowane na czerwono. Spoglądał wesoło na własną posiadłość.

Na drzwiach rozpościerała się kopia fragmentu *Szkoły ateńskiej*. O ile Platon stał jak zawsze, z *Timajosem* i ręką wymierzoną w niebo, to Arystoteles miał twarz Prezesa. *Etykę* trzymał niczym butelkę wódki, a prawą dłoń wysunął przed siebie, jakby chciał dać sygnał, że zaraz wróci i wszystko będzie wporzo.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko je pchnąłem.

Zaraz zagrał Saxon.

Stałem w sali wielkości boiska do kosza. Jedyнным meblem było biurko, za którym siedział Prezes i palił fajkę wodną.

Ściany pokrywały freski wyobrażające męczenników. Każdy miał trzy metry wzrostu i nosił szlachetne rysy Prezesa. Święty Szymon siedział na słupie w brudnych gatkach, z taką gracją, że brakowało mu tylko pilota i paczki chipsów. Z kolei na twarzy świętego przebitego chyba z pięćdziesiątką strzał zagościł wyraz bezrozumnego szczęścia, jakby właśnie skończył jointa i myślał o kolejnym. Poczcie humoru Prezesa sięgnęło dalej, bo za haszyszowym świętym dodał indiańskich wojowników w barwach wojennych.

Katowany przez rzymskich żołdaków święty Walenty także sobie nic z tego nie robił. Przeciwnie, wystawiał się do batów jak do lipcowego słońca. Różowym jęczyzkiem dotykał własnego nosa. Legioniści przypominali Niemców z radzieckich filmów wojennych, a prefekt zbira, który napada zakonnice na gościńcach.

– Każdy powinien mieszkać tak, aby u siebie w domu oddychał lepiej niż gdzie indziej.

Zdjął nogi z biurka. Tym razem miał czarny dres Adidasa, spraną koszulkę z uciętymi rękawami i czarną czapkę oficera SS. Ruchem dłoni wskazał na krzesło. Usiadłem.

– Jak praca?

– Da się wyżyć.

– Od pracy to ma się najwyżej garba. A jak wygląda twoje mieszkanie, chłopcze?

– Ma ściany, dach i podłogę.

Prezes podłubał w nosie, zrobił kulkę i pstryknął nią w stronę świętego Walentego.

– A ile masz lat? Trzydzieści, prawda? Przydałoby się wreszcie sięść na własnym. U Kramera będziesz miał na drinki, nie więcej. Lubisz wędrować od nory do nory, kłócić się z sąsiadami, czekać na podwyżki, powiedz mi, chłopcze, nie lepiej powiedzieć światu, by pocałował cię w dupę i zamknął się w czterech ścianach?

Na suficie Jerzy mordował czerwonego smoka. Święty i potwór mieli te same twarze.

– Wie pan, co mam na takie gadanie? Cztery piąte ludzi w tym kraju natychmiast zamieniłoby się ze mną.

– Ale za dziesięć lat już nikt. Mówię tylko, że trzeba przyszykować sobie miejsce do startu. Ile jeszcze chcesz dobrze się zapowiadać? Jaka dziewczyna poleci na trzydziestolatka, który cały majątek ma w kieszeni? Czy chciałbyś być z dziewczyną, która poleci na Tymona? Której będzie tak dalece wszystko jedno?

– Odpieprz się.

– Oto król dowcipnego dialogu. Nie zauważyłeś, że czasy liceum minęły? Niech cię nawet pokocha każda, jaką chcesz. Ale zrezygnuje z ciebie. Bo jesteś stary. Bo jesteś biedny. I jeśli zostanie, to tę biedę podzieli. Sama by się jeszcze na nią skazała, ale dzieciom tego nie robi. Bo kobieta myśli za siebie i dziecko, nawet gdy jeszcze go nie ma. Nie rozumiesz, że chcę ci dać szansę?

Zrobić z ciebie człowieka. Za śmiesznie małą cenę, z twojego punktu widzenia.

– Chcesz lombard?

– Przynieś mi książki.

– Czemu go nie kupisz? – to było jedyne sensowne pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Bo nie jest na sprzedaż – prychnął Prezes. – Idź, spytaj Kramera. Zobacysz, jaki to miły człowiek.

– Raczej – zebrałem się na odwagę – podziękuję. Za Kramera i za ciebie też. Głównie za ciebie.

– To dziwne – uśmiechnął się Prezes. Policzki uniosły się, falując – przecież wziąłeś już zaliczkę.

Nie wiedziałem, o czym mówi. Spojrzeliśmy na siebie. Prezes wciąż się uśmiechał. Zrozumiałem i także się uśmiechnąłem. Rechotaliśmy jak dwie stare żaby.

– Przyniesiesz mi książki lombardu.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz?

– Bo nie warto kantować dla sportu. Mieszkanie w centrum miasta, trzy pokoje. Dorzucam kino domowe i wielkie łóżko. Może zostawię ci Klarę. Może trochę forsy na rozruch. Ale lombard musi upaść. Szybko. Bardzo szybko.

– Niech zgadnę. Przed Gwiazdką? Prezes zabębnił palcami w biurko.

– Kramer ci powiedział – powiedział. – Dupa pali się pod starym capem. I dobrze, bo powinna.

Dobiliśmy interesu i mogłem odejść. Wyciągnął do mnie rękę. Ucisnąłem. Była zimna i śliska jak ryba. Prezes nie miał linii papilarnych. Tylko biała skóra we wnętrzu dłoni.

– Wielebny nie wrócił? Kramer pokręcił głową.

– Dorzucę od siebie, że pojechał z moją byłą panną – dodałem, żeby wiedział, kto tu ma gorzej.

– W tej chwili, bez znaczenia – rzekł wolno Kramer. – Teraz będzie dużo zależało od ciebie, Tymon.

Wyszedł.

Nie mogłem spać w nocy. Myślałem, w gruncie rzeczy niepotrzebnie, bo wybór zapadł. Jaki wybór? Prezes rozsmarowałby mnie żywcem na tych idiotycznych freskach. W pewien sposób walczyłem o życie. Dobre życie, dodajmy.

Jest specyficzna grupa zdrajców, do której niespodziewanie dołączyłem. Ich zdrada wynika poniekąd z konieczności. Zdradzają w obronie życia swojego lub bliskich. Ale, jakby dla osłodzenia moralnego dyskomfortu, pojawia się forsa. Jak wisienka na czubku tortu. W efekcie człowiek czuje się gorzej, bo zamiast koszulki z napisem NIE MIAŁEM WYBORU zakłada SPRZEDAJNY ZASMARKANY SZCZUR.

Pamiętałem, że Kramer to nikt w moim życiu. Jedyne zagrożenie, czyli błogosławiona pięść Wielebnego, oddaliło się wraz z moją eks na siedzeniu audi. Może Prezes nie da mieszkania, ale ocalę własny tyłek. A tyłek to było wszystko, co wtedy miałem.

– Chciałem zastawić książkę.

– Tu nawet psy można zastawić.

W lombardzie stało siedem nieszczęść i było facetem po czterdziestce. Kropeczka natychmiast zaczął ujadać.

– To dobra książka – wyseplenił. – Wygrałem ją w konkursie literackim. Pamiątka, można powiedzieć. Lubiłem do niej wracać.

– To czemu ją sprzedajesz?

Spojrzałem na faceta i pożałowałem tego pytania. Musiał ćpać coś paskudnego. Drżał cały, jakby właśnie odszedł od młota pneumatycznego. Nie był w stanie utrzymać na mnie wzroku.

Nie miał trzech palców w prawej ręce.

Położył przede mną *Dobry brzeg*. Moja zasrana książka.

– Mogłeś powiedzieć, że chcesz na wino. Facet przejechał ręką po posiwiałej czuprynie.

– Wiesz co? Masz tu pięć dych i idź ode mnie w cholere. A to zabierz, dobra? To lombard, nie biblioteka.

Z wahaniem wziął banknot, przesunął po nim kciukiem, spojrzał na mnie, na książkę, znowu na mnie i wyszedł, z *Dobrym brzegiem* za plecionym paskiem spodni.

Zabrałem księgi i zawiozłem je do Prezesa.

Piłem piwo. Barman brzęczał mi nad uchem. Pytał, jak praca. Brakowało mi oddechu na odpowiedź. Ciekawiły go dziewczyny. Odparłem, że w rozjazdach.

– Znam takie sytuacje – rzekł. – Byłeś lodówką, co? Prędeż marnym fiutem.

– Nie nadążam.

– Byłeś facetem, przy którym kobieta rozkwita – oświecił mnie – sprawdza, w jakich ciuchach jest jej najlepiej, która szminka leży, która nie, a ty dymasz ją w dobrej wierze. Sprawdza zagrywki. Łapiesz, co jej wolno, a co nie. A potem fruuu, w nowych piórkach do innego. Albo kurwić się za ciężki szmal.

– To ciężkie myślenie – dopiłem piwo. – Wszystkie kobiety to kurwy, tylko nie twoja stara.

– Tego nie powiedziałem.

– Dajże, chłopie, spokój. Możemy tu pierdolić, że na świecie jest trzy pieprzone miliardy kurwiących się szmat, a potem ślinić się za jedną, drugą, stawać na łapkach, wystawiać nos na pierdy, a potem trąbić wokoło, że wpadł nam ósmy cud świata. Śpiewa, tańczy, dokazuje, daje dupy i gotuje. Brawo, stary.

– O co się wściekasz?

– O to, że pewne rzeczy dzieją się po prostu. Nie ma planu. Żadna nie gdacze pod nosem: *zawrócę Tymonowi głowę na dwa lata, a potem polecę na wyższą grzędę* – są, jakie są. A jak dają nam dupę, to nawet o tym nie wiedzą. Ni chuj, panie kolego. I pamiętaj o tym, jak znów zapuścisz żurawia w cycki.

Pchnąłem kufel w jego stronę i poszedłem do wyjścia. Barman stał ogłupiały i pewno zastanawiał się, czy obraziłem go, czy nie.

Wyszedłem na Szewską z mocnym postanowieniem zmienienia knajpy i zobaczyłem Klarę w ciemnym zaułku koło kiosku.

– Bałam się schodzić na dół.

– Siewka.

– Zaczekaj.

Potrzebowałem jej jak dziury w głowie.

– Rozliczam się w gotowce.

– Prezes nie wie, że tutaj jestem.

Przystanąłem. Otulający ją płaszcz odsłaniał nagie kolana i klapki na gołych stopach. Palce miały kolor śliwek.

– Na to wygląda – zrzuciłem mundur wkurwionego kochanka i ubrałem nowy, dzielnego rycerza z pięknej bajki. – Dwie sprawy. Słuchasz mnie?

Skinęła głową. Nie mogła oderwać ode mnie wzroku.

– Pojedziemy do mnie tylko dlatego, że jest pieprzony grudzień. To raz. A jutro znikniesz. Obudzę się i ma ciebie nie być. To dwa. Jasne?

W domu zrobiłem herbatę z wódką. Klara siedziała na łóżku, wciąż otulona płaszczem. Stopy nabrzmiały z zimna. Wyszedłem do kuchni, a gdy wróciłem z filiżanką, dziewczyna spała, z kołdrą naciągniętą na brodę.

Nie mogłem zasnąć, wcale nie dlatego, że rozkładana kanapa była wygodna jak kupa gruzu. Słuchałem oddechu Klary, pijackich krzyków dwa piętra niżej, miałkotu marznących kotów i trzasku śniegu pod butami pierwszych przechodniów. Myślałem o zabranych księgach i o tym, że zagrałem na ślepo. O czwartej wstałem, wypłem kawę i spróbowałem pograć na komputerze, bez dźwięku, by nie zbudzić Klary.

Giercujesz na kompie? Zapytał głos w mojej głowie.

Jasne, brachu. Wygrywam poczucie sprawstwa.

Prezes zdobyłby lombard beze mnie. Tacy nie dają za wygraną. Być może zabiłby Kramera. Być może ocalił mu życie.

Waldi pewno także miał taką propozycję. Odmówił i, patrzcie państwo, jaki wypas ma w prostej trumnie.

A jeśli zgodził się zrobić to, co ja?

Usiadłem przy Klarze. Oddychała spokojnie. Miałem ochotę pogłaskać ją po twarzy. Zamiast tego, ostrożnie zdjąłem kołdrę. Dziewczyna spała na plecach. Rozpiąłem jej płaszcz.

Klara miała nocną koszulkę na ramiączkach. Ciało pokrywały siniaki, niektóre wielkości i koloru ziemniaka. Nad piersiami rozlewał się szeroki obrzęk, wzdłuż ramion biegły ugryzienia, podniosłem koszulkę i dostrzegłem, że brzuch dziewczyny jest ciemny i twardy. Damscy bokserzy najczęściej wiedzą, jak bić, by nie zostawić śladów. Prezes nie wiedział albo, co pewniejsze, miał to w dupie.

Klara otworzyła oczy.

– To mi wygląda na szpital, dziewczyno.

– Znajdzie mnie. Święte słowa.

– Ciągle ci zimno?

– Chce mi się pić. Dotknąłem czoła. Gorączka.

Przyniosłem soku i nastawiłem wodę na herbatę.

– Posłuchaj. Trzeba było mówić od razu. Nie zabrałbym cię tutaj. Domyśli się, gdzie poszłaś. Posłuchaj. Wypijesz teraz herbatę a potem pojedziesz. Tu są pieniądze.

Spojrzałem Klarze w oczy i zrozumiałem, że nie ma gdzie się podziać.

– Nie zostawię cię tak. Teraz musisz się stąd zabrać. Wezwę ci taksówkę. Pojedziesz na dworzec i wsiądziesz do pierwszego pociągu, jaki się trafi. Dam ci swoje ciuchy. Pójdiesz do szpitala w innym mieście. Znajdę cię.

Daj spokój, myślałem, wiesz, że nigdzie nie pojedziesz. Nie po to wszedłeś w imprezę z Prezesem, żeby teraz dać ciała. I tak zrobiłeś więcej, niż jej się należy. Powinieneś ją zabrać do Prezesa. Taki dobry z ciebie pracownik.

Mówił, że mi ją odda, gdy załatwię lombard. Zrobiłem swoje.

A może znów przysłał ją do mnie? Obitą w ramach pożegnania?

– Lombard...

– Już chyba po lombardzie – odparłem szczerze. – Lombard nieważny. On... nie wie, że tu jesteś?

Podniosła się na łokciach.

– Czasem myślę, że wie wszystko. Prezes jest diabłem.

– No, to nie jest miły facet.

– On naprawdę jest diabłem. Widziałeś jego dłonie?

Jasne, a Kramer to szpieg z Jowisza. Patrzcie, w jakim świecie człowiek żyje, jak nie szpieg, to kosmita, a jak nie kosmita, to sam szatan udaje gangstera.

– Ubierz się lepiej.

Otworzyłem szafę i zacząłem wyrzucać ubrania na podłogę.

– Wybierz sobie.

– Posłuchaj – przytuliła się do mnie – znam go. Nigdy się nie goli ani nie strzyże włosów. Fiut mu stoi na każde zawołanie. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie opada. Nie choruje. Nie śpi. Nie je.

– I nie sra – uzupełniłem.

– Żebyś wiedział.

– Może pieprzyć się do świtu. Noc w noc, bez snu.

– Gratuluję.

Chwyliła pierwszą z brzegu koszulkę i nałożyła nerwowo.

– Czemu mnie nie słuchasz?

– Słucham uważnie i wiesz, co słyszę? Że bardzo się boisz, tak bardzo, że nie umiesz mi o tym opowiedzieć. I nie śmieję się z ciebie – ująłem jej twarz w dłonie – po prostu staram się zwrócić ci rozsądek.

Klara pojechała o dziewiątej. Rozstaliśmy się bez czułości i chyba zdołała się pozbierać. Uważałem, że zrobiłem więcej, niż powinienem.

W lombardzie czekał na mnie Kramer, pijany jak prosię. Siedział w kucki pod ladą i sprawdzał, jakie cienie może rzucać butelka. Miał krowę bolsa i wszystko wskazywało na to, że sam wytrąbił ją przez noc.

– Bum. Na początku i na końcu. Patrzcie kolego, tak przemija chwała świata.

Najpierw pobita dziewczyna, potem zalany szef. Jeszcze nie było dziesiątej.

– Jedź lepiej do domu – poradziłem – zakręcę się tutaj. No. Wstawaj.

Spróbowałem go podnieść. Zacisnął mi ręce na szyi i krzyknął do ucha:

– Powiedz mi, czy pytałeś siebie kiedyś, po cholere ten cyrk z dobroczynnością? Czemu Waldi skoczył? Czemu zwiął Wielebny? I co w tym syfie robi gość, którego nazwałeś Prezesem?

Odsunął się. Cienka nitka śliny spadała z podbródka na koszulę.

– To dobra ksywa. Współczesna. Na miarę naszych dni. Napijesz się?

Podsunał mi butelkę. Pociągnąłem z gwinta.

– Zamknij drzwi. Usiedliśmy naprzeciw siebie.

– Kiedyś pracowałem na uniwersytecie – zaczął. – Antropologia. Badałem dłonie. Zwędrowałem pół świata. Robiłem badania. Pięć ciężkich lat. Nie było warto. Wszystko jest teraz gównie warte.

Mrugał oczyma, pluł i trzął się.

– Odkryłem coś, powiedzmy, przy okazji. To było jak cios w ryj. Olśnienie. Najpierw nie wierzyłem. Własnym zdjęciom, myślom, notatkom, temu wszystkiemu nie dałem wiary. Wszystko się kończy. To jest zapisane w dłoniach.

Zaczął szlochać. Z nosa zwisał mu zielony śpik.

– Wiesz, o czym mówię? O końcu całego tego syfu. O wielkim bum – klasnął w dłonie – o czterech jeźdźcach i ogniu zjadającym wszystko. Nasze domy, nasze dzieci, nas samych. O wściekłej pustce tuż za drzwiami.

Pół życia spędziłem w knajpie i nasłuchiwałem się takich historii. Nie można przerywać. Niech się wygada.

Kramer wytarł nos i wyprostował się. Mówił już spokojnie.

– Na każdej dłoni, tu, w Afryce, za kołem podbiegunowym, linie życia mają tę samą długość. Relatywnie. Rozumiesz, co to znaczy?

– Średnia życia się wyrównuje. Popatrzył na mnie z niesmakiem.

– Daj rękę. I spójrz na moją. Popatrz. To twoja linia życia. Będziesz żył trzydzieści lat. A to moja. Czterdzieści pięć.

– Na oko.

– Na oko – przyznał – ale przy paru tysiącach się wyrównuje. Możesz zmierzyć. Wyliczyć.

– Wróc. Nie nadążam.

– Przebadałem tysiące dłoni – westchnął – i odkryłem, że wszyscy umrzemy w tym samym momencie. Jakby Bóg zebrał nici wszystkich istnień na ziemi i nagle je przeciął. Puff! I nie ma. Tylko naga ziemia.

Pijacki bełkot, myślałem, nic dziwnego, że wyleciał z uniwerku.

– Powiem ci jedno, Kramer. Czytałeś kiedyś nekrolog?

– Ludzie umierają wcześniej. Ale nie później. Nikt nie umrze po tegorocznym Bożym Narodzeniu. Wielebny mi wierzył. Waldek też.

– Gratuluję, Kramer. Wpędziłeś chłopaka do grobu.

– Myślałem, że Wielebny pogodził się z końcem. Tak jak ja. Wierzyłem, że zaczekamy tu we dwóch, w lombardzie. W pewien sposób nawet go rozumiem. Chciał żegnać świat z kimś innym. Może milej. Na pewno inaczej. Daj tego dobrego.

Pociągnął potężny łyk. Pusta butelka poleciała w kąt. Na stole postawił następną, odbił i podsunął mi przed nos.

– No dobrze – powiedziałem. – Pójdźmy na pewien kompromis. Jest tak, jak mówisz. Pojutrze wszystko trafi szlag. Prawda? Ale co ma do tego lombard i ten pojeb w dresie i rożkach?

– Lombard – Kramer przełknął ślinę – jest naszym odkupieniem. Od roku razem z Wielebnym czyniliśmy tutaj dobro. Chcieliśmy uszczęśliwić ludzi i zmyć nasze winy. Tak zwany żal niedoskonały. Żal za grzechy.

– Musiałeś nieźle narozrabiać. A Prezes?

– Prezes, Prezes – wymamrotał. Alkohol odbierał mu głos. – Powiedzmy, że zrobił coś kiedyś dla nas. Wielebny chciał forsy i ją otrzymał. Ufundował lombard. Ja chciałem być naukowcem. Dokonać ważnych odkryć. Znaleźć w człowieku nieprzeczytane strony.

Spojrzałem w swoją rękę.

– No to pełny sukces.

– Dzięki – skrzywił się – ale wszystko ma swoją cenę. Prezes pozwolił mi przewidzieć dzień mojej śmierci. Marny interes. Ale Prezes ma poczucie humoru. Pewno turlał się ze śmiechu w tę noc, kiedyśmy się dogadali. Teraz robi wszystko, by przejąć lombard. By nam się nie udało... załagodzić. Odkupić. Nazywaj to jak chcesz.

Znów pociągnąłem z gwinta.

– Powiedz, Kramer – zapytałem – co sprzedałeś Prezesowi? Wstał i bez słowa zniknął na zapleczu. Wrócił ze swoją książką.

– Tu jest wszystko opisane – położył ją na ladzie.

– Co sprzedałeś Prezesowi? – powtórzyłem.

– Sprzedaliśmy – uzupełnił – ja i Wielebny.

– Powiesz mi, czy nie?

– Myślałem, że to żart. Że Prezes to milioner z gównem w głowie, nikt więcej. Straszliwie się pomyliłem. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Prezes jest diabłem. Upadłym aniołem z kolcami na fiucie.

Kramer skulił się na krześle. Wstałem, nie mogłem już go słuchać.

– Powiem ci tyle, że to największy nonsens od czasu niebieskiej Pepsi.

– Serdeczne dzięki. Przeczytaj książkę.

Narzuciłem kurtkę na ramiona. Położyłem dłoń na klamce.

– Jasne, że przeczytam. W drugi dzień po Świętach.

– Tymon! – krzyknął za mną. Pozdrowiłem go uniesioną dłonią i wyszedłem. Prawdę mówiąc, uciekłem.

Dzięki reklamom jogurtów ludzie nienawidzą dzieci. Z Bożym Narodzeniem jest podobnie. Nie ma gdzie się schować przed tą silikonową radością, wściekłą paletą radosnych kolorów, reanimowanym entuzjazmem i Santa Clausem klepiącym dziewczynki po nieletnich tyłkach. Rynek przypomina obaloną choinkę, z bezładnie rozsypaną garścią świateł. Przy mdliścieżółtym Empiku, kolorowych budach, czerwonych szyldach kościoł Mariacki wygląda jak ubogi krewny. Idę o zakład, że najlepszym dniem do przejścia na ateizm jest Wigilia, a gdyby Jezus znów przyszedł na świat, natychmiast kazałby ukrzyżować się ponownie.

Pętałem się po mieście.

Wpadłem do kafejki internetowej i pograłem w Counter Strike, poczytałem pornosy na pierwszym piętrze w Empiku, poprzymierzałem buty i kurtki, kupiłem sobie koszulę w kwiaty, ale nie mogłem zapomnieć o Kramerze. Patrzyłem na ludzi uwijających się jak bezrozumne pszczoły i wciąż myślałem, że zaraz niebo pęknie niczym wrzód i zaleje nas ogniem. A może po prostu wszystko zniknie. Ktoś zdmuchnie świece. Zamknie książkę. I cześć. Do widzenia. Rodzice będą za pół godziny, impreza

skończona. Jeb!

I po planach marketingowych, pomysłach na ozdrowienie kraju, nowych podatkach, przypadnie chesne na studia, a ci tam, co pędzą Floriańską, zupełnie niepotrzebnie kupili ten wózek. Nie ma. Hop, kopniak w nicość.

Jak wkomponować w to szatana na Woli Justowskiej, w dresie, słuchającego emerytów z Saxon?

Kramer oszalał. Może zawsze miał szmergla? W innych czasach chodziłby po wioskach i przywoływał deszcz za miskę zupy. Nie można mu wierzyć. Pewno sam nie pamięta, co powiedział. Leży w lombardzie i wyrzuca płuca. Nie będzie zagłady. Tylko kac rozwali mu głowę, a po Świętach przywita mnie i powie: *stary, naprawdę uwierzyłeś w te pierdoły?*

To pomysł na pieniądze – odpowiem mu – obkakuj talk showy. Albo załóż gazetę. My z Wielebnym siądziemy i od rana do nocy będziemy wymyślać kolejne brednie. Ludzie to kupią.

Ja prawie kupiłem.

Zamówiłem taksówkę i pojechałem na Bieżanów. Mit dzielnicy osłabł – mieszkania nie ograbiono. Książka Kramera leżała tam, gdzie ją położyłem.

Zacząłem czytać.

Spałem przy stole.

Obudziły mnie wrzaski. Głowę miałem jak ze szkła.

Pokój Agnieszki przypominał układ płaszczyzn, był jak obrazy stojące w nieładzie pod ścianą. Znajdowałem się gdzieś obok, półśpiący, na glinianych nogach. Mdlilo mnie i myślałem, że upadnę na schodach.

Dałem sobie pół godziny.

Wypiłem kawę w osiedlance i poszedłem na spacer. Musiałem wyglądać jak zombie albo cyrkowe dziwadło. Wszyscy patrzyli na mnie, ale nikt się nie zbliżył. Próbowałem ułożyć wszystko, co wiedziałem. Zbudować strategię przetrwania. Boże, ale chciało mi się pić.

Zamówiłem taksówkę i pojechałem na Wolę Justowską odebrać rachunki lombardu.

Na Woli nawet słońce świeci inaczej. Różnica jest jak pomiędzy filmem wyświetlanym na obszczanym prześcieradle i na ekranie perełkowym. Blask poranka zaszczyca białe fasady budynków, ozdabia kunsztowne framugi i skromnie opada na merole i beemki. Z największą pokorą promienie spływają na garaże i fontanny. Nieśmiało prześlizgują się po taflach sadzawek. Świecą jaśniej, czystiej, intensywniej niż na takim Kazimierzu czy Bieżanowie. Kiedyś, myślałem sobie, słońce nie wzejdzie nad Bieżanowem. Znajdziemy je nad Wolą Justowską, stroszące się jak żółta papuga.

Dom Prezesa robił mniejsze wrażenie niż za pierwszym razem.

Brama do ogrodu była otwarta.

Jakby mnie zaproszono.

Jedyną dostępną bronią okazał się długi kij do wylawiania śmieci z dna sadzawki. Przełamałem go w połowie, nie bez pewnego trudu. Kwiaty, ryby w wodzie, wszystko było jak namalowane.

– Te, młody, idziesz na pieszczoszki? – krzyknęła Marilyn z pomnika.

– Spadaj, stara ropo! – odparłem, mijając ją.

– Można to nazwać kryzysem wiary – odezwał się Pius XII z drugiego cokołu – z wątpieniem w moc Bożą. Idź Bożą ścieżką, a staniesz się częścią Stwórcy. Przez wieczność będziesz patrzył na męki grzeszników.

– Hitler, Hitler, Hitler – przedrzeźniał go Manson z cokołu obok.

Pomnik Prezesa zmienił pozycję. Trzymetrowy grubas z granitu leżał i wygryzał brud z paznokci u nóg.

– Hej, chłopcze, prrr! – odezwał się spokojnie. – Mogę zapytać, gdzie idziesz i po co? Myślałeś kiedyś, jak wyglądałby świat, w którym ludzie nie dotrzymują umów, w którym słowo jest nic niewarte? Czy zrobiłem ci kiedyś coś złego? Obiecałem kupę forsy i nie masz jej tylko dlatego, że jeszcze po nią nie przyszedłeś. Wepchnąłem ci dziewczynę do łóżka i sprawiłem, że cię pokochała. Myślisz, że ona tak sama z siebie?

– Zamknij się i ucisz pozostałych.

– Przecież nic nie robię. Tylko mówię. Skąd pomysł, że spróbuję cię powstrzymać? Zawsze działali za mnie ludzie. Ja mówiłem, doradzałem. Ale nigdy nie skrzywdziłem nikogo własnymi rękami. On – ściszył głos i wskazał na Mansona – myśli podobnie, ale uwierz mi, to gówno, a nie sofistyka.

Usiadł na cokole i zaczął machać nogami w powietrzu.

– Usiłuję ci powiedzieć, że Klara zapomni o tobie, kiedy tylko zechcę. Kiedy mnie zmusisz, abym się wycofał. Różnica jest taka, że ona natychmiast zapomni. Ty nie.

Minąłem go i poszedłem w stronę bramy.

– W tej historii jest tylko jeden uczciwy – krzyczał. Obejrzałem się. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wypluwał drobiny granitu jak ślinę. – Ja! Nikogo do niczego nie zmuszałem. Płaciłem dobrze. Czemu odmawiasz mi tego, co moje?

Położyłem rękę na klamce.

– Nie boisz się? – syknął. – Jak myślisz, co tam zobaczysz? Otworzyłem drzwi, z myślą, by zamknąć za sobą jak najszybciej. Żeby nie słyszeć już tego węża.

Wszedłem do mieszkania Waldiego. Te same brudne ściany, materac i kartony. Tysiące kartonów, zalegały pod sufit. Materac upleciono z kartek *Biblii* adwentystów.

Waldi siedział na parapecie, tyłem do mnie.

– Zaraz – powiedział.

Odwrócił się i obdarzył mnie zmęczonym spojrzeniem. Miał moją twarz, ale nie od razu siebie poznałem. Pod oczyma wyrosły dwa czarne bąble. Brązowy uśmiech wyglądał jak namalowany. Przez blade policzki biegły płytkie bruzdy. Podbródek zlał się z szyją.

Uniósł (uniosłem?) rękę tak, bym widział jej wnętrze. Westchnął (westchnąłem?) jeszcze i wybił (wybiłem?) się z parapetu.

Odgłosowi upadku towarzyszyły rześiste brawa z dołu.

Karton na stole był niedopity. Pociągnąłem zdrowego łyka i wszedłem do łazienki.

Łazienka okazała się pokojem redakcyjnym. Na jednym biurku tłoczyły się komputer, drukarka i skaner. Tablicę korkową wypełniały informacje sporządzone pospiesznym, pochyłym pismem. Drugie biurko pokryły gazety. Prasówka.

Wszystkie z bożonarodzeniową datą.

Okładka „Wprost” przedstawiała upstrzony gwiazdami kosmos. Bił z niej chłód. Niebieskie litery głosiły, że nastał KONIEC. *Doczekaliśmy się*, tak brzmiał nagłówek „Wyborczej” ułożony z czarnych, boldowanych liter. Zdjęcie wyobrażało Prezesa w koszuli hawajskiej, rożkach, ciemnych okularach i z parasolem. Za nim wznosił się grzyb atomowy.

Nie dano nam szansy, ogłaszał „Super Express”.

Zbierajmy na Sanktuarium Dnia Ostatniego – ten napis zajmował połowę pierwszej strony „Naszego Dziennika”. Ojciec Wszystkich Polaków z uśmiechem ścisnął rękę Prezesa, który przekazywał mu walizkę na zamek szyfrowy.

Ja pierdolę. Wybacz, dobry Boże zajmowało pierwszą stronę „Nie”.

Zdecydowane Tak dla UE. Wyniki najnowszych badań. „Dziennik Polski” jako jedyny zdecydował się przekazać czytelnikom budujące informacje. Dopiero niżej drobnym drukiem stało, że *Zagłada świata nie może być zagrożeniem dla humanizmu. Rozmowa z prof. Peremekiem.*

Cisnąłem gazety w kąt i poszedłem dalej.

Nim doszedłem do drzwi, zjawił się Wielebny, w rozpiętej koszuli i wytartych jeansach.

– Przyszedłem ci powiedzieć, żebyś odpieprzył się od mojej dziewczyny.

Jezu, jak mi przywalił. Poleciałem do tyłu, uderzyłem o ścianę i osunąłem się na ziemię. Z tej perspektywy Wielebny wydał mi się olbrzymi. I coś było z nim nie w porządku. Coś z twarzą, coś z głową...

– Słyszysz?

Kopnął mnie w krocze.

Po chwili przestał bić i zaczął krążyć. Podniosłem głowę. Świat drżał. Rozwalił mi jaja, myślałem – już po sukcesie rozrodczym. Jeszcze jeden cios i będzie też po ruchaniu. Jeszcze dwa i po mnie. Wielebny pochylił się.

Wiedziałem już, co jest nie tak.

Po środku głowy widniała dziura wielkości piłki tenisowej. Uśmiechnął się i dostrzegłem, że ma połamane wszystkie zęby.

– Słyszysz? – powtórzył.

Tym razem przywalił mi w splot słoneczny.

Straciłem oddech.

Wiecie, kiedy należy przestać tłuc faceta? Gdy charczy i wywracają mu się białka. To znak, że ma dosyć, a każdy następny cios może posłać go do aniołków. Wielebny z pewnością wiedział o tym. Brakowało mi wiary, że się powstrzyma.

Wstałem z trudem.

Jaja miałem gdzieś w kolanach, plułem krwią.

Zamierzyłem się kijem.

Wielebny spojrzał na mnie z politowaniem.

– Odpieprz się od mojej dziewczyny – powtórzył. Zamachnąłem się. Nim kij opadł, Wielebny zniknął. Wszedłem do sali, w której przyjął mnie Prezes.

Freski przedstawiały mnie, z Agnieszką, Klarą, Kramerem lub Wielebnym.

Na środku biurka leżały rachunki i kawałek tektury pokrytej kanciastym pismem: KAŻDY ZBAWIA SIĘ SAM, MISIACZKI.

Trudno uwierzyć, ale do alej doszedłem piechotą. Wichura miotła ostry śnieg. Przeszedłem Wolę Justowską z pustym łbem i rachunkami głęboko w kieszeni. Za mostem skręciłem i wybrałem spacer środkiem Błoń, grzęznąc po kolana w śniegu. Patrzyłem pod nogi, a gdy podniosłem głowę, spostrzegłem, że nie wiem, dokąd iść. Jakbym znalazł się w szklanej kuli, która obraca się w przeciwną stronę, niż ja wędruję.

Zdjął mnie dziwny niepokój, że nie dotrę, zamarznię w nocy, a ziemię załatwi nie płomień, ale śnieg. Zasypie nas, zmieni miasta w lodowe mauzoleum, rozkwitnie jak zimny kwiat na szybie. Spodobało mi się to. Będę szedł, myślałem, a moje nogi przestaną być moimi nogami i skruszą się. Zamarzną mi oczy, palce polecą z wiatrem i będę wirował ze śniegiem. Nic nie poczuję, nie połapię się nawet, że już mnie nie ma.

Ale z wichury wyłoniły się neony hotelu Cracovia, światła w akademiku i przy muzeum. Zadzwieczał tramwaj, zaszczekał pies. Dresy z kapturkami naciągniętymi na nosy przytupywały na przystanku.

Musiąłem wyglądać jak duch albo zagubiony renifer, bo wszyscy zaczęli na mnie patrzeć, bezwstydnie, bożonarodzeniowo.

Wsiadłem do taksówki i kazałem zawieźć się pod lombard. Taksówkarz przypominał leśnego skrzata, ze śmieszną brodą i brwiami, pod którymi kryły się złośliwe oczka.

Radio grało na cały regulator. Spiker psuł świąteczny nastrój ponurymi informacjami. Były ksiądz został znaleziony w pokoju hotelowym wraz z kochanką. Ksiądz zastrzelił kobietę (jak znam Wielebnego, strzelił kilka razy w pierś, nie, Wielebny nie był z tych, którzy celują w głowę), a potem pierdolnął sobie w usta.

– Powiem panu coś zabawnego – taksówkarz widział mnie w lusterku. – Żona mówi mi, że zwariowałem. Ale rok temu, też w Wigilię, diabeł wyskoczył mi pod koła. Pasażer, co z przodu siedział, mówił, że to duży kot. Ale ja wiedziałem, że to pieprzony szatan.

– Jak poznać diabła ery komputerów?

– Normalnie. Był czarny jak smoła i miał oczy jak koła młyńskie.

– I co pan zrobił?

– A co pan by zrobił? Dodałem gazu i przejechałem skurwysyna.

Kramer siedział okrakiem na stołku i patrzył w okno.

– Cześć – powiedziałem.

Spojrzał na mnie przyjaźnie, ale nic nie powiedział.

– Mam coś dla nas – podstawiłem mu pod nos rachunki lombardu. Kramer wypuścił powietrze ze świstem i spojrzał na mnie wzrokiem zmęczonym, lecz pełnym uznania.

– Czekałem na ciebie.

Postawił drugi stołek i zastukał w siedzenie.

Usiadłem. Wyjąłem paczkę fajek, chciałem poczęstować. Pokręcił głową, wyjął mocnego i zapalił. Na dworze wciąż szalał śnieg.

Czekaliśmy.

Obudziłem się z nosem na parapecie i z zeszywniałym karkiem. Śnieg już nie padał. Na białe hałdy padało grudniowe słońce. Kramer zsunął się ze stołka i spał na podłodze, w cienkim sweterku, posiniały z zimna. Pomogłem mu wstać. Z niedowierzaniem przecierał zaspane oczy.

– Nic się nie zmieniło – powiedziałem. – Pomyliłeś się, Kramer. Rypnąłeś się. Nie mam pojęcia gdzie, ale się rypnąłeś.

Kramer patrzył uważnie w swoją rękę. Spojrzałem w swoją. Brudna i zmarznięta. Żadnych zakłęd,

żadnych przepowiedni. Podniosłem głowę. Musiałem mieć strasznie dumny wyraz twarzy, bo Kramer zarechotał.

– Chodź. Wstawaj.

– Jestem głodny.

– Zjemy na dworcu.

Tak dowiedziałem się, że gdzieś jedziemy. Kramer okrążył lombard, zabrał swoją książkę i kilka drobnych gratów, które musiał polubić. Ja siedziałem na parapecie, z zimnym papierosem, i próbowałem doprowadzić się do ładu.

– Chodź – ponaglał mnie Kramer.

– Zapomnieliśmy o czymś – powiedziałem.

– Nie, nie – rzucił zaaferowany Kramer – wszystko gra.

– Po pierwsze jest szósta rano. Pierwszy dzień Świąt. Nawet kolejarze są pijani. Po drugie, zapomniałeś o nim.

Kramer myślał chyba, że mówię o Prezesie. Ale spod lady wysunął się Kropeczka z wściekłym wzrokiem głodnego zwierzęcia. Na znak protestu odlał się przy regale z komputerami. Kramer próbował go pogłaskać. Kropeczka szczeknął zawadiacko i wybiegł przez drzwi, które otworzyłem.

Owiało nas zimno.

– Kropeczka! – wołał Kramer. Psiak przybiegł do niego. Kramer zarzucił plecak na ramię i kiwnął ręką, że czas iść.

– Nie zamykasz lombardu? – zapytałem. Drzwi zostały otwarte na oścież. Kramer tylko wzruszył ramionami.

I poszliśmy.

Odezwał się dopiero w monopolowym. Kupiliśmy litr wódki na drogę.

– Zastanawiam się – mówił – dlaczego tak się stało. Czyli nic się nie stało. Możliwe, że się pomyliłem. Albo wyrok został odwołany. Albo – przełknął ślinę – odroczoney.

– Co to zmienia?

– Nic, Tymon. Zupełnie nic – wziął Kropeczkę i poszedł przodem, pogwizdując.

Dworzec przypominał wymarły zespół bunkrów. Śnieg przysypał budki i autobusy. Gołębie tuliły się w załomach. Samotny strażnik miejski schronił się w budce telefonicznej. Poszliśmy dalej, do podziemnej części dworca, kupić bilety. Zegar wskazywał szóstą rano.

W podziemiu natrafiliśmy na pobożowisko po Wigilii bezdomnych. Pijaki spały rzędem na ławce. Tylko jeden rozwalił się przy ścianie, podobny do morsa, który wykapał się w ropie z dziurawego tankowca. Wkoło wałały się plastikowe butelki z resztkami wina i kawałki chleba ze śladami ugryzień.

Dalej, za kasą, siedziała Klara, z głową między kolanami.

– Czekałam na ciebie. Dzwoniłam. Nie wiedziałam, co robić. Kropeczka zaczął ujadać, podbiegł do niej i polizał po ręce. Dobry Jezu, trochę mi wstyd, bo odstawiliśmy wenezuelską szopkę. Długo, długo trzymałem ją w ramionach, zmarzniętą i kruchą. Jej oddech dawał mi siłę. Czułem jak po plecach spływają mi ostatnie dni: Agnieszka i Wielebny, Prezes, książka Kramera, noc z głową na parapecie. W ten rano, na dworcu, z oszalałym Kropeczką, zniecierpliwionym Kramerem i Klarą, poczułem, że wreszcie jestem u siebie.

– Kupić trzy? – zapytał Kramer.

– I dowiedz się o psa. Kramer powędrował do kasy.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Klara. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– W cholerę – zakaszlałem. Później okazało się, że nabawiłem się paskudnego przeziębienia – lub, jak wolisz, gdziekolwiek.

Wylądowaliśmy w Gdańsku i wynajęliśmy dwupokojową dziurę na którymś z osiedli. Trochę chorowałem, ale szybko stanąłem na nogi, chyba dzięki troskliwości Klary i energii Kropeczki.

Staliśmy z Kramerem w pośrednictwie pracy.

Kramer jechał palcem powoli, po ofertach na tablicy.

– Napiszę o tym – powiedziałem.

– To będzie książka.

– Bez przesady. Może opowiadanie, parę stron.

– Zostaniesz pan artystą.

– Wiesz co, pierdolę...

Ale Kramer nie chciał mnie słuchać.

Jego palec zatrzymał się na ogłoszeniu. Spojrzałem.

Wiedzieliśmy już, co robić.

Różnica między Gdańskiem a Krakowem jest jak pomiędzy piękną studentką a nadmuchaną silikonem gwiazdą porno. Nawet tramwaje jeżdżą inaczej. Ciszej i częściej.

To był jeden z ostatnich przystanków, kiedy weszli ci kontrolerzy. Dziewczyna, która z nimi była,

natychmiast stanęła z boku i nie ruszyła się przez całe przedstawienie. Chłopak i gość po czterdziestce wzięli przedział na dwa fronty, pokrzykując głośno.

- Kontrola biletów, kontrola biletów. Dzień dobry państwu. Pasażerowie zeszywnieli. Student w koszulce TOOL'a zaczął przesuwać się do drzwi, naiwnie wierząc, że zostanie niezauważony.
- Bilecik, proszę – powiedział starszy z kontrolerów.
- Zostawiłem w domu kartę – tłumaczył się głupio. Po oczach widać było, że kłamie i wie, że przegra.
- Nie ma biletu. Dobrze – rzekł kanar – dobrze. W takim razie proszę bardzo.
- Wręczył chłopakowi połówkę i poszedł dalej. W drugiej części wagonu młody kanar rozdawał dzieciom cukierki

OBJAWIENIA

Samochód zatrzymał się w Brzezimierzu. Krople zabębniły o karoserię. Adam pomyślał, że w poprzednim życiu był londyńską dziwką, wziął teczkę z ankietami i poszedł poboczem w stronę zabudowań.

Deszcz jest przekleństwem i zbawieniem ankietera. Wiejska droga zmienia się w błotnisty strumień, pobocze w bagnisko, a przemoczony ankieter sprawia wrażenie tak żalosne, że grzech go nie wpuścić do domu. Niósł sześć kwestionariuszy i liczył, że przed zmrokiem wróci do Legnicy.

Widział kilkanaście domów przyciśniętych do siebie, neogotycki kościół, przysadzistą plebanię i tartak naprzeciwko. Wokoło rozciągały się pola. Wypatrzył sklepik z wyblakłym szyldem (SKLEP SPOŻYWCZO-PRZEMYSŁOWY, głośiły bladożółte litery), ławkę obok i coś, co udawało knajpę. Pozostał szyld Żywca, ale drzwi wyłamano, szyby wybito. Adam zerknął na listę adresów, poszedł za zakręt, by stwierdzić, że wieś tutaj się kończy. Droga biegła dalej prosto, po obu jej stronach rosły drzewa. Żadnego domu. Cały Brzezimierz zmieścił się na łuku ulicy. Przez wieś sunęło błoto i Adam nie mógł pojąć, jakim cudem cokolwiek może spływać w tak płaskim miejscu.

Wszedł między domy. Wylało szambo. Deszcz rozpadał się na dobre, przegonił psy, kury i ludzi. Adam zawsze zaczynał pracę od rozmowy z wójtem, ale tym razem poszedł do księdza. Plebania tylko z daleka wyglądała nieźle, z bliska biel okazała się brudną szarością. Adam dzwonił, stukał, zaglądał w szyby i chciał już iść do kościoła, gdy wyrósł przed nim chłopiec.

Dzieciak miał niebieski dresik z bazaru i spraną koszulę. Stał oparty o plebanię i nic nie robił sobie z deszczu. Ciemne, półdługie włosy przykleiły się do pociągłej twarzy. Patrzył na Adama bezmyślnym spojrzeniem. Adam wydobył identyfikator, powiedział, że jest ankieterem, przyjechał aż z Legnicy, potrzebuje porozmawiać z tym i tamtym, czy może ich znasz, chłopczyku, broń Boże, nie chcę niczego sprzedać, anonimowość sto procent, każdy ma swoją pracę. Mówił, oczy chłopca zrobiły się okrągłe, a na końcu nosa załśniła koza. Chłopiec strącił ją językiem.

– Yyyaaa – wydobył z siebie i objął nogę Adama. Adam delikatnie wyswobodził się z uścisku, uklęknął przed chłopcem i spojrzał mu w oczy, dwie nieobecne bramy donikąd. Chłopiec wyjął mu z ręki identyfikator, polizał, oddał i znowu się przytulił.

– Gdzie jest twój tata? – zapytał Adam. Chłopiec poderwał się, podskoczył i pobiegł w stronę domów, zachęcając Adama, aby ruszył za nim.

– Teraz będę wariował! – ucieszył się chłopiec i przeokoziłkował przez drogę. Miał piskliwy głos.

Zaprowadzisz mnie do taty? – powtórzył Adam. Chłopiec znów wykonał fikołka w błocie i zwolnił. Zrównali się. Adam nie lubił niedorozwiniętych, szczególnie dzieci. To takie coś pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem i nie wiadomo, jak się do tego zwracać. Kiedyś trafił do świetlicy dla dzieci z zespołem Downa. Świetlica nazywała się „Bardziej kochani”, podopiecznych określano jako muminki, opiekunowie nazywali siebie paszczakami i Adam uważał to za makabryczną alegorię. Chłopiec wydawał się być uradowany przybyciem ankietera, krążył wokół Adama, wyrzucał ręce w powietrze, wreszcie rozchichotany siadał na ziemi, rozpryskując błoto.

Deszcz przeszedł w mżawkę, rzeka szlamu w kałużę, niebo przecięły pasma światła.

– Daleko jeszcze? – chciał wiedzieć Adam. Weszli między domy. Szambo musiało wylać niedaleko. Smród narastał i Adam pomyślał, że dzisiejszy dzień to kwintesencja pecha. Oto przyjechał za marnym groszem do miejsca, o którym nie chce myśleć Bóg, diabeł ani nawet proboszcz. Lunęło jak na zawołanie, zewsząd wylało błoto zmieszane z gównem i pewnie tu jest jeden drewniany kibel dla wszystkich i jedna szmata do podcierania na zardzewiałym gwoździu. Oto maszeruje przez syf z radosnym niedocofem, debilem, może miejscowe chłystki podpierdoliły już koła albo i całego fiata i zapewne posiedzi tutaj do rana, żebrząc o nocleg u tych barbarzyńców. Chłopiec dawał znak ręką, że trzeba się spieszyć. Adam, z telefonem w jednej i teczką w drugiej ręce, dotarł do domu. Chłopiec odsunął się od drzwi i usiadł na schodach, po których spływała woda. Adam nacisnął łokciem dzwonek. Zabrzmiało *Dla Elizy*.

Zrezygnowany, spojrzął na moknącą motorolę, na ankiety w przeźroczystej teczce, utyłane jeansy, jeszcze raz na drzwi i odwrócił się do chłopca. Chciał zapytać, czy tato w domu, ale dzieciaka już nie było. Zaklął, zbiegł po schodach, zajrzał za dom. Zawołał i przypomniał sobie, że nie wie, jak mały ma na imię.

Poszedł z powrotem na drogę, zastukał do sklepu, zajrzał do zrujnowanej knajpy. W Brzezimierzu nie było nikogo.

Siedział we fiacie i wypełniał ankiety. Mógł fałszować w domu, pewno zrobiłby to lepiej, ale chciał mieć wieczór dla siebie. Wróci do Legnicy na ósmą, zapoda nutę i będzie leżał w wannie. Zapali jointa i będzie zajmował się dolewaniem wody. Wyobrazi sobie, że wanna jest tak duża, że może wyciągnąć nogi i rozkrzyżować ramiona. Potem będzie leżał przed telewizorem, cholernie wielkim telewizorem z pieprzonym płaskim ekranem. Będzie palił, sącył, znowu palił i sącył w dwójnasób, przerzucał programy, aż pogubi się na linii snu i jawy.

Skończył wypełniać, złożył ankiety, zawahał się chwilę, nim schował je do teczki. Złapany na oszustwie pożegna się z pracą. Podniósł głowę i spojrzął na Brzezimierz. Ściemniało się. Jeśli zjawi się kontrola, znajdą puste domy. Nie udowodnią, że nikogo nie było tu wcześniej. Adam rzucił ankiety na tylne siedzenie. Samochód ruszył i podskoczył, jakby przejeżdżał przez kłodę drewna. Adam uderzył głową w sufit i nim zdążył zahamować, fiat zatrzęsł się ponownie. Adam otworzył drzwi za trzecim szarpnięciem.

Spodziewał się psa albo sztachety podłożonej przez skrytego w deszczu złośliwca. Na ulicy leżał znajomy chłopiec, bezapelacyjnie martwy, krew mieszała się z deszczem. Oczy patrzyły w niebo ze szklanym zachwytem.

Adam pochylił się nad chłopcem, dotknął szyi i natychmiast cofnął rękę. Martwe ciało napawało go wstrętem. Usiadł w wodzie i zacisnął dłonie na głowie, jakby chciał powstrzymać ją przed pęknięciem.

Zawsze mówił, że z każdej sytuacji są trzy wyjścia – zostać, uciec lub strzelić sobie w łeb. Problem tkwi tylko w wyborze właściwego. Mógł zadzwonić na bezpłatną linię, zawiadomić, kogo trzeba i czekać. Mógł zwać tak jak stał lub ukryć ciało.

– Pomóc, kolego?

Adam zerwał się, obrócił. Chłopak wyglądał na przyjezdnego i spoglądał bezczelnie spod daszka

czapeczki.

– To nie moja wina – wykrztusił.

– Przecież widziałem – tamten wzruszył ramionami. – Co tutaj robisz?

– Jestem ankierem – rzekł Adam. – Co z tym zrobimy?

– Nazywam się Piotrek, ale mówią na mnie Reksio – włożył swoją dłoń w dłoń Adama. – Jak dla mnie, to problemu nie ma. Możemy zostawić go tutaj albo zepchnąć do rowu, żeby nikt się nie przypierdolił.

– Zepchnąć? – głos Adama brzmiał jak echo.

– Powiem ci w zaufaniu, że nikt tu się nie przypierdoli – ciągnął Reksio. – Siedzę tu czwarty dzień i nikogo nie widziałem. Tylko my. A co zepchnąć? Brzydzisz się czy jak?

Szybkim kopniakiem posłał chłopca na pobocze. Adam przykucnął, ciemność pod powiekami była głębsza niż kiedykolwiek przedtem. Żołądek skurczył się, cofnął w głąb ciała i gwałtownie wyrzucił, co tylko mógł. Adam otworzył oczy i widział wodniste wymiociny zmieszane z krwią i deszczem. Znów zamknął oczy, odchylił się do tyłu, otworzył usta. Z trudem słyszał głos Reksia. Otwarta dłoń spadła mu na policzek.

– Dobrze z tobą? Dobrze z tobą? – dopytywał Reksio. Pomógł Adamowi wstać. – Wiesz co, ty lepiej na razie nigdzie nie jedź. Wpadnij do nas. Kaśka zrobi ci herbatę. No, już, wypionuj się, facet.

– Już lepiej – skłamał Adam i zwymiotował ponownie.

– Mamy coś na żołądek. Wziąć ci jakieś rzeczy z samochodu? Chodź, to niedaleko.

– Jeszcze moment – wykrztusił Adam między jednym pawiem a drugim.

– Luz – prychnął Reksio i trzepnął Adama w plecy. Żołądek pofrunął do góry, odbił się od podniebienia i zahamował w rejonach miednicy.

– Kurwa – stwierdził Adam, ale było mu lepiej.

– Idziemy do nas – zawyrokował Reksio. – Nie ma czym się martwić. To przecież pieprzony pies.

Chwycił Adama za ramię i pociągnął w stronę domów. Ankieter zdążył się odwrócić. Na poboczu leżał wilczuropolodoby mieszaniec. Oczy miał zamknięte.

Siedzieli na plebani. Adam pił herbatę z wódką i dochodził do siebie.

Reksio zdjął czapkę i odsłonił ciemnofioletową plamę na twarzy, pomiędzy lewym łukiem brwiowym, uchem i linią ust.

– Słyszeliśmy, jak się dobijasz – powiedział Reksio – ale nie wiedziałem, coś ty za jeden.

– Mówiłam, żeby Mariusz cię wpuścił – dodała Kaśka. Mariusz podniósł się z fotela i pomachał książką.

– Patrzyłem potem, jak chodzisz od domu do domu, sam jak palec i żal mi się zrobiło.

– Co to za miejsce? – chciał wiedzieć Adam.

– Brzezimierz – stwierdziła lakonicznie Kaśka. Była wysoką brunetką i w innych okolicznościach Adam uznałby ją za atrakcyjną.

– Trafiliśmy tutaj cztery dni temu – uzupełnił Mariusz. Usiadł na brzegu łóżka, stuknął papierosem o kolano i zapalił. – Już wtedy nie było tu nikogo.

– To Opolszczyzna, stary – Reksio zabrał Adamowi pusty kubek. – Chcesz jeszcze?

Adam potrząsnął głową.

– Tu jest pełno takich wiosek – ciągnął Reksio krzątając się nad kuchenką. – Faceci wyjeżdżają do Niemiec, zapuszczają korzenie, najpierw ślą pieniądze, potem ściągają rodziny. Dom za domem się wyludnia i czeka, aż Rzesza wróci.

– Ja pierwszy raz widzę coś takiego – rzekł Mariusz. – Niedawno czułem się jak ty teraz.

– Pojechaliśmy popływać w kamieniołomie – dodała Kaśka.

– Ten jest największy i chyba najbliżej Oleśnicy. Zastaliśmy puste domy i Reksio powiedział, że warto tu zostać.

– No bo czego tu brakuje? – Reksio podał Adamowi cukierniczkę. – Żarcia starczy na tydzień z kawałkiem. Widziałeś, co księżulo trzyma w piwnicy? Mógłbym tu czekać dnia sądu.

– Tak serio, to pojutrze wracamy – oznajmiła Kaśka. – Mam studia w weekend. Jak chcesz, możesz zostać z nami.

– Też mam pracę – powiedział Adam, coraz bardziej zdezorientowany. – Muszę wracać do Legnicy.

– Właśnie pijesz drugą setkę – zauważył Reksio. – Możesz zostać do rana. Tu albo gdzie indziej. Możesz się rozejrzeć. Pełno tu różnych gratów. Mówię ci, noc zejdzie na tym jak nic.

Adam wstał. Pokój wydał mu się zbyt ciasny, a ludzie nierzeczywiści. Potrzebował świeżego powietrza i samotności.

– Może chcesz się przejść po plebani? – zaproponował Reksio.

– Pokażę ci parę zajebistych rzeczy. Możesz zabrać, co chcesz, ale konsultuj to z nami. No, dawaj. Zobaczmy, co czarny trzyma jeszcze w barku.

– Nie myślałeś, co będzie, jak ci z wioski tu wrócą?

Reksio zmarszczył czoło, podrapał się po podbródku, udając zadumę. Chwycił Adama za ramię i pociągnął do okna. Na zewnątrz znowu padało. Adam pomyślał, że zaraz droga stanie się rzeką i porwie samochód.

– Popatrz na to miejsce – powiedział Reksio. – Czy tutaj ktokolwiek chciałby wrócić?

Na plebanię składał się parter, piętro i niewielkie poddasze z trójkątnym oknem. Ściany pokrywała boazeria, meble pomalowano bezbarwnym lakierem. Proboszcz przejawiał zamiłowanie do górskich widoków, gdzie śnieg wygląda jak lody waniliowe. Lubił drobne bibeloty, figurki uśmiechniętych mnichów, posrebrzane świeczniki, kolorowe miniaturowe w szklanych oprawkach, kule z domkiem w środku, statki w butelkach i maski afrykańskie. Reksio szedł przodem, kołysał się jak kotka w rui, wymachiwał ramionami, przystawał, skręcał i bez przerwy mówił.

– Zabawna rzecz z tym domem – oświadczył – dzieli się na pół. Część prywatna jest wyżej. Oficjalna, dla gości, tutaj.

Drzwi prowadziły do biblioteczki, z zielonym dywanem, kominkiem, ciężkim stołem i półokręgiem foteli. Regały z ciemnego drewna sięgały pod sufit. Po środku kołysał się kryształowy żyrandol.

– Robi wrażenie, nie? – zagadnął Reksio. – Wygląda jak gabinet pieprzonego ambasadora.

Adam pomyślał, że Reksio nigdy nie był w ambasadzie.

– Wyobrażałem sobie, jak przyjmował tutaj te nieszczęsne baby, jak kazał im ściągać buty i dawał pantofle, żeby nie zostawiły brudu z podeszew. Jak chłopcy wchodziły z czapką przy piersi, a księżulo nalewał im najpodlejszego wina dla gości, zasiadał i wysłuchiwał. Nie siedział i słuchał, a za-sia-dał – Reksio wykonał kółko wyprostowanym palcem – a oni maleli. A to wszystko dla picu. No, siadaj.

Adam zatopił się w fotelu. Szumiało mu w głowie i był bliski stwierdzenia, że Reksio to miły gość. Podobały mu się książki, równo ciężące na półkach. Reksio otworzył szafkę i rzucił kilka tomów na stół.

– Zwróć uwagę na dwa drobiazgi – kontynuował Reksio. – Książek nie ułożono tematycznie ani alfabetycznie, tylko wedle rozmiaru i koloru. Popatrz, to przecież pieprzona gama barw. Błogosławiona tęcza. A tu coś lepszego.

Rzucił Adamowi egzemplarz. Adam obrócił go w dłoniach, Reksio patrzył wyczekująco.

– Nudziło mi się, to sprawdziłem. Grzbiety są równe, rogi nie pozaginane, podobnie jak kartki. Ale za to niektóre kartki są posklejane. Konkluzja? Nikt nie czytał tych książek. To pieprzone muzeum. Powiem ci coś: taka książka to żadna książka – chwycił egzemplarz *Obietnicy poranka* Romaina Gary i podsunął Adamowi pod nos – jeśli ktoś ma takie książki, to nienawidzi książek i nikt mi nie wmówi, że jest inaczej. Popatrz, popatrz! Teraz to będzie książka.

Odgął okładki, tak, że folia załamała się po środku, wygiął górne rogi i rzucił książkę Adamowi na kolana.

– Książka kochana to książka pomięta, to książka klejona po sto razy, z poplamionymi rogami, wytarta jak dupa po brzegach. I powiem ci coś jeszcze, wiesz?

Jednym susem znalazł się przy szklanym barku, porwał karafkę z czerwonym płynem i wcisnął pełną szklankę w rękę Adama. Stuknął w nią z rozmachem i Adam przestraszył się, że szkło się stłucze.

– Pamiętam, jak we Wrocławiu chodziłem do Empiku. Byłem tam co drugi dzień – Reksio rozsiadł się w fotelu, założył nogę na nogę, palił i strzepywał na podłogę. – Szedłem na pierwsze piętro i krążyłem wokół książek. Wybierałem jedną, polowałem na miejsce, czytałem, wśród ludzi, w tym syfie. Jechałem z drugiego końca miasta, w deszcz, we wszystko. Myślałem, że jak znajdę robotę, to pierwszą wypłatę wydam właśnie na książki. Patrzyłem na półkę w domu i wyobrażałem sobie, jak zapełnia się tytułami, jak przychodzę, siadam, zapalam peta i wybieram sobie, co dziś poczytam. A wszystko o historii. Od patrzenia półka się nie zapełniła.

Reksio z całej siły kopnął w stół, blat wybił się, ale nie zsunął. Przekrzywiony, na tle zielonej wykładziny, przypominał teraz barkę wywróconą dnem do góry, pochłanianą przez morze wodorostów.

– Tymczasem ta morda w sutannie ma wszystko, ten psi pałak, ogolony bóbr, chomik po przejściach – mówił coraz szybciej, aż zapętlił się zupełnie. Westchnął i rzucił – ten ksiądz. I, burak jeden, nawet do tego nie zajrzał, uzbierał to wszystko, aby poustawiać, żeby podcierać się nie tylko Bożą mądrością, ale i ciężarem biblioteki.

Wyrzucił powietrze ze świstem.

– Skurwysyn – wyszeptał tuż przed twarzą Adama. Wziął zamach i cisnął pełną szklanką. Czerwony pocisk roztrzaskał się na drzwiach biblioteczki. Reksio śledził wzrokiem spływające wino, westchnął, wyjął szklankę z dłoni Adama i nalał jeszcze. Sam pił prosto z karafki. Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Może się wydać dziwne, co teraz powiem, ale nie jesteśmy złymi ludźmi.

Zawiesił głos. Zaśmiał się i Adam śmiał się razem z nim. Karafka stuknęła o szklankę.

– Zrozum, siedzimy tutaj sami ze sobą któryś cholerny dzień. Pijemy, palimy, Mariusz siupie fetę...

– Co robi?

– Wciąga. Amfetamina. Znają to w twoim kraju? Adam kiwnął głową. Pomyślał, że trzeba pić szybciej.

– No, siupać – powiedział.

– Ja tego gówna nie tykam. Dla niego to jak kawa. Nieważne. Wracając do tematu, możesz zabrać stąd, co chcesz. Książki o wojnie biorę dla siebie.

– Będę o tym pamiętał.

– No. To przejdźmy się jeszcze trochę.

Na górę prowadziły kręcone schody. Boazerię ozdabiały fotografie z wycieczek parafialnych, świąt i spotkań z młodzieżą. Duże zdjęcie przedstawiało papieża w otoczeniu zadowolonych księży. Adam bez trudu rozpoznał w proboszczu typowego księdza z prowincji – okrągłutkiego, z trzema podbródkami i zadowolonymi oczkami wkomponowanymi w twarz czerwoną i okrągłą jak wieczorne słońce. Na innych zdjęciach grał na gitarze, perorował przed ołtarzem, maszerował na czele procesji i grał w piłkę

z dziećmi. Wypełniał sobą bramkę, grube nogi zdawały się wyrastać z ziemi. Gromada rozbieganych brzdąców zastygła na kliszy. Najwyższy z chłopców, chudy blondyn z kielkującymi muskułami, szykował się do strzelenia gola. Bystre oczy wypatrzyły dziurę między wielebnymi kolanami i Adam wiedział, że moment po zrobieniu zdjęcia piłka wylądowała w bramce.

W głębi zdjęcia stał chłopiec, którego Adam spotkał w Brzezimierzu; stał poza boiskiem i patrzył, zafascynowany. Adam znał to spojrzenie. W latach osiemdziesiątych obdarzał nim kolorowe wystawy Peweksu, cudowną krainę równie niedostępną, co gra w piłkę dla chłopca potykającego się o własne nogi.

– Tu jeszcze nie zawędrowałem – rzekł Reksio, gdy znaleźli się na górze.

Na piętrze mieściły się dwa pokoje i łazienka. Sypialnia księdza, ku zaskoczeniu Adama, przypominała trochę jaskinię eremity. W poprzek pokoju stało proste łóżko z twardym materacem (Reksio natychmiast zajrzał pod nie, jakby spodziewał się znaleźć tam trupa albo skarb). Na ścianie wisiał krzyż. Szafa skrywała ubrania, starannie złożone lub wiszące w rzędki.

Z kolei obity boazerią gabinet wydawał się zbyt ciasny dla papierzyk, świstków, skoroszytów i gazet, ułożonych w wielopiętrowe struktury. Spomiędzy nich wyrastało masywne biurko z komputerem i kompaktami rozsypanymi w półokrąg. Na ścianie wisiała korkowa tablica, pełna fiszek i wycinków z gazet.

– Ładnie tu – rzekł Reksio. Kopnął stertę i gazety rozsypały się – ciekawe, po co mu to było?

– Pewnie robił stronę o parafii. Teraz nawet buda ze szlamem ma witrynę w necie.

– Pewnie i tak – przyznał Reksio. – Pogadamy z Mariuszem, czy nie buchnąć mu tego kompa. Pewno jest gówno wart, ale ta drukarka wygląda mi na nową.

– Popatrz lepiej na to – Adam stał przed tablicą korkową. – Tu jest wszystko o tej wiosce.

Tablicę wypełniały wycinki z prasowe. Adam rzucił okiem na pierwszy z brzegu. Pogrubiane litery układały się w nagłówek: OBJAWIENIA W BRZEZIMIERZU. Zdjęcie obok przedstawiało figurę świętej z wiernymi wokół. Adam rozpoznał proboszcza – stał w tłumie, skrzyżował ręce i sprawiał wrażenie, że zaraz uniesie się w górę na skrzydłach dumy.

– Co masz? – zainteresował się Reksio.

– Sam zobacz – Adam przyglądał się zdjęciu – mieli tu cudowną figurę.

– Ryczała krwią?

– Zobacz sobie – powtórzył Adam – piszą, że płakała krwią.

– To mówię.

– Uzdrawiała.

– Już lepiej – Reksio podszedł do tablicy – zobacz tutaj. Wywiad z naszym księżulkiem.

Wywiad zajmował całą stronę „Niedzieli”. Proboszcz nazywał się Kazimierz Komorowski. Na zdjęciu sprawiał wrażenie człowieka w sytuacji, która go przerasta.

Objawienia zaczęły się w lecie zeszłego roku – Reksio czytał na głos – zaraz, jak ustawiliśmy figurę obok kościoła. Ludzie mówili, że dzieje się z nią coś dziwnego, wspominali o światłach w nocy i czarnych łzach. Nie jestem ufny z natury, ale pomyślałem, że coś musi w tym być. Potem sam zobaczyłem.

Co ksiądz zobaczył?

Figura stoi przy kościele, tuż obok parafii. Szedłem już do domu, gdy wydało mi się, że coś słyszę, że ktoś mnie woła. Poszedłem. Święta Weronika płakała krwawymi łzami. Proszę mi uwierzyć, takie rzeczy naprawdę działają. W pewnym sensie modliłem się o to.

O cud?

O znak dla Brzezimierza. Ludzie muszą wiedzieć, że Bóg o nich nie zapomniał. Tutaj żyje się trochę bez historii, jakby w zawieszeniu. Wielu młodych wyjechało. Teraz święta Weronika pomaga nam być razem.

A uzdrowienia?

To inna sprawa i ciężko o tym mówić. Były przypadki, kiedy ludzie mówili, że ich dolegliwości zniknęły. Były nawrócenia. Nawrócenie to także ustąpienie choroby.

W tym świetle, jak odnosi się Ksiądz do wyczekującego stanowiska Kościoła? Chciałby ksiądz, aby objawienie w Brzezimierzu zostało oficjalnie uznane przez Kościół?

Jako człowiekowi jest mi to obojętne, bo mam swoją prawdę. Wszyscy ją tutaj mamy. Jako kapłan patrzę na to inaczej, bo Polska potrzebuje cudów. Mamy tylko jedno uznane objawienie, w Gietrzwałdzie, sprzed ponad stu lat.

Myślę, że tu, w Brzezimierzu, mamy teraz podobną sytuację i musimy wykorzystać ją dla szerzenia Ewangelii.

Nie boi się ksiądz, że staniemy się niewiernymi Tomaszami? Musimy zobaczyć, aby uwierzyć.

Przecież ja niczego nie wymyśliłem. Ale dzieje się to, czego wymagają nasze czasy.

– Piękna historia – rzekł Reksio. – Widziałeś tę figurę?

– Może jest za kościołem?

– Może zwróciłbym uwagę na zapłakaną figurę, co? – rzekł Reksio. – Zobacz, to jest niezłe.

Artykuł pochodził z nieznanego pisma, wydawanego na podłym papierze. Nagłówek głosił: RZEŻBIARZ I JEGO OBJAWIENIE. Zdjęcie pod spodem przedstawiało faceta w nieokreślonym wieku, zniszczonego przez alkohol. Siedział na schodach domu w garniturze. Zdjęcie było czarno-białe, ale Adam mógł się założyć, że garnitur jest seledynowy. Facet nazywał się Jan Czerniawski.

Jan jest zaskoczony rozwojem sytuacji. Jak mówi, długo nie mógł przekonać się do objawień. „Celowo omijałem to miejsce”, mówi, „Jak do kościoła szedłem, patrzyłem w drugą stronę”. Teraz już wierzy, że święta Weronika działa poprzez figurę, którą zrobił.

„Z Bogiem bywało u mnie na bakier”, odpowiada Jan, zapytany o uczucia towarzyszące pracy nad figurą. Nigdy nie myślał, że do figury będą ciągnąć pielgrzymki z całej Polski. „To znak także dla mnie”, przyznaje, „dużo było we mnie złości i dużo grzechu. Rok temu zmarł mi syn i miałem mnóstwo pretensji do Boga i świata. Teraz wiem, że o mnie nie zapomniano”.

Rozmowę przeprowadzono w lipcu zeszłego roku. Czerniawski żył jeszcze trzy miesiące.

ZABAWA W CUDA, głosił kserowany artykuł z pisma Urbana. Jego autor dowodził, że objawienia w Brzezimierzu stanowią wypadkową zbiorowej hysterii i kunktatorstwa samego proboszcza. Figura świętej Weroniki wpisuje się w piękną tradycję nadprzyrodzonych znaków. Mieliśmy i rany na ciele, i zgony w męczarniach, teraz dwumetrowe straszdyło z drewna wylewa krwawe łzy nad społeczeństwem. Proboszcz jest zachwycony, nikomu nieznaną wioską stała się pielgrzymkowym centrum i tylko facet, który figurę wyrzeźbił, o żadnych cudach nie chce słyszeć.

Reksio zarechotał.

Inne artykuły informowały o uzdrowieniach i samym objawieniu. Wisiały wydruki ze stron internetowych, niektóre pełne szyderstw, inne znowu opowiadały o baśniach i cudach. Ślepi zaczęli widzieć, kulawi biegać, przygiętych garbem prostowało ku niebu.

– Piękna historia – powiedział Adam.

– Zobacz, pożarli się. Proboszcz z kurią.

Grupa wycinków w lewym dolnym rogu dawała świadectwo konfliktu parafii z przełożonymi. Jak twierdził proboszcz, wizyty pielgrzymów zmęczyły ludzi i nie chcieli ich więcej. Jednocześnie proboszcz naciskał na Kościół, aby uznał objawienie w Brzezimierzu: „To precedens”, mówił dla lokalnego dodatku „Wyborczej”, „od roku w Brzezimierzu ma miejsce cudowna ingerencja. Są tysiące świadków, filmy i zdjęcia. I nic. Niektórzy by przecięli naszą Weronikę, bo myślą, że siedzi w niej złośliwy karzeł i pompuje krew”.

Artykuł „Prywatna święta” informował, że zimą Brzezimierz odwrócił się od pielgrzymów. Ci, którzy przybywali, narzekali na chłodne przyjęcie i brak miejsc do spania. „To nonsens”, żalił się jeden, „przecież wszyscy na tym zyskują”.

Proboszcz musiał zapełniać tablicę na bieżąco. Pierwsze, zmięte i wyblakłe artykuły rozmieszczał chaotycznie. Później, gdy zabrakło miejsca, pomniejszał je na ksero i nakładał na siebie.

Ostatnia notatka nosiła datę sprzed miesiąca. Informowała, że w Brzezimierzu nie ma już świętej Weroniki.

– Ukradli albo schowali – rzekł Reksio. – Chodźmy lepiej na dół. Jak chcesz, możemy pójść do kościoła i zobaczyć, może ta figura jednak tam stoi? W ogóle, przeszedłbym się gdzieś. Chyba już nie pada.

Mariusz i Kaśka dalej siedzieli w kuchni.

– Co tam dobrego na górze? – zapytał Mariusz i dopił piwo.

– Jesteśmy w zagłębieniu objawień – powiedział Reksio i krótko wyjaśnił, co znaleźli.

– Chcemy się przejść do kościoła – dodał Adam.

– Możemy też zobaczyć kamieniołom – dodała Kaśka – w ogóle, ruszyć gdzieś dupy.

– Można by, ale miejsce traci urok – stwierdził Mariusz – czujesz, jak daje na zewnątrz?

– Szambo wylało.

– Żadne tam szambo – w dłoni Mariusza pojawiła się dwudziestozłotówka. Z woreczka wysypał biały proszek i zaczął formować kreskę. – Te skurwysyny pozostawiały zwierzęta w oborach. Wszystko pozdychało.

Adam poczuł, że w przełyku narasta mu szorstka kula.

– Dlatego mówię, że za dzień, dwa, tu będzie nie do życia – Mariusz wyszczerzył się, zrolował banknot i wciągnął proszek. – Póki co, możemy się zabawić.

Rozpogodziło się, ale ziemia pachniała deszczem. Zapach z podwórek nie dochodził do kościoła. Adam szedł na końcu, z rękami wbitymi w kieszenie kurtki. Reksio zagadywał do niego co chwilę. Mariusz z przodu narzekał, że pogoda dalej jest do dupy i że trzeba było siedzieć w domu.

– Jaki jest twój stosunek do narkotyków? – zapytał Adama, szczerząc się.

– Lubię lufę.

– Każdy lubi lufę – odparł Mariusz, mijając kościelną furtkę. – Dzisiaj, powiem ci w sekrecie, planujemy mały gwałt na naszych organizmach. Masakrę. Prostowanie zwojów.

– Pyta, czy przyćpasz z nim kapkę – wyjaśnił Reksio. Adam nie odpowiedział.

Kościół w ciemności wydawał się większy niż za dnia. Wąskie okna zagłębiły się w murze, wieża z dzwonnica ginęła w ciemności. Minęli główne wejście. Reksio świecił latarką.

– Tu była – powiedział.

Snop światła padał na pusty, półmetrowy cokół. Mariusz trącił go nogą.

– Żadna historia – stwierdził.

– Zobaczymy, co jest w środku? – Adam wygrzebał papierosa. Reksio pokręcił głową, na znak, że na pewno jest zamknięte.

Ale drzwi kościoła ustąpiły, zupełnie jak na starych filmach. Reksio dał znak i zniknął w środku.

– Gdzie tu się pali światło? – zabrzmiało.

Minęła długa chwila, nim oczy Adama przywykły do ciemności. Widział rzędy ławek i cień ołtarza. Reksio kręcił się przy zakrystii, Mariusz z Kaśką stali przy wejściu. Dziewczyna bała się wejść do środka. Z głębi dobiegł okrzyk Reksia i kościół wypełniło mętne światło.

Nawa była mniejsza, niż Adam przypuszczał, całe wnętrze sprawiało wrażenie poligonu dla wyobraźni księdza i architekta. Na szarych ścianach wisiały obrazy z drogi krzyżowej, wszystkie podobne do siebie, pełne ciepłych kolorów. Jezus wyglądał trochę jak dobroduszny zabijaka, Piłat przypominał wrednego urzędnika z powiatu, tłum Żydów kojarzył się z szalejącymi kibicami, uchwyconymi w połowie fali. Ławki były tak twarde i niewygodne, że Adam nie wiedział, jak można w nich było siedzieć lub klęczeć. Dostrzegł stary konfesjonał i ambonę, rzadkość we współczesnych kościołach. Przypominała gigantyczny kieliszek.

– Zobacz na to – Reksio stanął za ołtarzem – ktoś tu był przed nami. Tabernakulum ukradli.

– Może ksiądz trzymał je w zakrystii? Albo chował na noc? – Adam zgniótł L&M-a o ścianę i z wahaniem schował do kieszeni. Reksio wybuchnął śmiechem.

– Na ołtarzu siedział chyba hipopotam – mówił dalej Reksio – zobacz, jakie to poniszczone. Pogięte.

– Może księżulo tu tańcował – Mariusz kręcił się po kościele – a jeśli szukacie tabernakulum, jest tutaj.

Tabernakulum leżało przewrócone w kącie kościoła. Mariusz spróbował je podnieść, jęknął i dał sobie spokój. Uklęknął i zaczął kombinować, jak dostać się do monstrancji. Otworzył tabernakulum.

– Nawet opłatek jest.

– Daj sobie spokój – powiedziała Kasia – to jednak jest kościół.

– Powiedz to temu, który to jebnął – Mariusz wstał, trącił tabernakulum. – Waży chyba tonę.

– Pewno chcieli przenieść, ale nie dali rady – Reksio stanął nad tabernakulum – wcale się im nie dziwię.

– Kto niby?

– Złodzieje.

– Po co ktoś miałby kraść tabernakulum? – zauważył Adam.

– Nie lepiej buchnąć samą monstrancję? A nie lepiej jeszcze zająć się plebanią?

– Ma facet rację – zgodził się Reksio. – Po co bujać się z monstrancją, skoro można ukraść inne rzeczy, łatwiejsze do przeniesienia i sprzedania?

– Nie wiem – Mariusz włożył ręce w kieszenie. Splunął na podłogę. – Może taką mieli melodię?

Nocny kamieniołom przypominał gigantyczny grzyb o postrzępionych brzegach. Z bliska okazał się bezładnym konglomeratem kamienia, słabej trawy i skarłałych krzaczków, wspinających się po stromiźnie. Trzeba było iść gęsiego, Adam trochę wytrzeźwiał i pytał siebie, jakim cudem zdołał wplątać się w tę awanturę.

Przystanęli na górze. Po lewej rozciągał się widok na Brzezimierz, ciemny i cichy jak trumna, dalej rozsypały się wioski, światła samochodów gramoliły się po autostradzie. Po prawej widzieli jezioro w środku kamieniołomu. Adam pomyślał, że w dzień woda musi być zielona i ciepła, ale teraz chciał znaleźć się najdalej od niej. Gdyby miał szesnaście lat i wąs rzadki jak trawa wokoło, może uznałby tę wycieczkę za ekscytującą. Zazdrościłby Mariuszowi i Kaśce, którzy biegli w stronę jeziora, śmiejąc się i przekrzykując.

– Zaczęło się – stwierdził Reksio.

Mariusz i Kasia zniknęli w ciemności i Reksio dodał, że na pewno się pozabijają. Wygrzebał paczkę papierosów, podzielił się z Adamem. Zrobiło się chłodno.

– Nie podoba mi się tutaj – rzekł Adam. – Czuję, jakbym wchodził w szambo. Coś cuchnie tutaj. Coś z wody.

– Niektórym to nie przeszkadza – Reksio trącił ubrania Mariusza i Kaśki. – Poszaleli zupełnie. Idziesz się przejść? No popatrzcie na nich. Chodź.

Adam wzruszył ramionami i poszedł.

Rozlewisko w kamieniołomie miało owalny kształt. Brzeg był kamienisty i łagodnie wnosił się w górę. Skarpa nad wodą rosła, w najwyższym miejscu osiągając, zdaniem Adama, wysokość trzydziestu metrów. Iść dało się tylko brzegiem, dalej przeszkadzały chaszczce. Reksio poszedł przodem.

– Piotrek? – zawołał Adam. – Mówiliście, że tu nikogo nie ma.

– Uhm – Reksio rzucił przez ramię – odkąd zwierzęta pozdychały.

Adama od krawędzi dzieliło kilka kroków. Zbliżył się ostrożnie i zobaczył nagie plecy Mariusza i Kaśki po środku rozlewiska.

– Nikt tu nie zachodzi? – krzyknął.

– No, zachodzi – Reksio mówił przed siebie i Adam ledwo go słyszał – czasem samochód zwolni. Raz ktoś wieczorem podszedł pod okno. Dzieciaki włóczą się po nocy – chrząknął – nikt groźny, jakbyś pytał.

Przed nocą w Brzezimierzu Adam potykał się o różne rzeczy: wystające płyty chodnikowe, małe i duże kamienie, psie kupy, a raz nawet wyłożył się bez powodu na gładkim asfalcie. Nigdy jednak nie upadł tak szybko jak w kamieniołomie. Miał wrażenie, że w tyłek kopie go niewidzialna noga, a ziemia przyciąga zielonymi dłońmi. Uderzył bezboleśnie. Nawet nie jęknął. Podciągnął się na rękach i zobaczył, o co się potknął. Najpierw myślał, że to podłużna dziura, w którą nieuważnie wsunął stopę. Im dłużej się przyglądał, tym lepiej rozumiał, że to żadna przypadkowa dziura, ale ślad dziecięcej stopy, głęboki na pięść.

Adam przesunął się na czworakach i znalazł kolejny, jeszcze głębszy. Ręka zniknęła w nim po łokieć. Trzeci ślad znajdował się na skraju przepaści. Adam odwrócił głowę, chciał zawołać Reksia, ale ten zniknął. Wahał się, czy podejść. Wreszcie podczołgał się nad samą krawędź. Na rozlewisku nie wypatrzył już ani Mariusza, ani Kasi.

Położył się płasko na brzuchu i włożył rękę w ślad po stopie. Oczy miał już za urwiskiem. Nie było wysoko, brzeg dopiero piał się w górę. Nie mógł natrafić na koniec dziury. Ręka weszła mu po ramię. Obrócił się na bok, docisnął i zrozumiał, że to jakaś piramidalna bzdura albo oszustwo. Nikt nie zostawił takiego śladu. Nikt nie wykopał. To kamieniołom, skała.

Uniósł głowę, chciał zawołać Reksia. Zobaczył bose stopy, poobijane kolana i koszulę po części zakrywającą białe slipki. Chłopiec nachylał się nad nim. Miał usta wilgotne i czarne. Adam wrzasnął, szarpnął się i poczuł, że ziemia usuwa się spod niego gwałtownie. Leciał w wodę, zdążył osłonić głowę i pomyśleć, że, o ja pierdole, wcale nie jest tak nisko, jak sądził.

Nie pamiętał uderzenia w wodę. Gdy się ocknął, sunął w głąb zalewiska. Próbował się ruszyć. Wydawało mu się, że słyszy wołanie. Nie czuł już zimna ani bólu. Woda wypełniła mu gardło. Opadał na dno i patrzył, jak toń ciemnieje. Zamknął oczy. Tylko na chwilę.

Kiedy je otworzył, otaczali go zmarli.

Kilkadziesiąt ciał, jak czarne, niekształtne meduzy. Księżyc padał na obrzmiałe twarze z oczodołami wyjedzonymi przez ryby, na napuchłe ręce i strzępy ubrań. Adam mijał topielców, ocierał się o nich. Byli tutaj, niektórzy skryci w ciemności, inni tuż przy nim, brzydki i spokojni, wszyscy mieszkańcy Brzezimierza. Zamachał rękami. Gruba kobieta o czarnej twarzy zagroziła Adamowi drogę. Odepchnął ją nogą, spróbował płynąć dalej, ale powierzchnia zdawała się oddalać.

Adam zamknął oczy.

Ludzie z Brzezimierza nagle ożyli, wpadli w wiosnę; stoją na cmentarzu we wsi, nad małą trumną, jeden przyciska się do drugiego, choć jest dużo miejsca. Proboszcz jest blady, mówi z trudem. Jakieś wyrostki przekomarzają się z tyłu, staruszki trzęsą się nad różańcem i hop, trumna zjeżdża do ziemi. Adam myśli, że ślad na urwisku musi być głęboki jak grób. *Mc nie można z tym zrobić, słyszy, nie wolno nam mnożyć nieszczęść.*

Jakiś gość pije w piwnicy, pije strasznie, zgięty na brzegu stołka, kiwa się mechanicznie i dyszy, jakby miał ogień w płucach. Ciska butelkę o ziemię, brzęk szkła. Wódka ochlapuje ścianę. Facet nieruchomieje, potem podnosi się ciężko. Dół butelki ocalał. Facet dwoma palcami wyjmuje resztki szkła i pije.

Znów piwnica, flaszek jest dużo więcej. Gość ma dłuto w dłoni, obrabia pień. To będzie ludzka postać, widać już głowę i zarys ramion. Kobieta. Wokół pełno zdjęć. Rzeźbiarz pracuje z butelką. Dłuto wchodzi głęboko w miękkie drewno, a rzeźbiarz zagryza wargi. Można by pomyśleć, że pompuje w figurę cały swój gniew, całą nienawiść do kogoś, kto go skrzywdził.

I dwa obrazy jednocześnie. Święta Weronika stoi obok kościoła. Jest piękna. Rzeźbiarz krąży po kuchni, z plikiem pieniędzy w dłoni, w końcu przerzuca sznur i wykopuje stołek spod stóp. Po twarzy świętej spływa krwawa łza.

Oto świat cudów. Pielgrzymi tłoczą się wokół wizerunku świętej. Ślepi otwierają oczy, a kulawi chodzą prosto. Gdy zapada ciemność, figura mówi do mieszkańców Brzezimierza.

Święta Weronika stoi już na kościelnym ołtarzu. Mieszkańcy wioski modlą się do niej. W kościele panuje ciemność, jedyne światło pada na figurę, ale nie widać jego źródła. Powoli blask narasta, mija kolejne ławki, spada na twarze zebranych i je przeobraża.

Niedzielnny poranek i cały Brzezimierz szykuje się do procesji. Weronikę wystrojono w kwiaty i nałożono jej chustę na ramiona. Czterech chłopców unosi figurę, za nimi rusza ksiądz i mieszkańcy, obojętni i ślepi, prowadzeni nieznanym głosem. Idą powoli i uroczyście, wyprostowani, każdy w tym, co najlepsze (Adam widzi ich z góry, jakby unosił się w powietrzu). Kierują się do kamieniołomu. Święta musi ciężać niosącym – chwieją się i gną podczas wędrówki pod górę. Procesja wspina się na urwisko. Starsi zostają trochę z tyłu, młodzi trochę przyspieszają, ale każdy stara się trzymać tempo i nie wyjść poza szereg.

Figura dociera na brzeg urwiska i jeden z niosących przytomnieje, cofa się o krok i krzyczy przez ramię. Ale inni nie zwalniają i chłopak leci w dół, uderza głową o skały i niknie pod wodą. Figura przechyla się i zdąża za nim.

Jeden po drugim, mieszkańcy Brzezimierza zsuwają się z urwiska. Nikt się nie zatrzymuje, nie próbuje wracać. Podobni kukłom, na sztywnych kończynach dochodzą do brzegu i suną w dół, ginąc w wodzie lub uderzając o skały. Nie usiłują płynąć i można by pomyśleć, że w zimnej wodzie jeziora marsz wcale się nie kończy.

Otworzył oczy. Nie czuł bólu, ale zimno i strach przed śmiercią. Znów rządził własnym ciałem, odbił się nogami i opuścił zmarłych. Coś wyżej uderzyło o wodę, raz i drugi, jakby wpadali do niej ludzie albo kamienie. Zmarli zdawali się krążyć w swojej drodze na powierzchnię. Ręce słabły, woda odebrała wzrok. Widział już tylko blade światło powierzchni i pomyślał, że zmarli chcą, żeby został z nimi.

Z trudem popłynął do góry. Nie patrzył za siebie. Powierzchnia zdawała się oddalać i gdy myślał już, że nie zdoła dopłynąć, mocna ręka chwyciła go za przegub i wyciągnęła na brzeg.

Leżał na trawie, patrzył w niebo i palił. Reksio rozwalił się pod drzewem. Adam wiedział, że powinien mu podziękować, ale nie znajdował słów.

– Najpierw myślałem, że robisz jakieś jajca albo kupę – rzekł w końcu Reksio. – Spojrzałem za siebie, a tu nic. Poszedłem trochę w chaszczę, wołałem, nic. Więc, myślę, pewno poszedłeś do Kaśki i Mariusza, tam cię powinienem spotkać. Nie przyszło mi do głowy, że jesteś tak durny i spierdolisz się ze skały. Coś ty w ogóle zrobił?

– Chciałem popływać. Czasem tak mam.

– Akurat.

– Akurat to się potknąłem. Normalnie, jak idiota. Nawet nie pamiętam – Adam przygryzł wargę – jak spałem. Nie wiem, ile byłem w wodzie.

– Też nie wiem, ale byłeś zielony jak wielka żaba – roześmiał się Reksio. – Słuchaj, zszedłem

z powrotem na brzeg, a tu idzie ostro w dół, nachylam się, patrzę, a tu coś ciemnego. Najpierw trup, myślę. A tu nie, morda znajoma. Skakać chciałem, ale niepotrzebnie. Świetnie ci poszło.

Adam cisnął niedopałek do wody.

– Trup? Czemu trup?

– A czemu nie? – rzekł wesoło Reksio. – Jakbyś kogoś zabił, gdzie chciałbyś ukryć zwłoki? Obciążyć i srulu, do wody. Tu miejsce odludne i jak znam życie, czterdzieści metrów w głąb. Trzeba by tuzina nurków na takie kąpielisko.

– Trzeba by – powtórzył Adam, myśląc, że doskonale poradził sobie w pojedynkę.

Przesiedzieli na trawie dobre pół godziny i niewiele mówili. Reksio namawiał Adama, żeby szli do domu się osuszyć. Przeziębienie pewne. Kaśka i Mariusz się odnajdą. Nie zdziwiłby się, gdyby trafili do domu przed nimi. Adam burczał tylko, że chce jeszcze poleżeć. Zastanawiał się, co naprawdę zobaczył i czy powinien podzielić się tym z innymi. Reksio był miły, wszyscy byli cholernie fajni, ale fajni ludzie zaskakująco często podrzynają gardła bliźnim.

Za szansę teleportacji z Brzezimierza oddałby pięć lat życia.

Chyba przysnął na krótko. Ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż leży na trawie przy zalewisku, Reksio wciąż jest obok, a zza krzaków dobiegały podniecone czymś głosy Kaśki i Mariusza. Duch chłopca, upadek w toń pełną umarłych wydały mu się odległe. Jak wspomnienia z innego życia. Dłoń Reksia pomogła mu się podnieść.

– Coś tam chyba mają – usłyszał. Reksio pociągnął go w krzaki. Adam szedł niechętnie, mokre spodnie obcierały krocze. Woda była zimna. Trząśł się.

– Co jest? Co jest? – wykrzykiwał Reksio.

Mario kuczał nagi na kamieniach, Kasia ubrała bluzkę i majtki na mokre ciało. Między nimi leżała figura świętej Weroniki. Miała długość około półtora metra, spokojną twarz. Dłonie złączyła na piersi. Adam miał wrażenie, że ubranie zamarza mu na plecach.

– Wszystko dobrze, człowieku – zagadnął Mario bez troski w głosie – fobie jakieś?

Adam pokręcił głową.

– Też się kąpał – rzekł Reksio. – Coście, kurwa, tu przywlekli?

– Pływała na jeziorku – wyjaśniła Kasia. Pogłaskała figurę po twarzy – Mariusz chciał ją wydobyć.

– Na początku myślałem, że to trup – Mariusz z ociąganiem nałożył spodnie. – Brzydziłem się podpłynąć. Dopiero Kaśka powiedziała, że to wygląda na kłodę drewna. Cholernie ładna rzecz, swoją drogą.

– Poszaleliście zupełnie – stwierdził Reksio.

– Jestem ciekaw, kto ją tu wpakował – mruknął Mariusz.

– Jesteście pieprznięci.

– A ty jesteś nudnym cepem.

– Bardzo możliwe – Reksio zerknął w stronę Kaśki. – Powiedzcie mi lepiej, co teraz z nią zrobimy?

Adam stał przy oknie i widział czarne kontury dachów. Pomyślał, że zaraz zaczną zapadać się, że czekają tylko na burzę. Zabębnił w szybę czarną lufką. Cisza na zewnątrz musi być nie do zniesienia. Podobna do tej w jeziorze.

Święta Weronika miała stanąć w przedpokoju, ale Mariusz uparł się, żeby wnieść figurę do kuchni. Reksio z Kaśką chcieli ustawić ją w rogu, najlepiej twarzą do ściany. Mariusz usunął krzesło i święta Weronika usadowiła się na końcu stołu, brudna, mokra, z niepokojącym spojrzeniem. Woda naruszyła farbę i kolory zlały się ze sobą. Przez rozłożone ręce świętej biegły głębokie bruzdy. Wąskie usta pozostawały rozchyłone, święta nachylała się, jakby do pocałunku. Z jednego oka farba odpadła. Drugie błyszczało intensywną zielenią.

– Nie lubię jej – powiedziała Kaśka. – Po cośmy ją wzięli?

– Podobno jest cudowna – stwierdził Reksio. *Żebyś wiedział jak*, dopowiedział w myślach Adam. Mariusz, który akurat trzymał lufę, zakrztusił się śmiechem. Odpluł się na podłogę, na chwiejnych nogach zbliżył się do figury i chwycił ją od tyłu, jakby chciał urwać malowaną głowę. Włożył jej palec w usta i szarpnął.

– Jestem bożym mikrofonem! – skrzeknął. – Malutkim, zasraniutkim bekaniem z dupy wieczności!

– Przestań – poprosiła Kaśka.

– I oto przemawiam teraz do bandy udupceńców, albowiem rozgniewaliście tych tam w górze, syna z tatą i, mówię, w ogóle, wszystkich niebieskich ważniaków – wykrzykiwał Mariusz – upierdalacie się, mordy moje czerwcowe, już tydzień z górą, i jesteście, powiadam, jak wszy w błogosławionym pępku. Wyc mi się chce na samą myśl o waszej nędzy, i dwa, z powodu tego, że ta menda, co mnie rzeźbiła, zapomniała o cyckach.

Mariusz przesunął rękę na pierś świętej.

– Przestań! – poprosiła Kaśka, tym razem bardziej stanowczo.

Mariusz polizał rzeźbę po szyi.

– Daj spokój – powiedział Adam, zerkając na Reksia. – To chyba nie ma sensu.

– Co tu się tak rządysz? – warknął Mariusz, sprężył się, jakby chciał przeskoczyć figurę i rzucić się na Adama. Omiótł wzrokiem pomieszczenie.

– To tylko zabawa – roześmiał się. – Przepraszam. Poklepał pojednawczo Adama i rozlał wino do szklanek. Usiedli. Adam pomyślał, że zaraz będzie musiał iść na spacer.

– Wierzysz w Boga? – zapytał go Mariusz. Siedział na stole i machał nogami.

– Próbowałem aż do komunii. Zamieniłem na zegarek i czterdzieści dolców.

– Poważna sprawa – Mariusz nie drążył wątku. Na stole położył kartę bankomatową i woreczek z białym proszkiem. Wysypał trochę, rozdzielił na dwie kreski i zajął się skręcaniem dwudziestozłotówki.

– Zawsze mnie to zastanawiało – powiedział do Adama – że w Polsce się wierzy i nie wierzy na pół gwizdka. No popatrz. Cały naród chrzczony i myślę, że przynajmniej połowa wierzy, że bozia zeskokczyła z nieba, żeby przybić się do drewna.

– Dać świadectwo – rzucił Reksio.

– Czy coś takiego – kontynuował Mariusz. – Uczestniczą w tym całym kościelnym cyrku, biegają na msze i fundują klechom nowe Hondy. Zarazem pieprzą się bez ślubu albo piorą swoje ślubne, wreszcie mają głęboko w dupie mądrości białego ojczulka, jak bardzo by nie kochali jego samego.

– To się nazywa hipokryzja, Mariusz – zauważył Adam i przejął lufę od Reksia.

Mario, ze zwiniętą dwudziestozłotówką w nosie, nachylił się i wciągnął pierwszą kreskę.

– Ta, panie mądrała. To wiemy. Ale tacy jak ty cierpią na drugą przypadłość. Są uwiązani do symboli. Coś z wychowania, z dzieciństwa, nie wiem z czego, każe im dalej szanować papieża i burzyć się, gdy ktoś demoluje to muzeum, którym stał się Kościół – rozmasował nasadę nosa i popatrzył na Adama z rozbawieniem. – Jakby cokolwiek ich to obchodziło. Jakby cokolwiek ich mogło obchodzić.

– Ciężko pozbyć się przyzwyczajęń. Wciągnął drugą kreskę i zapytał:

– Adam, chcesz trochę?

Adam zaprzeczył ruchem głowy. Dochodziła pierwsza. Reksio siedział na ziemi w rogu pomieszczenia i ścisnął butelkę kolanami.

– Zachowaj dla siebie – krzyknął w stronę Mariusza.

– To przynajmniej się napijemy – Mariusz podniósł się, tanecznym krokiem przeszedł do kredensu i wrócił z trzema butelkami wina.

– Książulo nie robił nic, jak tylko pędził – oświadczył. Zebrał od wszystkich szklanki, stuknęli się we troje. Reksio nie wstał, tylko uniósł butelkę ponad głowę.

– Bomba sprawa – zakrztusił się.

– A może święta napije się z nami? – rzekł rozbawiony Mariusz. Powoli zbliżył butelkę do drewnianych ust. Patrzył na zebranych, czekał, co zrobią.

– Przestań – poprosiła znów Kaśka. Popatrzyła na Adama.

– Przestań, przestań – przedrzeźniał Mariusz – toż to święta. Wiesz, jakie życie mają święci? Miło by ci było modły klepać we włosiennicy?

Wino pociekło po figurze. Mariusz wcisnął dwudziestkę w nos świętej i próbował dmuchać. Roześmiał się i ucałował ją w oba policzki. Zrobił krok do tyłu, zawadził o stół i upadł bezradnie obok Reksia. Zaklął i natychmiast się roześmiał. Kaśka próbowała go podnieść, ale wstał bez jej pomocy, jakby niewidzialna siła szarpnęła go do góry.

– Brakuje tylko peta – stwierdził. Ale Chesterfield wypadł z drewnianych ust. Mariusz zaczął wydłubywać dziurę widelcem.

– Mariusz, proszę cię – głos Kaśki brzmiał jak spod podłogi.

– Mariusz, proszę cię, proszę – warknął. – Czyś ty oszalała? Nawet tu, w tej pieprzonej norze, nie mogę wyluzować się... trochę?

– Chodź na górę.

– Teraz? Teraz daj mi spokój. Mam nową dziewczynę – przestał dłubać przy ustach figury. Przyciągnął sobie krzesło, otoczył ramieniem świętą Weronikę polizał ją w policzek. – No, co, kochanie?

Kaśka cofnęła się pod ścianę. Reksio rechotał w rogu. Po środku stał Adam i zastanawiał się, czy zostać, czy uciec.

– Nazywam się Mariusz – szeptał do drewnianego ucha. – Nie znamy się długo, ale myślę, że możemy poznać się intensywnie.

Jego ręka wędrowała od szyi, po piersiach i zatrzymała się na kroczu. Kaśka wybuchnęła płaczem, wyminęła Adama i rzuciła się na Mariusza, próbując go odciągnąć. Okładała po twarzy, ramionach, biła po głowie. Mariusz znosił to spokojnie, ucałował figurę ponownie. Jego ręka wykonała szeroki łuk. Otwarta dłoń trafiła Kasię tuż nad skronią. Odgłos uderzenia, zdawało się, zabrzmiał, gdy już leżała na podłodze.

Reksio wypuścił wino i spróbował się podnieść. Nim zdołał, Adam był przy Mariuszu. Zaatakował wysoko, przebił gardę i zdzielił w łuk brwiowy. Adam wyrznął Mariusza pod żebro, uchylił się przed ciosem i spróbował dostać się do podbródka przeciwnika. Mariusz oddał w szyję, poprawił w podbrzusze, a gdy Adam osunął się, kopnął w środek czoła. Adam leżał twarzą do ziemi i pluł krwią. Mariusz przetoczył go kopniakami w róg kuchni. Wtedy drogę zagroził mu Reksio.

Mariusz zamachnął się i powstrzymał cios.

– Teraz zastanów się, czy warto być przeciwko mnie – powiedział, ale przestał kopać Adama. Osunął się na krzesło i pociągnął wina. Reksio próbował podnieść Adama.

– Lepiej zobacz, czy z nią wszystko w porządku – poprosił Mariusz. Zapalił papierosa, nogi wywalił na stół. Kątem oka obserwował Adama. Reksio uklęknął przy Kaśce, przyłożył twarz do jej policzka, wstał i powiedział, że jest kurewsko nie w porządku.

– Zmarła – powiedział głucho Mariusz. – Moja dziewczyna umarła.

Reksio podniósł się z trudem. Stał pomiędzy Mariuszem a Kaśką.

– Na to wygląda – powiedział, rozkładając ręce.

Mariusz uklęknął przy dziewczynie, wziął ją w ramiona, usta zaciskał z bezsilnej wściekłości.

– Zmarła – powtórzył i wstał z klęczek. – Cóż, mógłbym powiedzieć, że tak po prostu się zdarza.

Rozejrzał się bezradnie.

– Reksio? – zagadnął Mariusz. – Zrób coś dla mnie, dobrze? Zrób to też dla siebie.

Reksio kiwnął głową.

– Przeszukaj nasze rzeczy. Znajdź i zniszcz narkotyki. Adam... Adaś?

Adam przemył twarz i oparł się o zlew. Wyglądało, że myśli tylko o tym, jak dopaść drzwi i dać nogę.

– Dasz radę uruchomić samochód? Adam nie odpowiedział.

– Byłoby dobrze, gdybyś dał – Mariusz schował usta w dłoniach. – Więc, jak Reksio uprzątnie wszystko, spierdalacie stąd ile sił. O tobie, Adam – głos mu zadrżał – nikt nie wie, że byłeś, prawda? Reksio robi, co chce. Dojedziecie do najbliższego miasta i zadzwonicie, gdzie trzeba, dobrze? Możemy tak się umówić?

– Nie chcesz być w to umoczony, nie? – zagadał Reksio. – Zrobiłeś ankiety, wyjechałeś i nie wiedziałeś nikogo.

– Jestem pijany – powiedział Adam.

– Żaden problem – prychnął Mariusz. – Połóż się i wytrzeźwiej. Albo jedź po pijaku. Ja... ja tu posiedzę. Możecie?

Wydobył woreczek, wysypał resztę amfetaminy. Włożył do proszku wilgotny palec i potarł nim dziąsło.

– Idźcie już – powiedział. – Ja się stąd nie ruszę. Reksio? Pamiętasz, o co cię prosiłem?

Te słowa Adam słyszał już zza drzwi.

Usiadł na progu i zapalił. Dym gryzł, mdlił i śmierdział. Filtr stał się tłusty i wilgotny, jak spasiony robak. Chesterfield tlił się powoli i w żarze było coś niezdrowego. Tak może dopalać się pogorzeliśko albo stos pogrzebowy.

Adam słyszał krzątającego się Reksia i płacz Mariusza. Nie chciał widzieć ich obu. Wolał zimny spokój Brzezimierza. Wstał, sprawdził, czy ma jeszcze papierosy i poszedł w głąb wsi, otoczony przez chłód i ciszę. Jedyne światło dawały okna plebani, gwiazd nie było. Gładkie chmury wisiały nisko, jak brzuchy ogromnych ryb. Adam pomyślał, że nie zawróci, pieprzyć samochód, martwą dziewczynę i narkomana. Powędruje między domy, wzdłuż drogi, tak, że go nie zobaczą. Będzie szedł tak długo, aż

będzie znów mógł mówić i opowie tę historię.

Może to pijacki zwid albo złośliwa zmora? Wyjdzie za Brzezimierz i okaże się, że miasteczko przepadło, wraz z trupami w kamieniołomie, Reksiem, Mariuszem i Kaśką. Nagle zdjął go strach, bo przecież wszystko było prawdą, cały alkohol, który wypili, kamieniołom, święta figura i martwa dziewczyna na kuchennej podłodze. Martwe dziewczyny są najprawdziwsze, zwłaszcza dla policjantów i trybunałów. Może powinien pobiec na policję, nie pozwolić, by Reksio sprzątał? Niech odpowiedzą wszyscy po równo, bo Kaśka zmarła dzięki całej trójce. Nie umieli pomóc. Kurwa, nawet nie chcieli.

Daj spokój, stary, to przypadek – tak zadzwęczało mu w głowie. Nikt nie chciał tu mordować. Przypadek i tyle. Mogła potknąć się i upaść, na to samo by wyszło. Wierzysz, że Mariusz jest szczerzy? Zimny skurwiel. Wie, że jeśli się zgłosi, dostanie parę lat, pewnie w zawiasach. Zwłaszcza, jeśli nie był karany. Zwłaszcza...

Zwłaszcza, jeśli na miejscu byli tacy, co zwiali, nim policja przyjechała.

Obejrzał się. Od domu dzieliło go kilkadziesiąt metrów. Aż dziwne, że tak mało przeszedł, a tyle już zdołał przemyśleć. Zawrócił gwałtownie, chcąc dopaść telefon i wezwać, kogo trzeba. Ale przed Adamem stał chłopiec z mokrą ciemnością zamiast oczu.

Stał i wyciągał chude dłonie.

Adam cofnął się, potknął i rąbnął o ziemię.

Chłopiec nachylił się, otworzył usta i wysunął ramię, pomagając Adamowi powstać. Adam zacisnął dłoń na nadgarstku. Był bardzo drobny, delikatny i zimny. Chłopiec pobiegł w głąb i Adam podążył za nim.

Mariusz został sam. Przez okno widział Adama, jak siedzi na stopniach, pali i zbiera się do drogi. Nie zdziwiłby się, gdyby ten gnojek popędził prosto na policję, ale było mu wszystko jedno.

Mariusz nie miał wyroku, nie pamiętał, kiedy przedtem kogoś uderzył. Gdzieś w głębi wiedział, że jeśli wsadzą go do pudła, wyjdzie po paru latach. Można to nazwać wypadkiem. Reksio będzie zeznawał na jego korzyść. Reksio to kochany chłopak.

Napił się wina i poczuł mdłości, gdy uzmysłowił sobie, o czym naprawdę myśli.

Jakie to ma znaczenie? Pięć, dziesięć, piętnaście lat więzienia? Mieli się pobrać, jeszcze niedawno była o tym mowa – że można, że trzeba, że wbrew złu wokoło dwoje ludzi zdoła ocalić własne szczęście. Zabić Kaśkę to okaleczyć świat. To życie jest zamknięte i skończone. Będzie zdychać we wspomnieniach, karleć w nich, stawać się własną karykaturą. W końcu umrze ponownie, wyjdzie z niej potworna larwa, rozpełźnie się po ludzkich głowach. Ktoś, kto nigdy naprawdę nie żył, Kaśka znana matkom, ciotkom, paniom nauczycielkom, malowanemu korowodowi dziecienniałych bab. *Co ja zrobiłem?*

Może każdy człowiek jest lustrem, odbiciem świata, monadą z milionem okien? Myśli przewalały się przez głowę Mariusza – zabijasz naprawdę wszystkich ludzi i gasisz słońce w palcach. Nic dziwnego, że nikt nie ulituje się nad tobą. Nie spróbuje zrozumieć, nie wybaczy błędu. Nie zastanowi się nawet, czy mogło stać się inaczej.

Zgasił papierosa i zapalił następnego. Wbił wzrok w świętą Weronikę.

– Może ty mi coś poradzisz?– powiedział. Cisza.

– Myślę, że to świetny sprawdzian dla twojej cudowności. Wskrześ tę dziewczynę albo napraw mi głowę.

Z winem w dłoni, dotoczył się naprzeciwko świętej.

– No, wskrześ, to przesadzam, nie? Żaden z ciebie tam Pan Jezus czy inny apostoł. Albo rozwał mi łeb. Poprzestawiaj szufladki – klepnął malowany policzek. – Spraw, żebym się ślinił, ale nic nie pamiętał.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym w twarz świętej. Mógł przysiąc, że Weronika otwiera oko, szerzej i szerzej.

Adam szedł w głąb domu. Przed sobą widział chude plecy chłopca. Dzieciak znajdował drogę między górami szpargałów. Wszystko było ciemne i zakurzone. Światło z gołych żarówek słabło jeszcze pod sufitem. Odniósł wrażenie, że dom żyje słabym, niespokojnym życiem – korytarze, które zostawiali za sobą, mogły już przepaść, a dom uformował nowe, by nigdy nie znaleźli drogi powrotnej.

Spojrzał przez ramię – korytarz zwężał się wyraźnie. Ciemne ściany przysłaniały niedokończone rzeźby – dziesiątki dłoni splatały się ze sobą, setki oczu odprowadzały ich drewnianym spojrzeniem. Koniec korytarza ginął w ciemności. Z przodu tę ciemność rozwiewał widmowy chłopiec.

Minęli kuchnię, śmieszna i starodawna. Stał tu piec na węgiel, a brzegi wysłużonego stołu były pocięte nożem i dłutem. Rzeźbiarz nie odrywał się od pracy nawet przy jedzeniu. Metr od sufitu, przez środek kuchni, biegła belka, gruba jak udo dorosłego mężczyzny, pomalowana na ciemny brąz i ozdobiona zasuszonymi roślinami. Tu się powiesił, pomyślał Adam.

Chłopiec ponaglił go gestem ręki. Na końcu korytarza znajdowały się drewniane drzwi, podobne do tych, które widuje się w starych stodołach. Chłopiec przeszedł przez nie ze śmiechem, cofnął się i przeszedł ponownie. Wyglądał na zachwyconego tą zabawą. Adam, kiedy zobaczył potężną kłódkę, pomyślał, że nie zdoła dostać się do środka, ale zamknięcie ustąpiło po pierwszym szarpnięciu. Intensywny zapach farby i drewna zapraszał do wejścia.

Prowizoryczne stopnie biegły ostro w dół i Adam musiał trzymać się poręczy. Ta zawiodła pierwsza – trzasnęła, gdy tylko powierzył jej swój ciężar. Przez moment myślał, że upadnie i złamie sobie kark, ale tylko usiadł na drewnianych schodach. Wsunął rękę pod stopień, licząc, że natrafi na wzmocnienie. Nie widział choćby na pół metra. Przed sobą miał gęstą ciemność, za sobą, wysoko – drzwi i blade światło. Podniósł się i ruszył dalej.

Wyobraźnia ożywiła mrok wokoło. Nagle powiało chłodem, zapach farby i ciepłego drewna przemienił się w trupi odór. Pająki tańczyły przed twarzą Adama. Za plecami sunął złowrogi cień. Spod stopni wysuwały się dłonie. Adam przysunął się do ściany i schodził bokiem. Próbował dojrzeć chłopca, zawołał go słabym głosem. Pomyślał, że musi natychmiast wracać. W tej samej chwili palce znalazły kontakt. Jasne światło spadło na potężny stół, drewniane bloki i skrzynie narzędzi. Adam stał w pracowni rzeźbiarza.

Rozejrzał się i stwierdził, że chłopiec przepadł. Powoli dotarł na środek pokoju. Gruba warstwa wiórów pokrywała podłogę. Na brzegu stołu stał słoik z resztkami zepsutej kawy i drugi, większy, służący jako popielniczka. Niedopałki walały się po ziemi, stole i półkach. Adam dziwił się, jak można być tak nieostrożnym. Pijany rzeźbiarz mógł spłonąć tu żywcem. Kilka butelek wystawało spod warstwy wiórów, kilkanaście innych stało na półkach i wokół prowizorycznego łóżka. Pod kocem Adam znalazł talerz z pierogami. Powstrzymując wymioty, cisnął go w róg pokoju.

To tutaj rzeźbiarz przygotował figurę świętej. Na drewnianej tablicy zgromadzono kilkanaście zdjęć i reprodukcji. Każde przytwierdzono pineską. Wokół srebrnych łebków widniały brudne ślady palców. Część obrazków przedstawiała Weronikę z innych kościołów. Na co najmniej pięciu, święta trudziła się ocieraniem twarzy umęczonego Chrystusa. Adam rozpoznał Tyberiusza z gniazdem os na głowie. Święta Weronika rozkładała chustę przed cesarzem, a oczy starca, pełne nadziei, śledziły pracę jej dłoni. Był wizerunek świętej z bazyliki św. Piotra w Rzymie, stamtąd, gdzie znajduje się sama chusta. Weronikę uchwycono w ruchu, twarz zdradzała napięcie, że może nie zdążyć z pomocą. Osobno, jakby na wydzielonym miejscu, widniał staranny rysunek samej zakrwawionej chusty. Pod twarzą Jezusa, ktoś napisał koślawymi literami: WERONIKA – PATRONKA DOBREJ ŚMIERCI.

Adam przyjrzał się obrazkowi i przeniósł wzrok na półki. W równych rzędach poprzipinano do nich zdjęcia. Adam rękawem przetarł pierwsze z brzegu – przedstawiało chłopca, który go tu przyprowadził. Następne także. I następne. Adam czyścił zdjęcia coraz szybciej, świadomy, że stoi na progu straszliwej tajemnicy. Skończył jeden rząd i zaczął następny. Zdjęcia powtarzały się, odbitki różniły się papierem i wielkością. Zataczał koło za kołem, nerwowo, aż wreszcie skończył i cofnął się w stronę stołu.

Chłopiec, którego imienia nie znał, patrzył ze zdjęć. Kiedy rzeźbiarz pracował, syn nie odrywał oczu od jego dłoni. Tutaj powstała święta Weronika, dar od rzeźbiarza dla wioski. Czemu ją ofiarował? Adam poczuł duszność. Odwrócił się i spojrzął na widmowego chłopca.

Chciał krzyczeć, ale chłopiec obalił go na ziemię. Ich usta złączyły się. Adam pił jego historię.

Brzezimierz jest pełen ludzi. Adam biegnie w pełnym słońcu. Nogi niosą go same. Coś prowadzi jego oczy – widzi staruszkę w oknie, dwóch facetów w jasnych dresach grzebiących przy dużym fiacie, pranie łopoczące na wietrze i czerwony kościół. Słyszy głosy. RzUCA spojrzenie za siebie – kości chcą wyskoczyć ze stawów, ale wszystko na próżno. Z naprzeciwka nadciąga druga grupa. Skręca pomiędzy budynki.

Mija jednopiętrowy domek na czerwonej podmurówce, walący się płot i już dobiega do łąki, wzdłuż kościelnego muru, gdy kamień sięga celu. Adam, trafiony w środek pleców, chwieje się, ale gna dalej. Pościg łączy siły. Na czoło wysuwa się chudy rudzielec, coś pomiędzy chłopcem a brzdącem z pierwocinami mięśni. Adamowi wydaje się, że rudzielec nie ma oczu, tylko dwa martwe punkty, podobne do drzazg opłukanych przez wodę.

Wszystko nagle zwalnia – Adam widzi własne stopy sunące ospale nad ziemią i rudzielca, jak powoli unosi patykowate ramię, jak ciemny kamień drży w niecierpliwych palcach. Rudy bierze krótki zamach, nie zwalnając w biegu. Kamień zbliża się i zdaje rosnać. Adam próbuje skręcić albo pochylić głowę, bezskutecznie. Kamień wbija się w jego oko.

Pada twarzą do dołu. Nie czuje bólu, tylko zdziwienie. Przetacza się na plecy i patrzy w twarz prześladowcom. Otaczają go półokręgiem, rudzielec klęka, dociska Adama kolanem. Uśmiecha się, jakby

właśnie miał rozpakować wigilijny prezent, wysuwa kciuk i zagłębia go w ocalałym oku. Rozlega się dźwięk, jaki wydaje zgniataną jajko. Grad kopniaków przypomina łaskotki. Adam czuje, że toczą go po drodze, a on, ślepy i zupełnie bezbronny, nie zdoła ująć śmierci. Nie ma też powodu, aby z nią zwlekać.

Nadbiega rzeźbiarz, przy chłopcu nie ma już nikogo. Podnosi z ziemi zakrwawione ciało syna i gna w stronę plebani.

Święta Weronika przymknęła oko, a z ust zabrzmiało przeciągłe westchnienie. Za wargami wił się najeżony drzazgami język. Mariusz osunął się na kolana i objął świętą, łkając cicho i prosząc Boga, żeby ta chwila nigdy nie dobiegła końca. Uniósł głowę i dostrzegł, że po policzku spływa czarna łza. Ciężka kropla oderwała się od brody i trafiła Mariusza w środek czoła. Roztarł ją i podniósł się z kolan.

Stał teraz naprzeciw malowanej twarzy. Bardzo ostrożnie nachylił głowę i przywarł ustami do czoła świętej Weroniki. Mógł przysiąc, że pod warstwą drewna budzi się nowe, rozszalałe życie. Obliznął spieczoną wargę. Przełknął ślinę, gęstą jak żywica, i zliznął krwawą łzę z niewidzącego oka. Była rozkosznie słodka. Wlewał spokój w swoje wnętrze.

Oderwał usta. Nie miał wątpliwości – powieki świętej opadały i podnosiły się powoli. Jedyne widzące oko patrzyło na Mariusza z czułością. Drugie wypełniły obrazy. Mariusz zobaczył siebie i Kasię, trzymających się za ręce. Za nimi falowało jezioro. Mariusz czuł zapach perfum i przyjemny chłód wody. Ucałował świętą. Drewniane usta rozchyliły się, były miękkie i ciepłe jak ciasto, ale gdy próbował się cofnąć, nie potrafił.

Szarpnął się i krew poleciała mu w głąb gardła. Jęknął, czuł ciecz spływającą po brodzie i koszuli. Święta Weronika zadrżała. Drewno było teraz gorące i miękkie. Widzące oko załża czerń. Ostrożnie spróbował wyplątać się z uścisku, a wtedy zimne powietrze weszło mu w gardło nagłym podmuchem.

Święta Weronika puściła Mariusza. Upadł między krzesła. Oszołomiony, spróbował powstać. Coś rozpychało mu żołądek i nagle pękło, pognało przez stawy do czubków palców, zalewając serce, szyję, głowę. Na moment nastąpiła ciemność. Można by pomyśleć, że oczy Mariusza pękły jak lodowe kulki – ale zaraz znów było dobrze. Widział ze zdumiewającą ostrością. I wszystko było kojąco piękne.

Wstał. Rozpierała go nowa siła.

Wiedział już, co powinien zrobić.

Świat był pluszowym przyjacielem. I wszystko znalazło się na właściwym miejscu.

Adam poznał prawdę i biegł, ile sił.

Dom rzeźbiarza rozstępował się przed nim. Meble, sztalugi, kawałki kamienia i gliny schodziły mu z drogi, zakręty przeobrażały się w prostą drogę, jakby chciały pomóc w opuszczeniu przeklętego miejsca. Przeleciał przez drzwi wejściowe, jakby zrobiono je z gęstej mgły. Gnał dalej, nie patrząc za siebie.

– Piotrek! – krzyknął i runął w błoto. Uderzył miękko i pojechał na plecach prawie do ulicy. Spróbował powstać i natrafił na pomocną rękę Reksia.

– Gdzie Mariusz?

– Chyba jeszcze w kuchni – Reksio chciał pomóc Adamowi otrześć się z błota.

– Zabieraj go i wypierdalamy – Adam starł błoto z twarzy – we trzech i natychmiast.

– Jeśli chce zostać, to myślę, że powinien – odparł Reksio – nie chcę nawet myśleć, co teraz się z nim dzieje.

– Wiem, co tu się wydarzyło – rzekł Adam – jakkolwiek by to dziwnie nie brzmiało.

– Nawijaj.

– Najpierw musimy jechać. Nie wolno tu zostać. Oni – zakreślił łuk w powietrzu – wszyscy umarli. I myślę, że też nie jesteśmy tu bezpieczni. Więc zabierz Mariusza i chodźmy stąd wreszcie.

– Nasiupałeś się? – chciał wiedzieć Reksio.

– Daj spokój. Ten jeden raz, dobrze? I chodź – Adam chwycił Reksia za nadgarstek i pociągnął w stronę drogi – uruchomimy samochód. Idź po Mariusza.

– Zbędna fatyga – zabrzmiało.

Mariusz stał w progu plebani i trzymał Kasię na rękach. Wydawał się wyższy niż w rzeczywistości, schylił się, gdy przechodził przez futrynę. Ułożył ciało dziewczyny na schodach, zza pleców wydobył długi kij.

– Musicie mi pomóc – powiedział metalicznie. – Sam nie dam rady jej zanieść do kamieniołomu.

– Nie, musimy stąd jechać, Mariusz – Adam wszedł na werandę. Zza jego pleców wyglądał zatroskany Reksio.

Adamowi wydało się, że Mariusz ma tylko jedno oko, z wielką i ciemną źrenicą. Drugie było blade i ślepe.

– Piotrek – powiedział Mariusz łagodnie, przekładając kij z ręki do ręki – może byś pomógł staremu przyjacielowi, co? A ty Adam, pomyśl przez chwilę, czy warto mi się sprzeciwić.

Ciemności rozproszyły się. Gdy dotarli nad jezioro, woda była szara jak niebo nad nimi. Reksio szedł przodem, sapał i oglądał się na Brzezimierz. Próbował zagadywać, pytać, po co ta afera, ale Mariusz zbywał go milczeniem. Adam żałował, że Reksio nie idzie z tyłu. Głowa Kasi kiwała się pomiędzy ramionami i Adam miał wrażenie, że martwe oczy przenoszą spojrzenie na każdego z niosących.

Mariusz powiedział, że lepiej będzie, jeśli nie pójdą nad znany im brzeg, ale skierują się na najwyższą część urwiska. Szedł na końcu, Adam widział jego długi cień. Gdy dotarli na miejsce, ostrożnie złożyli ciało dziewczyny na ziemi. Reksio odsunął się natychmiast i odwrócił wzrok od trupa.

– Ostatnia prosta – powiedział Mariusz.

Odłożył kij. Chwycił dziewczynę za ręce i pociągnął na skraj skarpy.

– Złapią cię – powiedział głucho Adam. – Podobnie jak nas wszystkich.

Mariusz roześmiał się.

– Pomoglibyście, co? – stęknął.

Nikt się nie ruszył. Mariusz wyprostował się i otrzepał ręce, jakby z brudu.

– Poinformuję was o dwóch sprawach. Po pierwsze, jesteśmy w gównie po czubki uszu...

– Zmusiłeś mnie – Reksio cofnął się w cień krzaków.

Sami przyszlście tutaj ze mną i nie robicie nic, czego nie zrobiłbym dla was – rzekł przeciągle Mariusz. – I mówię tyle, że jeśli nie rozbijamy ciała, może wylądować na skałach przy brzegu. Wtedy będziemy w gównie na amen.

– Nic nie zrobiłem – z cienia brzmiał głos Reksia. – Mówię, żeś mnie zmusił.

– Zostaw tego bekse, Adam – Mariusz schylił się, jakby chciał podnieść kij. – Nie ma siły, żeby ktoś nie pęknął. Zostaw i podejdz. Wiem, że chcesz to mieć za sobą.

Adam nie drgnął. Bał się zbliżyć i bał się odejść.

– Przecież wiesz, co tu się stało – powiedział łagodnie Mariusz i Adam zrobił wolny krok do przodu. Mariusz wyprostował się, stanęli naprzeciw siebie, przedzieleni ciałem.

– Zróbmy to szybko – rzekł Mariusz. Chwycił dziewczynę za nogi. Adamowi wszystko wydawało się nierzeczywiste. Mariusz przypominał kawał celuloиду z jasną plamą w miejscu twarzy. Widział przez nią zarysy drzew i ostrą linię urwiska. Schylił się i podniósł Kasię za rękę.

To rzeczywiście trwało moment, dziewczyna zniknęła za skarpą. Ciszę jej lotu przerwał jęk Reksia. Stąd, urwisko wydawało się jeszcze wyższe, ciało Kasi malało szybko, uderzyło w wodę niemal niewidoczne. Adam obejrzał się – Reksio kucnął i chował twarz w dłoniach.

– Akurat on ma rację – wskazał kciukiem na Mariusza. – Zaraz będzie po wszystkim.

Kij uderzył zbyt szybko, aby Adam mógł się uchylić. Zdołał podbić go ręką i cios ominął twarz, spadając na klatkę piersiową. Stracił oddech, runął na plecy, chciał przetoczyć się w stronę krzaków, ale Mariusz odciął drogę. Kij unosił się i opadał, Adam próbował unikać ciosów, aż wreszcie zacisnął łokcie na głowie i krzyknął do Reksia, aby pomógł. Ale Reksio przepadł. Mariusz patrzył na świat oczyma świętej Weroniki.

Zmęczył się biciem, chwycił Adama pod pachy i pociągnął w stronę skarpy. Adam nie czuł własnych nóg, piersi i brzuch napuchły, chciały rozsadzić koszulę. Spod przymkniętych powiek widział ciemne niebo i zbliżającą się linię urwiska. Szarpnął się tylko raz – próbował dosięgnąć głowy Mariusza, ale pięść spadła na brzuch. Mariusz westchnął i postawił Adama na nogi. Pod nimi rozpościerało się jezioro. Księżyc przypominał Adamowi oko świętej Weroniki.

– Nie – poprosił – nie rób mi tego.

Ręce Mariusza, które utrzymywały Adama w pionie, zwolniły uchwyt. Adam zakręcił się na stopie, runął bezwładnie, upadł na sam brzeg. Poderwał głowę. Mariusz był większy niż wszechświat. Jedno oko miał czarne i ślepe. W drugim płonąła zieleń.

But popędził na twarz Adama. Adam zamknął oczy. Ważne, żeby nie bolało.

Powietrze przeciął krzyk.

Adam i Reksio siedzieli na brzegu i patrzyli na zalewisko.

– Pchnąłem go – powiedział Reksio. – Po prostu pchnąłem. Musiałem coś zrobić.

Adam kiwnął głową. Zapadła chwila milczenia.

– Mówiłem ci, że nie jesteśmy złymi ludźmi – Reksio rzucił kamykiem. – Czasem tylko coś się popierdoli.

– Myślisz, że to koniec? – zapytał Adam. – Z Brzezimierzem, świętą Weroniką?

– Nie – Reksio pokręcił głową. – Zostawiliśmy figurę w kuchni. Powinniśmy zaciągnąć ją tutaj. Tutaj i... – zawiesił głos – utopić chyba, prawda? Niech wróci do swoich zmarłych. Do Mariusza.

– Można by ją spalić – odparł Adam, który najbardziej na świecie tęsknił za ciepłym łóżkiem i papierosem w drugiej kolejności. – Nazbieralibyśmy drewna i spalili przed kościołem.

– Myślę, że właśnie tak powinniśmy postąpić – Reksio podniósł się. Słońce stało wysoko – ale teraz wolałbym wrócić do domu.

Samochód wjechał do Brzezimierza.

Karol nienawidził pracy, lubił za to zimne piwo i uda swojej dziewczyny. Obiecał sobie, że załatwi, co trzeba, w godzinę i przed ósmą wróci do Wrocławia. Zabrał teczkę z materiałami, trzasnął drzwiami fordą i ruszył w stronę najbliższego domu. Brzezimierz wcale mu się nie podobał, nie tylko ze względu na ciszę i smród. Nabral przekonania, że ktoś go obserwuje.

– Mogę jakoś pomóc? – zabrzmiało. Karol odwrócił się powoli.

– Mam trochę materiałów promocyjnych – odpowiedział z wahaniem – chodzi o telefony. Mamy tutaj... – otworzył teczkę i foldery poleciały w błoto.

– Cholera – schylił się i zaczął je zbierać.

– Chętnie pomogę – powiedział Mariusz – pokażę panu tutaj wszystko, co trzeba...

ZMIERZCH RYCERZY ŚWIATŁA

I

DZIEŃ INTERNAUTY

Dobry Boże, wybacz moje winy. Patrzę na komórkę. Świat spływa jak woda po szybie.

Internet jest królestwem przypadku, generuje przyjaźń i miłość, kompiluje wiedzę, urządza dom, szafę i bibliotekę. Wyciągnąłem kartę wróżb. Strona przypominała wirującą zupę czarownicy. Wszystkie strony dla frajerów, stwierdziłem, są podobne, błyszczą się i świecą jak lunapark. Złote gwiazdy pędziły za kursorem w wymyślnych konstelacjach. Karty tarota przypominały heroiczne czasy polskiego komiksu, nazwiska wróżów skrzyły się purpurą, a przy wejściu na podstronę brzmiało dzwonienie.

Miałem ubaw po pachy. Czego tam nie sprzedawali? Znalazłem eliksiry na miłość i na zgagę, proszek na złe duchy, cudowne amulety przeciw całemu złu świata (Z NASZYM AMULETEM KAŻDY CIĘ ZATRUDNI – stało wołami), klątwy rzucane przez wyspecjalizowane media, egzorcyzmy na ludziach, sprzętach i faunie, podręczniki, jak to wszystko zrobić samemu, broszurki o ziołarstwie, dwa tuziny horoskopów, wreszcie figurki orientalnych świętych, wszystkie jednakowo zadowolone ze świata i siebie. Ale sens strony tworzyły wróżby: wróżono z tarota i z fusów, z lotu ptaków i chmur, gwiazd i fal na wodzie. Mogłem zamówić horoskop indywidualny, dla całej rodziny, zakładu pracy, wreszcie dowiedzieć się, jak przebiegną losy innych ludzi.

UWAGA! – migało na złoto – PROMOCJA. WRÓŻBA CODZIENNA!

I niżej, mniejszymi: cena 9 złotych bez VAT na miesiąc.

Co rano miałem otrzymywać SMS z wróżbą na cały dzień. Po piątym piwie pomysł wydawał się tak kuszący, że nie odstraszyła mnie ankieta, którą musiałem wypełnić. Pytano o kolor włosów i datę urodzenia, ale nie o imię i adres zamieszkania. Chcieli wiedzieć, czy wierzę w Boga, czy tylko w Jego Kościół, ale nie interesowali się, ile zarabiam, gdzie i z kim sypiam po pracy. Uznali za istotne dokładnie wy badać moje zainteresowania, ale zignorowali problem, czy już się rozmnożyłem, czy też sram na snopek własnych genów i nie zamierzam pchać go dalej. Nie pytali nawet o e-mail. *Po co komu dane, których nie można sprzedać*, pomyślałem i wypełniona ankieta pomknęła po łączach.

Z Agatą nie byliśmy ani bogaci, ani szczególnie biedni. Dziewczyna nie znosiła bezmyślnego wydawania pieniędzy, nie cierpiała kwiatków, małych maskotek i rozbijania się taksówką, jeśli można pojechać autobusem albo dojść na piechotę. Byłem pewien, że się wścieknie o głupio wydane dziesięć złotych.

Wybrałem więc kompromis.

Uznałem, że się nie dowie.

Mieszkaliśmy wtedy w kawalerce, wziętej na raty i spłacanej z ogromnym trudem. Mieliśmy dwa koty, komputer i mnóstwo książek. Teraz myślę, że niewiele nam brakowało.

Lubiłem swoje życie, choć nie doświadczyłem niczego szczególnego. Nie brałem narkotyków, nie piłem ponad miarę, nie powtarzałem studiów, nie jeździłem po świecie. Agatę poznałem jeszcze w liceum i przestałem tęsknić do innych kobiet. Zakochałem się w jej zwyczajności, a wraz z nią polubiłem zwyczajność życia.

Lubiłem wstawać wcześniej, siadać na brzegu łóżka i patrzeć na śpiącą Agatę, na spokojnie unoszące się piersi i gęste loki. Wstawałem niechętnie, robiłem dwie kawy i kanapki z serem lub tańszą wędliną. Agata uśmiechała się leniwie, a ja myślałem, że nie potrzebuję żadnych przygód i każda odmiana będzie tylko na gorsze.

Wyobrażałem sobie, jak się starzejemy. Wszystkim, których znałem, starość jawiła się jako dowód złośliwości stetryczałego Boga. Myślałem, że zmarszczki scementują naszą miłość, że prawdziwe przywiązanie jest takie od białego welonu do laski i dopiero na starość dowiadujemy się, ile jesteśmy warci. Więc chciałem się starzeć, chodzić coraz wolniej, zżyć się z trzecią nogą, patrzeć, jak mięśnie rozchodzą się w tłuszczu. Miałem 24 lata i wówczas wydawało mi się to cholernie romantyczne.

Nie mogę też powiedzieć, że nie wlażłem w szambo z rozmysłem.

Pracowałem na pół etatu w firmie sprzedającej wnętrza do łazienek. Praca tyle prosta, co gówniana. Cztery razy w tygodniu szedłem do biura, otrzymywałem listę i dzwoniłem po ludziach, wciskając im kabiny prysznicowe, kafelki i złote krany. Pierwszy tydzień był trudny, ale szybko zrozumiałem, że nerwy w tej pracy nie pomogą. Mogli mnie mieszać z błotem, trzasnąć słuchawką, wycharzczyć odmowę dysząc z nienawiści, a ja spokojnie robiłem swoje, dzwoniłem dalej. Dzięki kafelkom wyrabiałem prawie tysiąc miesięcznie. Agata pracowała w banku i żyliśmy, nie martwiąc się o jutro. Zawsze ktoś będzie chciał wziąć kredyt i każdy robi przynajmniej jedną kupę dziennie.

Była więc szósta trzydzieści. Wstałem, wymieniłem z Agatą spojrzenia i podreptałem do kuchni zrobić śniadanie. Komórka leżała na biurku, wciśnięta między klawiaturę, baterię kubków po kawie i hańdę karteluszków. Zapiszczała, kiedy ją mijałem.

BARSZCZ I MIGDAŁY LOS TWÓJ ZACHOWAŁY, przeczytałem.

Patrzyłem chwilę na ekran i zastanawiałem się, co zrobić z taką wróżbą. Wykasowałem, ale nie zdołałem wygonić z głowy. *Barszcz i migdały los twój zachowały*, dźwięczało pod czaszką podczas krojenia sera, *barszcz i migdały* – szczekał paskudny pinczer na przystanku sto trójki, *los twój zachowały*, chrzypnął pijak o siódmej nad ranem kończący dzień w wymiocinach.

W pracy chciałem kończyć rozmowę sentencją o barszczu i migdałach. Wyobrażałem sobie, jak klient po drugiej stronie kabla prosi o powtórzenie, pyta, czy to żart, ja powtarzam uprzejmie, że wcale nie i tylko próbuję być miły. On warczy, ciska słuchawką, próbuje wrócić do zajęć, ale coś nie daje mu spokoju. Wychodzi do kibla, upewnia się, że nikt go nie słyszy i nuci nad muszlą: *barszcz i migdały los twój zachowały*.

Jak łatwo wpaść w pułapkę własnych żartów – myślałem po południu, stojąc z koszykiem w Plusie i patrząc na zupy instant. Podrzucałem paczkę migdałów i zastanawiałem się, czy schować ją do koszyka. Dookoła przewalali się studenci z wózkami taniego piwa, staruszki z okrawkami mięsa dla swoich pociech i workami mleka, zgaśli menedżerowie z uwagą wybierali płatki śniadaniowe i mleko acidofilne, kulturysta, szerszy niż wyższy, zgarniał puszki tuńczyka. Doszedłem do wniosku, że człowiek potrzebuje

magii, poczucia, że nie wszystko układa się w ciąg przyczyn i skutków. Jeśli dopuścimy magię do siebie, choćby tę prosto z kiosku, ona nie pozwoli nam odejść. Wyobraziłem sobie kulturystę, klęczącego w świątyni Wielkiego Tricepsa, jak błaga Manitou sztangi o przyrost masy, zaśmiałem się i wrzuciłem migdały do koszyka. Wybrałem czerwony barszcz na cztery porcje, w dużej saszetce.

Nigdy nie zdradziłem Agaty, a idąc do domu, zastanawiałem się, ile razy okłamałem ją przez sześć lat. Na pierwszym roku studiów, podczas imprezy studenckiej wciągnąłem kreskę amfetaminy. Czułem się, jakbym wypił kawę z Red Bullem i setką. Wróciłem do domu (wynajmowaliśmy wtedy pokój na Azorach), położyłem się przy Agacie i leżałem nieruchomo do rana, choć najchętniej sprintem obiegłbym miasto, opowiadając swoje życie. Rano czułem się, jakby wyjęto ze mnie każdą kość, zmiażdżono walcem i złożono z powrotem.

Dwa lata temu spotykałem się z pewną dziewczyną. Wymykałem się z domu pod pretekstem libacji z Pawłem, pędziłem do Harrisa, gdzie siedzieliśmy do trzeciej, czwartej nad ranem, wałkując każdy temat, jaki przyszedł nam do głowy. Nawet jej nie pocałowałem. Nazywała się Beata i miała faceta. Mieszkali razem, pracowali razem i nie dziwiłem się, że chce posłuchać innego mężczyzny. Popatrzeć na inne dłonie. Myślę, że każde z nas utwierdzało się we własnym wyborze. Pewnego dnia, po prostu nie przyszła. Nie zadzwoniłem i dobrze się stało.

Dwa kłamstwa przez sześć lat to marny wynik, prawda? Zdublowałem go przez 24 godziny. Nie powiedziałem o wróżbach przez telefon, a migdały z barszczem wepchnąłem na dno plecaka. Wchodząc do domu, czułem się jak gimnazjalista wracający do mamy po pierwszym papierosie.

Siedziałem przez godzinę, starając się myśleć o czymkolwiek poza ratunkiem ze strony barszczu i migdałów.

O siódmej przyszedł Paweł i powiedział, że rozstał się z Moniką. Wyglądał jak przeciągnięty pod kiblem i tak też cuchnął.

– Więc pierdolnąłem tym – powiedział, chowając flaszkę do lodówki. – Nie wiem, po prostu we mnie pękło.

– Powiedziałaś, że masz jej dosyć? – chciała wiedzieć Agata.

– Żeby spierdalała, jeśli musisz wiedzieć – przeciągnął dłonią po czole. – Najpierw ryczała, więc ja wrzeszczałem głośniej. Sąsiedzi mieli cyrk. A potem paliłem peta za petem, patrzyłem, jak wrzuca do plecaka swoje graty, dzwoni tam po koleżankach, ryczy jeszcze głośniej, wreszcie...

Przygryzł wargi.

– Wreszcie zebrała się przed czwartą. Powiedziała, że będę tego żałował. I wiesz co, żałowałem już w tym momencie.

Mieszkali razem przez trzy miesiące. Mogłem wiele powiedzieć o Pawle, ale nic o tej dziewczynie.

– Napić by się trzeba – obwieścił Paweł.

– Jedną flaszkę – zaznaczyłem w niejasnym przeczuciu nadchodzącej zagłady.

– Oczywiście – zgodził się Paweł. – Właściwie to nie flaszką, tylko flaszeczką.

Butelka opuściła lodówkę.

– Agata – zapytał – zrobić ci drinka?

Nie było jeszcze północy, a my kończyliśmy trzecią. Agata otuliła się w pijany sen. Powoli miałem dosyć, Paweł się rozkręcał.

Ten facet kazał mi myśleć, że coś umyka mi w życiu. Kiedy zdawałem egzaminy, chłopina pił, aż wódka ciekła mu nosem; kiedy rezygnowałem z papierosów, on wybierał między haszyszem a amfetaminą; ja myślałem o zaręczynowym pierścionku, on wyciągał panienki z knajp i łomotał na Plantach. Potem pojawiła się Monika i Paweł orzekł, że nadchodzi czas stabilizacji. Siedział przede mną z twarzą czerwoną i okrągłą, gryzł ogórka i poganiał mnie, żebym pił dalej.

– Co teraz zrobisz? – zapytałem.

– Nie mam, kurwa, pojęcia – wyjął papierosa i pchnął paczkę w moją stronę. – Nie każ mi o tym myśleć. Nie umiem żyć dalej jak żyłem, nie chce mi się wracać do tego, co było wcześniej.

– O co wam poszło? – nie paliłem od lat. Tego wieczoru wykurzyłem z Pawłem półtorej paczki.

– I znowu powiem, że nie wiem. Po prostu patrzyłem, jak to się rozwija, że jakiegoś tam wsparcia nie mam i że jak dzieci się pojawiają, nagle zostaną z pieluchą pełną gówna. Bo ona będzie miała zły humor. Albo ją ciota ponapierdala. Bo, kurwa, pewne rzeczy muszą być zrobione. A to, powiem ci, tak w sumie, fajny człowiek był.

– Ma dokąd iść?

– Chyba ją samą zostawiłem. Samą jak chuj w dupie. Trzeba to jakoś znosić.

– Zdrowie.

– Zdrowie. Ale powiem ci, że nie wyobrażam sobie teraz powrotu do dawnego życia.

– Byłem w knajpie ze dwa tygodnie temu i wiesz co? Ciągle tam siedzą fajne dziewczyny.

– Och, daj spokój. Czasy się zmieniły. Ja się zmieniłem. Zestarzałem się chyba. Masz dwadzieścia dwa, dwadzieścia pięć lat, to twoim pieprzonym prawem jest łapać każdą laskę za dupę i cześć. Ale mam trzy dychy, chwytasz stary? I kurwa mać, jak teraz zacznę spalać się na studentki, to szast prast i budzę się w tej samej knajpie po czterdziestce. I jestem starym, samotnym pierdzielem.

– Czasy się zmieniają – zauważyłem.

– Łatwiej jest ochujeć – parsknął. Paweł ma cerę kobiety, gładką i jasną. Kiedy pije, wykwitają na niej kolory niczym plamy na słońcu – myślę, że takie życie jak moje uczy tchórzostwa. Zawsze już mam wątpliwości, czy to ta dziewczyna, czy wejść w to prawdziwie i szczerze, bo przecież zawsze można spotkać kogoś lepszego, ciekawszego i tak dalej. Ty nie masz takich wątpliwości, prawda?

– Tu byś się zdziwił. Czekaj chwilę.

Spróbowałem się podnieść i natychmiast opadłem na fotel. Nogi miałem z gumy, alkohol zalał mi głowę, pokój drżał jak w gorącym powietrzu. Ostrożnie wypionowałem się na łokciach, padłem na ścianę i suwając nogami po dywanie podążyłem w kierunku drzwi. Wiedziałem, że jeśli je minę, będzie dobrze. Tuż przy framudze nadeszło osłabienie. Kolana ugięły się i gdyby nie klamka, upadłbym na podłogę. Przełknąłem ślinę i ruszyłem, wturlałem się do łazienki i opadłem na umywalkę. Pomyślałem, że jeśli umyję twarz, wszystko wróci do normy.

Zanurzyłem dłonie w zimnej wodzie i natychmiast puściłem pawia. To było jak start rakiety, wódka, kanapki i sok jabłkowy przemknęły przez gardło, rozbryzgując się na umywalce, kosmetykach i kafelkach. W jednej chwili świat rozjaśniał. Widziałem wyraźnie własne odbicie, pozieleniałą twarz, sine usta z nitkami wymiocin i zażawione oczy. Miałem dosyć. Bieg się skończył. Czas zamknąć wszystkie opowieści.

Wróciłem do pokoju, Paweł siedział zgięty nad wysychającą butelką. Uśmiechnął się do mnie.

– Zmierzam do tego – powiedział – że... to znaczy, ja wiem, że zawsze mi zazdrościłeś. Takiego życia, luzu takiego. I powiem ci, że było czego zazdrościć. W pewnym momencie, jak to się mówi, okresie czasu, miałem wspaniałe życie. Ale chcę też powiedzieć, nie wiem, kto komu zazdrościł bardziej. Nie wiem nawet, kto miał większy ku temu powód.

Wciągnąłem powietrze. Była w nim wódka.

– Strasznie spoko – wysłałem Pawłowi blady uśmiech i runąłem na łóżko, w swetrze, spodniach i butach. Ostatnim, co widziałem, był Paweł uśmiechający się do mnie. W jednej ręce trzymał kieliszek, drugą przechylał butelkę. Po policzku płynęła łza.

Obudziłem się o świcie z pustynią w gębie. Żołądek przykleił się do pleców, w głowie wirowała mętna woda. Zgaga siedziała w gardle jak zmora. Byłem nieznośnie przytomny, wybity ze snu. Usiadłem na brzegu łóżka. Na widok flaszki, popielniczki i kieliszków zrobiło mi się niedobrze.

Agata uśmiechnęła się przez sen.

Mam kuchnię tak małą, że z trudem mogę się w niej obrócić. Wypiłem wodę z czajnika, ale poczułem się jeszcze gorzej. Wsypałem migdały do gardła. Smakowały okropnie, ale kiedy robiłem barszczyk, zgaga przeszła. Pierwszy łyk parzył w język, ale czułem, jak wracają siły. Barszcz i migdały uratowały mój los.

Godzinę później czułem się prawie dobrze. Mdłości minęły, zgagę trafił szlag, barszcz ożywczo rozsiadł się w żołądku. Łaziłem bezmyślnie po internecie, przekonywałem siebie, że trzeba coś zjeść, patrzyłem na Agatę, jak obraca się w pościeli, układałem plan dnia. Dnia na czterdzieści procent, dnia sennego, pełnego filmów, książek i popołudniowego piwa. Dźwięk SMS-a zabrzmiał jak ostrzeżenie.

Nie otworzyłem go od razu, próbując wyobrazić sobie, co zobaczę. Stawiałem na coś w stylu *Nie pij dzisiaj miły bracie, bo pobrudzisz sobie gacie* albo *Jeśli gumki nie nałożysz, za rok równo się rozmnożysz*. Świetnie, myślałem sobie, więcej takich wróżb. Mógłbym przejść z nimi życie cicho i bezboleśnie. To, cholera jasna, najlepiej zainwestowane dziewięć złotych w moim życiu. Nawet jeśli

wczorajszy dzień to kumulacja przypadków.

Przeczytałem ten pieprzony SMS. Teraz wolałbym iść na kolanach do Częstochowy po drodze z rozżarzonych węgli. Czytałem raz po raz dziecienną rymowankę:

Parzą się na dachu świata

Przyjaciół Paweł i Twoja Agata

Z takich chwil niewiele się pamięta. Z równą skutecznością mógłbym pisać, jak się czuje człowiek po pijaku. Z tą różnicą, że czasem po pijaku jest dobrze, ja poczułem się kurewsko źle. Pamiętam, pomyślałem, że to nieprawda, że kumulacja przypadków ma swój ciąg dalszy. Potem, że ktoś robi okrutny dowcip. W danych, które wysłałem na stronie z wróżbami, nie napisałem nic o swoim przyjaciołku ani o Agacie. To musiała być prawda, jasna i oczywista jak słońce na niebie, brudna i nędzna jak rzygowiny w łazience.

Obmyłem twarz. Na stole Paweł zostawił papierosy. Zapaliłem. *Parzą się na dachu świata przyjaciel Paweł i Twoja Agata*. Cholernie ładna rymowanka. Trzeba mieć talent do takich rzeczy. Świetna zdolność, myślałem, można wygrywać pojedynki na złotych hiphopowców. Taka rzecz przydaje się w życiu. Talent do słów. Tragiczna lakoniczność prawdy.

Nalałem wódki, wypilem i pomyślałem, że postępuję jak palant. Najważniejsze to zachować spokój. Nie robić niczego pochopnie, nie robić niczego, co przyniosłoby bolesne konsekwencje. Najlepiej, najlepiej, w gruncie rzeczy, nie robić absolutnie nic. Czekać, obserwować rozwój wypadków. Trudno wierzyć w SMS, przecież to najprostszy sposób na wyciągnięcie pieniędzy. Wiodą mnie na pokuszenie. Proszę, stary, nie rób niczego głupiego. Proszę.

Wypilem kolejną banie i obudziłem Agatę. Potrząsnąłem nią brutalnie. Usiadła na łóżku, odgarnęła włosy z czoła. Jeszcze nie rozumiała.

– Przytulne mamy łóżko – powiedziałem – a łóżko czasem jest jak próg w drzwiach.

– Obudziłeś się poetą?

– W pewien sposób. Nie wiem, czy chwytasz. Rozumiesz, łóżko i próg. Dużo ludzi się przewala. Czasem przypadkowych. Czasem nam drogich, czasem nawet droższych. Magia miejsc, kochanie.

Podciągnęła kołdrę pod brodę. Skrzyżowała ręce.

– Co ci się ubzdurało?

– Mówimy ogólnikami, powiem ci szczerze – głos mi się łamał – że ogólniki nawet wolę. Myślę nawet, że powinienem milczeć, a ty zbierać swoje graty. Ale proszę bardzo, jeśli chcesz słuchać, to ci poopowiadam. Powiedz mi, czy w ogóle myślałaś o tej scenie, że wywłokę cię z wyra i powiem, że wiem? Ułożyłaś sobie zestaw kłamstw, równiutko, jak ciuchy na półkach. Możesz już zabrać ciuchy, możesz zabrać kłamstwa. Zresztą, bierz, co chcesz.

Narzuciłem kurtkę, zacząłem sznurować buty. Agata wstała, wciąż owinięta w kołdrę. Sięgnęła po papierosa. Ten dzień był wielkim powrotem do nałogów.

– A ty przewidziałeś, że mogę czegoś nie rozumieć?

– Wiesz, co ci powiem? – otworzyłem drzwi. – Za cholere, skarbie. Za cholere.

II

POZA GUSŁA

Paweł mieszkał w czteropiętrowym bloku, na Krowoderskich Zuchów. Nie było dziesiątej, kiedy dojechałem. Poczekalem na otwarcie Lewiatana (rasa żółtych supermarketów, cudownie bezosobowa i odrealniona, gdzie jedzenie wygląda jak teatralne rekwizyty). Wziąłem batonika i mleko acidofilne. Mleko wypilem w kolejce do kasy, batonika pożarłem łapczywie zaraz za rozsuwanymi drzwiami. Wyobrazałem sobie diabła pałaszującego dusze grzeszników. Dalej byłem głodny.

Poszedłem do KFC naprzeciwko, zamówiłem skrzydełka, małe frytki i pepsi. Usiadłem w rogu, zasłaniając twarz „Wyborczą”. Przerzucałem płachty gazety i myślałem o tym, że nie ja jeden przestałem rozumieć świat. Coś działo się wokoło, coś niepojętego i złowrogięgo, a mnie brakowało właściwych słów. Przyszedł mi do głowy czarodziej, który zmienia słowa w rzeczy. Ten dobry mag trafił na pustynię, gdzie postanowił zamieszkać. Prawie jak Bóg czarował słowem. Pustynia obrosła trawą, palmy wystrzeliły w górę, zasłaniając bezduszne słońce, piasek wypłukł z siebie chłodne źródło. Przy źródle stanął drewniany dom ze skośnym dachem, mnóstwem maleńkich okienek i pokojem na piętrze, pełnym blejtramów, farb i sztalug. Życie wróciło na pustynię, na trawie pasły się dzikie konie, w jeziorze figlowały kolorowe ryby, a po palmach śmigwały mały i latające wiewiórki. Nocą pustynne lisy podchodziły pod dom.

Czarodziej nie wiedział, że jest siła większa od dobrej magii. Przyszedł gorący deszcz i zmył wszystko, tak jak fala porywa zamki z piasku. Czarodziej stał i patrzył, jak palmy wał się i znikają, nim dotkną ziemi, jak źródło wysycha w czarną ranę, a zwierzęta uciekają oszalałe i nikną. Oaza zmieniła się w rwącą rzekę. Czarodziej klęczał w wodzie po kostki, osłepiony wściekłością, a gdy znów przygrzało słońce, zjadł posiłek wśród ruin, myśląc tylko o oszukany człowieku jedzącym panierowane gównu w KFC.

Zostawiłem „Wyborczą” z frytkami powstawianymi jako zakładki. W drodze do łazienki odprowadzał mnie niespokojny wzrok dziewczyny z obsługi. Moim zdaniem była pewna, że idę wykąpać się w umywalce. Umyłem tylko twarz. Oczy wyglądały jak dwa pryszcze z czarnymi łbami, domagające się wyciśnięcia.

Oni musieli się kochać, pomyślałem, stojąc już pod klatką Pawła, inaczej nigdy by mi tego nie zrobili.

Agata musiała zadzwonić do Pawła i powiedzieć mu, że się dowiedziałem. Był na nogach, gdy przyszedłem. Otworzył drzwi umyty i zapięty pod szyją. Wyglądał, jakby szykował się na własny pogrzeb. Bez słowa zaprosił mnie do środka. Zapytał, czy chcę kawy. Odmówiłem i tylko patrzyłem na niego. Napełnił kubek i usiadł na rogu stołu.

– Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi? – zapytał. Milczałem.

– Opowiem ci pewną historię. Pamiętasz Bartka? Tego, który tak śmiesznie mówi. Teraz składa komputery gdzieś w Wiśniczu, ale kiedyś mieszkał w Krakowie. Pamiętasz go jeszcze?

Skinąłem głową.

– Więc Bartek i Agata kiedyś podobali się sobie. To było widać na pierwszy rzut oka. Oczywiście, byliście już razem, jak od zawsze i powiem ci, że Agata miała straszną ochotę na Bartka. Takie głupie myślenie, że trzeba jeszcze trochę użyć. Zjeść ciastko i mieć ciastko. Sprawa była o krok od spełnienia, że tak powiem i wiesz co? Agata się wycofała. Można powiedzieć, że sumienie jej nie pozwoliło. Słyszysz w ogóle, co mówię?

Przymknąłem oczy. Dotarło do mnie, że Paweł mówi, jakby streszczał film. Jakiś wesoły ognik migotał mu w kąciku ust. Kurwa, facet był jak Stephen Hawking. Zawsze się uśmiechał.

– Mówię to, żebyś pozbył się wątpliwości. Każdego czasem nachodzą, to normalne. Ale Agata jest ci wierna – dodał poważnym tonem – i myślę, że krzywdzisz ją podejrzeniami.

– Skąd wiesz, z czym do ciebie przyszedłem?

– Nic trudnego. Agata dzwoniła do mnie. Powiedziała, co się stało. Nietrudno się domyślić, że przyjdiesz do mnie.

– Rzeczywiście nietrudno – wtrąciłem.

– Wiedziała, że jestem twoim przyjacielem. Kurwa, stary, każdy to wie.

– W takim razie, przyjacielu – przełknąłem ślinę – powinieneś się domyślić, dlaczego przyszedłem do ciebie.

Palce Pawła zacisnęły się na stole, aż kostki zbiały. Udawał, że nie rozumie. Zsunął się z blatu, wykonał półobrót, przejechał dłonią po ustach.

– Zwariowałeś, człowieku – powiedział. – Jeśli naprawdę tak myślisz, to źle z tobą.

Ten jeden raz, przemknęło mi przez głowę, że SMS może kłamać. Może padłem ofiarą okrutnego żartu?

– Nie wiem, kto ci tak nagadał. Nie wiem, co się stało – w głosie Pawła słyszałem przygnębienie. Sam byłbym przygnębiony, gdybym walił dziewczynę przyjaciela – ale nie rób niczego głupiego.

Zapalił. Rzucił paczkę w moją stronę. Odbiła się od krzesła i wylądowała pod oknem. Paweł zatrzymał na niej półprzytomny wzrok.

– Zastanów się, co mówisz. Proszę cię tylko o to. Przemysśl wszystko, prześledź raz jeszcze. Ja... – zawiesił głos – po prostu nie zrobiłbym czegoś takiego. Tyle mogę ci powiedzieć. Czego oczekujesz? – chodził wokół stołu. – Że zacznę się tłumaczyć, że wtedy a wtedy byłem gdzie indziej, że, Chryste Panie, robotę miałem albo jadłem u starych. Tego oczekujesz?

– Może tego, żebyś wreszcie przestał pieprzyć. Chwyciłem pierwsze, co miałem pod ręką. Toster przemknął koło głowy Pawła i roztrzaskał się na szafce kuchennej, odłupując kawałek sklejki. Za tosterem pofrunął talerz, solniczka, no, przed solniczką Paweł nie umknął. Trafiała w środek czoła. Paweł usiadł na podłodze. Porwałem krzesło za oparcie, wykonałem zamach, ale Paweł, śliski, dwulicowy sukinsyn, uskoczył w bok, jakby srał sprężynami. Nagle wyrósł przede mną, sam nie wiem, jak to się stało, jak mógł być tak szybki. Uderzył mnie raz, otwartą dłonią, w ucho. Bolało jak cholera. Chryste Panie, wszystkie Twoje dzwony zawyły mi w głowie. I było czarno.

Pamiętam, leżałem na podłodze, z ręką przyciśniętą do ucha i cudacznie rozkraczonymi nogami. Paweł wznosił się nade mną i miał wyraz twarzy tak dziwny, że nie umiem go opisać. Opuścił dłonie, zgarbił się trochę, a potem przykucnął, tak, że gdybym chciał, mógłbym odgryźć mu nos.

– Pomyśl, co ty robisz. Pomyśl, co mówisz – powiedział.

Nie umiem się bić, Paweł był silniejszy. Podniosłem się z trudem, wypadłem na korytarz i pobiegłem. Zatrzymałem się na schodach, piętro niżej, płacząc z bezsilnej wściekłości.

Byłoby fajnie, gdybyśmy mogli pakować wspomnienia w pudła. Wyjmować je z głowy i ustawiać w równych rzędach, zapakowane i zamknięte. Część, te dobre, wysłałbym w paczce przyjaciołom, którym się nie wiedzie. Inne zostawiłbym dla wrogów. Ale te z ostatnich dni zakopałbym na bezdrożach, zaorał i posadził drzewa. To dziwne i trochę głupie, ale myślę, że jestem najniezwyklejszym człowiekiem na świecie.

Więc wędrowałem jak żywy trup, przeszedłem z Krowodrzej Górki na Kazimierz. Siadłem nad Wisłą i użalałem się nad sobą. Z zazdrością podziwiałem parki cieszące się słońcem. Każdej życzyłem śmierci, moich łez i mojego upokorzenia. Przeklinałem pary młode i stare, ładne i brzydkie, dopasowane i odległe jak dwa bieguny, bo wiecie, ja myślę, że ludzie dopasowują się do siebie także wizualnie. Niektórzy faceci upodabniają się do swoich kobiet jak jamnik do pana.

Zastanawiałem się, co robi mój prywatny Kasjusz z Brutusem w spódnicy. On ryczy, bo dla kobiety rozryczeć się to jak splunąć, a z każdą łąką spływa część winy. On ją pociesza. Obejmuje. Mówi, że będzie dobrze. I ma sukinsyn rację, w istocie, będzie dobrze, bo zjedzą się ze sobą bez wyrzutów sumienia. Za trzy lata spotkamy się przypadkiem, pewno pójdziemy na kawę i będziemy dla siebie kurewsko mili, tak mili, jak są tylko ludzie nie mający sobie absolutnie nic do powiedzenia.

Myślałem też, że już nigdy nie znajdę takiej dziewczyny jak Agata, wiedząc zarazem, że to kompletna bzdura.

Biura firm komputerowych (a dla mnie, laika, każda instytucja, która projektuje strony, sprzedaje, składa komputery, pisze programy we flashu lub podciąga łącza na osiedla jest po prostu „firmą komputerową”; Paweł zawsze wściekał się o to) są identyczne. Pełno w nich papierów w segregatorach, zawsze tych samych, śmiesznych napisów i rysunków na korkowych tablicach, a każde pudło pod ścianą jest tak kolorowe z osobna, że wszystkie stają się szare.

Przed monitorem siedział facet. Miał koszulę w kratę, taką, jaką nosił kiedyś każdy fan grunge, półdługie włosy zaczesane za uszy i okulary w grubych, czarnych oprawkach. Podniósł zmęczone oczy.

Nim zdążyłem się odezwać, do biura wparował inny klient. W pierwszej chwili wydał mi się komiczny. Przypominał trochę Joe’a Pesci z *Zabójczej broni*. Najwyraźniej uważał, że czarne szturmówki świetnie współgrają z koszulą od garnituru i kurtką w stylu „złodziej samochodów” opadającą na szeroki tyłek. Stał za mną, trącił przypadkiem, wymieniliśmy spojrzenia. Miał małe, niespokojne oczy i wysokie czoło zwieńczone kępką rudych włosów. Zabębnił palcami o blat. Na kciuku lśnił srebrny sygnet.

Przygryzłem wargę. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Pomóc w czymś? – zapytał facet z biura.

– Mam poufną prośbę – zacząłem – jeden z państwa klientów mnie oszukał.

Facet z biura pokiwał głową.

– Chodzi o stronę z wróżbami. Macie taką, prawda? Na swoim serwerze.

– Może i mamy.

– Macie na pewno.

– Nie sprawdzamy wszystkiego. Gość obok mnie cmoknął.

– Strona z wróżbami – powtórzyłem. Komputerowiec wyszczerzył się szeroko.

– Nie sprawdziła się panu?

– Dokładne na odwrót – czułem się jak dureń – sprawdza się aż za dobrze. Po prostu, mam wrażenie, że ktoś, jakby to powiedzieć... mnie obserwuje. Wie rzeczy, których nie powinien. Narusza moją prywatność – dodałem – tak to się teraz mówi.

– Myślę, że to są Oni – komputerowiec nachylił się. – Zdradzę panu sekret, że też za mną łążą.

Odgiął się na fotelu i mówił dalej, patrząc w ekran.

– Poważnie, to nie ujawniamy takich danych. Może pan zgłosić podejrzenie popełnienia przestępstwa na policji, wówczas policja przyjdzie z nakazem, my nakaz uwzględnimy i wszystko będzie wiadomo.

– Zawsze pan traktuje tak swoich klientów?

– Zawsze dbam o ich dyskrecję.

– Miałem na myśli siebie, jeśli pan tego nie dostrzegł – powiedziałem, myśląc, że już za późno na udawanie twardziela.

– Udzielam panu tych informacji, których mogę – komputerowiec na dobre wrócił do swojego ekranu.

– Spróbujmy się zrozumieć. Ja pana, a pan mnie.

Westchnąłem i chciałem odjeść, będąc o krok od stwierdzenia, że facet ma rację i trudno się dziwić. A wtedy gość, który stał koło mnie, sięgnął do kieszeni i wydobyl splotkę. Komputerowiec, niczego nieświadomy, dalej czekał, aż odejdę, gapiąc się w ekran. Huknęło i monitor eksplodował w snopie iskier. Komputerowiec znalazł się w rogu pokoju, z rękami na głowie, szary jak listopad.

– To samo pytanie, co kolega – powiedział facet ze splotką – tylko to i już spadamy.

Komputerowiec kiwnął głową. W otwartych ustach mógł zmieścić się ul. Facet ze splotką omiół mnie wzrokiem i trącił w bok, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

– Co tam chciałeś wiedzieć? – rzekł rudy.

Jeszcze dziesięć minut wcześniej myślałem, że życie nie może być bardziej popieprzone. Wysiłem się na uśmiech i chciałem powtórzyć swoją historię, opowiedzieć, jak straciłem Agatę i dlaczego tak zależy mi na dotarciu do autora tajemniczej strony. Nie mogłem oderwać wzroku od pistoletu, wielkiego palca na cynglu i lufy, metalicznej i zimnej niczym burzowe niebo.

– Wróżby – wykrztusiłem – chodzi mi o faceta ze strony o wróżbach.

Komputerowiec opanował się i stanął na nogach. W jego oczach dostrzegłem błysk zrozumienia, że jestem wplątany w tę aferę tak samo, jak on. Starł pot z czoła, miękkim ruchem położył obie dłonie na biurku i podniósł kawałek rozwalonego monitora.

– Bez tego będzie trudno – oświadczył.

– Rozumiem – rudy podrapał się lufą po brodzie i wyprostował rękę. Pistolet wyrósł przed twarzą komputerowca.

– Dotknij go – rzekł miękko rudy – bez obaw. Komputerowiec położył rękę na lufie i zaraz się cofnął.

– Jeszcze gorąca – oświadczył rudy.

III

KAROL SZTERN

Właściciel strony nazywał się Adam Darski i mieszkał w podkrakowskich Zielonkach. Zapisalem nazwisko i adres na cenniku firmy, między informacją o wyprzedaży a KOMPUTEREM TYGODNIA. Ostatnim, co pamiętam z biura, był komputerowiec klęczący wśród rozsypanych faktur. Jeździł dłońmi po torsie i twarzy, jakby nie mógł uwierzyć, że ciągle żyje.

– Jestem Karol Sztern – powiedział rudy, gdy wyszliśmy na słońce. Pistolet wylądował w wewnętrznej kieszeni kurtki. Sztern miał złotą papierośnicę, a w niej cienkie, równe skręty. Podsunął mi je pod nos.

– Uważaj, żeby nie urwało ci głowy – powiedział wesoło. – Myślę, że coś zjemy, a potem wpadniemy do Darskiego na kawę.

Dziarskim krokiem ruszył w stronę ulicy. Rozejrzałem się rozpaczliwie. Pomyślałem, że najlepiej będzie tu zostać i poczekać na policję. Nie zrobiłem niczego złego i nic nie powinno się stać. Zerknąłem przez ramię. Karol Sztern dotarł na róg ulicy i odwrócił się do mnie.

– Najpierw były idiotyczne SMS-y, prawda? – krzyknął. – I posprawdzały się co do joty. Przynajmniej większość. Tak, że wydało ci się to dziwne. A potem zrobiłeś największą głupotę w życiu.

Powinienem odwrócić się i odejść, nie dać znaku, że go słucham.

– Muszę ci powiedzieć, przyjacielu, że zostałeś straszliwie oszukany.

Sztern jeździł szarym mercedesem, z odsuwającym dachem, skórzanymi fotelami, które tylko sprawiają wrażenie matowych, ale błyszczą w słońcu. Radio samochodowe wydaje miękkie dźwięki. Karol Sztern uwielbiał operę. Nie znam się na samochodach, ale takie auta widywałem dotąd na filmach.

Usadawiłem się na przednim siedzeniu, rozgarniając śmietnik we wnętrzu samochodu. Podłogę i tylne fotele pokrywały płyty bez pudełek, paczki po papierosach, małe, plastikowe woreczki, zmięte kartki z kołonotatnika i puszki dietetycznej coli. Widziałem dziesiątki niedopałków bez filtra podobnych do wysuszonych larw. Karol Sztern bezceremonialnie strzepywał popiół. Poprosiłem, żeby uchylił okno.

– Jak sobie chcesz – rzekł Sztern. W ciemnych okularach, takich, jakie kiedyś nosił Sly Stallone, przypominał utuczonego pająka.

– Powiedziałeś, że mnie oszukali.

– Oszukali, nie oszukali – roześmiał się. – Wiesz, przyszłości nie da się przewidzieć. Każde dziecko to wie. Mogłeś być rozsądniejszy.

Nie odpowiedziałem. W podróży z uzbrojonym świrem (a Sztern był świrem ponad wszelką wątpliwość) lepiej nie wyskakiwać ze swoim zdaniem.

– Można albo nie można – ciągnął Sztern. – Jestem rozkojarzony tym wszystkim. Popatrz: wiesz, że

jutro wstanie słońce. Wiesz nawet, o której i jaka będzie pogoda. W ten sposób można. Nadażasz?

– Powiedzmy.

Zapadła chwila milczenia. Papieros palił się powoli.

– Co chciałbyś zjeść? – zagadnął nagle Sztern.

– Obojętne.

– Dziś jest dzień na gówno – obwieścił Sztern. – Zjadłbym dzisiaj własną matkę, gdyby była z gówna.

– Byłem dziś w KFC.

– W takim razie McDonald albo pizza. Potem porozmawiamy z drogim Adasiem. A jeszcze wcześniej chciałbym usłyszeć twoją historię. I coś o tobie. Dokładnie w odwrotnej kolejności.

Opowiedziałem o Agacie, że ją kocham i że chyba zrobiłem straszne głupstwo. Powoli napięcie mnie opuszczało. Opisując znalezienie strony o wróżbach, nawet się roześmiałem. Lanie od Pawła już mnie nie bawiło, ale wydało mi się strasznie odległe, jak wpierdol zbierany jeszcze w podstawówce. Sztern zerkał na mnie co chwilę. Pruliśmy Opolską. Do McDonalda został kilometr. Sztern uwielbiał prowadzić szybko, przejeżdżać na żółtym świetle i wymijać slalomem samochód za samochodem.

– Jeździsz autostradą pod prąd, co? – powiedziałem i natychmiast zrobiło mi się głupio. Ale Sztern się roześmiał.

– Całe zasrane życie – zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. – Ale myślę, że możesz ją odzyskać. Coś wymyślimy. Może słodziutki Adaś znajdzie rozwiązanie? A może sam na nie wpadniesz. No, to prawie tutaj.

Zahamowaliśmy z piskiem. Sztern zgasił radio, zawiesił okulary na koszuli i cisnął niedopałek na podłogę. Mój jeszcze się palił, był cholernie mocny, szczególnie przy końcu.

– To ładne, z tą autostradą – stwierdził. – Jak to było?

– Że jeździsz nią pod prąd.

– Nie, że życie to jazda pod prąd.

– Z prądem zakurwiają zmarli – dorzuciłem i Sztern parsknął szczerym śmiechem. Zawtórowałem mu. Śmiałem się tak głośno, że aż ukuło mnie w płucach. Zaciągnąłem się jeszcze, spróbowałem wstać i opadłem na fotel. Kątem oka widziałem, jak Sztern wyjmuje dyktafon i mówi, głośno i wyraźnie:

– Życie to jazda autostradą pod prąd. Z prądem zakurwiają umarli.

Podał mi rękę. Zrobiłem chwiejny krok. Drapało mnie w płucach.

– Mocne papierosy.

Sztern, którego uśmiech wydawał się już przyklejony na stałe, otworzył drzwi McDonalda.

– Człowieku – klepnął mnie bezceremonialnie – to haszysz.

Zamówiłem zestaw XXL, pożarłem go i dokupiłem duże frytki. Sztern zajadał się skrzydełkami kurczaka. Przy każdym kęsie cmokał z zadowolenia.

– Przepraszam za ten haszysz – powiedział z pełnymi ustami – uznałem, że powinieneś się odprężyć.

– Odprężyłem się – odparłem. – Już nawet nie boję się, że rozwalisz mi głowę.

Sztern zarechotał, poklepał kurtkę w miejscu, gdzie trzymał pistolet, włączył dyktafon i powtórzył moje słowa.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – przełamał kurczaka. – Haszysz osłabia pamięć, a jestem uzależniony od haszyszu. Jestem również pisarzem, a pisarz z dziurawą głową to dupa, a nie pisarz. Dlatego jeżeli powiesz coś mądrego lub śmiesznego, nagram to. Dostaniesz podziękowania w książce, chyba że srasz na takie rzeczy. Ja bym się wysrał, jeśli mam być szczery. Ale trzeba rozumieć ludzi i iść na ustępstwa zawsze, kiedy można.

– Zapytaj się o to tego informatyka – odpowiedziałem niepewnie – tego z serwerowni.

Karol Sztern obrócił w palcach wąską obgryzioną kostkę i użył jako wykałaczki.

– Na to pytanie sam znasz odpowiedź. Myślę, że chcesz zapytać o jedną z dwóch rzeczy – nachylił się do mnie. Zastukał kosteczką w blat stołu – albo chcesz wiedzieć, dlaczego ci pomogłem, albo dziwisz się, bo nie wyglądam na kogoś, kto umiałby się podpisać.

– Nie powiedziałem tego.

– Haszysz wyciąga z ciebie prawdę, mały. Nie martw się niczym. Sam się temu dziwię.

Wydobył ostatnie skrzydełko i rozłożył na chusteczce. Precyzyjnie zaczął oddzielać skórę od mięsa.

– Pamiętasz, jak Prometeusz okłamał Zeusa? Nas oszukano w podobny sposób. Ale wróćmy do czegoś istotnego. Wróćmy do mnie.

Schrupał skórę.

– Kiedy ludzie mówią, że w Polsce jest do dupy równo już od lodowca, to źle mówią. W latach dziewięćdziesiątych ludzie dorabiali się na pomysłach, a tylko pomysły miałem w tamtych czasach. Nie nudząc, nie trując – opowieści o właścicielach kantorów, którzy kiedyś przed tymi kantorami stali, są właśnie o mnie.

– W pewnym przełożeniu? – upewniłem się.

– Dużym przełożeniu. Miałem dość forsy, żeby móc wymyślać sobie życie. I wymyśliłem sobie dokładnie, tak jak chciałem. Napisałem cztery książki, każdą w innym miejscu świata. Siedziałem tygodniami w hotelu, wieczorami pływałem w morzu, wspinałem się po górach i robiłem wszystko to, na

co powinienem być za stary. Ale przede wszystkim pisałem. Mogłbym ci teraz powiedzieć, że doświadczyłem tego, co wszyscy, ale w sposób na tyle jednostkowy, żeby warto było o tym opowiadać. Mogę też powiedzieć, że lubię tworzyć fajne historie. W co uwierzysz?

– We wszystko. W dużym przełożeniu.

Zauważyłem, że Sztern mówi coraz wolniej, że uśmiech znikł mu z twarzy.

– Więc wymyśliłem to sobie. Pisałem, a ludzie mnie czytali. Miałem żonę, córę i syna. Mniej więcej w twoim wieku. Najgorszym, co mnie czekało, to starzenie się na górze pieniędzy. I ktoś mi zabrał to wszystko – targał nerwowo ucho – oszukał mnie i ograbił. Kluczem zresztą okazała się książka. To on ją napisał.

Zmiał serwetkę i wstał. Skierował się do drzwi, raptownie odwrócił i opuścił rękę na moje ramię.

– I dochodzimy do drugiego pytania – powiedział. – Pomagam ci, żebyś nie powtórzył moich błędów. Właśnie, mały. No, może nie tylko dlatego – jego twarz przeciął uśmiech – chodzi mi o zemstę.

Sztern pokazał mi swoją ostatnią książkę. Nosiła tytuł *Tracę ciepło*. Z tylnej strony okładki dowiedziałem się, że to opowieść o przyjaźni pomiędzy poetą i drobnym oszustem rozpisana na kilkanaście lat i z silnym wątkiem fantastycznym. Bohaterowie mieli widywać duchy, walczyć z Bardzo Złym Facetem i przeżywać przygody w mieście, gdzie wciąż trwa ten sam dzień (zupełnie jak w *Dniu świstaka*, pomyślałem), stoczyć bitwę z armią złych stworów, a na końcu, zapewne, umrzeć. Okładka przedstawiała diabła i anioła grających w karty. Pierwszemu z rękawa czerwonego surduta wysuwał się as pikowy. Anioł tego samego asa miał zręcznie umieszczony w aureoli.

– Pisarzem jest się zawsze – powiedział Sztern i zabębnił w laptopa, którego położył mi na kolanach. – Kiedyś umiałem zatrzymać się w środku miasta, włączyć światła i opisać to, co akurat miałem w głowie. Rzeczywiście, zrobiłem się chłodny.

Jechaliśmy do Zielonek. Haszysz trochę wywietrzał. Zegarek wskazywał drugą. Nieźle, myślałem. Od rana rzuciłem swoją dziewczynę, zwyzywałem najlepszego kumpla, zebrałem lanie, brałem udział w wymuszeniu z użyciem broni palnej, paliłem haszysz jak brzytwa, wreszcie pędziłem z szaleńcem ku kolejnej ludzkiej krzywdzie. Nieźle jak na wczesne popołudnie, prawda?

– Powiedziałem, że cię oszukano i teraz chciałbym o tym skończyć.

– Powiedziałaś, że nie można przewidzieć przyszłości.

– To wie nawet dziecko. Daliśmy się podejść.

– Mówiłem ci, co otrzymałem. To nie była wróżba w stylu *między siedemnastym a dwudziestym trzecim nie podejmuj istotnych decyzji osobistych. Pod koniec miesiąca będzie czas na miłość*.

Osiedle Prądnik Biały, miejsce wiecznych zmagani z szarością, zostało za nami.

– To tak jak ze słońcem – oświadczył Sztern – możesz przewidzieć, że wstanie, nawet o której, a nawet...

– Mówiłeś to już.

– Przepraszam. Haszyszowe dziurki, nie ma co. Popatrz na tę analogię. Wiemy, że słońce wstanie o tej a o tej, ponieważ znamy jego cykl. Ludzie też mają swoje cykle. Cykle miesięczkowe, cykle życia, słowem – zwyczajnie. I tak dalej. Nadążasz?

Sztern trochę zwolnił. Słońce raziło mnie w oczy.

– No – ciągnął Sztern – trzymając się ciebie. Wystarczy, żeby ktoś wiedział, że Paweł rozstaje się z Magdą czy jak jej tam. Wystarczy wiedzieć następnie, kto jest jego najlepszym kumplem, do kogo pójdzie się napić. Wiadomo także, że w takich sytuacjach najlepszy kumpel nie odmówi i razem zaleją pałę, tak że jutro tylko barszcz pomoże. A że będą palić, pewno przepijać colą, to resztę sobie dośpiewaj. Innymi słowy, to nie wróżba.

Minęliśmy tablicę ZIELONKI. Na wiacie przystankowej, czarnym sprayem napisano TYLKO WISŁA. Niżej czerwone litery, jakby niepewnie postanowione, głosiły KURWA SKISŁA.

– To kalkulacja – uzupełnił Sztern.

– Ze sporym ryzykiem błędu.

– Nie tak znowu sporym – Sztern wydobył czerwonego marlboro, odgryzł filtr i zapalił – powiedziałbym, że wystarczającym.

Wjechaliśmy w wyżwirowaną ulicę. Po obu stronach ciągnęły się identyczne jednorodzinne domy. Nieliczne próby nadania indywidualności choćby oknu (kolorowa doniczka, zdjęcie papieża i tak dalej) wyglądały równie niestosownie, co spódniczka mini bez majtek na rekolekcjach przedmałżeńskich.

– To gdzieś tu – powiedziałem, zerkając na adres.

– Spokojnie – zwolnił. – Nie powiedziałem ci najważniejszego. Posłuchaj uważnie. Tak naprawdę nikt nie zna przyszłości. Gdyby ją poznał, byłby Bogiem. A on jest kurewsko daleko od Boga, ale wie wystarczająco dużo, żeby zmieniać nasze życie. Pamięta każde twoje słowo i jestem pewien, że zna wszystkie twoje myśli. Nie przejmuj się – znów mnie szturchnął – moje także.

Zatrzymał samochód i wskazał na domek. W pokoju na górze paliło się światło.

– Kiedy dostałeś wiadomość o Agacie i Pawle – Sztern wsunął laptopa pod fotel – to nie była żadna wróżba. Powiedział ci tylko, co chcieliby zrobić. Takie są moje domysły. Podobali się sobie. Przystojny facet i fajna dziewczyna. Zmierzam do tego, że każdy ma swoje brudne fantazje. Ale ta nigdy by się nie spełniła. Wiesz dlaczego, mały? Bo oni cię kochają. Agata jest twoją dziewczyną, a Paweł przyjacielem. Dlatego ci powiedziałem, że zostałeś oszukany.

Wysiedliśmy z samochodu. Szedłem za Szternem jak cień.

– On – zapytałem dopiero przy furtce. – O kim ty mówisz? Sztern wspiął się na siatkę. Kiwnął, żebym szedł za nim.

– Nie bój nic. Najlepsze jeszcze przed nami.

– Sztern, czekaj! – zawołałem. Na bramie wisiała tabliczka z wilczurem i grubym napisem JA TUTAJ PILNUJĘ.

Karol rozejrzał się i przeszedł przez siatkę. Zabrzmiało ujadanie. Ręka Szterna powędrowała do wewnętrznej kieszeni. Przesadziłem siatkę, żeby mu pomóc i omal nie spadłem na szorstkowłosego jamnika, który, podekscytowany, wycłapał z chaszczy koło kubła na śmieci. Jamnik, uskokzył, warknął, ale zaraz przypadł mi do nóg. Sztern wziął go na ręce. Pies polizał go po twarzy.

– Ten pies jest głodny – Sztern stanął przed drzwiami do domu – a to nie wróży nam nic dobrego. Poczekaj tutaj i patrz, czy nikt nie idzie.

– Czym otworzysz? – oparłem się o siatkę. Jamnik wrócił do moich nóg. Wyglądał, jakby zaraz miał zgubić ogon od ciąglego machania.

– Mam wytrych – powiedział Sztern i kopniakiem wyważył drzwi. Kiwnął, żebyś szedł za nim.

– Spadaj, mały – odtrąciłem jamnika. Ja *tutaj pilnuję*, pomyślałem ze śmiechem, przechyliłem się przez siatkę i jeszcze raz zerknąłem na tabliczkę. Napis pozostał, ale wilczur zmienił się.

– Karol! – krzyknąłem w głąb domu. – Mamy kłopoty!

Domy ludzi obojętnych na wszystko wpędzają mnie w przygnębienie, ale biegnąc w poszukiwaniu Karola, miałem inne powody do zmartwień.

W łazience na parterze znalazłem stos gazet spiętrzony wokół kibla, posypany popiołem i niedopałkami. Więcej niedopałków było tylko w umywalce. Dno kabiny prysznicowej było czarne od brudnych stóp. Pokoje na dole nie różniły się od siebie, zarzucone ubraniami, butelkami po coli i piwie. Brakowało tylko napisu przez ścianę JEBIE MNIE WSZYSTKO.

Darski dużo czytał. Lubił męskie odpowiedniki kolorowych gazet. Przy kanapie znalazłem stos „CKM-ów” i „Playboya” otwartego na stronie z dowcipami, zalanego pomarańczowym sokiem. Leżało kilka książek o teatrze, jedna poświęcona kuchni egzotycznej i cały stos kryminałów z serii z kluczykiem, wszystkie miały okropne okładki z połamanymi brzegami. Otworzyłem pierwszy z brzegu, przerzuciłem i sprawdziłem jeszcze trzy. Na osiemnastej stronie Darski zawsze pisał, kto zabił.

Znalazłem antyczne krzesło, któremu wyrwałem nogę. Z kuchni zabrałem długi nóż. Tak uzbrojony ruszyłem na piętro, zastanawiając się, czy to, co zobaczyłem na tabliczce, było prawdą czy też haszysz trzaska szufladami w mojej głowie.

Karol mocował się z drzwiami. Kręte schody uniemożliwiały rozbieg lub mocniejszy kopniak. Karol napierał barkiem, sapiąc i klnąc. Zobaczył mnie i wybuchnął śmiechem.

– Nie wiedziałem, że polujemy na dinozaury.

– Mamy kłopoty.

– Też widziałem tabliczkę. Za pierwszym razem był wilczur, tak? A potem, no cóż, też to widziałem i mówię ci, nie przejmuj się ani trochę.

– Łatwo ci mówić – podniosłem nogę krzesła na znak, że nie zamierzam się jej pozbyć. Sztern wzruszył ramionami, napał na drzwi. Ustąpiły z trzaskiem.

– Uważaj, młody, żebyś nie narobił głupot – zabrzmiało.

Owiał mnie smród przepoconych ubrań, zgniłego jedzenia, nikoty na wściercała się w nos. Jedyne światło dawała nocna lampka, postawiona na kupie książek. Otworzyłem okno i wystawiłem nos na zapach Zielonek. Na dole jamnik ujadł na staruszkę po drugiej stronie siatki.

– Dokładnie tak, jak przypuszczałem – powiedział Sztern z nutką żalu – znowu zrobiono nas w konia.

Odwróciłem się. Sztern siedział na brzegu łóżka. U stóp leżał, jak się domyśliłem, Adam Darski. Z kącika ust biegła wąska kreska zastygłej krwi. Jedno oko wywrócone było białkiem do góry, drugie spoglądało na mnie, mętne, jakby zanurzone w cienkiej warstwie zielonkawego bursztynu.

Na lustrze widniała kolejna krwawa plama. Przypominała mi andrzejkową wróżbę z wosku i miałem wrażenie, że gdybym zaczął w niej dłubać, opadałaby po kawałku, grubymi płatkami. Krwawy ślad ręki znajdował się tuż obok, na tapecie. Darski leżał w rozkroku, w samych majtkach i hawajskiej koszuli, takiej, jaką kierowcy kupują w lumpeksach po parę złotych, żeby wyrzucić bez żalu po kilku dniach noszenia. Darski miał ranę na gardle od ucha do grdyki. W prawej ręce trzymał brzytwę.

– Filmowe – stwierdził Sztern. – Brat Brunona Schulza zrobił to samo. Brat, szwagier czy ktoś tam. Ogolił się starannie, stanął przed lustrem i otworzył sobie gardło, równo, tak jak szewc kroi skórę na buty. Trzeba mieć jaja, żeby tak umrzeć, ale myślę sobie, że naszemu Adasiowi ktoś pomógł.

– Zamordowali go? Ten – tamten? Ta twoja wielka niewiadoma?

– Nazywa się Janusz Bruk, jeśli chodzi o ścisłość. Niemożliwe, mógł go do tego nakłonić albo pokazać mu coś. Ale Janusz Bruk nie może zabić nikogo. Z tego samego powodu, dla którego ty nie wskoczysz na dach wieżowca niesiony siłą własnych wiatrów. Mniej więcej dlatego.

Sztern schylił się nad Darskim, przetrząsnął mu kieszenie i zabrał się za przekręcanie go na plecy. Sapnął. W jego wzroku wyczytałem prośbę o pomoc. Odwróciłem się do okna.

– Lepiej stąd spadajmy.

– On nie żyje od kilkunastu godzin – rzekł Sztern obojętnie. – Musimy coś znaleźć. Bruk jest mądry, ale czasem coś pominie. Może specjalnie – zawiesił głos – a może nie.

– Rozwaliłeś monitor. Ze spluwy go rozwaliłeś – sapnąłem. Miałem nadzieję, że Karol Sztern zrozumie, gdzie mam jego powieści.

– Wojtek. Mam prośbę – głos Szterna nabrał powagi. – Umówmy się, że nigdy o nic cię nie poproszę, dobrze? Ale zrób dla mnie jeden drobniaczek. Teraz się nie ruszaj. A jak skończę mówić... Kurwa, to dwa drobniaczki – roześmiał się nieszczerze – odwrócisz się do mnie, ale powoli.

Miałem straszną ochotę okręcić się na pięcie i stanąć przed wszystkim, co czaiło się za plecami.

– W sumie to aż trzy rzeczy, ale ta ostatnia jest najważniejsza. Proszę, uwierz, że nie żartuję.

Cokolwiek potem zobaczysz, pamiętaj, że nic ci się nie przydarzy. Jediną krzywdę możesz zrobić sobie sam. Więc nie rób nic. Stój, tak jak ja stoję.

Zerknąłem kątem oka. Sztern wyprężył się jak struna, oblizywał wargi i patrzył na drzwi. Ręce złączył na brzuchu. Odwróciłem się miękko. Zaciśnąłem palce na nodze od krzesła. W drzwiach stał pies, którego kształt widziałem na tabliczce przed domem, kiedy zerknąłem na nią ponownie. JA TUTAJ PILNUJĘ, przemknęło mi przez głowę, Chrystusie, JA TUTAJ PILNUJĘ.

– Pamiętaj, co ci mówiłem – rzekł Sztern. – Nie ma prawa niczego ci zrobić.

Gdyby stanął na tylnych łapach, byłby wyższy ode mnie. Wydawał się wykuty z ciemnego metalu, w pośpiechu, tak, że zabrakło czasu na szczegóły. Gruby kark rozszerzał się jak u jaszczurki, węzłowe żyły biegły z pleców do łap. To, co wyglądało na grube włosy, okazało się warstwami cienkich łusek, zwisających luźno, jak skrzydła zmęczone długim lotem. Pysk zakrzywiał się w dziób opięty przez czerwone wargi, pełen białych, ludzkich zębów. Oczy bez powiek zwróciły się w moją stronę.

Zerknąłem w stronę okna. To trzy kroki, ułamek sekundy. Było dość duże, bym mógł wyskoczyć i spaść na trawnik w deszczu odłamków. Spróbowałem spokojnie się wycofać, zrobiłem krok do tyłu, a wtedy pies skoczył. Widziałem, jak tylne łapy wybijają go w powietrze i już leciał do mnie, z futrem rozwianym niczym płaszcz i rozchylnym dziobem. Mogłem przysiąc, że zamiast języka wije się tam wąż.

Odwróciłem się, usłyszałem, jak pies ląduje tuż za mną. Skoczyłem niezdarnie wprost na okno, rękami zasłaniając głowę. Szyba rosła przede mną, zamknąłem oczy, i wtedy silne szarpnięcie obaliło mnie na ziemię. Upadłem ciężko, obróciłem się na plecy. Nade mną stał Karol Sztern.

– Nic nie rób – powiedział i pies wylądował mi na piersiach. Pysk otworzył się przede mną i wiedziałem na pewno – to wąż wił się między rzędami zębów. Czułem gorący oddech, jakby w brzuchu psa płonęły nieczystości. Przypomniałem sobie o nożu, wciąż wetkniętym za pasek. Chwyciłem rękojeść i uniosłem nad grzbiet stworza, by spuścić jak najmocniej, ocalić życie. Ale ostrze, zamiast ciała potwora, rozcięło rękę Karola Szterna. Nóż poleciał w róg pokoju.

Sztern jęknął. Pies odwrócił głowę, zamknął pysk i zsunął się ze mnie. Stanął naprzeciwko Karola. Sztern, z którego przedramienia trysnęła krew, obdarzył go znudzonym spojrzeniem.

– Wstań – powiedział Sztern. – Nie rób więcej głupot. Wtedy pies skoczył.

Potężna łapa spadła na twarz Szterna.

Myślałem, że zmiecie mu głowę z ramion, ale skąd, facet nawet nie drgnął. Mógłby równie dobrze oberwać gumową kaczką. Pies zaatakował ponownie, pysk zamknął się na szyi Karola. I znów się nic nie stało.

– Przestać się nim przejmować – rzekł Sztern z wysiłkiem – i pomóż mi z tym.

Wskazywał na krwawiącą rękę.

– Przynieś bandażę z łazienki. Znajdź wodę utlenioną albo spirytus. Poszukaj zwykłej igły i nitki. No, leć, leć.

Dałem mu koszulę, żeby zatamował krew i pobiegłem na dół po bandaż. Znalazłem je w tekturowym pudle koło kibla, wśród otwartych prezerwatyw, papieru toaletowego i regimentów tabletek od bólu głowy. Na igłę i kłębek czarnej nitki natrafiłem w szufladzie pod zlewem. Nie mogłem dostać wody utlenionej i wróciłem z niedopitą butelką wódki spod telewizora. Karol Sztern siedział pod oknem i patrzył na mnie zmęczonym wzrokiem.

Pies się rozpadał. Znieruchomiał, jakby nagle odjęto mu życie. Powoli i płynnie kolejne części jego ciała osuwały się na podłogę, stawały się szare i płaskie, by zniknąć w szparach podłogi. W końcu z pyska zsunął się dziób, a oczy bezgłośnie uderzyły o podłogę. Jedno potoczyło się do moich stóp. Było białe.

– Pomożesz mi wreszcie?

Uklęknąłem przy Karolu. Próbowałem niezdarnie nawinąć bandaż.

– Nie tak, chłopie. Najpierw musisz zszyć – syknął przez zęby. – Mówiłem ci, żebyś go nie dotykał.

– Zszyć?

– Przepraszam – westchnął Karol Sztern – pomóż mi inaczej. Namocz nitkę w wódce, skoro niczego innego nie mamy.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Karol Sztern zapalił wielgaśne zippo.

– Weź igłę w szmatę i przyłóż tu – rzekł łagodnie. – Tylko na chwilę.

Potrzymałem igłę nad ogniem, aż poczerwieniała. Karol Sztern pobladł, na czole pulsowały mu niebieskie żyły. Zniecierpliwiony, zgasił ogień, kazał mi zamoczyć igłę i nawlec nić. Chwytał butelkę i napił się z gwinta.

– Jak u Hemingwaya – westchnął i wbił igłę głęboko przy ranie. Docisnął kciukiem, żeby przeszła na drugą stronę, zrobił kółko i wbił ponownie. Ze świstem wypuścił powietrze. Szył szarpnięciami, gęsto, wreszcie kazał mi związać i namoczyć nowy kawałek nitki.

– Straszne gówno – sapnął. – Igła powinna być zakrzywiona. Wiesz, wszystkie igły chirurgiczne są krzywe. No, jedziemy dalej.

Wbił igłę obok pierwszego szwu.

– Będę mówił do ciebie, OK? Jak masz mi tu mdleć, to dupa jesteś, nie kumpel. Niczym się nie przejmuj, nie takie rzeczy się działy i myślisz, że pielęgniarka zrobiłaby to lepiej? Najgorsze, że trzeba to wszystko szyć osobno, mięsień z mięśniem, powieź, tkankę podskórną z tkanką podskórną, a alkohol nie pomaga w goleniu. Kurwa, Janusz Bruk o tym nie wspominał. Słuchasz mnie w ogóle, mały?

Głos Karola brzmiał jak spod ziemi. Nie mogłem oderwać wzroku od rany zalewanej krwią, rany, która pęczniała z każdym ruchem igły. Można by pomyśleć, że w mięśniach Karola wiją się brązowe robale, wściekle głodne, które ze wszystkich sił próbują zwiać przed igłą i nitką. Im bardziej rana purpurowiała, im więcej krwi spływało na podłogę, tym twarz Karola stawała się bielsza. Powoli czerwony jar na przedramieniu zacieśniał się i malał. Igła krążyła coraz szybciej, wreszcie spięła ranę

klamrą.

– Z bandażowaniem sobie poradzisz, co? Skinąłem głową.

Opatrzyłem rękę. Sztern odchylił głowę. Wciągał powietrze nosem.

– Mówiłem ci, żebyś nic nie robił – westchnął, ale w jego oczach nie znalazłem śladu wyrzutów.

– Widziałeś to?

Widziałem nie takie rzeczy – powiedział. – Duchy moich zmarłych maszerujące czwórkami przez hotelowy pokój. Okaleczone dzieci bez rąk, kadłubki sunące do mnie po kafelkach łazienki. Obudziłem się kiedyś, a obok mnie leżała kobieta cyklop. Wyobraź to sobie, przyjacielu. Była zupełnie naga i miała cudowne ciało, pełne usta, łechtaczkę jak pączkujący kwiat, drobne stożki piersi i skórę tak gładką, że wyglądała na zrobioną ze szkła. Ale w czaszce miała tylko jedno oko na środku czoła. Nabiegłe ropą. Myślałem, że eksploduje mi w twarz. Wydobył papierosa.

– Po takich jajach ten stwór to małe piwo. Ale wierzę ci, że byłeś przerażony. Być może zobaczysz nie takie rzeczy, ale pamiętaj, że jedynym, który może zrobić ci krzywdę, jesteś ty sam.

Ogarnęło mnie zmęczenie. Usiadłem obok Karola.

– Zaraz musimy iść – powiedziałem.

– Muszę jeszcze odsapnąć – odparł Sztern. – Popatrz. Janusz Bruk podsunął ci pewne informacje i były one prawdziwe. Zrobił to tylko dlatego, żeby bardziej cię skrzywdzić. Ale to ty oskarżyłeś Agatę i chciałeś pobić Pawła. To ty zniszczyłeś swoje życie. Ty i tylko ty. Zapal mi papierosa.

Zaciągnął się dymem.

– Ten pies nie mógłby cię ruszyć. Gdyby Bruk stanął teraz przed tobą, mógłbyś udusić go gołymi dłońmi, a on nie zdołałby się obronić. Stworzyłby smoki niezdolne do ugryzienia, wepchałby ci mary do głowy, ale dopóki nie zwalniasz uścisku, jesteś, brachu, zwycięzcą.

Przymknąłem oczy. Byłem potwornie zmęczony.

– Kim jest Janusz Bruk? Skąd się wziął?

Umrzeć. Zasnąć. Może śnić? Słowa Karola Szterna słyszałem jak zza grubej ściany.

– Nie wiem, skąd się wziął. Wiem za to, że jest złem wcielonym.

Spałem niespełna godzinę. Kiedy otworzyłem oczy, zastałem Szterna siedzącego w kucki przed laptopem. Natychmiast dotarło do mnie wszystko: ranne wydarzenia, awantura w sklepie, pies widmo, a przede wszystkim trup Darskiego w rogu pokoju.

– Co robisz? – zapytałem.

– Piszę książkę – odparł. – Każdy moment jest dobry. Zwłaszcza jeśli masz mało czasu.

– Czemu pozwoliłeś mi zasnąć? – zerwałem się na nogi.

– Byłeś zmęczony – rzekł leniwie Sztern. – Nie mamy wiele czasu, ale mogłeś spać jeszcze z dziesięć minut.

– A on? – wskazałem na Darskiego i jego drugi uśmiech. – Gdyby ktoś się zjawił?

– Spokojnie – Sztern nie podniósł głowy znad laptopa – muszę skończyć to zdanie.

Zabębnił w klawiaturę, nacisnął CTRL+S i zatrzaskał laptopa.

– Nie wiem, czy się połapałeś – powiedział, wstając. – Jesteśmy rycerzami światła. A rycerze światła mają w dupie takie pierdoły.

Pędziliśmy w kierunku Krakowa. Świeciło słońce i Sztern opuścił dach. Włączył muzykę. Karol Sztern słuchał tym razem hip-hopu. Wiatr targał mu rude włosy. Ręka musiała boleć, co niezdarnie skrywał za uśmiechem.

– Opowiesz mi wreszcie? – zapytałem. Karol Sztern kazał mi trzymać laptopa na kolanach. Korciło mnie, żeby zajrzeć i przeczytać, o czym jest jego nowa książka.

– Myślałem, że już wszystko wiesz.

– Nie. Nic nie wiem – przyznałem. Zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej, żeby Sztern zatrzymał samochód i wysadził mnie, informując, że to już KONIEC PRZYGODY.

– Przecież powiedziałem ci o Januszu Bruku, o SMS-ach, walczyłeś z fantomem, rozharatałeś mi rękę – zarechotał. – Powinieneś już wszystko wiedzieć.

– Muszę poukładać sobie w głowie. Może potrzebuję trochę czasu?

– Czasu akurat nie mamy. Dość go zmarnowaliśmy w domu Darskiego.

– To byłoby łatwiej, gdybyś opowiedział mi wszystko od początku. Chcę wiedzieć, co ci się przydarzyło, czego chce Janusz Bruk i dlaczego musimy go powstrzymać.

Karol Sztern ściszył radio.

– Dobrze. Każda historia ma właściwe miejsce, żeby ją opowiedzieć. I ja, przyjacielu, takie miejsce znam.

IV

OPOWIEŚĆ KAROLA

Wcześniej nie byłem w klubie nocnym. Paweł mówił kiedyś o lokalu w Pradze, gdzie trafił w oczekiwaniu na powrotny pociąg. Opowiedział, że takich dziewczyn nie widział nigdy przedtem i sprzedałby spodnie z dupy, żeby ufundować sobie spacer na pięterko. Ze Szternem trafiliśmy do podobnego miejsca. A szliśmy przez przedpiekle.

Zaparkowaliśmy w cieniu drzew. Pamiętam tylko labirynt jednokierunkowych ulic i szare twarze kamienic z rzędami martwych oczu. Jak słabe ogniki życia migali w nich mężczyźni w białych koszulach na ramiączkach i grube kobiety. Mijaliśmy brązowe roje głodnych dzieci, psy chłęczące z sadzawek i miękkie kształty kotów.

– Diamenty zawsze są w błocie – powiedział Sztern. Stał oparty o samochód, z laptopem pod pachą. – Nie bój nic.

– Po co bierzesz to ze sobą? Poklepał laptopa.

– Nie wiem. To miłe miejsce. Lubię tam pisać.

Weszliśmy do parku, jednego z tych, które tylko udają, że są zielone. Trawa jest kolorowa od paczek i niedopałków, na liście opada szary cień, nawet w słoneczne dni. Pijacy siedzą na ławkach i piją wino z kartonów. Szliśmy, odprowadzani ujadaniem małych psów.

– Kiedy to wszystko się skończy, mam tylko jedno marzenie – oświadczył Karol Sztern. – Mam na myśli, panie kolego, przywrócenie dobrego imienia burdelom. Dzisiaj społeczne konotacje domu uciech są jednoznaczne. To miejsca dla biznesmenów od stu pociech, niewyżytych młodzieniaszków i bandy wszy zdradzającej swoje żony. A kiedyś było inaczej. W burdelach mieszkali artyści. Burdele odwiedzali książęta. Przez burdele, w burdelach, dla burdeli powstawały arcydzieła słowa i pędzla. I chciałbym, naprawdę chciałbym, żeby jeszcze kiedyś porządny, uczciwy człowiek, zapytany, skąd wraca, mógł odrzec z podniesionym czołem: „Właśnie idę z burdelu”.

Zaśmiał się i z rozmachem spuścił dłoń między moje łopatki. Nigdy nie wiedziałem, kiedy żartuje, a kiedy mówi prawdę.

To, co wziąłem za szarą ścianę, okazało się jednopiętrowym domem, tak odrapanym, że skojarzył mi się z twarzą obsypaną przez trąd. Wszystkie okna były zasłonięte. Różowy szyld obwieścił mi, że zaraz przekroczę próg POPOŁUDNIA TWARDZIELA. Zaparkowane przed domem samochody błyszcząły nonszalanckim bogactwem. Sztern oddał im powłóczyście spojrzenie, jakby chciał sprawdzić, kto ze starych znajomych jest w środku.

Stanęliśmy przed elektrycznym okiem. Sztern nacisnął guzik domofonu. Kobięcy głos zapytał, kto przychodzi. Karol Sztern odparł, że popołudniowy twardziel, wywołując histeryczny śmiech po drugiej stronie. Drzwi ustąpiły.

Spodziewałem się małego lokaliku z dziewczynami przy barze i schodami na górę. Ale na cały parter

składała się ogromna sala, spowita półmrokiem, w którym, jak mgławica, świecił się długi bar. Obok, na rurce tańczyła dziewczyna. Kilkanaście innych obsiadło wysokie stoliki, miękkie pufy i długie łóżko w środku pomieszczenia. Widziałem tylko trzech mężczyzn, nie licząc barmana, chorobliwie chudego, z oczami, które – miałem wrażenie – zaraz rozerwą mu czoło. Trzy dziewczyny natychmiast wyrosły wokół Szterna, a ten objął je czule. W jego gestach nie znalazłem śladu erotyzmu. Ale kiedy jedna z dziewczyn musnęła ustami mój policzek (cholera, jak w szkole, jak w pieprzonym liceum), pomyślałem, że może Karol Sztern ma rację. Że, tak naprawdę, nie warto przejmować się niczym.

Usiedliśmy. Poprosiłem o piwo, ale Sztern roześmiał się tylko i wrócił z dwoma Białymi Rosjanami. Czuję się jak na pierwszej randce, kiedy człowiek zastanawia się, jak daleko może się posunąć. Nigdy nie miałem śmiałości do kobiet. W rozbawionych oczach Szterna dostrzegłem, że zamiast głowy kołysze mi się wielki pomidor.

– Kiedy byłem tu po raz pierwszy, zaraz pomyślałem sobie, że to miejsce jest jak wyobrażenie nastoletniego pyrtka o burdelu – powiedział Karol Sztern. – Czyli fakt jego istnienia jest jak dwugłowe ciele. Znany, ale trudny do uwierzenia.

Karol Sztern zawsze, gdy mówił, nie spuszczał wzroku z rozmówcy. Dotychczas sekundowałem mu dzielnie. W POPOŁUDNIU TWARDZIELA Sztern przegrywał z blondynką przy barze. W jasnej koszuli i jeansowych spodniach sprawiała wrażenie, że znalazła się tu, tak jak ja, przez przypadek.

– Chcesz ją? – zapytał wprost Sztern. – Czy najpierw wolisz posłuchać?

– To drugie – odparłem – tak, na razie wolę posłuchać. Przy „na razie” Sztern syknął z ukontentowania.

– Jest typ człowieka, dla którego biznes jest pasją. Taki wzywa się w robienie pieniędzy. Niektórzy kolekcjonują kobiety, niektórzy znaczki, inni transakcje. Dla mnie to była niepojęta droga z zawałem w kośćcówce. Po co mam zarabiać więcej, niż mogę wydać? Po czterdziestce, patrząc, jak moje dzieci dorastają, doszedłem do wniosku, że czas obudzić dziecko w sobie, może nie powtórzyć, ale wejść jeszcze raz w młodość... doświadczenia, gorzkie dni odwiesić na kołek. Tak było, uwierz mi. Dotykałem nieba i schodziłem na dno oceanu. Pędziłem za słońcem, tak, żeby zawsze nade mną świeciło. A przede wszystkim pisałem. Kurde, nie masz pojęcia, jaką sprawiało mi to frajdę.

Przez moment Karol Sztern patrzył na mnie oczyma dziecka.

– Więc wymyśliłem sobie, że zostanę pisarzem, bo, jak sądziłem, dam sobie i innym kupę radości. Wymyśliłem też, że zacznę od zera. Tak jak dwadzieścia lat temu stałem z kartonem kaset wideo – tak i wtedy, równie samotny, spróbowałem sił, dłubiąc w słowie. Mogłem zrobić wszystko na skróty, wydawać samemu swoje książki, rozdawać je ludziom, wywalać kasę na reklamy i tak dalej. Ale wiesz, jest tylko jeden sposób weryfikacji twórcy. Że chcą go ludzie. Bo w tym biznesie, jeśli jesteś naprawdę dobry, to ci się uda.

– Norwid – rzuciłem.

– Zapomniałem dodać. Jeśli nie przeszkadzasz szczęściu albo nie umrzesz zbyt młodo. Norwid pił. I śmierdział. Śmierdział łajdak, jakby Bóg ulepił go z gówna.

Dopił drinka i wrócił z następnym.

– Udało mi się i byłem szczęśliwy. Widziałem swoje książki w księgarniach, na kolanach ludzi w parkach, coś tam mi płacili. Potem zamówiłem tę nieszczęsną książkę.

– Wspomniałeś o niej.

– Przez internet. Na małej stronie. Nic szczególnego, ale urzekł mnie tytuł – cmoknął – *Drugie życie Karola Szterna*. Przyznasz, że można się zaciekawić. Najpierw myślałem, że to jakaś bzdura, durny wygłup wroga z dawnych czasów. Wiesz, zbiór kąśliwych artykułów, werbalne wiadro pomyj, coś w tym stylu. Ze strony dowiedziałem się, że nie, że to jakaś powieść. Autorem był Janusz Bruk.

Więc zamówiłem tę książkę. Kiedy zaczynałem czytać, miałem wrażenie, że to zwykły zbieg okoliczności, że ktoś wybrał akurat takie nazwisko. Brał z książki telefonicznej i padło na moje. Ale nie.

To była książka o mnie. Nie wiem, jak opisać to, co czułem po kilkunastu stronach. Wrzucenie do głowy rozgrzanych węgli jest wszystkim, co teraz przychodzi mi na myśl.

Karol Sztern schował twarz w dłoniach. Westchnął i mówił dalej.

– Napisano tam o sprawach, których nawet nie pamiętałem. O tym, jak biegnąc do ojca wracającego z wędkowania, wyłożyłem się jak długi i pojechałem po trawie, zdzierając skórę z lewego przedramienia. O tym, że jako nastolatek podkradałem pieniądze rodzicom, o pierwszej miłości – dosłownie wszystko. Sam nie napisałbym tego lepiej. Ale książka okazała się rozbudowaną mutacją twojego SMS-a. Zbombardowała mnie faktami, kazała wierzyć, że zna mnie lepiej, niż ja sam. Z *Drugiego życia Karola Szterna* dowiedziałem się, że o ile moja żona po prostu się puszcza, to córunia rozkłada nogi w procę przed każdym, kto jest wyższy od niej. Syn natomiast nie przepuszczał żadnej okazji, żeby mi dojechać w każdej prywatnej rozmowie za moimi plecami i zamartwiał się, że cieszę się doskonałym zdrowiem i ledwo dobiegam pięćdziesiątki. Forsa była mu potrzebna, bo palił browna jak złoto, a raz – jak był bez grosza – musiał obciągnąć temu i owemu. Podobnych smaczków było mnóstwo. Pozwolisz, że nie będę cię nimi częstował.

Przez rok biłem się z myślami. Chciałem i nie chciałem uwierzyć. Postanowiłem wziąć *Drugie życie Karola Szterna* w wielki nawias i spróbować żyć dalej, jakby nic się nie stało. Ale człowiek nie jest władcą samego siebie. Wpadłem w pułapkę własnych podejrzeń. Jadły mnie jak rak. To z kolei nie mogło dobrze odbić się na atmosferze w domu. Czytałem korespondencję żony, sprawdzałem jej telefon, patrzyłem na źrenice syna, na rajstopy córki. Wszystko było w porządku, a ja, idiota, uznałem, że w takim razie wiedzą, że ich podejrzewam i pilnują się jak mogą.

W końcu sprawa wybuchła. Musiało tak się stać. Poszło oczywiście o pierdołę. Nie pamiętam nawet... ważne, że poszły mi hamulce, że pobiłem Jacka. Jacek to mój syn, no i cóż więcej, zabrałem się do hotelu, gdzie uchlałem się w trupa, rozpaczając, jak to okrutnie świat ze mną postąpił. I – znów trochę wszystko skrócę – dość powiedzieć, że rozwiodłem się, dając im tyle pieniędzy, ile tylko chcieli. Chciałem uwolnić się od żony. Kolejny dzień, kolejny sukces. Byłem sam, tak potwornie sam jak nigdy przedtem, tęskniłem za rodziną, ale miałem dziwne przeczucie, że zdołam doskonale ułożyć swoje życie. Moja rodzina, cóż, wiesz, jak kończyła się książka?

Pokręciłem głową.

– *Drugie życie Karola Szterna* kończyło się wspaniale. Karol Sztern znajdował miłość, miał jeszcze

dzieci, ludzie kochali jego książki. Jego była żona umarła rok po rozwodzie, pobita przez jakiegoś fagasa. Córka zaszła w ciążę i klepała biedę, matkując w samotności. Klepała biedę, gdyż Jacek roztrwonił majątek na narkotyki i wykończył się na głodzie, gdzieś w bramie. Wszystko to chciałem czytać i nic nie okazało się prawdą.

Kiedy już zrozumiałem, kim naprawdę jest Janusz Bruk, zapragnąłem odzyskać moją rodzinę. Chciałem pokazać im książkę, paść na kolana, słowem, zrobiłbym wszystko, żeby uzyskać przebaczenie. I wiesz co, młody przyjacielu? Poradzili sobie, a ja zostałem zapomniany. Żona wyszła ponownie za mąż za porządnego człowieka. Córka też jest mężatką. Związała się z Amerykaninem i razem prowadzą galerię w Nowym Jorku. Jacek co prawda rzucił studia, ale tylko dlatego, że zaczął świetnie zarabiać jako fotograf. Wiesz, co to za uczucie, stoisz przed wystawą jego prac i nie możesz wejść do środka, żeby mu pogratulować?

Sztern przygryzł wargi.

– Nie umiałem ułożyć sobie życia. Jedyne ciepło mogę znaleźć tutaj – zakreślił koło w powietrzu. – Została mi tylko moja zemsta. Nie próbuj nic mówić. Cieszę się, że mogłem ci to opowiedzieć.

– Co zrobisz, kiedy go złapiesz?

– Rozwalę mu głowę – odparł Karol Sztern – ktoś taki jak Janusz Bruk nie może całkiem umrzeć. Ale myślę, że mogę mu trochę poprzeshkadzać. Odesłać na chwilę z tego świata.

– Kim jest Janusz Bruk?

– Nie teraz – Sztern pokręcił głową. – Daj nam pół godziny. Obiecałeś przecież, że pójdziesz na górę z dziewczyną.

Znałem Szterna od kilku godzin i wiedziałem, że jest mądrym facetem. Pieprzniętym jak stado lemingów, ale mądrym. Ponownie przywołałem wszystko, co tego dnia mi się przytrafiło. Jak mogłem iść na górę z dziwką, skoro Darski ledwo zdążył ostygnąć? W serwerowni pewno roi się od policjantów, a Agata? Cóż, bardzo ją skrzywdziłem i zapewne nigdy nie odzyskam. Tak samo, jak już nigdy nie zbliżymy się z Pawłem. Moje życie się rozsypało, więc jak mogłem myśleć o dziwkach? A z drugiej strony, czemu nie?

Ściągnąłem dziewczynę wzrokiem. Jej ręce miękko opadły mi na ramiona.

– Powiedziałeś, że jesteśmy rycerzami światła – zwróciłem się do Szterna. – Czy wszyscy wojownicy światła tak robią?

– Co masz na myśli?

– Karol, proszę – nachyliłem się do niego i ściszyłem głos. – Czy rycerze światła w swojej krucjacie palą haszysz i uganiają się za panienkami?

Sztern zrobił to, co umiał najlepiej. Uśmiechnął się.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – Nic nie wiem o innych rycerzach światła.

Kiedy wróciłem do stolika, Sztern siedział i pisał na laptopie. Twarz miał brudnoszarą jak papier pakunkowy i pomyślałem, że przypomina paczkę ciasno związaną sznurem, paczkę, w której coś napiera i narasta. Uśmiech, hasz, miejsce, w którym się znaleźliśmy, to sznurki ratujące go przed rozpadem. Usiadłem.

– Janusz Bruk – powiedział. – Dłużej już tego nie odwlokę, prawda?

– Miło mi się czekało.

– Zapewne nie tak miło, jak mnie będzie mówić. Ludzie przywykli, że Karol Sztern to taka zabawowa postać. Knajpiana atrakcja. Potem spuszcza się z niego powietrze i zamyka w szafie do następnej wizyty w barze.

– Nigdy tak nie myślałem. Karol Sztern wzruszył ramionami.

– Janusz Bruk wcale się tak nie nazywa – zaczął. – Ma wiele imion i zapewne wiele twarzy. Nazwałem go tak, bo to nazwisko znalazłem na okładce książki, której byłem bohaterem. Nie wiem, czy Bruk jest samym diabłem, czy tylko jego pomocnikiem. W tym drugim przypadku dobrze służy jego sprawie. Towarzyszy człowiekowi od jego narodzin i jest wcielonym złem.

– Bardzo filmowe.

– Sam się zdziwiłem. Można tłumaczyć to na dwa sposoby. Człowiek wierzący powie, że Janusz Bruk to laleczka na sznurkach szatana, piekielny potwór bez kagańca, wypuszczony na ziemię, żeby zjadać nasze dusze. Bruk może być również personifikacją zasady entropii. Sam musisz wybrać, która opcja ci odpowiada.

– A ty co myślisz?

– Myślę, że to kawał chuja. Wystarcza? Kiwnąłem głową.

– Bruk dąży do jednego – kontynuował – do zniszczenia ładu świata, zburzenia stosunków społecznych. Wie świetnie, że każdy człowiek ma brudne myśli, że każdy ukrywa coś w sercu. On to wyciąga i przedstawia jako fakt dokonany. Zwróć uwagę, że jest bardzo sprytny. I ja, i ty – złapaliśmy się na jego wędkę. Wyobraź sobie teraz świat, gdzie każdy wie o każdym wszystko. Gdzie każde podejrzenie natychmiast się spełnia. Ten świat byłby piekłem. W ciągu godzin rozpadłyby się miłości i przyjaźnie. W ciągu dni – wszystkie struktury społeczne. Każdy człowiek stałby się atomem z mnóstwem kolców, nienawidzącym wszystkiego naokoło. Na końcu tej wizji jest pustynia, po której biegają ostatni ludzie, oszaleli z nienawiści. Tego właśnie chce Janusz Bruk.

– Jaki człowiek może chcieć czegoś takiego?

– Tu byś mógł się zdziwić. Świat jest wypełniony palantami, którzy codziennie modlą się, by Bóg dmuchnął, chuchnął i zmiotł wszystko z tego globu. Ale Janusz Bruk nie jest człowiekiem, tylko duchem. Formą energii. Nie wiem, jak to nazwać. Umie przybrać ludzką postać i jako człowiek żyje wśród nas. Umiera i rodzi się na nowo.

– W takim razie jak chcesz go zabić?

– Normalnie. Uduszę albo zastrzełę.

– Właśnie powiedziałaś, że on zawsze wraca.

– Pewnych rzeczy nie można uniknąć, ale można je oddalić. Wszyscy umrzemy, prawda? Ale kiedy nasi bliscy chorują, robimy wszystko, żeby wrócili do zdrowia i byli z nami jak najdłużej. Ja myślę podobnie. Nie mogę sprawić, że Janusz Bruk przypadnie na zawsze, ale zrobię wszystko, by wygnać go na moment z tego świata. Wraz ze śmiercią jego obecnej formy wszystkie jego plany ulegną rozpadowi. Janusz Bruk wróci w nowym ciele, ale będzie musiał dorosnąć, nabrać sił, odnaleźć się w świecie. Daje to nam ładnych parę lat. Niewiele i tak wiele zarazem.

– Myślałaś o tym, czemu akurat my?

– Nie jesteśmy jedyni. Znalazłem wielu ludzi skrzywdzonych przez Bruka. Mogę powiedzieć tyle, że ty pierwszy mi uwierzyłaś. Albo inaczej: ty pierwszy zaszedłeś ze mną tak daleko. Kiedyś Bruk miał ograniczone możliwości działania. Może zmieniał się w wiatr i wpadał ludziom do ucha? Dzisiaj, ze świtem epoki mediów, budzi się jego czas. Nigdy wcześniej nie mógł dotrzeć jednocześnie do tak wielkiej ilości ludzi. Być może złapał ich setki, być może miliony. Być może nawet zagłada puka nam do okien.

– Ile osób go przejrzało?

– Czy są jeszcze inni rycerze światła? Swoją drogą ładne określenie, no nie?

Przytaknąłem.

– Bardzo możliwe, że inni ludzie też wiedzą. Działanie Bruka może obrócić się przeciw niemu. Im więcej osób zostanie oszukanych, tym więcej sobie to uświadomi. Ale muszę przyznać ci się do czegoś. Powiedz mi proszę, czy wierzysz w Boga?

– Muszę cię rozczarować. Wybieram bramkę numer dwa.

– Też kiedyś nie wierzyłem. Ale świat bez Boga, ale za to z Januszem Brukiem, jest nie do pomyślenia. Janusz Bruk jest panem zniszczenia, upostaciowioną entropią. Jestem przekonany, że zdobył moją duszę w chwili, kiedy mu uwierzyłem. Przychodzi mi na myśl jedno słowo: potępiony.

Wystarczyło spojrzeć w rozszerzone oczy Szterna, by uwierzyć mu bez zastrzeżeń.

– Nie chcę cię obrazić, Karol. Może jest jakiś Bóg, ale nigdy nie uwierzę, że mógłby zwrócić uwagę na nas. Jesteśmy po prostu za mali.

– A kto ci powiedział, że Bóg myśli w kategoriach „małe – duże”? – odparł Sztern i zamilkliśmy na chwilę. Pomyślałem, że skoro, zdaniem Karola, Janusz ma jego duszę, to z moją także nie jest najlepiej.

– Myślę, że trzeba się zbierać – rzekł w końcu Sztern – mamy jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Zrobisz ze mną kolejkę przy barze?

Uświadomiłem sobie, że Sztern wypił przynajmniej trzy drinki i właśnie ma zamiar wsiąść do samochodu. Mógłbym mu o tym powiedzieć i zobaczyć kolejny uśmiech. Sztern wyczuł moje myśli.

– Od lat nie mam prawa jazdy. Trzymam dwustuzłotówkę w dowodzie rejestracyjnym, to wszystko.

Usiedliśmy przy barze. Dziewczyna, z którą byłem, znów znalazła się na dole. Unikałem jej wzroku. Nie mogłem wygonić z głowy słów Karola o potępieniu. Barman przygotowywał nam dwie pięćdziesiątki, gdy moją uwagę zwrócił rząd tabliczek z wygrawerowanymi nazwiskami. Wisiały na belce nad barem.

– Mają tu konkurs – wyjaśnił Sztern – zasady są proste. Musisz wypić wszystkie drinki dostępne w barze i, mówiąc oględnie, przetrwać tę zabawę w pozycji zbliżonej do pionu. W nagrodę dostajesz tabliczkę, która będzie tu wisieć do końca świata.

– Nie widzę twojej tabliczki – trąciłem Szterna pod żebro i natychmiast zawstydziłem się tej poufałości.

– Nie te lata, nie ten przebieg – odparł Sztern.

Wśród zwycięzców dominowali Polacy. Znalazłem jednego Niemca, trzech Rosjan i jedną Litwinę. Tabliczki błyszcząły fałszywym srebrem. Nazwiska wygrawerowano czerwienią. Na końcu rzędu zamaszyste litery układały się w imię i nazwisko: Paweł Słowiakowski.

Patrzyłem osłupiały. Powietrze w płucach nagle stało się gorące.

– Wiedziałeś od początku – powiedziałem do Karola Szterna. Siedzieliśmy na skraju chodnika z butelkowym piwem.

Karol Sztern bawił się zapalniczką. Wydawał mi się starszy i bardziej zmęczony niż wcześniej.

– Oczywiście, że wiedziałem – przyznał Karol Sztern. – Gdybym powiedział ci wcześniej, nie uwierzyłybyś w ani jedno słowo.

Podsunał mi pod nos paczkę marlboro. Pokręciłem głową.

– To zwykłe papierosy – obiecał, więc wziąłem jednego.

– Widziałem cię, jak wchodzisz do mieszkania Pawła. Stałem pod drzwiami, czekałem, aż wyjdiesz, by zrobić swoje. Usłyszałem, co się dzieje i postanowiłem odłożyć o dzień moją zemstę.

– Mogłeś zastrzelić go przy mnie. W tamtej chwili pewnie bym ci pomógł.

– Większość ludzi, którzy dużo wycierpieli, pragnie, by cierpieniem obdzielać innych. Ja pomyślałem sobie, że zabijając Janusza Bruka, przerzucę na ciebie moją klątwę. Zobaczysz, jak umiera ktoś, kogo uważałeś za przyjaciela. Pomyślisz, że powinieneś mu pomóc. A gdybyś spróbował to zrobić? Musiałbym zabić także ciebie.

Wypuścił dym nosem.

– Pojechałem za tobą. Widziałem, jak kluczysz po mieście i idziesz do firmy komputerowej. Tam postanowiłem zareagować.

– Ładna mi reakcja – próbowałem żartować.

– Chciałem, żebyś wiedział, że jesteś po mojej stronie.

– O domu Darskiego też wiedziałeś?

– Nie – zaprzeczył. – Ale domyślałem się, co tam znajdziemy, czyli fantom i trupa. Potem przyjechaliśmy tutaj, żeby dać ci miły wieczór przed ponurą nocą i właściwie tutaj kończy się nasza przygoda.

Karol Sztern podniósł się ociężale.

– Zawiozę cię kilka przecznic od domu. Musisz mi teraz obiecać dwie rzeczy.

– Mogę obiecać, że spróbuję – opowieść Szterna jeszcze do mnie nie dotarła.

– Nigdy nikomu nie opowiesz o naszej rozmowie. To raz. Martwy Janusz Bruk wygląda jak zwyczajny trup. Po drugie, spróbujesz pogodzić się z Agatą. Zrobisz wszystko, żeby tak się stało.

Otoczył mnie ramieniem.

– Może kiedyś obudzimy się w mniej skurwiałych czasach – powiedział. – To jak będzie z naszą umową?

Karol Sztern zatrzymał się obok niewielkiego parku na Krowodrzej Górze. Do domu i do Pawła było stamtąd równie blisko. Sztern zgasił silnik, uścisnął mi rękę i kazał iść. Nie drgnąłem. Sztern nachylił się i otworzył drzwi.

– Obiecaliśmy coś sobie.

Przygryzłem wargi. Są propozycje, na które trzeba odmawiać, oczekują tego obie strony. Powiniennem iść z Karolem. Prawdopodobnie tego chciał.

– Idź – powtórzył. – Możesz wygrać całe życie. Ja mam do wygrania tylko moją zemstę.

Opuściłem samochód bez słowa. Naciągnąłem kołnierz i ruszyłem przez deszcz, do domu.

ZMIERZCH RYCERZY ŚWIATŁA

Dzień zaczął się od spaceru i na spacerze skończył. Tak myślałem wtedy.

Bałem się wracać do domu i nie wiedziałem, co mógłbym tam powiedzieć. Powiniennem się spieszyć, myślałem, za pięć, dziesięć minut Karol Sztern wyważy drzwi u Pawła. Jest dziesiąta i Paweł pewno zasiadł przed telewizorem. Albo jest w knajpie. Bez znaczenia, bo Karol Sztern dorwie go nawet w ostatnim kręgu piekła, a kiedy to nastąpi, powiniennem być daleko, żeby uniknąć cienia podejrzeń.

Uciec, zniknąć. Jakie to moje.

Przystanąłem pod drzewem. Świat, widziany przez deszcz, wydawał mi się piękniejszy niż w słońcu. Przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że domy, ludzie i drzewa są zrobione z piasku, jak raj pustynnego czarodzieja. Zaraz spłyną po krzywej wszechświata, zsuną się po brodzie pana Boga i z lekkim *chlup* wylądują w nicości. A gdy otwieram oczy, widzę tylko czarną linię rozcinającą gwiazdy. Deszcz ciągle pada i także zaczynam się rozpadać. Woda drąży kanały w moich rękach, zimne krople wypalają oczy. Czuję sól na języku, a zaraz potem języka już nie ma. Tak przynajmniej byłoby wygodnie.

Zebrałem się w sobie i ruszyłem do domu. Woda zalewała mi oczy. Co powiem Agacie? Że tropiłem diabła w ludzkiej skórze, który próbował nas zniszczyć? To strzał do własnej bramki. Wymyślę jakąś idiotyczną historię, a potem co? Co się stanie, gdy Agata dowie się, że Paweł nie żyje?

Może mi uwierzy. Jest jedna szansa na tysiąc. Zapyta wtedy, czemu nie poszedłem z Karolem. Odpowiedź jest prosta. Człowiek w typie Karola Szterna poradzi sobie beze mnie. Przeszkadzałbym tylko. To jego zemsta i sam musi jej dopełnić. Tak myślę ja i tak myśli Karol Sztern. Obaj zapewne straszliwie się mylimy.

Dla Janusza Bruka ludzie są przeźroczyści. Niemożliwe, żeby nie przejrzał naszych planów. Niemożliwe, żeby nie szykował niespodzianki. Karol Sztern to fajny facet, który wymyślił siebie w każdym szczególe. Byłem pewny, że głęboko w środku jest zagubiony i nieszczęśliwy. Jest zbyt pewny siebie. Zbyt odważny. Za bardzo przywykł do samotności i teraz za to zapłaci.

Jak zachowałby się na moim miejscu? Już raz uratował mi życie. Wątpię, żeby bał się bardziej niż ja teraz.

Deszcz jeszcze się nasilił. Światła samochodów wyglądały jak duchy.

Dochodziła dwunasta.

Karol Sztern był już na górze. Pod bramą stał jego samochód. Zaglądnąłem przez okno. Karol Sztern zapomniał swojego laptopa.

W oknie Pawła paliło się światło. Zabawne – stanąłem pod bramą i chciałem nacisnąć domofon. Wkoło wisiała cisza. Deszcz przegonił przechodniów. Przemoknięty, drżący z zimna kręciłem się chwilę, nie wiedząc co robić. Szarpnąłem bramę, ale nie ustąpiła. Uderzyłem łokciem w szybę. Właściwie

traciłem. Zabrzęczała.

Na śmietniku znalazłem butelkę po Carlsbergu. Schroniłem się w załomie i czekałem, przerzucając ją z ręki do ręki. Błyskawica przecięła niebo, odliczyłem do pięciu i rąbnąłem butelką o szybę, tuż nad klamką. Brzęk tłuczonego szkła zlał się z grzmotem. Wyrzuciłem butelkę i pobiegłem po schodach.

Dalej niewiele pamiętam. Wiem tylko, że wszystko działo się zbyt szybko.

Drzwi do mieszkania Pawła zastałem uchylone. Z wnętrza wypadał trójkątny snop światła. Pomyślałem, że już jest po wszystkim i Karol Sztern dopełnił swojej zemsty. Zorientowałem się, że nie mam żadnej broni. Zdjąłem kurtkę, żeby nie krępowała mi ruchów, zacisnąłem pięści, i, ociekający wodą, wszedłem do środka.

Lustro w przedpokoju było stłuczone, wieszak z ubraniami leżał u moich stóp. Stół w kuchni po lewej pękł na pół. Na podłodze walały się okruchy naczyń, poplamione krwią. Obok rozsypano noże. Wszedłem dalej, deptając po szkle, oglądając się za siebie, tak przerażony, jakbym pukał do biura samego diabła. Wszedłem nieproszony.

W pokoju, wśród potrzaskanych mebli, pod stłuczonym, cyklopim okiem telewizora, walczyli Paweł Słowiakowski i Karol Sztern. Widziałem szczupłe plecy Pawła i jego żylaste ramiona, zmienione w smugę powietrza. Pięści opadały na twarz Karola. Sztern zasłaniał się niezdarnie, próbował kopać, wreszcie, opuścił bezradnie dłonie.

Ale Paweł nie przestał go okładać.

– Pomóż mi – chrypnął Karol Sztern.

Pod szafą leżał pistolet Karola. Stałem, bojąc się cokolwiek zrobić. Paweł nie widział mnie albo nie zwracał uwagi.

– Pomóż mi – powtórzył Sztern. Ostanie słowo zlało się z odgłosem uderzenia.

Porwałem pistolet i natychmiast nacisnąłem spust. Nie drgnął, rozległ się głuchy szczęk. Odciągnąłem blokadę i wymierzyłem między łopatki Pawła. Nigdy wcześniej nie strzelałem. Nie miałem prawa trafić.

– Jezus – jęknął Karol Sztern, wyrzucając z ust czerwoną fontannę.

Nacisnąłem spust.

Paweł się odwrócił. Zdążyłem zobaczyć, jak jego oczy rozszerzają się ze zdziwienia, a jak usta składają się do prośby, ale było już za późno. Huk odebrał mi słuch. Ręka podskoczyła gwałtownie. Szyba w oknie osunęła się jak szklany śnieg. Spudłowałem, pomyślałem, mój Boże, nic się nie stało.

Na środku czoła Pawła wykwitła czerwona kropka. Kula wystrzelona z bliskiej odległości przeszła na wylot i stłukła okno. Bezbrzeżne zdziwione oczy zastygły, niczym uchwycone na kliszy. Paweł opuścił rękę, tak jak człowiek, który ma wszystkiego dosyć. Po palcach spływała krew Karola Szterna. Paweł osunął się bezgłośnie i wszystko się dopełniło.

Cisnąłem w kąt bezużyteczny pistolet. Chciałem podejść, pomóc wstać Karolowi. Powinniśmy

zwiewać. Ale nie mogłem zrobić kroku.

Karol Sztern podniósł się ciężko i otarł krew z czoła. Uśmiechnął się do mnie. Jakoś dziwnie i inaczej. W jego oczach widziałem niewysłowioną ulgę. Trącił Pawła czubkiem buta i pocałował mnie w czoło.

– Dzięki, mały – zabrzmiało.

Karol Sztern zapalił papierosa, klepnął mnie jeszcze w ramię i, pogwizdując, zbiegł po schodach. Zostałem sam z trupem przyjaciela i tajemnicą, która zaczęła się rozjaśniać. Zastanawiałem się, czy za nim pobiec, ale nagle zrozumiałem, że nie warto. Zostałem oszukany. W głowie, jak kroki skazańca w drodze na stracenie, dudniły mi słowa Karola.

Gdyby Bruk stanął teraz przed tobą, mógłbyś udusić go gołymi dłońmi, a on nie mógłby się obronić. Stworzyłby smoki, niezdolne do ugryzienia, wepchałby ci mary do głowy, ale dopóki nie zwalniasz uścisku, jesteś, brachu, zwycięzcą.

Paweł okładał Karola ile wlezie, a Sztern nie próbował się bronić. *Janusz Bruk wcale się tak nie nazywa, ma wiele imion i zapewne wiele twarzy. A jedno z nich to Karol Sztern. To ty zniszczyłeś swoje życie. Ty i tylko ty.* Przerażony, zbiegłem po schodach.

Deszcz już nie padał, zza ciemnego pierza chmur wychynał tłusty księżyc. Stałem w srebrnym świetle, na szkle z rozbitego okna, owinięty ciszą, zdjęty strachem, bez miejsca, dokąd mogłem pójść. Przed bramą wciąż stał mercedes Karola Szterna. Drzwi zastałem otwarte.

Być może powinienem zadzwonić na policję albo usunąć odciski palców z mieszkania. Teraz zabezpiecza je najgorsza ciura. W mamrze będą mieli ze mnie ubaw. Nie wróciłem na górę. Miałem przecucie, że los pozwoli mi żyć na wolności z moją klątwą. Tak będzie trudniej.

Nigdy nie prowadziłem Mercedesa. Odjechałem jak Karol Sztern. Z piskiem opon. Nim nastał świt, byłem daleko za Krakowem.

Zatrzymałem się w ponurej jadłodajni zagubionej na płaskim brzuchu Śląska. Wyglądałem okropnie, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, ani barman, mały i żółty jak truteń Gucio, ani trzech śmierdzących gości przy stoliku obok. Jak wszyscy tutaj, wyglądałem na rycerza prowadzącego nierówną walkę z kaczem. Zamówiłem hot-doga i frytki. Kiełbasa była zimna, za to frytki czarne i parzyły w język.

Takie miejsca wyglądają jak muzeum albo składowisko gratów z kapsuły czasu. Na ścianach wisały stare kalendarze z nagimi dziewczynami, plakatami zespołów podwórkowych, a grające radio udawało w najlepsze, że mamy lata dziewięćdziesiąte i Disco Relax wciąż gromadzi rodziny i wioski w niedzielne przedpołudnia. Mój hot-dog pewno pamiętał gorące debiuty Milano i Shazzy.

Lustro w łazience było pęknięte. Stałem długo, oparty o umywalkę i zastanawiałem się, czy patrzy na mnie ktoś znajomy, czy obcy. Jeździłem dłonią po brudnej tafli, jakbym wierzył, że zdołam przejść do magicznego świata, gdzie wszystko będzie dobrze. Czas cudów przeminął.

Wróciłem do samochodu po laptopa, zamówiłem kawę i usiadłem w rogu, skryty przed spojrzeniami ciekawskich. Komputer uruchamiał się powoli. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że w moich palcach tli się papieros.

Większość ludzi lubi personalizować swój komputer. Wybierają tapety na pulpit, skiny do programów i przeglądark, osobne ikony na wszystko, w co tylko można kliknąć. Nie Karol Sztern. Pulpit był mdłozielony i czysty. W „Moich dokumentach” znalazłem setki folderów oznaczonych datami (w przedziale miesiąca, lub dwóch), w folderach dziesiątki plików tekstowych, zatytułowanych numerycznie. Wybrałem ostatni, otworzyłem i zacząłem czytać. Tytuł brzmiał *Zmierzch rycerzy światła*. Ostatnia książka Karola Szterna.

Wojtek błagał dobrego Boga o wybaczenie. Patrzył na komórkę a za nim świat spływał jak woda po szybie.

Czytałem szybciej i szybciej, by zjechać na dół dokumentu.

I cóż on uczynił? Krew jego brata głośno woła z ziemi.

Będzie teraz przeklęty na ziemi, która rozwarła paszczę, żeby wchłonąć niewinną krew, przelaną przez niego. Będzie przeklęty, a dokądkolwiek pójdzie, z jego źródła spłynie gorzka woda, na jego łąkach wyrosną krwawe mleczce, jego poduszka stanie w ogniu. Nigdy nie zmyje z siebie winy, nigdy nie dostąpi przebudzenia. Krwi nie można kupić, krwi nie można spłacić, krew jest wieczną klątwą.

Zdradził najbliższych i zabił niewinnego. Wina tym większa, gdyż pozwolił, aby go oszukano.

Teraz już zawsze będzie obcy. Będzie jabłkiem toczonym przez robaka. Ludzie nie rozumieją jego słów i nigdy nie dadzą mu domu. Będzie żył dość długo, by przeżuć swoją winę i zrozumieć, że nigdy nie znajdzie odkupienia. Nie ma takiej siły, która go uratuje, nie ma takiej miłości, która rozświecili jego drogę.

Nie dostąpi łaski sprawiedliwej kary. Gałąź się pod nim złamie, a kat stąpi na nim topór. Im dłużej czyta te słowa, tym lepiej wie, że czas oszustw się skończył. To prawda.

Na tym kończyła się książka Karola Szterna.

– Wina tym większa, gdyż pozwolił, aby go oszukano – powtórzyłem. Janusz Bruk. Karol Sztern. Janusz Bruk. Karol Sztern.

Telefon zapiszczał w kieszeni. Wyszedłem na zewnątrz, zostawiając komputer i niedopitą kawę. Patrzyłem w ekran. *Jedna wiadomość odebrana*. Obróciłem komórkę w palcach i z całej siły cisnąłem na ryżowisko.

Żyję, ale nie mam się dobrze. Chodzę po ziemi i niedługo przewędruję ją całą. Chciałbym napisać, że czuję się lepiej, ale to nieprawda. Gdzieś, w stalowej willi, Karol Sztern pisze książkę o mnie.

Niedawno dowiedziałem się, że strona z wróżbami robi zawrotną karierę. Jej klony wykwitają w kolejnych krajach niczym cybernetyczne kwiaty. Mnie pozostało czekanie. Leżę w ciemnym pokoju hotelowym i nasłuchuję. Codziennie budzę się przed świtem. Czekam, aż rozbrzęczą się telefony, a ludzie obrócą się przeciw sobie, przeźroczyści i słabi, jak bibułki w cieniu wielkiego ognia.

Table of Contents

SERCE KOLEI

I

II

III

AUTOSTRADA

OPOWIEŚĆ TAKSÓWKARSKA

I

II

III

IV

KACPER KŁAPACZ

I

II

III

WIGILIJNE PSY

I

II

III

ANGELUS®

LOMBARD

OBJAWIENIA

ZMIERZCH RYCERZY ŚWIATŁA

I

II

III

IV

V